

Elizabeth Adler

Wcześniej czy później

Prolog

1971

Wyściełane miękką skórą siedzenia białego kabrioletu bentleya, w ulubionym kolorze Eleanor Parrish Duveen, czerwonym, były bardzo gorące. Minęło południe, ale Ellie nie znała się na zegarku, miała dopiero pięć lat.

Jej ojciec obejmował ramieniem mamę, która prowadziła, i na całe gardło śpiewał „Naprzód, rycerze Chrystusa”. Miał przyjemny, niski głos. Odrzucił głowę do tyłu i wykrzykiwał hymn niebu, drzewom i zdziwionym ptakom, a mama śmiała się radośnie z jego popisów. Co jakiś czas odwracał się do Ellie i porozumiewawczo puszczał do niej oko, śpiewając coraz głośniej. Wtedy mama śmiała się jeszcze bardziej. Biały bentley pokonywał niebezpieczne zakręty górskiej szosy.

Gorące kalifornijskie słońce paliło ogniście rude loki Ellie. Miała wrażenie, że jej mózg wysycha na wiór.

Podniosła z podłogi słomkowy kapelusz i naciągnęła go na czoło. Ziewnęła szeroko, układając się na czerwonym siedzeniu, zła, że nawet w największym upale rodzice nie zaciągają dachu. Tatusz zgadzał się na to jedynie wtedy, gdy padało, a i tak w porze deszczów uciekali z Kalifornii do Europy.

Tego dnia pojechali na obiad do starego zajazdu ukrytego w dolinie między górami Los Padres. Ellie spodobała się mała knajpka, gdzie niemal prawdziwi kowboje piekli steki na grillu, gotowali kukurydzę, śpiewali piosenki, brzdąkali na gitarach. Tata im wtórował, wymachując przy tym szklanicą piwa. Potem mama zaczęła tańczyć, aż wirowała jej długa spódnica, klaskała w dłonie nad głową jak Cyganka.

Ellie wpatrywała się w jej drobne stopy w kowbojkach z jaszczurczej skóry. Dla niej mama była najlepszą tancerką, a ojciec najwspanialszym śpiewakiem, mimo że mama zawsze wybuchiała śmiechem, gdy intonował „Naprzód, rycerze Chrystusa”, co robił zawsze, ilekroć wypił za dużo.

Czasami Ellie słyszała, jak inni wyrażają się o rodzicach. Niektórzy mówili o nich „wariaci”, ale ci ich nie znali, nie wiedzieli, w jakich

kręgach się obracają i jak bardzo są bogaci. Ci natomiast, którzy to wiedzieli, z uśmiechem nazywali ich „ekscentrykami”. Twierdzili, że Parrishowie umieją się bawić, że to bogaci hippisi. Jeśli gdzieś na świecie odbywało się warte uwagi przyjęcie, byli tam.

– A dlaczego nie? – odpowiadała Romany Parrish Duveen, gdy pytano ją, czemu przemierza dziesięć tysięcy kilometrów dla jednej nocy zabawy. Rory Duveen święcie wierzył, że życie jest po to, by się bawić, i tę wiarę wcielał w życie.

Obiad się przeciągał, Ellie zjadła za dużo. Teraz oczy same się jej zamykały. Zapadła w półsen. Słońce zaglądało pod zamknięte powieki błyskami czerwieni i fioletu. Chwilami słyszała śmiech matki. Był to w jej uszach najwspanialszy dźwięk. Kiedy mama się śmiała, w świecie Ellie wszystko układało się dobrze.

– Ojej! – krzyknęła mama, kiedy Bentley zadrżał na zakręcie.

Ellie z trudem uniosła powieki. Zobaczyła drogę, a niżej spalone słońcem zbocze wąwozu. Biały kabriolet cicho jechał w dół zbocza. Ellie zmrużyła oczy z westchnieniem zadowolenia.

– Naprzód, ryceerze Chrystusa, idziemy za krzyżem Jezusaa...

Silny baryton ojca i perlisy śmiech mamy odbijały się echem od gór, spływały ku dolinom, aż Ellie zaczęła się obawiać, że obudzą śpiące grzechotniki.

A potem mama znowu zawołała: „Ojej!” i Bentley znowu zadrżał.

Pytającym wzrokiem spojrzała na męża. Zajrzeli sobie w oczy; zdawali się tonąć w ich głębi. Ojciec nie przerwał ani na chwilę, nie stracił rytmu: – Naprzód, ryceerze Chrystusa...”

śpiewał nadal, czysto i głośno, kiedy wielki ciężki samochód obracał się bezwładnie dokoła własnej osi.

– Ojej! – zawołała mama, ze śmiechem starając się odzyskać panowanie nad pojazdem. Śmiała się nawet wtedy, gdy kabriolet runął na dno kanionu. Bo czyż całe życie nie jest żartem? Więc może śmierć również?

Rozdział 1

Ośrodek Hudson zbudowano na skalistym brzegu rzeki, w najbardziej na północ wysuniętym zakątku stanu Nowy Jork. Od głównego budynku z czerwonej cegły, w którym mieściły się biura, odchodziły mniejsze skrzydła – w nich mieszkali pacjenci. Bluszcz piał się po murach, oplatał kraty w oknach. Na wiosnę tłumnie zlatywały się tu jaskółki i wróble, szukając schronienia przed porywistymi wiatrami i drapieżnikami.

Ci spośród pacjentów, którzy nie utracili całkowitego kontaktu z rzeczywistością, nie podzielali ptasiego entuzjazmu dla tej instytucji. Oprócz krat w oknach, od świata dzieliły ich systemy alarmowe, zamki we wszystkich drzwiach, uzbrojeni strażnicy. Pielęgniarzami byli potężnie zbudowani mężczyźni, gotowi w razie potrzeby powalić pacjenta na ziemię jednym ruchem. Nawet do skrzydła kobiecego zatrudniano pielęgniarki nie tylko o wysokich kwalifikacjach, lecz także dużej sile fizycznej. Ośrodek Hudson był doskonale strzeżonym prywatnym zakładem dla chorych psychicznie, przejawiających agresję wobec siebie samych bądź wobec otoczenia. Umieścili ich tu najbliżsi w trosce o własne bezpieczeństwo.

W oczach pacjentów mężczyzna z pokoju dwadzieścia siedem uchodził za szczęściarza. Miał narożny pokój, z dwoma oknami. Co prawda były małe, zakratowane, i umieszczone wysoko, jednak i tak wnikało przez nie więcej słonecznego światła i lepiej było widać wierzchołki drzew, kołysanych nieustannym wiatrem. W małym zamkniętym świetku, gdzie większość pacjentów nosiła tanią, zużytą odzież, odznaczał się również wyjątkowo dobrym ubraniem. Nosił płócienne koszule i popelinowe spodnie w lecie, w zimie – dobrej jakości swetry i sztruksy.

Miał także niewyczerpany, zdawałoby się, zapas papierosów, a z pobliskiego Rollins przywożono nawet specjalne jedzenie: pizzę, pieczonego kurczaka, żeberka. Krążyły plotki, że przekupiony strażnik zaopatruje go w wódkę i wyrzuca puste butelki. W oczach tych pacjentów, którym zostały resztki rozumu, był bogatym człowiekiem, prawdziwym szczęściarzem.

Patrick Buckland Duveen nie zgadzał się z tą opinią. Nie można uważać za szczęście przebywania w Ośrodku Hudson. Nie tak dawno temu nazwano by go domem wariatów. Dla jego pensjonariuszy pokój niczym nie różnił się od celi w doskonale strzeżonym więzieniu. „Przywilejów”, którymi się cieszył, nie opłacali współczujący krewni, nie finansował ich z własnego majątku. Miały one uspokoić sumienie kobiety, która go tu umieściła, zamknęła niczym wściekłą bestię, jak go nazwała. Powiedziała to surowym głosem, bez cienia strachu.

Fakt, że się go nie bała, stanowił jeden z powodów, dla których chciał ją zabić. Co za pech, że mu się nie udało.

– Powinieneś iść do więzienia! – krzyczała, gdy służący powalił go na ziemię. Leżał z twarzą wciśniętą w miękki, puszysty dywan u jej stóp. – Ale nie pozwolę, abyś okrył hańbą nazwisko mojej wnuczki.

Odmówiła wniesienia oskarżenia, ale, jako że stanowił zagrożenie dla społeczeństwa, umieściła go w zakładzie zamkniętym.

Jej przyjaciele, znani lekarze, pospiesznie przybyli na wezwanie. Jednogłośnie uznali, że jest niebezpieczny, że zabijanie ma we krwi. „To wariat, wystarczy spojrzeć mu w oczy”. Natychmiast podpisali dokumenty, za sprawą których znalazł się tutaj – na zawsze.

Zdaniem Bucka Duveena przyzwoite ubrania, pizza i butelka wódki – którą pił nie dlatego, że ją lubił, a dlatego że najmniej śmierdział po niej oddech – nie były wystarczającym zadośćuczynieniem za zmarnowane życie. Nie był nim również pokój o okratowanych oknach i strażnik na każdym piętrze. Buckowi brakowało restauracji, barów, alkoholu i kobiet. I poczucia mocy. Nie doznał go od dwudziestu lat, a pragnął jak dziecko cukierka.

Pewnego pochmurnego kwietniowego ranka wyprowadzili go z pokoju. Szedł z dwoma uzbrojonymi strażnikami długim zielonym korytarzem bez okien. Skuli mu ręce kajdankami, bo miał opinię agresywnego pacjenta. Zabrali go do gabinetu dyrektora.

Hal Morrow siedział za biurkiem zawalonym papierami. Poczul zapach miętowych pastylek Duveena, zanim podniósł wzrok. W milczeniu przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Dobrze wygląda, przemknęło mu przez głowę. Zerknął do papierów – Buck Duveen miał teraz czterdzieści dwa lata. Był wysoki, szczupły, miał rudą czuprynę, pociągłą twarz z bladą cerą więźnia i silne ręce wieśniaka. Morrow zamknął teczkę. Właśnie tymi rękami Duveen usiłował udusić kobietę, która go tu umieściła, i prawdopodobnie dwie prostytutki. Nie znaleziono żadnych dowodów łączących go z zabójstwami, nigdy też nie był za nie sądzony, podobnie jak w przypadku starszej kobiety, ale to jej wybór. Zdaniem Morrowa nie chciała procesu, bo obawiała się, że Duveen wyjdzie z najsurowszego więzienia za dobre sprawowanie.

Buck Duveen był psychopata: przystojnym, czarującym, pozbawionym uczuć, bezlitosnym psychopata. I przebiegłym. Nowi strażnicy w Hudson zawsze powtarzali, że rzadko się spotyka równie miłych ludzi; uprzejmych, inteligentnych, wygadanych. Sam się nauczył greki i łaciny, czytał Platona i Wergiliusza w oryginale. Starannie uprawiał swój ogródek, skrawek ziemi w olbrzymim parku. Hodował tylko kwiaty. Piękne, wypieszczone kwiaty, na których nigdy nie było owadów, bo natychmiast je zabijał. Jego róże zawsze przyciągały wzrok. Uprawiał kwiaty kwitnące latem, jesienią i wiosną. Zimą śnieg zakrywał ziemię na długie miesiące.

Buck Duveen wydawał się wspaniałym kumplem. Nietrudno było

polubić jego towarzystwo. Wkrótce rozmówca zaczął się zastanawiać, co taki uroczy człowiek robi w takim miejscu. Buck Duveen tylko na to czekał.

Mało brakowało, a udusiłby strażnika, który traktował go raczej jak przyjaciela niż pacjenta. Rzucił się na niego, zacisnął ręce na szyi z taką siłą, że trzeba było trzech mężczyzn, by go okiełznać. Nawet kiedy stracił przytomność, siłą musieli odrywać jego palce od szyi strażnika.

Ilekcję miał atak szału, nakładali mu kaftan bezpieczeństwa, zamykali w celi bez okien, stawiali pod drzwiami straż i słuchali, jak wyje i miota przekleństwa na nich i na kobietę, która go tu umieściła.

Po kilku dniach milkł.

– Czy moglibyście mnie stąd wypuścić? – prosił uprzejmie. I robili to, tylko że nakładali mu kajdanki i łańcuchy na nogi. Prowadzili go do pokoju, zamykali i obserwowali przez judasza w drzwiach.

Zazwyczaj siedział przy biurku, czytał poezję łacińską albo przeglądał jeden z magazynów ogrodniczych, które prenumerował. Znowu był wzorowym pacjentem.

Buck Duveen obserwował Morrowa z pozornie obojętną miną. We własnym mniemaniu był mądrzejszy i sprytniejszy od psychiatry, z którym spotykał się raz w tygodniu. Wodził daktorka za nos, mówiąc mu to, co tamten spodziewał się usłyszeć: brednie o snach erotycznych, fantazjach, wizjach. Czuł na sobie wzrok psychiatry, widział, jak tamten z zadumą kiwa głową, i w głębi duszy skręcał się ze śmiechu, że z taką łatwością udało mu się ich oszukać.

Niestety, nie był na tyle sprytny, by stąd uciec, chociaż próbował nieraz. Ta świadomość nie dawała mu spokoju. Musi się zemścić na Charlotte Parrish, która go tu umieściła. Pożądał wszystkiego, co miała. Wszystko należało się jemu.

Rozmyślał o tym noc w noc, podczas mroźnych zim, gdy wiatr wył za oknem jak wściekli pacjenci za ścianą, i w upalne, parne letnie popołudnia, gdy nagi krążył po pokoju, uwięziony jak zwierzę w klatce.

Pewnego dnia ją dopadnie. Wtedy zostanie tylko jedna przeszkoda. Nie wiedział, co się stało z dzieckiem, Ellie Parrish Duveen. Teraz to już dorosła kobieta. Młoda i apetyczna.

Tysiące razy wyobrażał ją sobie, wysoką i rudowłosą. I tysiące razy rozkoszował się wizją tego, co jej robi, kiedy w końcu dorwie ją w swoje ręce. śmiał się wtedy i wył jak szaleniec, a strażnicy na korytarzu zatrzymywali się w pół kroku i nasłuchiwali z głowami

przechylnymi na bok.

– Buck Duveen znowu zaczyna–mówili. – Mamy pełnię księżyca. – Odchodzili pospiesznie i zostawiali go samego z jego śmiechem, wyciem i marzeniami.

Hal Morrow studiował dokumenty i po raz kolejny zastanawiał się, czy nie ma innego wyjścia niż to, co zaraz zrobi. Ośrodek Hudson był instytucją prywatną. Koszty utrzymania pacjentów pokrywali krewni, którzy chcieli trzymać ich jak najdalej od siebie. Jeśli nagle przestawano płacić, jak w przypadku Bucka Duveena, nie miał wyjścia.

Spojrzał mu w oczy.

– Panie Duveen, dzisiaj opuści pan nasz ośrodek. Jest pan wolny. Duveen gwałtownie uniósł głowę, w zazwyczaj martwym wzroku błysnęło życie. Dlaczego go wypuszczają? Dokąd pójdzie? Co ma robić? Błyskawicznie podjął decyzję: nie zapyta. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Na jego nadal przystojnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Najwyższy czas, pieprzony gnojku – warknął. Pijany wolnością odwrócił się na pięcie w drodze do drzwi.

– Chwileczkę! – krzyknął Morrow. Dureen się zatrzymał, ale nadal stał do niego plecami. – Otrzymaliśmy informację, że nie ma już funduszy na dalsze finansowanie pańskiego pobytu w ośrodku. Pieniądze, które ostatnio wpłynęły na pana konto, trzysta dwadzieścia pięć dolarów, wypłacimy gotówką. Niedługo dostanie pan dokumenty i rzeczy osobiste. Strażnik odwiezie pana na stację kolejową.

Duveen wpatrywał się w sufit i cierpliwie czekał, aż Morrow skończy. Trzysta dolców, powtórzył w myśli. Sto pięćdziesiąt za każde dziesięć lat, które tu spędził, piętnaście za rok... A uważają go za szczęściarza, bo odzyskał wolność...

– To wszystko, Duveen. – Morrow pozwolił mu odejść. – Życzę powodzenia. Nie odpowiedział. Wszedł pewnym, śmiałym krokiem, którego nie zmienił

od pierwszego dnia w Hudson. Morrow zdawał sobie sprawę, że nie mógł postąpić inaczej. Prawnicy staruszki wstrzymali dopływ gotówki, a zakłady państwowe umywały ręce. Westchnął ciężko. Miał nadzieję, że postępuje właściwie.

W pokoju zdjęto mu kajdanki. Pogwizdując pod nosem „Dixie”, co robił zawsze, ilekroć był w dobrym humorze, przebrał się szybko. Włożył białą koszulę, tweedową marynarkę, beżowe sztruksy i mokasy z miękkiej brązowej skóry. Starannie przeczesał włosy.

Miał przeczucie, że wygląda dobrze. Nie mógł się o tym przekonać – w pokojach nie było luster, by pacjenci odłamkami nie zrobili krzywdy sobie lub strażnikom.

Pielęgniarz zdążył spakować jego torbę. Duveen uśmiechnął się, kiedy ją podniósł; była ciężka. Staruszka dbała, że nie brakowało mu ubrań, jakby prowadził bogate życie towarzyskie. Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, który był jego domem przez tyle drugich lat. Niczego nie zapomni. W oczach przypominających wypolerowane czarne kamienie nie było żadnych uczuć.

I znowu szedł długim zielonym korytarzem pod eskortą strażników, lecz tym razem nie był skuty. W kantorku kobieta w średnim wieku podała mu tandetny portfel zawierający owe trzysta dwadzieścia pięć dolarów i podsunęła świstek papieru.

- Proszę tu podpisać, panie Duveen.

Ciemne oczy zdawały się przeszywać ją na wylot. Nagle poczuła się tak, jakby była naga. Zaczerwieniła się i instynktownie uniosła dłoń do kołnierzyka białej bluzki.

Duveen uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie, tyle tylko, żeby wiedziała, że jest świadom jej uczuć. Podpisał się zamasyście.

Nonszalancko wsunął portfel i dokumenty do kieszeni.

- Nie obawiaj się, skarbie, wolę młodsze i ładniejsze od ciebie - rzucił drwiąco i wyszedł gwizdząc „Dixie”.

Dwóch strażników towarzyszyło mu do samej stacji. Czyżby obawiali się, że porwie półciężarówkę razem z kierowcą? Nie był głupi. Nigdy go tu nie doceniali, ale już wkrótce świat się przekona, jaki z niego spryciarz. A najprędzej dowiedzą się tego jego najbliżsi. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wymyślić, co zrobi. Minęło wiele nocy, podczas których wszystko planował i przeżywał w marzeniach. Niemal to czuł, jak smak dobrego burbona na końcu języka. Zemsta będzie bardzo, bardzo słodka.

Rozdział 2

Ellie Parrish Duveen wyjechała z malutkiego garażu przy równie niedużym domku w Santa Monica. Wranglerem żółtym jak taksówka gnała w dół wzgórza, do Main Street. Jej samochód lata świetności miał już za sobą, podobnie jak dom. Po ostatnim trzęsieniu ziemi nie wszystkie ściany stykały się w rogach, a podłoga w sypialni drżała przy każdym kroku, za to z okna rozciągał się widok na ocean. O ileż łatwiej jest rano wstawać, widząc, jak słońce odbija się w falach zaledwie dwie przecznice dalej. Poza tym

mieszkanie było tanie, co w jej oczach stanowiło kolosalną zaletę. Na Main Street utworzył się korek. Nerwowo kręciła się za kierownicą, co chwila niespokojnie zerknęła na zegarek. Spóźniała się jak zwykle. Nie odrywając oczu od ulicy, błyskawicznie upudrowała piegowaty nos, musnęła tuszem miedziane rzęsy, uwydatniła kolor ust czekoladową szminką. Nie potrzebowała lusterka. Po latach praktyki była mistrzynią w malowaniu się na czerwonym świetle. Jeszcze tylko kilka kropli perfum L'eau d'Issey, energiczne ruchy szczotką... i była gotowa. Upiła łyk kawy z papierowego kubeczka i nacisnęła pedał gazu, bo właśnie zmieniły się światła. Życie to ciągły bieg, stwierdziła filozoficznie, a ja zawsze zostaję kilka kroków w tyle, bez względu na to, jak bardzo się staram. Ellie miała dwadzieścia dziewięć lat, zamglone szaroniebieskie oczy swojej matki i rude włosy, które opadały na plecy w niesfornych lokach. Jedynie w swojej knajpcie w Santa Monica chowała je pod baseballową czapkę z napisem „U Ellie”, wyhaftowaną zieloną jedwabną nicią.

Była wysoka i szczupła, choć daleko jej było do chudości modelek, miała długie nogi i nieprzyzwoicie wielkie stopy, które, jak żartobliwie twierdziła babcia, Miss Lottie, trzymały ją na ziemi. Na prostym, zgrabnym nosie złożyły się piegi, pogodny uśmiech rozjaśniał oczy i unosił kąciaki szerokich ust. Jej czoło przecinała ledwo widoczna blizna, niknąca we włosach.

Była inteligentna, błyskotliwa i postanowiła, że odniesie sukces. Po college'u i szkole gotowania w Nowym Jorku wyjechała na praktykę do Paryża, gdzie terminowała w luksusowej restauracji wymienianej w przewodnikach Michelina. Wróciła do Stanów i poznała pracę w gastronomii od najgorszej strony: kłóciła się z urzędnikami o zezwolenia, użerała się z nieuczciwymi budowlańcami, którzy nie dotrzymywali terminów ani kosztorysów, sama projektowała wystrój wnętrza. Było ciężko, ale nie żałowała ani razu.

Lokal otwarto zaledwie rok temu i nadal pracowała ponad siły sześć dni w tygodniu, tak że niewiele czasu zostawało na życie prywatne. Sama zamawiała towar, prowadziła rachunki i razem z Mayą, najlepszą przyjaciółką, obsługiwała klientów, serwowała wino i sprzątała ze stolików. Dodatkowo gotowała, ilekroć szef kuchni rzucał pracę, a przy jego wybuchowym charakterze zdarzało się to co kilka tygodni, piekła na miejscu chleb i swoją specjalność, tarte tatin. A jeśli sprzątacze nie stawili się do pracy, sama po nocach doprowadzała wszystko do porządku. Była jak człowiek-orkiestra i uwielbiała to.

Nowym klientom powtarzała, że może w słynnym „Chinois” Wolfganga Pucka znaleźć bardziej wyrafinowane dania, ale za to „U Ellie” jest taniej i przytulniej .

– Jesteśmy waszym bistro – powtarzała. – Zawsze możecie tu wpaść na lampkę wina i małą przekąskę.

Restauracja zarabiała na sobie; nie przynosiła kokosów, ale pozwalała Ellie utrzymać się na powierzchni. Po każdym długim, ciężkim dniu powtarzała sobie, że jest dobrze.

Zaparkowała na ostatnim wolnym miejscu, wrzuciła dwadzieścia pięć centów do parkometru i pobiegła do kafejki. Zatrzymała się w pół kroku, żeby na nią spojrzeć. W oknach wisiały koronkowe firanki na mosiężnym karniszu. Na szybie złocił się napis „U Ellie”. Staroświecki dzwoneczek przy drzwiach wypełnił wnętrze radosnym dźwiękiem.

Wewnątrz panowała atmosfera paryskiego bistro. Na ścianach wisiały zamglone lustra, pod stopami szeleściły trociny. Przy stolikach nakrytych śnieżnobiałymi obrusami stały wiklinowe krzesła. Każdy stolik ozdabiał gliniany dzbanek pełen stokrotek. Był poniedziałek, jej dzień wolny, ale i tak miała dużo roboty. Zajrzała do kuchni. Sprzątacze spisali się na medal; podłogi lśniły czystością, lodówki błyszczały, wszystko było na swoim miejscu. Tęsknie spojrzała na marmurowy blat, przy którym szykowała swoje wypieki. W wolne dni brakowało jej dotyku surowego ciasta. Wolałaby gotować, a nie prowadzić księgowość. Niestety, nie mogła się rozdzielić, a to znaczyło, że przynajmniej na razie musi zatrudniać kucharza.

Wyjęła z lodówki pojemniki zawierające resztki z poprzedniego dnia. Obladowana jak juczny muł wracała do samochodu, potknęła się o własne stopy i zgubiła brązowy sandał bez pięty.

– O kurczę! – mruknęła. Nigdy nie przeklinała, bo babcia nauczyła ją, że damy tak nie postępują. Chybocząc się niebezpiecznie na jednej nodze, ostrożnie szukała po omacku drugiego buta.

– Wyglądasz jak bocian bez skrzydeł. – Maya Morris wychyliła się z okna czerwonego pathfindera.

Najlepsza przyjaciółka Ellie była zapierającą dech w piersi blondynką, która nigdy nie wstawiała o tak wczesnej porze.

– Zamiast się nabijać, mogłabyś mi pomóc. – Ellie posłała jej mordercze spojrzenie i mocniej przycisnęła do siebie pojemniki z jedzeniem.

– Albo jak baletnica. – Maya wyskoczyła z samochodu. Wybierała się na zajęcia jogi i miała na sobie czarne body, legginsy i niewiele

więcej. Spowodowała mały korek, bo kierowcy nie mogli oderwać od niej wzroku. Założyła Ellie sandał na stopę. – A ja jestem pięknym księciem, który o północy zamieni się w dynię.

– Ty idiotko, w dynię zamienił się powóz Kopciuszka. Za księcia wyszła za męża.

Maya wzięła się pod boki i spojrzała na Ellie spode łba.

– Szansę na to, że ty wyjdiesz za męża za kogokolwiek, są marne, że już nie wspomnę o księciu. Wzięłaś ślub z pracą. A tak w ogóle, dokąd się wybierasz?

– Do Miss Lottie.

Maya ze zrozumieniem pokiwała głową. To tłumaczyło, dlaczego przyjaciółka ma na sobie nieodwieczne dżinsy, lecz jasnoniebieską spódnicę i obcisłą bawełnianą bluzeczkę. I perły matki, które zdjęto z jej szyi zaraz po wypadku. Cmoknęła Ellie w policzek.

– Pozdrów ją ode mnie. – Wróciła do samochodu. Nie wiadomo który z kolei raz zapragnęła, żeby przyjaciółka umówiła się z kimś na randkę. Właściwie nie miała żadnego życia prywatnego.

Ellie wróciła do restauracji, zamknęła ją na klucz, następnie pojechała, jak zwykle za szybko, do schroniska dla bezdomnych w Santa Monica. Przekazała im resztki jedzenia w nadziei, że tym sposobem choć trochę pomoże.

Rzuciwszy okiem na zegarek, nie mogła się nadziwić, że minęło już tyle czasu.

Wrangler mknął na północ autostradą 101, a Ellie martwiła się o babcię. Miss Lottie mieszkała ze starą gosposią w zaniedbanej posiadłości w Montecito. Dawno już przekroczyła osiemdziesiątkę i czasami jej umysł błędził. Między jednym a drugim zdaniem cofała się o całe dziesięciolecia, traciła wątek, za to z fotograficzną dokładnością wspominała dzień, w którym kupiła sobie w Paryżu kapelusz w 1939 roku. Czasami Ellie miała wrażenie, że babcia celowo ucieka w sklerozę, ilekroć nie chce rozmawiać na jakiś temat.

– Zaawansowany wiek ma swoje zalety, moja droga – oznajmiła zadowolona z siebie Miss Molly, kiedy zdesperowana wnuczka zarzuciła jej oszukiwanie. – Po śmierci twojej biednej mamy wychowałam cię, jak mogłam najlepiej. Teraz, kiedy wyfrunęłaś z gniazda, nie mam żadnych obowiązków. Teraz nie mam nawet najmniej szych trosk.

Ellie oddałaby wszystko, żeby tak było naprawdę. Tymczasem ulice stawały się coraz bardziej zatłoczone. Spóźni się. Znowu.

Rozdział 3

„Domek” Lottie Parrish był położony na posiadłości zajmującej osiem hektarów najlepszej ziemi w Montecito, małym, bogatym miasteczku. O dziesięć minut dalej leżała Santa Barbara, siedziba Uniwersytetu Kalifornijskiego i starej Misji Hiszpańskiej. A o godzinę jazdy i całe życie dalej wyrosło spowite smogiem Los Angeles.

Nad zatoką tłoczyły się wille w stylu hiszpańskim i niewielkie domki. Nikły w cieniu palm, figowców i drzew pomarańczowych i cytrynowych. Bugenwille pyszniły się kolorami w rozległych ogrodach i pięły się wzdłuż Coast Village Road, uliczki, na której królowały małe sklepiki, kafejki i turyści. Choć w „centrum” tętniło życie, na Hot Springs Road niewiele się zmieniło od lat trzydziestych, kiedy ojciec Charlotte Parrish wybudował swoją posiadłość we włoskim stylu.

Waldo Stamford, jankes z Bostonu, zakochał się w malutkiej mieścinie pełnej kwiatów. Wzniósł rezydencję z kremowego piaskowca, z ocienionymi arkadami, tarasami otwierającymi się na zaciszne krużganki, na których szemrały fontanny. Każdy z dwunastu apartamentów wyposażono w salonik, sypialnię i łazienkę, okna każdego przesłaniały drewniane zielone okiennice, chroniące przed popołudniowym słońcem. Każdy urządzone z największym przepychem, poczynając od europejskich antyków i bezcennych dywanów, na złotych kranach w kształcie delfinów i najlepszej irlandzkiej pościeli kończąc. Pościeli, którą w tamtych czasach pokojówki w liberiach codziennie zmieniały i nosiły do pralni w brzezynie przy tylnej bramie.

Waldo i jego córka Lottie przyjmowali setki gości, wypełniali dom beztrudnym śmiechem i paplaniną. Obok ekscentryków i hollywoodzkich gwiazd gościli „odpowiednie” towarzystwo, czyli przemysłowych potentatów i stare kalifornijskie rodziny. Teraz Miss Lottie, jak ją pieszczotliwie nazywano, nigdy nie wydawała przyjęć. Miss Lottie ukryła się w swoim pokoju. Rzekomo szykowała się na spotkanie z wnuczką, w rzeczywistości zaś siedziała przy zabytkowym biurczku wykładanym macicą perłową. Jej oczy ocieniał stary zielony celuloidowy daszek, którego ojciec używał podczas gry w pokera. Z zapalem pisała coś na komputerze. Miała własny adres internetowy: <http://www.misslottie@ad.com>. i korespondowała z wieloma osobami. Niektórzy z nich stali się jej bliskimi przyjaciółmi. Szczególną sympatią darzyła rabiego

Altmana z Anglii. Ku jej wielkiej radości, w cyberprzestrzeni traktowano ją jak wyrocznie i źródło porad.

– Kochany Alu – pisała, zadziwiająco szybko jak na osobę posługującą się dwoma powykręcanyimi przez artretyzm palcami. – Dziękuję za e-mail. Bardzo się zmartwiłam twoimi problemami z narzeczoną. Oto jak moim zdaniem powinieneś postąpić: ożeń się z nią jak najszybciej. Zrób z niej porządną kobietę. Niech stworzy ci prawdziwy dom, urodzi dzieci. To w życiu najważniejsze, uwierz mi. Wiem to z własnego doświadczenia. „Pozdrawiam serdecznie, Lottie Parrish” – i na końcu dodała: – „Szalom”.

Pokojowego pozdrowienia nauczyła się właśnie od rabiego. Lubiła je, bo idealnie odzwierciedlało jej stosunek do osób, których nigdy nie widziała na oczy, a które zwierzały się jej z najtajniejszych sekretów.

Może dlatego że jestem taka stara, zadumała się obserwując wygaszacz ekranu z bohaterami kreskówek Disneya. W każdym razie wydawało się im, że posiada jakąś niezmierną mądrość, a ona po prostu kierowała się zdrowym rozsądkiem. Nie mogła się nadziwić, że tak mało ludzi zeń korzysta w dzisiejszych czasach. Teraz liczyła się albo psychologia, albo technologia, mało kto pamiętał o przepaści między nimi.

Kupiła sobie komputer po śmierci starego prawnika. Nie mogła dojść do ładu z jego młodym następcą i postanowiła sama zająć się swoimi pieniędzmi. Przemiliły młody specjalista od komputerów przez tydzień uczył ją, jak obsługiwać programy. Ku swemu zdumieniu, pokochała to od pierwszej chwili. Niestety, nie odbiło się to najlepiej na jej interesach.

Do apartamentu Miss Lottie prowadziły piękne marmurowe schody. Wstępu do niego broniły dwuskrzydłowe drzwi przywiezione z francuskiego pałacyku. Pokój był utrzymany w tonacji wyblakłego lila, jej ukochanego koloru. Nad łożem kołysał się baldachim z zielonego brokatu, ten sam, który zawieszono tu przed laty, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg domu. Właściwie niewiele się zmieniło. Wszystko było tak samo jak za czasów jej ojca, jak za życia jej córki, Romany, i zięcia, Rory'ego Duveen. Widziała, że rezydencja podupada, ale nie robiło jej to różnicy. Nadal była piękna, elegancka. Nadal była jej domem.

Z westchnieniem żalu za przeszłością Miss Lottie sięgnęła po laskę i wstała, żeby się ubrać.

Pół godziny później czekała na Ellie na wykładanym marmurem tarasie. Siedziała w rattanowym fotelu, który prawdopodobnie

dorównywał jej wiekiem, i od niechcienia głaskała Bruna, stareńkiego złotego labradora. Była wyprostowana jak trzcina, siwe włosy upięła w skromny koczek. Jej sukienka z bladoniebieskiego jedwabiu była jak najbardziej odpowiednia na popołudniową herbatkę w hotelu Biltmore. Żółta apaszka na szyi maskowała chociaż częściowo, taką przynajmniej Miss Lottie miała nadzieję, obwisłą skórę na szyi, która za nic nie chciała zniknąć, bez względu na to, jakiego kremu używała.

– Starym kobietom odrobina próżności dobrze robi – wyjaśniła Marii, gosposi i starej przyjaciółce, gdy ta skarciła ją za wydawanie pieniędzy na głupstwa. – Kiedy będziesz w moim wieku, sama zobaczysz, że nie zostało ci wiele rozrywek. Zresztą kobieta powinna wyglądać jak najlepiej w każdej sytuacji.

Miss Lottie ubolewała nad faktem, że jej umysł nie dotrzymywał kroku ciału. Czasami nie pamiętała, co robiła poprzedniego dnia, co dopiero przed tygodniem, za to ze wszystkimi szczegółami mogłaby opisać, jak budowano dom, i dzień, w którym ona i ojciec się do niego wprowadzili.

Wszyscy robotnicy zebrali się na dużym tarasie, właśnie tu, gdzie teraz siedziała. Szampan perlił się w kryształowych kieliszkach, ojciec hojną ręką rozdawał premie, a potem wzniesli toast za pomyślność nowego domu. Nazwali go Journey's End, Koniec Podróży. Miss Lottie przez całe życie wierzyła, że również jej podróż właśnie tu dobiegnie końca. Wszystko się zmieniło przed kilkoma tygodniami, kiedy prawnicy i księgowi powiedzieli jej, że nie ma więcej pieniędzy.

Przytaszczyli na spotkanie grube teczki wypchane dokumentami i omawiali wszystko dokładnie, punkt po punkcie. Miss Lottie nie wierzyła własnym uszom.

Ellie miała uczestniczyć w spotkaniu, ale zadzwoniła, że się spóźni. Kiedy wbiegła, zadyszana, rozczochrana jak zawsze, babka zaakceptowała przerwanie niepotrzebnych wydatków, jak to określili doradcy. Były to wydatki na cele bardzo drogie jej sercu; starzy przyjaciele, na których przyszły ciężkie czasy, emerytowani służący, których nie stać było na leczenie, pomoc ubogim dzieciom.

Wszystko to przemknęło jej przez myśl, gdy z westchnieniem skinęła głową i przyznała, że tak dalej być nie może.

– Musi pani myśleć o sobie, Miss Lottie – upomniał surowo księgowy. – Zapewne doczeka pani setnych urodzin i będzie pani potrzebny każdy dolar, którego uda się ocalić. Po prostu nie jest już pani bogata.

Maria Novales niosła tacę z dzbankiem świeżo zrobionej lemoniady i szklankami. Poruszała się bezszelestnie po marmurowej podłodze, więc Miss Lottie nie usłyszała, jak do niej podchodzi. Maria przyglądała się jej przez dłuższą chwilę. Była zadowolona, że staruszka tak dobrze wygląda. Zawsze tak było, ilekroć Ellie przyjeżdżała z wizytą.

Miss Lottie wyglądała jak zwykle doskonale w ulubionej niebieskiej sukience. Na jej palcach błyszczały w słońcu brylanty w staromodnej oprawie, siwe włosy były starannie upięte. I znowu miała na głowie ten głupi zielony daszek. Zakładała go, gdy buszowała po Internecie. Przy komputerze, który doprowadził ją do finansowej ruiny. Mimo to lubiła go nadal i spędzała przed monitorem drugie godziny w bezsenne noce. Za to Maria nie mogła się złościć.

Było w Miss Lottie coś, co przywodziło na myśl słowo „nieugięta”. Nie znaczy to bynajmniej, że nie zdarzało się jej zachowywać jak starej dziecinniej bogaczce. I miała cięty język. I była ekscentryczką. Ale takiej damie jak Miss Lottie wszystko uchodziło płazem: i dziedziczenie, i dziwactwa, i cięty język. Zwłaszcza że było powszechnie wiadomo, iż w głębi ducha jest sentymentalną, cikliwą osobką.

– Proszę zdjąć ten głupi zielony daszek – poleciła Maria. – Zanim Ellie się zjawi. Od razu się domyśli, że znowu siedziała pani przy komputerze.

Miss Lottie ściągnęła go nerwowo.

– Wydawało mi się, że to mój kapelusz.

– Proszę bardzo. – Maria podała jej nakrycie głowy. – Spóźnia się, jak zwykle – mruknęła odstawiając tacę.

– Nie martw się. Zaraz będzie.

Maria wróciła do kuchni. Znała Ellie od dnia jej narodzin i nawet wtedy dziewczyna nie pojawiła się na czas. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Spóźnianie się miała chyba w genach.

Miss Lottie przemknęło przez głowę, że Maria również staro wygląda. Kiedyś była drobna, pulchna, miała błyszczące oczy, ciemne włosy i śniadą cerę. Dziś zostały z niej skóra i kości, a we włosach przeważała siwizna.

Maria pomagała jej wychować Ellie po wypadku, w którym zginęli rodzice dziewczynki. Miss Lottie na zawsze miała zapamiętać tamten dzień. Dzień, w którym jej piękna, szalona córka zginęła razem ze swoim mężem.

Upiła łyk zimnej lemoniady i przypomniała sobie wszystkie

błogosławieństwa losu. Słońce świeci jasno, na błękitnym niebie nie ma ani jednej chmurki. Bruno, ukochane psisko, drzemie przy fontannie i we śnie ugania się za królikami. Maria, najdroższa przyjaciółka, jest zadowolona. I wkrótce będzie tu Ellie. Nieważne, co mówią księgowi. Miss Lottie miała przeczucie, że jej życie w Journey's End nie ulegnie zmianie. Nie zmieniałoby się od sześćdziesięciu lat. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Rozdział 4

Oczywiście Ellie od lat wiedziała, że babcia nie jest bogata, lecz w rodzinie Parrishów pieniądze były od zawsze. Do dnia, w którym Miss Lottie postanowiła sama zająć się swoimi finansami. Kupiła komputer, sprowadziła młodego specjalistę, żeby ją nauczył obsługi programów, i w starym zielonym daszku ojca na głowie, z telefonem w dłoni, inwestowała w coraz to nowe przedsięwzięcia. Czasami na tym zyskiwała, zdecydowanie częściej traciła. Zbyt często, jak się później okazało.

Ellie przeżyła szok, kiedy Michael Majors, prawnik rodziny, powiedział jej o finansowej ruinie, do której doprowadziły poczynania Miss Lottie. Wy tłumaczył, co zrobił, i zapewnił, że przy oszczędnej gospodarce będzie w stanie zagwarantować Miss Lottie dostatni byt. I zapytał, czy nie zdołałaby namówić babki na sprzedaż posiadłości.

– Podupadła rezydencja nie znalazłaby wielu amatorów, ale osiem hektarów w Montecito – jak najbardziej. Mogłaby pani pławić się do końca życia w luksusie, o pani babci już nie wspomnę – namawiał. Ellie nawet nie chciała o tym słyszeć. Miss Lottie spędziła w Journey's End ponad sześćdziesiąt lat i zostanie tam do końca, nawet gdyby Ellie musiała pracować dwa razy więcej, żeby utrzymać posiadłość. Miss Lottie opiekowała się nią, teraz przyszła jej kolej. Wielkie dębowe drzwi stały otworem. Pokręciła głową z dezaprobatą na myśl o tym, jak beztriosko babcia i Maria podchodzą do kwestii bezpieczeństwa. Nie zamknięte drzwi stanowią pokusę dla złodzieja – albo kogoś gorszego. One jednak nigdy o tym nie myślały.

– Znowu się spóźniłaś, Ellie – powitała ją Maria. Wytarła ręce w ścierkę.

– Można by pomyśleć, że nigdy się nie zjawiam na czas. – Mocno uścisnęła starą kobietę. – Stęskniłam się za tobą, Mario. Jak ładnie pachniesz, cukrem i wanilią.

- To aromat mojej duszy, wrodzonej dobroci - zażartowała Maria, ale poczerwieniała usłyszawszy komplement. - Zresztą to tylko ciasteczka. Może będziesz miała na nie ochotę wieczorem, po pracy.

- Rozpuszczasz mnie.

- Ktoś to musi robić. Chyba jesteś bardzo zmęczona.

- Jestem. I na pewno wyglądam jak Kopciuszek.

Ellie przyglądała rozwiane włosy i wyciągnęła ramiona w stronę starego psa, który usiłował podbiec do niej w radosnych podskokach.

- Cześć, staruszkule! Kochane psisko!

- Jesteś wreszcie! - Miss Lottie wyjrzała zza rogu. - Czekałam na ciebie.

- Przepraszam, babciu. Straszne korki...

Staruszka spojrzała na nią z niedowierzaniem. Ellie parsknęła śmiechem.

- No dobrze, przyznaję się, nie tylko korki zawiniły. Musiałam jeszcze coś zrobić w restauracji.

- Nic się nie zmieniasz - stwierdziła babcia filozoficznie. - I pewnie nigdy się nie zmienisz.

- No dobrze, dobrze. Jestem już. Ruszamy do hotelu Biltmore. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Przy herbatce opowiesz mi, co słyhać u ciebie, a ja opowiem nowinki z mojego życia.

- Dobrze, że jeszcze pamiętam, gdzie jest Biltmore. - Miss Lottie energicznie nasadziła na srebrne włosy słomkowy kapelusz. - I pamiętam dokładnie, gdzie i kiedy kupiłam ten kapelusz. Było to w Paryżu, w 1939 roku, tuż przed tą okropną wojną. Na długo zanim przyszedł na świat - dodała, opowiadając całą historię po raz setny, gdy wsparta na ramieniu wnuczki szła do samochodu. - Kupiłam go w zakładzie madame Pepity, na Fabourg Saint-Honore za pięćdziesiąt pięć dolarów. A trzeba ci wiedzieć, że w tamtych czasach była to niebagatelna suma.

- Widzisz, Miss Lottie, jak się postarasz, to pamiętasz. - Ellie pomogła jej wsiąść do białego cadillaca, rocznik 1972. Zbudowano go na zamówienie. Przez cały tydzień stał w garażu, jedynie w poniedziałkowe popołudnia udawały się nim na herbatkę do hotelu Biltmore. Miss Lottie nie chciała rolls-royce'a. Powtarzała, że kupuje angielskie wełny i paryskie kapelusze, ale samochody wyłącznie amerykańskie.

„Trzeba wspierać rodzimy przemysł” - powtarzała za swoim ojcem. Nie, żeby rodzimy przemysł na tym korzystał - nie kupiła nowego samochodu od ponad dwudziestu lat. „Dobra jakość długo służy” -

takie było inne jej życiowe motto. Stary cadillac zdawał się to potwierdzać, jednak miał na liczniku tylko osiemnaście tysięcy kilometrów.

Samochód jechał cicho i miękko. Ellie zerknęła na babcię.

- Dyrektor wie, że przyjedziemy. Na pewno rozłoży czerwony dywan.

- Bzdury, Ellie. Jesteśmy tam co poniedziałek. Zresztą on wie, że damy nie lubią, kiedy się wokół nich robi zamęt.

Niemniej Miss Lottie była bardzo rada. Poprawiła kapelusz w lusterku, chusteczką wypolerowała brylantowa broszkę. Przez moment zastanawiała się, od kogo ją dostała, ale twarz darczyńcy nikła we mgle.

W głębi ducha podobało jej się, że cały hotel Biltmore jej nadskakuje. A bywała w nim od ponad pół wieku. Może namówi Ellie, żeby zanocowała w domu? Wtedy byłoby zupełnie jak dawniej.

Rozdział 5

Na stacji kolejowej Buck Duveen kupił gazetę i paczkę cameli bez filtra. Przez cały czas, kiedy podawał sprzedawczyni pieniądze, chował resztę z banknotu dwudziestodolarowego i wsiadał do pociągu, towarzyszyło mu dziwne uczucie. Miał wrażenie, że lada moment za jego plecami pojawi się uzbrojony strażnik i powie, że to tylko głupi żart i zaraz wracają do izolatki. Na razie jedyną osobą za jego plecami była młoda kobieta w niebieskim kostiumie. Miała bardzo krótką spódnicę i bardzo zgrabne nogi.

Buck grzecznie puścił ją przodem. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, co niezmiernie go rozbawiło. Nie zrobił tego kierowany uprzejmością. Od lat nie widział prawdziwej kobiety. Amazonki w ośrodku się nie liczyły, choć nie zwlekałby ani chwili, gdyby miał okazję się do nich dostać. Teraz z trudem ukrywał podniecenie.

Wystarczył mu widok jej zgrabnego tyłeczka.

Zatrzymała się przy wolnym miejscu, zdjęła żakiet i położyła go na górnej półce, tym samym pozwalając mu dłużej cieszyć się swoim widokiem. Widywał kobiety w telewizji, ale różnica między ekranem a rzeczywistością była jak między filmem pornograficznym a normalnym życiem. Wszystko ma swoje miejsce i czas. Usiadła. Skinał jej głowę i poszedł dalej.

Zatrzymał się przy fotelu naprzeciwko innej kobiety; starszej, ale nadal atrakcyjnej. Miała koło czterdziestki, krótkie, modnie

zwichrzone ciemne włosy, piwne oczy, pełne usta. Jej długie paznokcie były opiłowane w kwadrat i pomalowane ciemnoczerwonym lakierem. Przywodziły na myśl szpony sępa. Wyobraził sobie, jak wbijają się w plecy mężczyzny, a nie w torebkę z kanapką.

Zachowywała się, jakby go nie zauważała, otworzyła książkę, ugryzła kanapkę. Położył gazetę na stoliku i otworzył paczkę papierosów. Podniosła wzrok.

– Tu nie wolno palić.

– Przepraszam, nie wiedziałem. – Był uprzejmy, prawdziwy dżentelmen. Odłożył papierosy i wyjął miętową pastylkę. Kobieta ponownie pochyliła się nad książką.

Buck siedział naprzeciwko i wpatrywał się w nią uporczywie.

Uwielbiał to. Był ciekaw, jak długo wytrzyma.

Jego spojrzenie zdawało się parzyć jej skórę. Podniosła na niego wzrok, by zaraz ponownie opuścić głowę. Poruszyła się niespokojnie i uniosła książkę, żeby zasłonić twarz.

Wykrzywił usta w tym samym ironicznym uśmiechu, którym uraczył recepcjonistkę wydającą mu pieniądze. Narastało w nim poczucie mocy. Dużo czasu minęło, odkąd ostatnio tego doświadczył; przecież pozbawiono go ludzkich ofiar. Z dumą stwierdził, że nic się nie zmieniło; nadal nad nimi panował.

Kobieta głośno zamknęła książkę. Gwałtownym ruchem wrzuciła ją do torebki, zabrała zakiet z sąsiedniego fotela i wstała. Obserwował każdy jej ruch, każde drgnienie ciała.

– Zboczeniec – mruknęła. Po chwili jej nie było. Kołysząc biodrami szła w głąb pociągu, jak najdalej od niego.

Duveen westchnął z zadowoleniem. Wszystko po staremu.

Na Manhattanie zameldował się w tanim hotelu przy Times Square.

Po obfitej kolacji znalazł małą knajpkę w bocznej uliczce, gdzie mieli niezłego burbona. Nadszedł czas, by wcielić w życie pierwszy plan.

Moc buzowała w nim jak elektryczność w słupie wysokiego napięcia. Bez trudu znalazł prostytutkę. Zaprowadził ją do ciemnej uliczki i wziął, opartą o pojemnik na śmieci. Ciągle w niej, otoczył dłońmi szczupłą szyję i zacisnął palce. Nie obawiał się, że ktoś nadejdzie i go zobaczy, bo panował nad sytuacją. Był niezwyciężony.

Rzęziła i wrywała się, więc jednym ciosem pozbawił ją przytomności. Skończył, puścił ją i pozwolił, by bezwładnie osunęła się na ziemię. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk, starannie wrył na jej

czole krzyż. Od skroni do skroni, od nasady włosów do nosa. Lubił to, traktował krzyż jako swój osobisty znak, podpis. Z łatwością ją dźwignął, wrzucił do kontenera, oblał burbonem.

Poprawił na sobie ubranie, wyciągnął papierosa, zapalił. Płonącą zapalkę cisnął do kontenera. Pogwizdując „Dixie”, wolnym krokiem wyszedł z uliczki. Czuł się jak nowo narodzony.

Kiedy skręcał za róg, jego uszu dobiegł syk płomieni. Uśmiechnął się pod nosem. Odkąd pamiętał, lubił ogień.

Przez pewien czas kręcił się w pobliżu, zaglądał do obskurnych sklepików, w których sprzedawano erotyczne gadżety i magazyny, do kin, gdzie wyświetlano filmy pornograficzne, obserwował alfonsów sprzedających swoje kobiety. Po dziesięciu minutach ulice wypełniło wycie strażackich syren.

Gdy wraz z tłumem gapiów spieszył do ciemnej uliczki, przepełniało go podniecenie i poczucie mocy. Oto stworzył darmowy spektakl dla poruszonych mas: światła, hałas, płomienie. Zamęt i chaos dramatu prosto z życia.

Zmierzał z powrotem do hotelu. To dopiero początek, ale musiał przyznać, że jak na pierwszy dzień od dwudziestu lat, poradził sobie całkiem nieźle.

Rozdział 6

Dan Cassidy, detektyw z Wydziału Zabójstw, siedział za biurkiem na posterunku na Manhattanie i z uwagą wpatrywał się w ekran komputera. Niepotrzebnie; jak zwykle, jego notatki były szczegółowe i przejrzyste. Zamknął plik i spojrzał na dokumenty na biurku. Leżały w nieskazitelnym porządku. Otwierał szuflady i zaraz ponownie je zamykał. Były puste.

Nerwowo odepchnął krzesło, wstał i poszedł do holu, do maszyny z napojami. Wrzucił kilka monet, sięgnął po piąty tej nocy kubek kawy. Oparł się o ścianę i powoli sączył mętny, gęsty płyn, leniwie się zastanawiając, czy na pewno podjął właściwą decyzję. Przecież mówi się, że do przeszłości nie ma powrotu. Odepchnął wątpliwości wzruszeniem ramion. I tak jest za późno.

Dan miał ciemne włosy i niebieskie oczy, jak jego irlandzcy przodkowie, natomiast wzrost i posturę zawdzięczał genom matki. Dorastał w Santa Barbara, typowy chłopak z Kalifornii, doskonały pływak i surfer. Był szczupły, przystojny, umięśniony, miał trzydzieści dziewięć lat i była żoną w Los Angeles.

Pobrali się wcześniej, w college'u. Rozstali się kilka lat później.

Chciał jak najszybciej odciąć się od przeszłości, oddalić również w sensie fizycznym. Potrzebował czegoś nowego, nowego wyzwania. W Nowym Jorku wstąpił do policji. Ani razu nie żałował tej decyzji. W oczach kolegów uchodził za twardego, inteligentnego detektywa z instynktem. Praca była dla niego bardzo ważna. Zawsze przejmował się losem poszkodowanych. „Dan poniósł klęskę tylko w jednym wypadku – sam nie jest w stanie uratować całego świata” – powiedział kiedyś komendant, lecz uśmiechał się, wypowiadając te słowa.

Przed dwoma laty Dan został ciężko ranny w klatkę piersiową podczas aresztowania podejrzanego o morderstwo. Gdyby nie błyskawiczna reakcja jego przyjaciela i partnera, Pete'a Piatowsky'ego, nie uszedłby z życiem.

Fakt, że tak blisko otarł się o śmierć, skłonił go do zastanowienia się nad własnym losem. Tym razem miał szczęście, ale następnym? Odpowiedź była tym trudniejsza, że wskutek postrzału miał sztywne ramię i bark, więc wolniej niż dotychczas wyciągał broń z kabury. Choć w jego oczach nie stanowiło to specjalnej przeszkody w dalszym pełnieniu czynnej służby, komisja lekarska była innego zdania. Przydzielono mu pracę za biurkiem.

Życie nowojorskiego policjanta to ciemne uliczki, walka z przestępcami, własny, choćby mały, wkład w bezpieczeństwo miasta. Siedzenie za biurkiem nie było nawet w połowie równie interesujące. Postanowił wsiąść jutro do samolotu i rozpocząć nowe życie jako właściciel niewielkiej winnicy w Kalifornii niedaleko miasteczka swego dzieciństwa.

Wiele razy powtarzał sobie, że ma po dziurki w nosie morderstw i przemocy. Pragnął powrotu do prostego, spokojnego życia z dala od zgiełku wielkiego miasta. Konie, psy, kury, atmosfera małego miasteczka. Jeśli, żeby to osiągnąć, ma się wcielić w farmera, czemu nie?

Jego ojciec umarł niedawno; Dan kupił winnicę, kierując się wspomnieniami, nostalgią, zachwycony pomysłem powrotu do korzeni. W złe dni powtarzał sobie, że mu odbiło i że posiadłość Running Horse, Biegący Koń, skazana jest na zagładę. W dobre dni przypominał sobie, że się szybko uczy i jeśli trzeba, daje z siebie wszystko, czas, energię, pieniądze. Pewnego dnia wszystko to wróci do niego z nawiązką, bo odniesie sukces.

Do tej pory nie widział swojej posiadłości na własne oczy, choć gdy zobaczył w gazecie ogłoszenie, mgliście przypominał sobie te okolice z dzieciństwa. Zresztą nie był kompletnym żółtodziobem.

Zanim zaczął naukę w college'u, przez całe wakacje pracował w winnicy w Napa. Robił tam wszystko, poczynając od harówki na polach, poprzez winobranie, do pracy w rozlewni. Zafascynowany, łąził krok w krok za kiperem, ciekaw zachodzących procesów. Poznał wszystkie problemy: nagły przymrozek, który w ciągu jednej nocy może zniszczyć całe plony, o ile nie zareagujesz wystarczająco szybko i nie pobiegiesz na pole, zazwyczaj o trzeciej nad ranem, żeby ratować krzewy. Widział owoce, które zaraza przemieniła w suche, bezwartościowe rodzyнки. Walczył z po wódną, pracował w upalnym słońcu. A przede wszystkim zrozumiał, w jak wielkim stopniu sukces winnicy zależy od pogody. Dobre krzewy plus dobra pogoda równa się dobry zbiór, proste równanie. Miał nadzieję, że się nie myli.

Rozświetlone słońcem zdjęcia posiadłości przedstawiały pagórkowaty krajobraz porośnięty karłowatymi dębami, cienistymi eukaliptusami i zaniedbaną winoroślą. Był tam mały drewniany domek z werandą biegnąca dokoła, budynek z czerwonej cegły, w którym mieściła się wytwórnia wina, i wybudowana w hiszpańskim stylu stajnia z cienistym patio pośrodku. Zakochał się w winnicy na pierwszy rzut oka. Zresztą była tania – świetna okazja, jak mu powiedziano. To, co odziedziczył po ojcu, jego oszczędności i renta z policji akurat wystarczyły. Teraz żywił nadzieję, że jego nabytek w rzeczywistości wygląda równie wspaniale jak na fotografii.

Z westchnieniem wrócił do gabinetu akurat w tej chwili, gdy przez radio podawano wiadomość o spalonych zwłokach w uliczce niedaleko Times Square. Ruszył do drzwi.

- Co tam, pojedę z tobą ten jeden, ostatni raz - oznajmił Pete'owi Piatow-sky'emu, swemu partnerowi od pięciu lat.

Piatowsky spojrzał na niego kątem oka.

- Nie wytrzymasz tam, sam wśród suchych badyli. Zamiast na pożegnalne przyjęcie, wolisz wyruszyć w miasto. Zakład, że za trzy miesiące wrócisz?

- Pięć do jednego, że za dwa! - krzyknął ktoś w sąsiednim pokoju. Usta Piatowsky'ego rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Gdyby zakłady były legalne, postawiłby nawet więcej na jeszcze krótszy termin.

Dan był wysoki, ale Piatowsky był gigantem. Miał czterdzieści dwa lata, resztki jasnych włosów starannie zaczesane na pożyczkę i zwodniczo łagodne błękitne oczy. Dan znał go doskonale i wiedział, że jest ostry i szybki, świetnie sobie radzi na ulicy. Był dobrym policjantem i wspaniałym przyjacielem. Co więcej, uratował mu

życie. Dan miał wobec niego dług wdzięczności.

Wywołujący mdłości zapach palonego ciała uderzył ich, gdy tylko wysiedli z samochodu. Śmierć na ulicy nigdy nie stanowi przyjemnego widoku, ale w tym przypadku skręcał się żołądek. Płomienie nie zatarły krzyża wyrytego na czole. Zwęglona skóra zwijała się jak karty książki, odsłaniała kości czaszki. Martwa kobieta wpatrywała się w nich przerażonym spojrzeniem wytrzeszczonych oczu, spojrzeniem, które posłała zabójcy w chwili śmierci.

Koroner przybył wkrótce po nich. Pochylony nad cuchnącym pojemnikiem, wypełniał swą powinność. Dan nie zazdrościł mu takiej pracy. Pomyślał o błękitnym niebie, blasku słońca i świeżym powietrzu, które na niego czekają.

- Idę o zakład, że nie od noża zginęła - powiedział w końcu lekarz. - 1 nie od ognia. Została uduszona. Okaleczenie nastąpiło po zgonie, a ogień miał prawdopodobnie zatrzeć ślady przestępstwa.

Ze skrzywionymi minami przyjęli wiadomość, że gaszący pożar strażacy skutecznie zatarli wszelkie ślady.

- Drań ma cholerne szczęście - stwierdził Piatowsky. - Swoją drogą, po cholere wyrył krzyż na czole? Po śmierci? Co za świr! Pewnie jakiś religijny fanatyk, rozpoczął krucjatę na Manhattanie.

- To jego podpis, znak rozpoznawczy. Moim zdaniem mordował już wcześniej. Powinieneś przejrzeć stare akta, sprawdzić, którego świra niedawno zwolnili.

- Dzięki, stary. - Piatowsky oddałby wiele za szklaneczkę czegoś mocniejszego w towarzystwie kolegów, ale czekała go jeszcze druga, pracowita noc. - Zabieraj stąd swoją przemądrzałą dupę i szoruj na przyjęcie. - Uścisnął mu dłoń, serdecznie poklepał po ramieniu. - Żałuję, że mnie tam nie będzie, ale oczywiście muszę zostać z trupem.

Teraz, kiedy nadszedł czas, Dan nie miał najmniejszej ochoty wyjeżdżać.

- W słonecznej Kalifornii będzie na ciebie czekał pokój gościnny.

- Przywiozę wędki. I dzieciaki. - Piatowsky już wracał do miejsca zbrodni. Dan zdawał sobie sprawę, że w życiu spotyka się niewielu takich przyjaciół.

Wyprostowany, odszedł w noc, w anonimowy tłum.

Na posterunku zwrócił odznakę, pożegnał się ze wszystkimi i udał się do pobliskiej knajpy, by w towarzystwie kolegów utopić żale w alkoholu.

Rozdział 7

E

llie miesiła ciasto na chleb tak długo, aż uznała, że jest idealne. Posypała je mąką, przykryła lnianą szmatką i postawiła przy piecu, żeby wyrosło. Wytarła marmurowy blat, wyjęła z lodówki masło i zabrała się za ciasto na tarte tatin, specjalność zakładu. Wcześniej pokroiła jabłka w plasterki. Całą kuchnię wypełniał smakowity zapach karmelu.

Dochodziło wpół do dziewiątej rano, a ona o szóstej była już na targu po warzywa na cały dzień. Chan, szef kuchni, dopilnuje zakupu mięsa, zadzwoni do niej i razem ustalą, jakie będą dania dnia. W zależności od tego, co kupił, Ellie wypisze menu, pobiegnie je skserować i wróci przed jedenastą, w ostatniej chwili, żeby się przygotować na przyście gości, którzy wpadną na lunch. O tej porze ona gotowała, a obsługę klientów przejmował Jake.

Jake, śniady i przystojny, był aktorem. Tu, w Los Angeles, każdy jest kimś innym niż w rzeczywistości, przemknęło Ellie przez głowę. Nawet ona. Piekła, serwowała dania, zarządzała restauracją, sprzątała. Zajmowała się wszystkim, z wyjątkiem gotowania, choć tego właśnie się uczyła. Lunche się nie liczą, bo podawali wtedy głównie omlety, sałatki i zupy. Tymczasem jak co dzień otworzy o dziewiątej trzydzieści. Śniadania, czyli bułeczki, tosty, jajka w różnej postaci, sok pomarańczowy i kawa stanowiły wcale niemałą część tygodniowych obrotów. Tyle że ten cholerny ekspres do kawy znowu się zepsuł.

Zadzwonił telefon. Odgarnęła włosy umączoną ręką i podniosła słuchawkę.

- „U Ellie”... - Miała niski, zmysłowy głos ze wzrastającą intonacją, przez co odnosiło się wrażenie, że cieszy się z każdego telefonu.

Nawet jeśli to był Chan. - Dzień dobry, Chan. - Uzbroidła się w cierpliwość, przygotowana na codzienną porcję narzekań.

- Nie dostałem cielęciny. Wyobrażasz sobie? Nie dostałem cielęciny! Co to za rzeźnik, do cholery? Albo znajdziemy nowego dostawcę, albo odchodzę.

- Chan, przecież sam się upierasz, że tylko oni mają mięso pierwszej klasy. Nie mieli dziś cielęciny? Trudno. Może zamiast tego użyjemy wieprzowiny?

28

-Wieprzowiny? Hm.... mógłbym zrobić ravioli, podobne do tradycyjnych chińskich pierożków, z sosem hoisin...

- Wspaniale. Powiedz mi teraz, jak to się nazywa, i lecę z menu do ksero.

- Ravioli Chan.

Ellie przewróciła oczami. No tak, jakże inaczej miałyby się nazywać? Pospiesznie notowała listę dań, które proponował na wieczór.

- Na razie. - Odłożyła słuchawkę, zadowolona, że udało jej się powstrzymać go od rzucenia pracy przez kolejny dzień. Zapaliła światła, przekreśliła wywiesz-kę w drzwiach z „Zamknięte” na „Otwarte”. Zaczyna się nowy dzień, stwierdziła z pogodnym uśmiechem.

Nie przestawała myśleć o Chanie. Półkrwi Azjata, ciemnooki, niski, czarnowłosy, był kapryśny i wybuchowy, ale dodawał kuchni francuskiej orientalnego posmaku, przez co tworzył dania jedyne w swoim rodzaju. Pomagał mu Terry, dwudziestoletni blondyn z Minnesoty. Był powolny i solidny, jak jego niemieccy przodkowie, i zdaniem Ellie podjąłby się każdej pracy, byle nie wyjeżdżać ze słonecznej Kalifornii. „Nie mogę uwierzyć, że tu nie pada śnieg” - powtarzał ze zdumieniem i zachwytem, gdy inni narzekali na kilka dni deszczu.

W restauracji pracowali także zmywacze i sprzątacze, jednak zmieniali się tak szybko, że stali pracownicy nie usiłowali nawet zapamiętywać imion i mówili o nich po prostu „dzieciaki”. Dalej Jake, który pomagał serwować lunch i czasami wpadał wieczorami, jeśli nie dawali sobie rady. I oczywiście Maya. Przyjaźniła się z Ellie od college'u, w pewnym okresie nawet mieszkały razem w Venice. Maya zapierała dech w piersiach, była oszałamiającą piękną z burzą złotych włosów, o bursztynowych oczach ocienionych ciemnymi rzęsami i fantastycznym, kształtnym ciele, za którym oglądali się wszyscy, choć starała się ukryć w workowatych spódnicach i powyciąganych swetrach. Ellie twierdziła, że Maya przyciąga do bistra więcej gości niż kuchnia Chana. Pracowała jako kelnerka cztery dni w tygodniu, a pozostałe trzy poświęcała na pisanie scenariusza. Miała przecucie, że niedługo go sprzeda; wtedy na zawsze rzuci pracę kelnerki.

- Będę tu przychodziła i wydawała kupę forsy - powiedziała do Ellie. -I zawsze będę sprowadzała moich nowych bogatych znajomych. Zobaczysz, odniesiesz sukces, poczekaj tylko.

Tymczasem obie czekały, roznosiły posiłki i nie traciły nadziei.

Dan z trudem zaparkował nowiutkiego białego eksplorera na Main Street. Gorącego kalifornijskiego słońca nie zasłaniała ani jedna chmurka, opaleni na brąz ludzie w koszulkach i szortach śmigali na rolkach albo raczyli się śniadaniem w narożnych kafejkach, a

parkometr wskazywał, że przez pół godziny nie musi płacić za parking. Był początek kwietnia; przed wyjściem z hotelu obejrzał prognozę pogody; w Nowym Jorku spadło pięć centymetrów śniegu. Przekonany, że życie mimo wszystko nie jest takie złe, wszedł do knajpki „U Ellie”.

Rudowłosa kobieta za kontuarem posłała mu olśniewający uśmiech, który zdawał się sięgać od ucha do ucha, w których tkwiły małe brylantowe kolczyki.

29

- Już podchodzę! - zawołała. - Niestety, ekspres do kawy znowu nawalił, więc jeśli szuka pan kofeiny, proszę spróbować w Starbucks, ulicę dalej.

- Sok mi wystarczy. Naprawdę zależy mi na jajecznicy, z gorącą bułeczką.

- Już się robi. - Zapisała zamówienie i znikła w kuchni.

Była to malutka narożna knajpka urządzona jak paryskie bistro. Na ścianach wisały stare, zamglone lustra, mosiężne kinkiety pokrywała patyna, przy stolikach z marmurowymi blatami stały trzciniowe krzesła. Podłogę z kafli pokrywała cienka warstwa trocin. Na oknie, za koronkowymi zasłonkami, widniał złoto-zie-lony napis „U Ellie”.

Ładnie tu, stwierdził. A kelnerka jest urocza. Właśnie wróciła ze sztućcami, serwetką i koszyczkiem pieczywa, nakrytym serwetką w biało-zieloną kratkę. W tej chwili zmienił zdanie na jej temat.

Kobiety o takim wzroście absolutnie nie można określić mianem „uroczej”. Nie była też typowym kalifornijskim kociakiem.

Posłała mu kolejny olśniewający uśmiech i postawiła koszyczek na stole. Dostrzegł smugę mąki na jej policzku. Miała jasne, szaroniebieskie oczy, piegi na nosie i rude włosy spięte w koński ogon pod czarną baseballową czapeczką. Śmieszne, lecz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że już ją kiedyś widział - chyba była troszkę podobna do Julii Robert.

- Wakacje? - zagadnęła, układając przed nim nakrycie. Miała niski, miękki głos. Kojarzył się z rozpuszczoną czekoladą.

- Skąd pani wie, że nie jestem stąd?

Oparła dłonie na biodrach i przyjrzała mu się uważnie.

- To bladeś rodem ze Wschodniego Wybrzeża. Tubylcy są opaleni, jeśli nie od słońca, to od solarium.

Roześmiał się.

- Czyli, pani zdaniem, powinienem wysmarować się samoopalaczem, żeby uchodzić za tutejszego?

Dzięki niewiarygodnie długim nogom pokonała dystans do lady trzema krokami. Postawiła przed nim szklanę soku.

- Wystarczy kilka dni na plaży. Ale radzę zachować zdrowy rozsądek. Co prawda mamy dopiero kwiecień, lecz słońce mocno grzeje.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy szła do kuchni po jajecznicę.

- Więc dlaczego pani nie jest opalona?

- To sprawka mojej babci. Kiedy byłam mała, nie wypuszczała mnie na dwór bez kapelusza, nie pozwalała się opalać. Twierdziła, że przy moich rudych włosach i piegach spiekłabym się na raka. I wie pan co? Miała rację. Teraz, kiedy jestem starsza i mądrzejsza, błogosławię ją, ilekroć spojrzę w lustro. Nie mam zmarszczek ani przebarwień skóry. Ale ze mnie szczęściara, co?

Z uśmiechem podała mu talerz z jajecznicą. Wróciwszy za ladę, posłała mu kolejne ciekawe spojrzenie.

Uroczy, oceniła, o ile tak można powiedzieć o równie męskim typie. Ciemnoniebieskie oczy były poważne, zdawały się mówić, że widział już wszystko i nic go nie zadziwi. Miał gęste ciemne włosy, prosty nos i błękitny cień zarostu na twarzy. Był szczupły, dobrze umięśniony, szeroki w ramionach.

30

Z zalem pokręciła głową. I tak nie ma czasu na mężczyzn.

Najważniejsza dla niej jest, i będzie, kariera. Była zdecydowana osiągnąć sukces. „U Ellie” to jej pierwszy krok w świecie gastronomii; zaplanowała już następne posunięcia.

Dan pochłoniął jajecznicę w rekordowym tempie. Zerknął na zegarek i podszedł do lady, żeby zapłacić.

- Dzięki – powiedział z uśmiechem. – Było pyszne.

- Miłego urlopu! – zawołała za nim.

Zatrzymał się w progu, chłoniął widok zalanej słońcem ulicy. Po chwili wsiadł do białego eksplorera. Ellie zauważyła, że szedł równym, seksownym krokiem.

Uparcie spychając seks na dno świadomości, skoncentrowała się na ekspresie do kawy. Dzień wcześniej dzwoniła do serwisu dwukrotnie, zaraz po raz trzeci sięgnie po słuchawkę. Może dzisiaj w końcu kogoś przyślą.

Kiedy przyszedł Jake, pobiegła skserować menu. Później będzie musiała przejrzeć listę zamówień na najbliższy tydzień, przekonać się, czemu tyle produktów się marnuje. Zanim skończy, będzie pora lunchu i przyjdzie dużo klientów. Potem trzeba będzie nakryć stoliki na wieczór i zadzwonić do Chana, czy na pewno przyjdzie. Pomoże

mu w przygotowaniach, zrobi sobie pół godziny przerwy na kawę z rogalikiem, pojedzie do domu, weźmie prysznic, przebierze się i wróci do re-stauracji o piątej, gotowa być kelnerką, hostessą, pomywaczką i czym tam jeszcze.

Czasami zastanawiała się, czy aby na pewno wybrała sobie właściwą branżę. Wystarczył jednak dobry tydzień, a czasami nawet jeden dobry dzień, żeby rozwiać jej wątpliwości. I co wieczór, gdy wyczerpana do ostatka i samotna kładła się spać, powtarzała sobie, że dokonała słusznego wyboru i że pewnego dnia będzie właścicielką restauracji polecanej w przewodnikach Michelina. Tak więc w jej życiu nie ma ani czasu, ani miejsca dla słodkiego olbrzyma o niebieskich oczach, który przyjechał na wakacje. Ani dla niego, ani dla nikogo innego. Musi się zaopiekować babcią. Nie potrzebuje mężczyzny, który skomplikowałby jej życie.

Rozdział 8

D

an jechał wzdłuż wybrzeża, rozkoszował się nowym samochodem i co jakiś czas zwalniał, żeby podziwiać widoki. Szosa wiła się wzdłuż plaży. Zatrzymał się, chcąc popatrzeć na surferów. Wspominał, jak sam miał szesnaście lat i prawie cały czas spędzał w morzu. Matka powtarzała mu, że to cud, że woda nie rozmiękczyła mu mózgu. Kiedy w wieku lat dziewiętnastu ożenił się z ukochaną ze szkoły, ojciec stwierdził oschle, że najwyraźniej jednak rozmiękczyła. Dziś Dan przyznawał mu rację.

Winnica Running Horse leżała na północ od Santa Barbara, wśród łagodnych zielonych wzgórz, które latem słońce spali na brąz. Przejeżdżał obok innych winnic, zachwycał się równymi rzędami winorośli, wypuszczających pierwsze liście. Pod rozłożystymi konarami dębów widniały małe winiarnie, które kusily strudzonych wędrowców, by odpoczęli w cieniu i skosztowali domowego wina.

Winnica Running Horse nieco się od nich różniła. Wysiadł z samochodu, popatrzył na zbocza porośnięte suchymi pędami, schylił się, podniósł garść ziemi i pozwolił jej przesypać się między palcami. Była sucha jak pieprz. Miał wrażenie, że pierwszy lepszy podmuch wiatru ją rozniesie. Różane krzewy na skraju winnicy stanowiły staromodny środek ostrzegawczy; pasożyty atakowały najpierw róże, potem winorośl. Na krzewach widniały robaczki we wszelkich możliwych kolorach: czarne, zielone, czerwone, białe. Jęknął głośno. Nie pomylił się – Running Horse pochłonie wszystkie jego pieniądze, każdy kredyt, jaki dostanie, całą jego

energię i masę pracy.

Wyprostował się, wrócił do samochodu i wyboistą drogą wjechał na szczyt wzgórza, gdzie stał jego nowy dom.

Zakładał, że kupił mały, uroczy domek, w stylu budynków z Nowej Anglii, ale to, co zobaczył, bardziej przypominało siedzibę rodziny Addamsów. Drewniany budynek od dobrych kilkunastu lat nie zaznał farby i przybrał smutny, szary odcień. W żadnym oknie nie ocalała szyba. Weranda zapadła się w wielu miejscach. Stał bez ruchu przez dłuższą chwilę, patrzył na zardzewiałe szczątki traktora na środku

32

podwórza i stertę śmieci. Nagły powiew wiatru sprawił, że opadł na niego deszcz liści z wysokiego drzewa. Kiedy wiatr ucichł, zapanowała idealna cisza. Nawet ptaki nie śpiewały. Pomyślał, że jest bardzo daleko od Manhattanu.

Ruszył do drzwi wejściowych. Schodki wiodące na werandę zatrzeszczały złowieszczo. Skrzywił się, kiedy zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Na marnych szczątkach nielicznych mebli gromadził się kurz wielu lat. U stóp kręconych schodów zadarł głowę do góry; w niesamowitym półmroku widział jedynie zarysy połamanej poręczy na piętrze. Rodzina Addamsów to nic, ocenił w myśli. To prędzej coś jak z książek Stephena Kinga.

Nagle na nowo usłyszał słowa Pete'a Piatowsky'ego: „Stary, kupujesz kota w worku. Dopiero jak tam pojedziesz, przekonasz się, w co się władowałeś”. Pete nigdy nie był bliższy prawdy.

Dan ze złością kopnął najniższy stopień. Nie miał pojęcia, od czego zacząć, od domu czy winnicy. Postanowił rzucić okiem na wytwórnę wina.

W obszernym budynku z czerwonej cegły stały wielkie kadzie, prasa i sterty pokrytych pleśnią beczek. Zestaw do butelkowania wyglądał jak z kreskówki Walta Disneya. Podobnie jak w domu, tu również wszystko było pokryte kurzem.

Z posępną miną przeszedł pod wdzięcznym łukiem bramy do stajni. Na środku stała stara kamienna fontanna, w glinianych doniczkach kwitły czerwone petunie i fioletowe bugenwille. Przed stajnią rozciągało się podłużne, ocienione patio. Stare drewniane ławki zachęcały do przeczekania upału popołudnia. Wyglądało to dokładnie tak samo jak na fotografii, przez którą z miejsca pokochał to miejsce – wiejska idylla. Przewidując najgorsze, że fontanna nie działa, dach przecieka i w ogóle wszystko się zawali lada moment, Dan podszedł bliżej.

Ku jego zdumieniu, nie było tak źle. Jasne, farba łuszczyła się i odpadała, ale dach wyglądał nieźle, a sześć boksów było w bardzo dobrym stanie. Od razu poprawił mu się humor. Postanowił, że jak najprędzej kupi dwa konie. Nie siedział w siodle od dzieciństwa, ale może dzięki temu to miejsce będzie bardziej przypominało dom. Sprawdził system irygacyjny. Działał, i za to Dan dziękował Bogu. W Kalifornii niełatwo o wodę, a winorośl potrzebuje jej dużo. Bez wody mógłby równie dobrze zrezygnować od razu.

Kiedy zaglądał do zarośniętego stawu na tyłach domu, na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia; planował już, jak wpuści do niego karpie, liny i może będzie hodował gęsi?

Obejrzał dokładnie werandę, wyznaczył miejsce, gdzie ustawi fotel, by się rozkoszować zachodem słońca i drinkiem, i stwierdził, że nawet jeśli kupił kota w worku, nie trafi najgorzej. Nagle nie mógł się doczekać, kiedy się weźmie do roboty.

Z żalem pomyślał o ładnej kobiecie z kafejki. W najbliższej przyszłości nie będzie miał czasu na romantyczne głupstwa. Nie teraz, kiedy ma tyle pracy.

Z rękami splecionymi na piersi patrzył na swoją ziemię i dom. Szacował w myśli, ile pochłona czasu, harówki, pieniędzy i wody. Potrząsnął głową, gdy przed oczami ponownie stanęła mu twarz Ellie i jej szeroki uśmiech. Nie, w jego życiu jeszcze długo, długo nie będzie miejsca na romanse.

3-Wcześniej...

Rozdział 9

N

astępnego ranka po zabójstwie Buck poszedł do filii Bank of America na Madison Avenue. Z uśmiechem zadowolenia przyjrzał się swemu odbiciu w wystawie. Wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z klubu dla dżentelmenów; w tweedowej marynarce, niebieskiej koszuli i brązowych mokasynach. Mówi się przecież, że po człowieku widać jego pochodzenie, a mama wychowała go na dżentelmena. Roześmiał się na głos na myśl o niej. Nadal się uśmiechał, kiedy pewnym krokiem wszedł do banku, pokazał dowód tożsamości i zażądał wyciągu z konta.

– Tak jest, panie Duveen.

Urzędniczka uśmiechnęła się do niego uprzejmie, więc odpowiedział tym samym. Jednak nie będzie się z nią drażnił jak z kobietą w pociągu. Dzisiaj aż promieniał wdziękiem. Miał sprawy do załatwienia, zresztą po wczorajszym nasycił się. Przynajmniej na jakiś czas.

Czekał, nucił sobie pod nosem i rozważał, jak to dobrze jest znowu mieć władzę. Miał władzę. Najpotężniejszą ze wszystkich, władzę nad życiem i śmiercią. Młoda urzędniczka nie wie, jakie ma szczęście, że Buck jest dziś w dobrym nastroju. Czekają go ważniejsze rzeczy; musi zrobić plany na przyszłość.

– Proszę bardzo, panie Duveen. – Podała mu wydruk. – Czym jeszcze mogę panu służyć?

Sprawdził szybko: ma dokładnie trzydzieści pięć tysięcy sto dwadzieścia dolarów.

– Poproszę dziesięć tysięcy gotówką i książeczkę czekową.

Podpisał niezbędne dokumenty, schował чеки, wsadził dziesięć tysięcy do kieszeni i wyszedł na Madison Avenue. Czuł się panem całego świata. Uczcił to drinkami i pysznym lunchem w hotelu Cztery Pory Roku. Udawał, że przegląda „Wall Street Journal”. W rzeczywistości obserwował innych gości.

Od niechcenia pomyślał, jak bardzo mógłby zmienić życie tych bogaczy w garniturach z Europy i jedwabnych krawatach od Hermesa. Wystarczyłoby się

34

dowiedzieć, gdzie mieszkają. Najlepsza byłaby posiadłość na wsi...

Dopaść żonę, gdy zostanie sama... to takie proste. Na przykład ten mężczyzna naprzeciwko, z żoną młodszą od niego o połowę; śliczna blondynka, brylanty, kostium od Cha-nel... Obserwował ją spod zmrużonych powiek, wyobrażał sobie, jakie to uczucie mieć taką kobietę, rozrywać jej drogie ubrania, wygryzać brylanty z uszu przy wtórze wrzasków i błagań...

Poczuła na sobie gorące spojrzenie. Podniosła wzrok i nagle wpadła w panikę. Znieruchomiała, powiedziała coś do męża, który odwrócił się zirytowany.

Buck nawet nie zerknął w ich stronę. Zapłacił gotówką, zostawił suty napiwek i wyszedł.

Obejrzał dokładnie wystawy w sklepie Barneya i udał się do działu męskiego, gdzie kupił rzeczy odpowiednie do Kalifornii, a więc lekkie przewiewne włoskie garnitury, spodnie, marynarki.

Sprzedawca pomógł mu dobrać koszule, kilka efektownych krawatów, szorty, koszulki polo, bieliznę i skarpety, trzy pary mokasynów.

Zorientował się, że wydał na ubrania małą fortunę, lecz się nie martwił. Wkrótce będzie miał pieniędzy w bród.

W pobliskim sklepie kupił dwie torby podróżne i od razu zapakował do nich nowe nabytki.

- Co, uciekamy z miasta, tak? - Sprzedawca mrugnął porozumiewawczo. - Żona na tropie?
W odpowiedzi posłał mu tak lodowate spojrzenie, że młody mężczyzna wycofał się szybko.

- Tylko żartowałem, przepraszam.

Zabrał swoje bagaże i wyszedł na zewnątrz. Elegancko ubranej kobiecie udało się akurat złapać taksówkę. Samochód podjeżdżał do krawężnika. Buck odepchnął ją, pomagając sobie torbą.

- Mój Boże! - wybuchła. - Myślałam, że Nowy Jork mnie już niczym nie zadziwi, ale to przekracza wszelkie...

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

- Jeszcześ niczego nie widziała, paniusiu - mruknął. Kazał się zawieźć na dworzec kolejowy Penn Station.

Pociąg do Chicago odjeżdżał o szóstej trzydzieści, więc miał czas na drinka w barze. Kiedy już siedział w wagonie, a wielka lokomotywa ruszała z miejsca, był podniecony jak dziecko jadące na wakacje.

Jechał do Los Angeles. W końcu.

Byłby absolutnie szczęśliwy, gdyby nie musiał myśleć o matce. Miał aż zbyt dużo czasu, by nad kolejnym drinkiem wspominać ją i ich wspólne życie.

Rozdział 10

W;

małym miasteczku niedaleko Santa Cruz w północnej Kalifornii Buck Duveen miał opinię maminsynka. Wraz z mamą mieszkał w pomalowanym na żółto, schludnym wiktoriańskim domku.

Mówiło się, że Delia Duveen urodziła go koło czterdziestki, bo wyglądała

o dobrych kilkanaście lat starzej niż inne matki na szkolnych wywiadówkach.

I nigdy nie spuszczała chłopca z oczu. Ciągle słyszał: „Buck, wracaj, Buck, zrób to; Buck, zrób tamto”. Nigdy nie bawił się po szkole, jak inne dzieciaki, bo musiał odrabiać lekcje i ćwiczyć na pianinie. Do tego pomagał jej w domu, układał w szopie drwa na opał, zawsze tak jak lubiła: grube polana na spodzie, cieńsze w środku, a chrust na samej górze.

Co sobota kosił malutki prostokątny trawnik przed domem i mył samochód, starego plymoutha w doskonałym stanie. A w niedzielę właśnie tym wypolerowanym, lśniącym wozem jechali do kościoła. Siedział cicho u jej boku, zawsze wystrojony w ciemnoniebieską marynarkę

i białą koszulę aż sztywną od krochmalu. Pod szyją uciskał go

krawat w prążki. Krótko ostrzyżone rude włosy ciasno przylegały do czaszki. Pulchna Delia latem stroiła się w pastelowe sukienki, zimą wkładała szary kostium szyty na miarę, ale nigdy nie rezygnowała z kapelusza. Żadnego fiu-bździu, żadnych frywolnych kobiecych ozdóbek, zwykły słomkowy kapelusz z wstążką w lecie i filcowy z piórkiem w chłodniejsze dni. Choć co roku kupowała sobie nowe, nie wiadomo dlaczego zawsze wyglądały tak samo.

Delia i Buck nigdy nie jadal kolacji w przytulnej kuchni, nie, tam tylko w pośpiechu łykali śniadania. Do kolacji zasiadali naprzeciw siebie w małym, przeladowanym saloniku, w kpiącym świetle żyrandola ze sztucznego kryształu. Pili zwykłą wodę, bo Delia nie aprobowała oranżady, a już z pewnością nie zgodziłaby się, by na stole pojawiła się cola.

Podawała posiłki starannie przemyślane, co wieczór coś innego, i to napawało ją szczególną dumą. Oznaczało to jednak, że Buck doskonale wiedział, co

36

danego dnia dostanie do jedzenia. A nie lubił żadnego z jej dań, ani pieczeni z wodnistym szpinakiem, ani ryby w rzadkim sosie, ani wszechobecnej, nieśmiertelnej galaretki z sosem – co wieczór inny kolor i smak, od poniedziałku do niedzieli. Marzyły mu się frytki, hamburgery, hot dogi, lody i pizza.

Buck Duveen nie znosił swojego domu, jedzenia, życia. A swojej matki nienawidził tak bardzo, że od małego miał ochotę ją zabić. Mimo to w oczach jej i sąsiadów był idealnym synem. „Żeby moi chłopcy byli tacy” – wzdychały zazdrośnie sąsiadki, gdy ich pociechy znowu coś przeskrobały.

Buck miał dobre stopnie, był wzorowym uczniem, ciężko pracował. A w głębi duszy płonął gniewem. W szkole nie uczestniczył w chłopięcych przechwałkach, jak daleko się posunął na randce, ile wypił na prywatce, czego dokonał. Ukrywał olbrzymie ambicje za maską udawanej obojętności.

W centrum znalazł sklep monopolowy, którego właściciel był tak stary, że kradzież butelki wódki nie przedstawiała żadnych trudności. Przemykał się wówczas do swego pokoju, zastawiał drzwi krzesłem (matka nie zgodziłaby się na zamek) i pił, leżąc na wznak. Wyobrażał sobie matkę, nagą, i siebie samego, z nożem w dłoni, jak jej rozpruwa brzuch, aż wnętrzności się wylewają. Marzyły mu się szkolne piękności; rozbierały się przed nim, a potem wrzeszczały z przerażenia i bólu. Oczami wyobraźni widział swoje dłonie na ich miękkich szyjach i przeszywał go strumień mocy. Wódka rozpaliała

mu krew. W pijackich fantazjach był wszechpotężny. Właściwie nie znał ojca, Rory'ego Duveena. Matka rozwiodła się z nim, kiedy Buck miał zaledwie trzy latka. Dawała mu do zrozumienia, że nie odpowiadało jej, co się działo w małżeńskiej sypialni. Oczywiście nie dosłownie, bo słowo „seks” nie przeszłoby jej przez gardło. Było ucieleśnieniem najgorszych rzeczy; seks jak świństwo, seks jak skandal, seks jak największy grzech. Więc Rory odszedł. Zostawił Delii wszystko, co miał; dom i pieniądze. Nie chciał mieć nic wspólnego ani z nią, ani z dzieckiem. Buck pamiętał tylko jedno; jak ojciec śpiewał w kościele. Upodobał sobie zwłaszcza jeden hymn, taki, który śpiewa się głośno, silnym głosem.

„Naprzód, rycerze Chrystusa, Idziemy za krzyżem Jezusa...”
W uszach często słyszał jego głos, widział krzyż, o którym śpiewał... Nie wiadomo dlaczego, czuł się wówczas jak bożek, walczący o swoje prawa. W jego oczach krzyż był symbolem siły i męskości. Należał do niego i do ojca.

Buck miał nadzieję uciec od Delii, kiedy wyjechał do college'u do Santa Barbara, na południe. Wtedy zdążył wyrosnąć na wysokiego, silnego młodzieńca o rudych włosach i ciemnych oczach, które zawsze umykały przed spojrzeniem rozmówców. Był przystojny i już tydzień po przyjeździe umówił się na pierwszą randkę. Do drugiej nie doszło; dziewczyna zwierzyła się przyjacielom, że zachowywał się dziwacznie. Tak było za każdym razem, więc znalazł dziwkę, której zapłacił dwadzieścia dolarów. W ciągu kilku sekund było po wszystkim, toteż odebrał pieniądze, skopał ją i wyrzucił z samochodu.

Z prostytutkami było łatwo, był panem sytuacji; pod każdym względem, wyjąwszy seks. Czasami śmiały się z niego w głos, a w nim kipiały nienawiść i gniew.

37

Delia nader skąpo wydzielała mu pieniądze, więc żeby związać koniec z końcem, pracował w dwóch miejscach naraz. Upokarzało go ubóstwo i poobijany gru-chot, którym jeździł. Pragnął pieniędzy. I chciał pozbyć się Delii raz na zawsze.

Pewnej nocy po wypiciu butelki wódki zobaczył światło. Wewnętrzny głos poinstruował go, co ma zrobić, żeby usunąć matkę ze swego życia. Wtedy będzie wolny, odziedziczy pieniądze i dom. Będzie bogaty.

Zaplanował wszystko dokładnie, każdy szczegół przemyślał wielokrotnie. Któregoś wieczoru przeprowadził nawet próbę,

przyjechał z Santa Barbara i zakradł się do ogródka, ale nie wszedł do domu. Nikogo nie było w pobliżu, nikt go nie widział. Wiedział, że się uda, bo wszyscy mu ufali. Zresztą uważał się za bardziej przebiegłego niż policjanci.

Tamtej nocy był szczęśliwy i podekscytowany. Wszystko poszło zgodnie z planem. Nie słyszała, jak wchodził, nie odezwała się, nie krzyczała. Wpatrywała się tylko przerażonym spojrzeniem wytrzeszczonych oczu, gdy silnymi dłońmi wyciskał z niej życie. Czysta energia mknęła w jego żyłach jak prąd elektryczny. Był niezwykciezony. Uległ potężnemu impulsowi, wyrył krzyż na jej czole. Z zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło. Oto jego podpis. Zanim wyruszył w drogę powrotną, staranował drzwi, splądrował mieszkanie, zabrał pieniądze z jej torebki, żeby gliniarzom podsunąć motyw.

Następnego ranka wrócił. Po drodze wpadł do pobliskiego sklepiku, którego właściciel znał go od dziecka, i opowiedział, że w ten weekend wcale się nie wybierał do domu, ale ciągle dzwoni do mamy i nikt nie odbiera. Zaczął się martwić.

Zadzwoił również ze sklepu.

– Jejku – powiedział marszcząc brwi. – To naprawdę dziwne. O tej porze zawsze jest w domu, wie pan.

Sklepikarz wiedział. Całe miasteczko znało Delię. Była punktualna jak szwajcarski zegarek.

Buck pojechał do domu i „znalazł” zmasakrowane zwłoki.

Zadzwoił na policję, z trudem powstrzymując szloch. W całym domu widać było ślady walki: przewrócony stolik, rozbity wazon, torebka na podłodze. Właściciel sklepu opowiedział, czego był świadkiem. Zresztą alibi Bucka było nie do podważenia. Twierdził, że poprzedniego wieczoru był na koncercie w Santa Barbara, a w kieszeni nadal miał przedarty bilet.

Buck to porządny chłopak, mówili w miasteczku, trochę stuknięty, ale bardzo kochał matkę. Nawet go nie podejrzewano.

Odziedziczył dom i konto w banku. Chociaż nie był milionerem, mógł wydać pieniądze tak, jak tylko zapragnął. Kupił trzyletniego porsche'a, rolex i trochę drogich ciuchów. Kiedy matka nie stała mu już na drodze, mógł, jak tego zawsze chciał, udawać bogacza.

Podczas jego pobytu w Hudson kapitał na koncie rósł, a odsetki Buck przeznaczał na pizzę i wódkę. Teraz wykorzysta je dużo lepiej.

38

Niech piekło pochłonie Delię. Dostała to, na co zasłużyła. Jej życie i śmierć spełniły swoje zadanie: uświadomiły mu jego potęgę. Później

zabijanie przychodziło mu z łatwością. Nie musiał zawracać sobie głowy żmudnym planowaniem, jak w jej wypadku. Przypadkowe zabójstwa w przypadkowych miejscach były praktycznie niemożliwe do wykrycia.

Popadł już w pewną rutynę, dopóki starucha go nie zamknęła. Teraz jego kolej dołączyć do najwyższych kręgów. Właściwie już mają w rękę. Tym razem postąpi jak z Delią, ułoży kunsztowny plan. I będzie się rozkoszował każdą chwilą.

Rozdźwięk

D

an zjechał z autostrady w stronę Olive Mili Road w Montecito.

Słuchał cichego pomruku silnika, czekając na wyrwę w zwartym strumieniu samochodów. Zerknął niespokojnie w boczne lusterko; ten żółty džip chyba zbliża się zbyt szybko? Nie mieściło mu się w głowie, że kierowca pozwala sobie na coś takiego, dopóki, przy przeraźliwym pisku opon, džip nie rąbnął w jego tył.

W bezsilnej złości walnął pięścią w kierownicę. Głupia baba już mu załatwiła wóz. Nie zauważyła znaku stopu, czy co? Nie widziała, jak ruch panuje na ulicy? Wyskoczył z samochodu jak z procy.

– Jest pani ślepa, czy co?! – wrzasnął. – A może po prostu pani odbiło, tak? Nie widziała pani, że stoję, czekam na przerwę w sznurze samochodów, żeby skręcić? Pani pewnie chciała jechać dalej prosto. Niech Bóg ma w opiece wszystkich innych kierowców na pani trasie!

– Nie widziałam pana! – rzuciła ze złością i wysiadła z džipa. – A swoją drogą mógłby pan się przynajmniej postarać zachowywać jak człowiek kulturalny.

– Kulturalny?! Kupiłem ten samochód przed pięcioma dniami, a pani chce, żebym się zachowywał jak człowiek kulturalny! – Pochmurnie spój rżał na wgnie-cony tył explorera, a potem na nią. Nawet wściekły zdołał zauważyć niewiarygodnie długie, opalone nogi w białych szortach. Wiatr rozwiewał niesforne rude włosy. Odgarnęła je niecierpliwie.

– To pani! – Nie ukrywał zdumienia.

Ellie również go rozpoznała. To niebieskooki przystojniak, który rano był w restauracji. Za żadne skarby świata nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego, u licha, uważała, że jest seksowny.

– A to pan – odparła lodowato. – Jeśli nie zacznie pan zachowywać się po ludzku, wezwę policję.

Uśmiechnął się lekko, jakby chciał zaimponować jej białymi zębami. Nie wiadomo dlaczego ten uśmieszek działał jej na nerwy.

- Paniusiu, policja to ja. - Zaraz sobie jednak przypomniał, że to już nieprawda. Na znak poddania podniósł ręce do góry. - Nie, nie, nie powiedziałem tego, proszę to wykreślić z protokołu. Do niedawna pracowałem w policji, ale już nie. Teraz jestem zwykłym obywatelem, który się wścieka, bo na jego nowiutkim samochodzie pojawiła się rysa. Naprawdę ma pani do mnie o to pretensje?

- Nie mogłabym. - Ellie westchnęła smutno. Odwróciła się i z wyrzutem kopnęła starego dzipa. - Ach, ty - mruknęła.

Dan uniósł dłoń do czoła. Aż trudno uwierzyć, że pierwszym słowem, które przyszło mu do głowy na jej widok, było „urocza”.

- Przepraszam - wydusiła z siebie. - Włosy zasłoniły mi oczy akurat na ten jeden ułamek sekundy. To bardzo niebezpieczne, wiem, zazwyczaj spinam je podczas jazdy. Moja wina. - Wyciągnęła z samochodu torebkę, podała mu wizytówkę. - Proszę, oto moje nazwisko, adres i numer polisy. To powinno wystarczyć.

Dan przeczytał imię i nazwisko: Ellie Parrish Duveen. Brzmiało znajomo. Patrzyła na niego z wyczekiwaniem, więc zapytał:

- Czy my się skądś nie znamy?

- Restauracja. Jajecznica i sok, bez kawy.

- Nie, nie, znam pani nazwisko. W dzieciństwie mieszkałem w okolicy. Czy nie była pani kiedyś na obozie surfingowym?

Przyglądała mu się podejrzliwie.

- Tak, dawno temu...

- Chyba uczyłem panią pływać na desce. Pamiętam, była pani śmiesznie wysoką dziewczynką z masą rudych włosów. Pamiętam, że już wtedy ciągle wpadały pani do oczu.

Ellie przyglądała mu się uważnie. No tak, jak mogła zapomnieć... stanowił obiekt marzeń wszystkich dziewczynek. Uśmiechnęła się szeroko.

- Nazywałyśmy pana Wesoly Danny. Chyba nawet się w panu kochałam... podobnie jak wszystkie moje koleżanki.

- Miałem wtedy osiemnaście lat, a pani... chyba z osiem, dziewięć. - Uśmiechnęli się do siebie. - Ależ ten czas leci - stwierdził w końcu. - Czemu Wesoly Danny? - Skrzywił się zabawnie.

- O ile pamiętam, w pana niebieskich irlandzkich oczach w tamtych czasach zawsze gościł uśmiech. - Ellie sprytnie zmieniła temat. - Co się wydarzyło od tamtego czasu, co sprawiło, że jest pan wściekły na cały świat?

Potrząsnął głową, rozbawiony jej kobiecymi sztuczkami.

- W oczach żadnego mężczyzny, Irlandczyka czy nie, nie może być

uśmiechu, kiedy jego nowiutki samochód został poważnie uszkodzony, bez względu na to, kto to zrobił, nie wyłączając kobiet i starych znajomych.

Parsknęła niskim, zmysłowym śmiechem, który ponownie przywiódł mu na myśl roztopioną czekoladę.

- Nie dał się pan nabrać, co? Chciałam spróbować, raz kozie śmierć. W telewizji to zawsze działa.

- Nie jesteśmy na ekranie, Ellie Parrish Duveen - mruknął, pośpiesznie pisząc swój nowy adres i nazwę towarzystwa ubezpieczeniowego. - Interesy to interesy.

41

- I pan mi to mówi! - Pokręciła głową. Gwizdnęła cicho, gdy przeczytała jego adres. - Winnica Running Horse - powtórzyła na głos ze zdumieniem. - Była na sprzedaż od lat. Trudno mi uwierzyć, że pan ją kupił...

- Owszem, a co? - Poważnie się obawiał, że sam zna odpowiedź na to pytanie.

Zawahała się, unikała jego wzroku. Najwyraźniej nie słyszał o klątwie.

- Och, tak tylko pytam. Podobno to piękna okolica. - Rozejrzała się po zatłoczonej jezdni. - Powinniśmy już jechać. Fajnie, że się spotkaliśmy, Danie Cassi-dy. Powodzenia z winnicą. Może niedługo kupię pańskie wino.

- Trzymam za słowo! - zawołał, gdy wracała do dżipa.

Obserwował ją w lusterku. „Uroczą” to niewłaściwe słowo. Gdyby nie to, że skasowała jego nowiutki samochód, nazwałby ją piękną. Z westchnieniem żalu przestał o niej myśleć. Jechał do domku przy plaży. Nie na długo wynajął go, najwyżej na miesiąc, dopóki nie doprowadzi swojego domu do stanu używalności.

Dopiero dużo później, gdy siedział na werandzie i wpatrywał się w ocean, przypomniał sobie, kim była - jedną z tych niewiarygodnie bogatych Parrishów z rezydencji na Hot Springs Road. Lottie Parrish należała do znanych osób z towarzystwa, była członkinią wszelkich możliwych komitetów, wydawała bale dobroczynne i przyjęcia w ogrodzie. Jak przez mgłę przypominał sobie opowieści o lokaju, pokojówkach w mundurkach i francuskim kucharzu.

Ciekawe, czemu Ellie jeździ takim wrakiem, skoro stać ją na najnowszy model mercedesa. Pewnie bawi ją udawanie zwykłej pracującej dziewczyny. Tylko że, poprawił się, przypomniawszy sobie jej opalowe oczy i zmysłowy głos, Ellie Parrish Duveen z całą pewnością nie jest zwykłą dziewczyną.

Następnego wieczoru znowu siedział na werandzie i wpatrywał się w ocean. Spędził długi, męczący dzień w winnicy, harował na każdym z piętnastu suchych jak pieprz hektarów swojej ziemi. Jak się dowiedział, poprzedni właściciel zatrudnił zarządcę, żeby doglądał posiadłości, ten jednak znikł bez śladu. Dan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ludzka stopa nie stanęła w winnicy od lat. Tego ranka przeglądał ogłoszenia w poszukiwaniu zarządcy i dogadał się z przedsiębiorcą budowlanym. Jutro postara się doprowadzić stajnie do stanu używalności.

Ze szklanką wina w dłoni smętnie wpatrywał się w opalizujące niebo. Ten widok przywiódł mu na myśl oczy Ellie Parrish Duveen.

- Och, chrzanić robotę - mruknął sam do siebie, wyciągnął jej wizytówkę z kieszeni i zadzwonił.

- Słucham? - Wydawała się rozkojarzona, jakby przytrzymywała słuchawkę ramieniem i zajmowała setką innych rzeczy.

- Chciałem panią tylko zawiadomić, że mój samochód nie ucierpiał tak bardzo, jak to początkowo wyglądało. Mój mechanik jutro się tym zajmie.

- To wspaniale, Wesoly Danny. - Wyraźnie słyszał radosne nuty w jej głosie.

- Zastanawiałem się...

42

Ellie zastygła w bezruchu. Trudno, klient poczeka na resztę.

Przycisnęła słuchawkę mocniej, żeby hałasy z restauracji przeszkadzały jej w jak najmniejszym stopniu.

- Nad czym, jeśli można wiedzieć? - Nie mogła opanować uśmiechu przy tych słowach.

Maya zatrzymała się w pół kroku. Talerze z sałatką nawet nie drgnęły w jej zręcznych dłoniach. Czyżby Ellie naprawdę poświęcała czas na rozmowę z mężczyzną, zamiast go, jak to miała w zwyczaju, od razu spławić?

Dan chrząknął.

- Na przykład, czy może mi pani wytłumaczyć, jak to się dzieje, że chociaż Montecito leży nad Pacyfikiem, słońce zachodzi za górami, a nie nad wodą?

- W tym punkcie wybrzeże leży na południu, a góry Santa Ynez ciągną się ze wschodu na zachód. Dla przybyszów jest to, i owszem, mylące, ale to wybryk natury. Poza tym, panie Cassidy, mnie pan nie nabierze. Wiedział pan o tym doskonale. Swoją drogą, co pan robi na plaży, obserwując zachody słońca? Przecież mieszka pan w winnicy Running Horse?

W tym momencie nie mógł opanować żalostnego westchnienia.
-Niestety, nieco potrwa, zanim dom zasłuży na miano mieszkalnego dla stworzeń innych niż szczury, nietoperze i Bóg wie co jeszcze. Ludzie mają nieco wyższe oczekiwania, jeśli chodzi o czystość i wygody. Dlatego siedzę teraz w Pada-ro Lane, w wynajętym domku, sam jak palec...

- I smutny – dokończyła za niego, posyłając Mai, która nadal podsłuchiwała, mordercze spojrzenie.

Maya, zaintrygowana, przewróciła piwnymi oczami i oddaliła się z sałatkami. Ellie naprawdę flirtuje!

- Strzał w dziesiątkę, panno Parrish Duveen. Co mi przypomniało, nad czym jeszcze się zastanawiałem. Zdaję sobie sprawę, że jest pani kobietą bardzo zapracowaną...

- Podobnie jak pan wkrótce będzie bardzo zapracowanym mężczyzną... – wtrąciła, mocniej przyciskając słuchawkę do ucha. Nadal się uśmiechała.

- Fakt. Ale chyba czasami ma pani wolny wieczór? Pomyślałem sobie, że byłaby to doskonała okazja, by się przekonać, jak sobie radzi konkurencja. Powiedzmy, kolacja w „Chinois”?

Rozbawił ją ten pomysł.

- Panie Wesoly Danny, nie jestem dla nich żadną konkurencją. Mam tylko jedną z niezliczonych ulicznych kafejek w tym mieście. Oni grają w pierwszej lidze.

A później powiedziała mu to, co ostatnio słyszeli od niej wszyscy mężczyźni.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale jestem teraz bardzo zajęta. Może innym razem...

Urwała. Dan pospieszył z odpowiedzią:

- W porządku, rozumiem, praca przede wszystkim.

- W każdym razie, dzięki – dodała z cieniem żalu, ale widziała już, że klienci się niecierpliwią. – Muszę kończyć.

43

- Dobrze. W każdym razie cieszę się, że panią poznałem. Znowu.

- Cześć - rzuciła sucho i odłożyła słuchawkę.

Maya splotła ręce na piersiach i wysunęła podbródek do przodu. Nigdy nie spuszczała przyjaciółki z oka, ale nawet ona nie była w stanie pojąć dziwacznej etyki zawodowej, jaką Ellie się kierowała, i namówić ją na choćby ubogie życie towarzyskie. Nic dziwnego więc, że tak się ucieszyła, słysząc, jak Ellie miło rozmawia z mężczyzną

- Spławiłaś go, czy może coś umknęło mojej uwagi? Bo chciał się z

tobą umówić, prawda?

Ellie skinęła głową.

- Chciał.

-1...? - Maya uciszyła ją ruchem dłoni; i tak знаła odpowiedź na to pytanie. - Nie, lepiej nic nie mów. Powiedziałaś mu, że nie masz czasu. Na Boga, dziewczyno, ile to ma jeszcze trwać? Nie mam nic przeciwko celibatowi, to twój wybór, ale na miłość boską, mogłabyś z nim chociaż pogadać! To twoje życie, Ellie. Nie możesz się ograniczać do tego! - Zatoczyła łuk ramieniem i przy okazji przewróciła butelkę wiana. - No, ładnie. Zobacz, co zrobiłam. To wszystko przez ciebie!

Ellie uśmiechnęła się pod nosem. Nieraz już miała okazję się przekonać o wybuchowym temperamencie przyjaciółki.

- Powiedziałam tylko, że teraz jestem zajęta - wyjaśniła spokojnie. - A ty, gdybyś poświęcała tyle uwagi klientom, ile moim rozmowom telefonicznym, zorientowałabyś się, że stół trzeci czeka na karty dań.

Maya łypnęła na nią spode łba i oddaliła się kołysząc biodrami.

- Kuskus z baraniną się skończył - poinformowała lodowatym tonem. Wyładuje gniew na gościach. Trzej mężczyźni patrzyli na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem, co nieco poprawiło jej humor. - Ale paprykowe ahi Chana jest wręcz boskie - dodała słodko. - Polecam je panom osobiście.

Szkoda, że Ellie nie da się równie łatwo polecić faceta i wieczoru z dała od restauracji.

Rozdział 2

M

aya Morris zaprzyjaźniła się z Ellie w college'u. Przyjechała do Phoenix ze Wschodniego Wybrzeża, klasyczna młoda żydowska dziewczyna z Manhattanu - jasnowłosa, piękna, przemądrzała, szybka w słowach. A Ellie zjawiała się z Zachodniego Wybrzeża, długonoga, rudowłosa, dobrze wychowana, naiwna, niezdarza, z błyskiem zachwytu nad dopiero co zdobytą wolnością w oczach. To połączenie aż się prosiło o kłopoty, nawet dla takiej ekspertki w tej dziedzinie, jaką była Maya. Polubiły się od pierwszej chwili.

Odkryły w sobie pokrewne dusze.

Po kilku tygodniach wynajęły sobie mały domek poza kampusem i zaczęły, jak to określała Maya, „robić imprezy”, a według Ellie „wydawać skromne przyjęcia”. Nieważne, jakim mianem to określić: wszystko sprowadzało się do tego, że goście zjawiali się z butelką i czymś do jedzenia. Ci, którzy umieli, grali na gitarach i

wszystkim, cokolwiek jeszcze przynieśli, a zagłuszała ich muzyka z magnetofonu. Po miesiącu właściciel wyrzucił obie dziewczyny na bruk.

Nie zrażone tym niepowodzeniem, znalazły sobie inne lokum, gdzie zachowanie ciszy nie miało takiego znaczenia, bo sąsiedowali z nimi studenci. Właśnie wtedy upojenie wolnością ogarnęło Ellie do tego stopnia, że przehandlowała swojego pathfindera na harleya, wielki, lśniący chromem i czerwienią motocykl.

Maya leniwie kołysała się na huśtawce na werandzie, kiedy Ellie zahamowała przed domem z fasonem, z piskiem opon.

– Co ty na to? – wrzasnęła, usiłując przekrzyczeć piekielny ryk silnika. – Ekstra, nie?

Maya przestała się huśtać. Po ostatniej nocy miała straszego kaca, ale nigdy nie traciła fasonu.

– Do czegoś takiego musimy mieć specjalne ciuchy.

– Prawda.

Niewiarygodne, jak dobrze znały swój e myśli. Co j edna zaczęła, druga kończyła, bez zbędnych pytań i wyjaśnień. Maya wdrapała się na tylne siedzenie i pognały

45

do miasta. Wystarczyła godzina, by się przeobraziły w dziewczyny harleyowców, w czarnych skórzanych spodniach, kurtkach z frędzlami, czarnych butach i groźnie wyglądających czarno-srebrnych hełmach.

– Super – skomentowała Maya.

I tak zaczęła się ich legenda jako „szalonych harleyówek”, znanych z szybkiej jazdy, świetnych imprez i ogólnej beztroski.

Zachowywały się jak dzieciaki, które po raz pierwszy zasmakowały wolności, były całkowicie nieodpowiedzialne. Dzięki wrodzonej inteligencji radziły sobie na zajęciach, jednak pewnego dnia dziekan nie wytrzymał i zagroził, że je wyrzuci. Do Arizony przyjechali Miss Lottie i pan Morris, oboje wściekli jak nigdy.

Zobaczyli je, jak pędzą ulicą włosami rozwianymi przez wiatr, śpiewająca całe gardło i zatrzymują się z przeraźliwym piskiem opon po tym, jak Ellie wykreciła, niemal kładąc motor na bok.

– Ho, ho, ho! – huknęła rozbawiona Maya. – Nieźle, co?

– Nieźle, nieźle – powtórzył oschle jej ojciec z werandy.

Maya i Ellie spojrzały sobie w oczy, odwróciły się jednocześnie i zobaczyły na werandzie Miss Lottie, surową i poważną w beżowym kostiumie, i Michaela Morrisa o stalowych oczach, obcego i groźnego w garniturze w prążki. Na zniszczonej werandzie byli

równie nie na miejscu jak harleyowiec na bankiecie.

- Cholera - szepnęła Maya.

- Wpadłyśmy po uszy -jęknęła Ellie. - Przychodzi ci coś do głowy? -Nic. A tobie?

Ellie głęboko zaczerpnęła tchu.

- Spróbuję.

Z promiennym uśmiechem wbiegła na trzeszczące stopnie.

- Witaj, Miss Lottie! Co za niespodzianka! - Zatrzymała się niepewnie. Nigdy dotąd nie widziała na twarzy babki takiej miny: gniewu, rozczarowania i przykrości. I nigdy, nigdy dotąd babka nie witała jej tak chłodno, bez uścisku, bez całusa. Ellie objęła ją mimo wszystko, a Maya przyglądał się całej scenie i podziwiała jej zimną krew.

- O kurczę - mruknęła. - Ale się narobiło.

- Zabieram cię do domu, Ellie - oznajmiła Miss Lottie lodowato. - Pan Morris się że mną zgadza: Nie ma sensu, żebyście dłużej zostawały w college'u, skoro nie chcecie się uczyć. Oczywiście dziekan jest tego samego zdania.

- Ale babciu...

- Gdzie twoje maniery? Przywitaj się z panem Morrisem. Ellie posłusznie podała mu rękę.

- Możemy was tylko przeprosić - szepnęła. - Maya i ja.

- No - bąknęła przyjaciółka za jej plecami. - Cześć, tato. Dzień dobry, Miss Lottie. - Liczyła na cud.

- Babciu? - Ellie miała łzy w oczach. Nieśmiało dotknęła jej ramienia. - Nie wiedziałam... Nie chciałam sprawić ci przykrości, naprawdę...

Maya widziała, że przyjaciółka mówi szczerze, i nagle sama poczuła wilgoć na policzkach.

46

- Do licha, tato! - rzuciła mu się na szyję. - Chciałyśmy się dobrze bawić. Pogłaskał swoją piękną córkę po głowie.

- Wiem, skarbie. Ale jakimś cudem zapomniałyście o nauce.

We czwórkę poszli na obiad i Miss Lottie oraz pan Morris zgodzili się na trzymiesięczny okres próbny. Warunkiem zostania dziewcząt na uczelni miały być dobre stopnie. Najgorsze minęło. Od tego czasu pilnie uczęszczały na zajęcia, nocami przesiadywały w bibliotece i dostawały te obiecane dobre stopnie. A potem, jako że wszystko robiły razem, razem się zakochały.

Wybrankiem Mai był profesor z Anglii, z fajką, w tweedach,

brytyjski do szpiku kości. Ellie natomiast upatrzyła sobie Włocha, młodego, seksownego, zbudowanego jak Dawid Michała Anioła. Romanse trwały ponad rok i skończyły się, gdy obiekty ich uczuć wróciły do Europy, do macierzystych krajów i, co przyprawiło obie dziewczyny o gorzkie łzy, do żon.

- Tyle, jeśli chodzi o mężczyzn - podsumowała z goryczą Maya. Ellie pierwsza wzięła się w garść.

- Spójrz na to z innej strony - poradziła przyjaciółce. - Znowu jesteśmy wolne. Byłaś kiedyś w San Francisco?

I, wolne jak ptaki, popędziły przez pustynię Arizony do Kalifornii, ma się rozumieć na swoim czerwonym harleyu.

Od tamtego czasu obie angażowały się w różne związki, ale tylko raz było to coś poważnego. Ellie poznała Steve'a Cohena na przyjęciu u znajomych Mai. Był wysoki, szczupły, przystojny urodą drapieznika. I był intelektualistą. I zwałił ją z nóg, mimo że miała tak duże stopy. Przeszła błyskawiczną metamorfozę: od obcisłych, seksownych ubrań do czarnych golfów i długich czarnych spódnic. Splatała włosy w ciasny, surowy warkocz i zawsze nosiła martensy. Maya wiedziała, że przyjaciółka rzuca się w każdą przygodę na łeb, na szyję, nigdy nie angażuje się połowicznie, ale wiedziała również, że Steve Cohen nie jest jej wart. Milczała jednak i spotykała się z tłumami ubranych na czarno intelektualistów, o ile nie uczęszczała na zajęcia z pisania, a Ellie nie uczyła się gotować.

Ellie zawsze powtarzała, że nie wyszła za Steve'a przez nowojorskie zimy. Albo przez to, że nie miał czasu na takie drobiazgi, pochłonięty karierą marszanda. Teraz on przeszedł błyskawiczną metamorfozę: zamienił sztruksy i skórzane kurtki na garnitury od Hugo Bossa i Calvina Kleina. W każdym razie rozdzieliły ich mroźne zimy i jego nowy styl życia. Ellie cierpiała, ale jak zwykle, przyjęła cios z podniesioną głową. Golfy i martensy poszły w zapomnienie. Ze złamanym sercem pojechała do Paryża uczyć się gotować.

Po powrocie zamieszkała, jakżeby inaczej, w Kalifornii. Maya wkrótce do niej dołączyła.

- Dlaczego miałabym marznąć i moknąć, skoro tu cały czas świeci słońce? - zapytała retorycznie przez telefon. Następnego dnia już siedziała w samolocie. Zamieszkały razem w Venice Beach, szukały pracy, obserwowały mężczyzn i myślały, co zrobić ze swoim życiem.

Maya nie była do końca przekonana, czy już znalazła odpowiedź, za to Ellie -owszem. Czy dlatego że nagle brakowało pieniędzy, czy z

innych powodów, nagle

47

stała się bardzo odpowiedzialna. Ze swoim pochodzeniem, umysłem i wyglądem mogłaby przebierać w ofertach pracy, ale chciała czegoś innego – własnej restauracji.

Przez długi, ciężki rok harowała ponad siły, żeby jej marzenie się spełniło. I oto miała, czego chciała. Teraz pracowała jeszcze więcej. I tu, pomyślała Maya, jest pies pogrzebany.

Po zamknięciu restauracji została dłużej, żeby pomóc Ellie sprzątać.

– Posłuchaj mojej rady – zaczęła, gdy skończyły. Usadowały się przy ladzie, jadły bagietki z serem i popijały białym winem. – Zadzwoń do niego. Powiedz, że jednak chcesz zjeść z nim kolację. – Ugryzła olbrzymi kęs. – Mówię ci, to łatwe. I sprawi ci to taką przyjemność, jak mi jedzenie tej kanapki.

– No co ty! – Ellie była zbyt zmęczona, by choćby myśleć o Danie Cassidym. Bez apetytu żuła kawałek sera. – Mam za dużo na głowie.

Maya wzruszyła ramionami.

– Dobra, dobra, ale próbowałam. I nie przestanę, dopóki nie przejrysz na oczy. Opanuj się, kobieto... Póki pamiętasz, że jesteś kobietą. Nie możesz tylko pracować. Lece, umówiłam się z Gregiem o... już! – Porwała torebkę i rzuciła się do drzwi.

– Co za Greg? – zawołała za nią zaintrygowana Ellie. Maya zamarła z dłonią na klamce.

– Pisarz. Udziela mi rad na temat budowy... Nie wiem tylko, jego czy mojej. A tak w ogóle jest bardzo miły i ma wielu miłych kolegów. Może chciałabyś któregoś poznać? – zapytała z nadzieją. – Dobranoc, Mayu. – Ellie wypchnęła ją za drzwi. – Baw się dobrze.

Z uśmiechem zaniosiła naczynia do kuchni. Ma jeszcze dużo roboty i nie wyjdzie stąd, dopóki nie skończy.

Było późno. Dan doszedł do wniosku, że domek nad morzem jest bardzo pusty, jeśli nie ma nikogo, z kim można by podziwiać zachód słońca. Nikogo, kto doceniłby słone powietrze wolne od wielkomiejskich spalin, kto razem z nim podziwiałby romantycznie okrągły księżyc na bezchmurnym niebie i srebrną drogę na wodzie. Dotychczas księżyc i cisza niewiele znaczyły w jego życiu. Był niespokojny, brakowało mu pracy, miasta, zgiełku.

Powziął decyzję. Jutro z samego rana pojedzie do schroniska i wybierze sobie psa.

Rozdział 13

E

Ellie wróciła do domu dopiero przed pierwszą w nocy. Ledwo się trzymała na nogach ze zmęczenia. Mięśnie karku zeszywniały jej na kamień.

Zrzuciła z ulgą buty i tęsknie pomyślała o zaproszeniu Dana. Kolacja w restauracji? Śmieszne. To ona organizuje i wydaje kolacje, natomiast sama jada na zapleczu, nie w ekskluzywnych lokalach.

Zresztą bałaby się zaangażować emocjonalnie. Zbyt wiele by ryzykowała. Wszystko, co miała i co zdołała pożyczyć, zainwestowała w restauracji – „U El-lie” to jej życie, jej przyszłość. Uparła się, że udowodni, na co ją stać, choć do tej pory nie wiedziała, kogo chce o tym przekonać. Nade wszystko zaś musi zarobić dużo pieniędzy, żeby opiekować się babcią.

Mały domek był przytulny i ciepły. W niewielkim saloniku, po lewej stronie od drzwi wejściowych, stało kilka antyków z Journey's End, co nadawało mu specyficzny charakter. Na sosnowym gzymsie nad kominkiem błyszczały dwa srebrne świeczniki, między nimi – kolekcja oprawionych fotografii. Przedstawiały Miss Lottie, Marię i, oczywiście, Bruna. Nad kominkiem wisiało ładne lustro z weneckiego szkła. Przeciwległą ścianę zajmował antyczny kredens. Na blacie pysznił się bukiet czerwonych tulipanów w fajansowym wazonie. Szklany blat małego stolika był niemal niewidoczny spod sterty książek. Na bocznym stoliku stała lampa z bursztynowym abażurem. Ściany ozdabiała pół tuzina starych obrazów. Wystroju dopełniała stara sofa pokryta kremowym lnem i nieduże fotele. Mały pokój był tak pełen mebli, że nie wcisnęłoby się tu nawet igły. Po przeciwnej stronie znajdowała się jadalnia. Ellie pomalowała ściany na zgniózielony odcień. Teraz znaczyły je białe żyłki – pamiątki po trzęsieniu ziemi. Centralne miejsce zajmował okrągły stół z marmurowym blatem i stare plecione krzesła. W rogu przycupnął sztuczny fikus w glinianej donicy, a na ścianach było jeszcze więcej obrazów niż w saloniku.

Łukowate przejście prowadziło do kuchni wyłożonej białymi kafkami, nieskazitelnie czystej, bo Ellie na dobrą sprawę używała jej jedynie do parzenia kawy.

4-Wcześniej...

49

Po stromych schodach szło się do sypialni i łazienki. Podobnie jak inne pokoje, pomieszczenia były małe, ale przytulne. Łoże z

baldachimem należało do jej rodziców. Wtedy okrywały je indyjskie tkaniny haftowane złotem i purpurą, teraz – bardziej niewinne biele i beże. Na podłodze leżało tyle perskich dywaników, że tworzyły jedyną w swoim rodzaju mozaikę kolorów i wzorów. Nocne stoliki miały blaty z włoskiego marmuru, boczne lampki – abażury koloru starego złota.

Na starej sosnowej toaletce przechowywała swoje kosmetyki i ulubione perfumy – L'eau d'Issey. Stała tam również fotografia rodziców. Ukochany szlafrok, który kupiła mając siedemnaście lat i z którym do dzisiaj nie mogła się rozstać, leżał niedbale rzucony na poręcz sofy przy oknie.

Wszystko zdawało się na nią czekać.

Wzięła prysznic, włożyła powyciąganą koszulkę z napisem „L.A. Lakers”, białe skarpetki i usiadła przed lustrem, żeby zmyć makijaż, wklepać krem i sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś zmarszczki. Następnie rozczesła włosy, jak zwykle zła, że się kręcą, i po raz setny próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby z prostymi. Podeszła do okna. Nad skrawkiem oceanu, który widziała, unosił się księżyc. Nagle oczami wyobraźni zobaczyła randkę z Danem Cassidym. Eleganckie ubranie, dobra restauracja, wino. Nie, coś tu nie pasuje, ale to na tyle miły obraz, że można z nim zasnąć, stwierdziła wsuwając się pod kołdrę.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie silny zarys szczęki Dana, głęboki błękit oczu, to, jak łatwo odzwierciedlały jego uczucia, od złości po rozbawienie, kiedy ją poznał. Ziewnęła. Pewnie nadal widzi w niej piegowatego dzieciaka, którego przed laty uczył surfingu. Zasypiała pogrążona myślami w tamtych czasach, gdy życie było proste, Miss Lottie była sobą, a słońce zdawało się zawsze świecić w zenicie.

Następnego ranka wciąż miała przed oczami widok: roześmiane dzieci bawią się na plaży, a wysoki, przystojny Wesoły Danny, miłość całego obozu, wyławiają e z oceanu, jeśli spadną z deski. Przez całe popołudnie wizje te ją prześladowały. W końcu, przed wieczorem, powiedziała sobie „niech się dzieje co chce” i podniosła słuchawkę.

– Cześć – zaczęła. – Tu dziewczyna z plaży, która ci skasowała samochód. Brwi Dana uniosły się w zdumieniu, podobnie jak kąciki ust – w uśmiechu.

– To znowu ty – stwierdził i zepchnął kundla z krzesła po raz dziesiąty. Kundel zaś po raz dziesiąty wdrapał się z powrotem. Dan nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Kundel miał charakterek.

Miał również baryłkowate ciało, długie chude nogi, wyleniały ogon. Wyglądał jak nadgryziona przez mole futrzana poduszka, ale za to z pyska do złudzenia przypominał psa z filmu „Babę – świnka z klasą”. Kundel najwyraźniej uśmiechał się złośliwie, nagle szczeknął przekornie, machnął ogonem i zwałił wszystko ze stolika na ziemię. Ellie odsunęła słuchawkę od ucha, zanim zapytała zdumiona:

- Czy to pies?

Usłyszała kolejne szczeknięcie i odpowiedź Dana:

- Poznaj mojego nowego przyjaciela, Pancho. Nie miałem ochoty podziwiać następnego zachodu słońca w samotności.

- Aż tak źle? – uśmiechnęła się.

- Aż tak źle – powtórzył tonem pełnym nadziei.

50

- Pomyślałam sobie, że bistro jest zamknięte w poniedziałki.

Zazwyczaj tego dnia odwiedzam babcię. Może zjemy razem kolację? Nic specjalnego, może steki na plaży?

Dan parsknął śmiechem.

- Dziewczyno, rozmawiasz z mieszczuchem. Na Times Square nie mamy grilla. Nie jestem pewien, czy poradziłbym sobie z obsługą takiego sprzętu.

- Więc cię nauczę, Wesoly Danny. Masz mieszkać w Kalifornii i nie umieć rzucić steku na grill? Niedopuszczalne. Nie martw się, przywiozę jedzenie, ty załatw wino.

- Przynajmniej na tym się znam.

- Mam nadzieję. A więc w poniedziałek, koło siódmej? Podał jej adres. Na zakończenie dodał całkiem poważnie:

- Bardzo się cieszę, Ellie.

- Ja też. - Celowo zachowała obojętny ton. - Do jutra, Wesoly Danny. Począł, aż przerwie połączenie, i nalał sobie chardonnay.

Oparty o poręcz

długo obserwował, jak woda mieni się różnymi kolorami, wreszcie ocean i niebo zlały się w jedno. Pewnego dnia wino z jego winnicy będzie równie dobre jak to, które pije. Najważniejsze to kupić grill. Jednak życie wcale nie jest takie złe.

- Naprawdę to zrobiłaś! - Maya, która znowu podsłuchiwała, złapała Ellie za łokieć. - Pożyczę ci mój nowy pulowerek Versacego.

Jasnoczerwony i obcisły jak druga skóra. Przy twoich włosach będzie wyglądał wspaniale.

- Czyś ty zwariowała, kupujesz w sklepie Versacego? Przecież cię na to nie stać.

- Dziewczyno, zapomniałaś, że jest sezon wyprzedaży? Chcesz? Jest

twój.

- Słuchaj, jadę na steki, on je upiecze. Modele Versacego nie bardzo do tego pasują. Ale i tak wielkie dzięki, wiem, że twoje intencje były do cna nieczyste.

- Po prostu chcę, żebyś się trochę zabawiła. - Maya nie ukrywała rozczarowania. Ellie wiedziała, że przyjaciółka nie udaje.

Podniecenie uderzyło jej do głowy jak szampan. Od ponad roku zajmowała się wyłącznie restauracją. Wieczór poza bistro, bez pracy, sprawiał, że czuła się jak w dzieciństwie, w sobotnie poranki, kiedy w perspektywie nie było szkoły, tylko drugi, leniwy weekend. Domek na plaży, grill i Dan Cassidy jawili się jej doskonałym antidotum na stres. Chociaż, oczywiście, przy jej napiętym rozkładzie dnia i planach na przyszłość żaden romans nie wchodzi w grę. Markotna poszła do kuchni, żeby się przekonać, czemu tak wolno pracują. Gdyby nie ona, wszystko by się zawaliło w jeden wieczór.

Dużo, dużo później, kiedy Maya poszła już do domu, Ellie nakrywała do śniadania na jutrzejszy ranek. Rozkoszowała się ciszą i spokojem. Na Main Street było coraz mniej samochodów, a nieliczni przechodnie nawet nie zwracali uwagi na ciemne okna restauracji.

Nalała sobie kawy i usiadła przy oknie, wpatrzona w spokojną noc. Mgła otulała miasto, gasiła światła latarni, tłumiała odgłosy miasta, gęsta i cicha jak dym. Po głośnym, stresującym dniu przynosiła ulgę.

51

Ellie przypomniała sobie poprzednią rozmowę z Danem. Ciekawe, czy już słyszał o kłątwie ciąży na winnicy. Wolałaby nie być osobą, która pierwsza go o tym poinformuje, ale od lat nie wyprodukowano tam butelki wina. Ze względu na Dana miała nadzieję, że to tylko plotki.

Pijąc gorącą kawę drobnymi łyčzkami, pomyślała z żalem o matce; czy zaaprobowałaby Dana? To głupota, skarciła się, nadal tęsknić za matką. Za matką, którą mogłaby zapytać: „Czy postępuję słusznie, czy powinnam wiązać wszystkie nadzieje z kawiarnią?” albo: „Co sądzisz o tym facecie?” Cóż, ma dwadzieścia dziewięć lat, jest niezależna i o wiele rozsądniejsza niż Romany.

Dopóki nie poszła do szkoły, nie zdawała sobie sprawy, że jest bogata. Dom

0 czterdziestu pokojach, lokaj, kucharz, pokojówki, ogrodnicy i szofer wydawały jej się najzwyczajsi pod słońcem. Nie znała przecież innego życia. Zresztą i Maria,

1 Gustave, lokaj, i pozostały personel to byli jej przyjaciele, substytut rodziny; rodziców, których utraciła, kuzynów, ciotek i wujów, których nigdy nie miała. W jej życiu była tylko jedna bolesna rana. Matka i ojciec. Romany i Rory.

Jeszcze długo po wypadku zamykała oczy i ich widziała: roześmiane twarze, pogodny śmiech matki i cichy pieśczośliwy głos. Ojciec, usypiał ją, ciepłym tenorem śpiewając neapolitańskie pieśni. Z czasem wizerunki blakły i zostały tylko zdjęcia. Ślęczała nad nimi godzinami, przypominała sobie uśmiech matki, odcień rudej czupryny ojca, świadoma, że ich traci. Cierpiała ponownie, bo z całego serca pragnęła zatrzymać ich przy sobie, na zawsze.

Nawet teraz, jako dorosła kobieta, tęskniła za nimi. Czasami zastanawiała się, jak inaczej potoczyłoby się jej życie, gdyby żyli. Była to wielka niewiadoma. Westchnęła smutno. Jej życie nie było nieudane, skądże znowu. Miss Lottie okazała się wspaniałą towarzyszką. Była babką, matką, ojcem, przyjaciółką i popieczniczką. Przychodziła na wywiadówki, dopingowała ją z trybun, wysyłała na obozy i sumiennie pisała każdego dnia. Wtedy, w college'u, gdy zachowywała się jak idiotka, Miss Lottie pomogła jej przejrzeć na oczy. Nie, babcia opanowała wszystkie sztuczki wychowawcze. Nikt nie zrobiłby tego lepiej niż ona.

A jednak gdzieś w głębi serca Ellie tęskniła za bliskością, którą pamiętała z zajazdu w górach, i później, w drodze do domu. Tylko oni troje.

Do dziś dręczyło ją wspomnienie tamtego dnia. Pamiętała wszystkie szczegóły: Białe kowbojki z jaszczurczej skóry na nogach matki, ostatni uśmiech ojca, to, że puścił do niej oko. Przynajmniej wmawiała sobie, że wszystko pamięta, lecz w snach często miała przecucie, że jest inaczej. Zapomniała o czymś istotnym, co czaiło się w ciemności, na skraju świadomości. Coś, czego nigdy nie uchwyci, bo ilekroć zdawało się jej, że wie, widziała siebie, jak zapłakana siedzi na skraju szosy. Sama, z buzią zalaną krwią z rany na czole. Pamiętała panującą dokoła ciszę, ciszę śmierci.

Wzdrygnęła się. Szybko dopiła kawę i zaniósła kubek do kuchni. Upewniła się, że alarm jest włączony, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Staroświecki dzwoneczek zadzwonił srebrzyście, gdy biegiem puściła się do wielopiętrowego parkingu, do dżipa i do domu. Tej nocy nie spała dobrze.

Rozdział 4

B

uck Duveen uznał, że Los Angeles jest boskie, i nie miał tu na myśli

jedynie pogody. Od swego stolika obserwował tłum na Sunset Plaža. Wiele się zmieniło podczas dwóch dziesiątków lat, które spędził w zamknięciu. Nie chciało mu się wierzyć, że takie kobiety istnieją naprawdę, a nie jedynie na kartach magazynów: wysokie blondynki o długich włosach i umięśnionych ciałach; kuszące brunetki o śmiałym spojrzeniu, smukłych nogach i króciutkich spódniczkach, krótko ostrzyżone rudzielce w butach za kostkę i obcisłych koronkowych bluzeczkach. Nie kończąca się parada hollywoodzkich piękności zapierała dech w piersi.

Co jakiś czas dziewczyny posyłały mu przelotny uśmiech.

Odpowiadał tym samym. Nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że ostatnie dwadzieścia lat spędził w zamknięciu. Teraz pasował do świata bogaczy, wyglądał, jakby był jednym z nich.

Przyczyniły się do tego nie tylko drogie beżowe spodnie, lniana koszula, zamszowe mokasyny od Gucciego czy wynajęty kabriolet na parkingu. Rude dawniej włosy przybrały teraz ciemnokasztanowy odcień – stało się to w eleganckim salonie fryzjerskim przecnicę dalej. Świeżo zapuszczone ciemne wąsy pasowały do szczupłej twarzy. Okulary słoneczne skrywały gorące spojrzenie. Wyglądał jak zupełnie inny człowiek. Bogaty, znudzony, przystojny. Wyglądał jak Kalifornijczyk, który ma wszystko.

Dopił mrożoną kawę, zapłacił, wsunął do ust miętusa i wyszedł na ulicę, uśmiechając się do każdej dziewczyny, która na niego spojrzała. Znowu przepełniało go poczucie siły, wewnętrzny głos powtarzał mu, że może spełnić każde swoje marzenie, zdobyć każdą kobietę, nawet tamtą dziewczynę, która na niego patrzy. Odwrócił się na pięcie. Teraz ma ważniejsze sprawy na głowie.

Miał instynkt człowieka ulicy. Wiedział, gdzie znajdzie to, czego szuka. Przejechał kilka przecnic i wysiadł z samochodu. Nie czekał długo.

53

- Koka, proszę pana? - zaproponował głos z ciemnej bramy.

Buck rozejrzał się uważnie. W pobliżu prawie nikogo nie było.

Odwrócił się w stronę handlarza. Był to potężny, groźnie wyglądający Murzyn, lecz Bucka przepełniał o poczucie mocy i nie bał się nikogo ani niczego. W kieszeni miał nóż i nie zawaha się przed jego użyciem.

- A gdybym ci powiedział, że jestem gliną? - Uśmiechnął się, gdy twarz dealera wykrzywił strach. Przycisnął mu ostrze do brzucha. Facet wstrzymał oddech.

- Ja... nie miałem nic złego na myśli, panie władzo... To nic

takiego... Ja... Lepiej już pójdę... - Mając za plecami ścianę, przesuwał się na bok. Buck parsknął śmiechem.

W pewnej chwili handlarz sięgnął po broń. Z szybkością i siłą psychopaty, który o mały włos nie udusił strażnika gołymi rękami, Buck wbił mu nóż w dłoń.

Murzyn nawet nie jęknął. Po prostu stał i nic nie rozumiejącym wzrokiem wpatrywał się w zakrwawioną dłoń i pistolet, który leżał na ziemi, wśród papierów i odpadków. Z drzeniem czekał na śmiertelny cios.

- Nie jesteś glina- sapnął. - Czego chcesz? Słuchaj, oddam ci cały towar... Weź to sobie, człowieku... tylko pozwól mi odejść.

Nagle błagał, żebrał o życie. Buckowi bardzo się to spodobało.

Najchętniej przeciągałby tę zabawę dłużej, ale interesy go wzywały.

- Odpowiesz na moje pytania. Wtedy się zastanowię.

Przytknął ostrze do jego żeber, tylko troszeczkę, żeby mu przypomnieć, kto tu rządzi, i ranny osunął się niżej. Krew z dłoni kapłała na stopnie.

- Jasne, cokolwiek cię interesuje...

- Prawo jazdy, legitymacja ubezpieczeniowa...

- Alvarado Street.... Tam kupisz wszystko. Za dwadzieścia, może pięćdziesiąt dolców. Wszystko, co zechcesz... fałszywe prawa jazdy, zielone karty... heroinę...

Buck pchnął nożem, leciutko, i na koszuli wykwitła czerwona plama. Przez moment miał ochotę dokończyć robotę, ale zabijanie mężczyzn nie odpowiadało mu zbyt. Zresztą był w dobrym humorze i całkowicie już wszedł w rolę bogatego Kalifornijczyka.

- Dzięki - rzucił, ciągle uśmiechnięty. - Za wszystko. - Schował pistolet, który traktował jako dodatkową korzyść ze spotkania, odszedł pewnym krokiem. - Masz szczęście, że jestem dżentelmenem! - krzyknął przez ramię.

Handlarz osunął się na kolana. Krwawił. Palce jego prawej dłoni zwisały bezwładnie, jak parówki.

- Pieprzony świr - mruknął, z trudem dźwigając się na nogi.

Odchodził jak mógł najszybciej, byle dalej. - Do czego to dochodzi na tym pieprzonym świecie...

Ah/arado Street tętniła życiem. Buck nie musiał nawet szukać sprzedawców, oni znaleźli jego. Otoczyli samochód na światłach, przyciskali towar do szyb, żeby zobaczyć. Przezroczyste paczuski z białym proszkiem i tabletkami, fałszywe karty stałego pobytu, paszporty, prawa jazdy.

Nie minęło kilka godzin, a stał się Edwardem Jensenem. Miał legitymację ubezpieczeniową, prawo jazdy i dokumenty samochodu, skradzionego BMW z przebitymi numerami.

Zostawił wynajęty samochód w pustej uliczce; później zgłosił jego kradzież. Swym nowym wozem pojechał do Oddziału First National Bank w Santa Monica i otworzył konto, wpłacając tysiąc dolarów gotówką. Załatwił przelew reszty pieniędzy z banku przy Madison Avenue. Następnie zameldował się w luksusowym hotelu Shutters, przy samej plaży.

Po prysznicu, gdy cesał włosy, uważnie studiował swój wizerunek w lustrze. Miał na sobie garnitur z lekkiej wełny, śnieżnobiałą koszulę i krawat od Hermesa. Wyglądał jak nowy człowiek. Makler giełdowy albo bankowiec. Bogaty, konserwatywny, przystojny, człowiek sukcesu. Chwilowo Patrick Buckland Duveen przestał istnieć. Narodził się Ed Jensen.

Poprosił, żeby zarezerwowano mu stolik w „Ivy at the Shore” w Santa Monica. Zjadł tam świetną kolację zakrapianą dobrym winem. Był uprzejmy dla kelnerki, jego stolik stanowił doskonały punkt obserwacyjny, placki krabowe i zupa rybna rozplływały się w ustach. W myślach pogratulował sobie wspaniałego dnia. Spał doskonale. Równie dobrze jak następnego ranka nie czuł się od lat. Przepłynął kilkanaście długości basenu i usiadł do późnego śniadania.

Ukradkiem obserwował młodą kobietę siedzącą przy basenie. Była bardzo szczupła i drobna, ciemne włosy opadały jej niesfornie na oczy. W pewnym momencie zjawiała się niania w śnieżnobiałym fartuchu. Prowadziła za rękę dziecko. Dziewczynka miała mniej więcej pięć lat, kręcone rude włosy i niebieskie oczy.

Buckowi serce zamarło w piersi. Szklanka soku pomarańczowego wysunęła się z drżących dłoni, z hukiem upadła na ziemię.

Kelner przybiegł natychmiast. Przeraziła go popielata cera gościa.

– Czy pan się dobrze czuje?

Buck podniósł na niego nieprzytomny wzrok.

– Pytam, czy pan się dobrze czuje. Ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Potrąciłem szklankę i tyle. Proszę to wytrzeć.

Nie spuszczał dziecka z oczu. Czas stanął w miejscu i oto miał przed sobą małą Ellie Parrish Duveen.

– Margaux, kochanie, chodź do mnie! – Czar przysł, gdy dziewczynka podbiegła do matki. Buck potrząsnął głową. Wypuścił powietrze, które, jak się zdawało, wstrzymał wieki temu. Po plecach

spływała mu strużka potu. Przez chwilę naprawdę uwierzył, że to ona. Identyczna jak wtedy, kiedy ją widział po raz ostatni. Drobny rudowłosy piegowaty dzieciak chował się za oparciem chińskiego fotela, a on leżał u stóp jej babki. Drobny rudowłosy piegowaty dzieciak, który stał na jego drodze do tego, czego najbardziej pragnął.

Metalowe krzesło zaskrzypiało nieprzyjemnie na betonie, kiedy się gwałtownie odsunął. Przez dłuższą chwilę stał na brzegu basenu i głęboko oddychał, zanim

55

skoczył. Zimna woda ukoiliła rozszalałe zmysły. Po dziesięciu minutach wytarł się starannie i wrócił do pokoju.

Kelner odprowadzał go wzrokiem.

– Przez chwilę myślałem, że trzeba będzie wzywać pogotowie – mruknął do siebie. – Dzięki Bogu, postanowił uszczęśliwić kogoś innego atakiem serca, nie mnie.

Po prysznicu Buck poczuł się lepiej. Dziwne, że stracił panowanie nad sobą. Nie powinno do tego dojść. Co za bzdura sądzić, że Ellie Parrish Duveen ciągle wygląda jak dziecko. Zresztą w Kalifornii znajdzie tysiące takich dziewczynek. Musi się trzymać w karchach. Odbicie w lustrze uspokoiło go. Wszystko będzie dobrze. Wygląda świetnie, tak jak powinien, przede wszystkim zaś nie przypomina Bucka Duveena.

Wrzucił torby do bagażnika nowego BMW i ruszył na północ. W Montecito z fasonem podjechał przed hotel Biltmore, rzucił kluczyki chłopakowi, wybrał sobie pokój z widokiem na morze i udał się do baru, na podwójnego burbona. Miał co świętować.

Kiedy rozglądał się po znajomych pomieszczeniach, ogarnęło go podniecenie podobne do seksualnego. Był tu już, ale pokorniej szy, mniej pewny siebie. Biedniejszy.

Podobało mu się życie bogacza. Kiedy już dobędzie pieniądze Parrishów, będzie go stać na kilka miesięcy w Biltmore. Całe życie, jeśli będzie miał ochotę. Zasłużył na to. Czekał całe długie dwadzieścia lat. Całe pieprzone życie.

Rozparł się wygodnie na wyściełanym krześle. Popijał doskonałego burbona, patrzył na błękitny ocean. Zaczął wcielać w życie swój plan. Nareszcie.

Rozdział 5

M

iss Lottie czekała na Ellie, jak w każde poniedziałkowe popołudnie. Tego dnia obchodziła urodziny i Maria pomogła jej wybrać

jasnofioletową sukienkę w kwiatki i pasujące bolerko. Maria twierdziła, że posiada ten komplet od niepamiętnych czasów, lecz w jej oczach był jak nowy, bo nie przypominała sobie, by widziała go kiedykolwiek wcześniej.

Jej szyję oplatał sznurek pereł, takich samych jakie miała Ellie, która z kolei odziedziczyła je po Romany, swojej matce, a ta dostała od Miss Lottie na osiemnaste urodziny. Na palcach starszej pani błyszczały brylanty, na sukience lśniły broszki, a na przegubie widniał złoty szwajcarski zegarek, który kupiła podczas podróży po Europie w latach trzydziestych, na krótko przed wybuchem tej okropnej wojny.

– Chyba coś pani jest – oznajmiła Maria tego ranka, gdy przyniosła śniadanie do łóżka, a Miss Lottie znowu powiedziała coś o wojnie. – Wydaje się, że pamięta pani tylko złe rzeczy.

– Nieprawda – oświadczyła z godnością, atakując jajko srebrną łyżeczką. – Pamiętam też dobre rzeczy. Zawsze wiem, kiedy Ellie ma nas odwiedzić. I kiedy Bruno ma zażyć tabletki.

Stary labrador oparł łeb na kołdrze, utkwił wzrok w grzance. Miss Lottie posmarowała kawałek francuskim masłem, niesolonym, jak lubiła, i podała psu. Bruno upuścił tosta, posmarowaną stroną na dywan, zabytkowy aubusson, jasnozielony, w róże i lilie. Zjadł pieczywo i starannie wylizał tłustą plamę.

– To nic. – Miss Lottie pochwyciła oburzone spojrzenie Marii. – To tylko masło.

Bruno dostał jeszcze dwa kawałki. Masło psu szkodzi, tyje od niego, ale wychodziła z założenia, że takim staruszkom jak ona i Bruno odrobina tłuszczu nie zaszkodzi. Najważniejsze jest szczęście, nawet jeśli oznacza to tylko kawałek tosta z masłem.

57

Ale teraz, na tarasie, czekając na Ellie, znowu wspominała Europę.

Pamiętała tamtą podróż tak dokładnie, jakby to było wczoraj.

Pamiętała, dokąd jeździli, wspaniałe hotele nad jeziorami w Szwajcarii i we Włoszech, suknie, które kupiła w Paryżu.

Z westchnieniem żalu przesunęła na czoło zielony daszek. Była wtedy młoda, sądziła, że życie zawsze będzie beztrudne i pogodne. Nawet do głowy jej nie przyszło, że przeżyje tragiczną śmierć córki. Ilekroć powracało to wspomnienie, głowiła się, dlaczego w jej pamięci zachował się właśnie ten moment, skoro utraciła tyle innych, przyjemnych. Wiedziała, że wspomnienie to zabierze ze sobą do grobu, choć nie pamiętała, co się działo później, nawet pogrzebu. Wiedziała oczywiście, że się odbył, ale nic ponadto. I

tylko świadomość, że musi wychować wnuczkę, uratowała ją od beznadziejnej rozpacz.

Wyobrażnia podsuwała wizerunki młodej Ellie. Roześmiane dziecko z rudą czupryną i wielkimi stopami ojca, z pięknymi, zamglonymi oczami matki. Sześcioletnia Ellie w różowej spódnicy baletnicy, potykająca się o owe nieszczęsne wielkie stopy. W tamtej chwili wnuczka czuła się piękna jak baletnica, a to było najważniejsze.

Ośmioletnia Ellie na końskim grzbiecie; skacze, spada z konia i nie płacze, choć złamała sobie rękę. I wypracowanie do szkoły, zatytułowane: „Moi rodzice”. Napisała w nim, że babcia zastępuje jej i ojca, i matkę, i jest lepsza niż rodzice innych dzieci. A potem bal absolwentów, wieczorowe suknie... I w końcu college.

Och, jakże się śmiała, kiedy zobaczyła Ellie i Mayę na czerwonym harleyu. Oczywiście, nigdy jej o tym nie powiedziała. Ellie musiała zrozumieć, że bez pracy nie zdobywa się niczego, a już zwłaszcza dyplomu ukończenia college'u.

Potem pojawili się chłopcy, dom zapełnili młodzi ludzie. Życie nabrało kolorów akurat wtedy, kiedy powinna była zwolnić tempo i może wybrać się na rejs dookoła świata, jak inne starsze panie. Ale przy takim kłębku energii jak Ellie było to niemożliwe.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że w jej szwankującym umyśle jeszcze co nieco zostało. Doszła do wniosku, że mimo wszystko Ellie jest podobna do Romany. Odziedziczyła po niej radość życia, energię i urodę. Czy będzie szczęśliwa?

- Dzień dobry, Miss Lottie! Oto jestem.

Ellie pokonała kilkoma susami schody na taras. Miss Lottie zerknęła na zegarek.

- I prawie na czas, chyba po raz pierwszy w życiu. Co to za okazja?

- Twoje urodziny, ot co! - Ellie uklękła na marmurowej podłodze.

- Wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego najlepszego, Miss Lottie.

Sto lat! Feliz cumple-años, bon anniversaire... och, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin we wszystkich językach świata.

- Feliz navidad - podsunęła gorliwie Miss Lottie.

- Dobrze, babciu, wesołych Świąt Bożego Narodzenia też ci życzę, jeśli chcesz.

Miss Lottie odrzuciła głowę do tyłu, rozbawiona głupią pomyłką, i przez ułamek sekundy Ellie wydało się, że babcia odmłodziła.

58

- Ostatnio nie zawsze trafiam w dziesiątkę - stwierdziła Miss Lottie - Ale tym razem byłam wystarczająco blisko.

- Powiedz mi, czemu masz na głowie ten stary daszek? Chyba nie

siedziałaś znowu przy komputerze i nie majstrowałaś przy akcjach, ryzykując ostatnią koszulę z grzbietu?

- Nie, moja droga, nic równie wulgarnego. Zresztą nie jestem przekonana, czy mam jeszcze czym majstrować albo co tracić. Po prostu lubię komputer. Fascynujące, czego ta maszyna może dokonać. Przecież nawet z tobą rozmawia i przekazuje wiadomości. To się nazywa poczta elektroniczna, e-mail. Czy może Internet?

- Babciu, żeglowałaś po Internecie? - Ellie opadła szczęką. - Gdzieś ty się, na Boga, tego nauczyła?

- Pewien młody człowiek mi pokazał. Znał się na rzeczy. To łatwe. Bawię się przy tym doskonale, zawieram nowe przyjaźnie, rozmawiam sobie z ludźmi przez komputer. To lepsze niż telewizja, tam jest tylko przemoc i seks.

- Miss Lottie, powinnam natychmiast wyszorować ci usta mydłem. To słowo nigdy dotąd nie przeszło ci przez usta.

-Tak sądzisz? A jak myślisz, skąd się wzięła Romany? Bocian ją przyniósł, czy co? Nie bądź śmieszna, Ellie, wiem wszystko o seksie. Dama po prostu nie rozprawia o tych sprawach, i tyle. Ellie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Babciu, nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

Miss Lottie wstała, ciężko opierając się na lasce o srebrnej gałce.

- Czasami zaskakuję samą siebie - wyznała z szelmowskim uśmiechem. -A teraz możesz mi opowiedzieć o twoim życiu erotycznym, jak dama damie. Nie ma to jak rozmowa z kimś bardziej doświadczoneym, jeśli potrzebujesz rady.

- Miss Lottie, nie mam pojęcia, skąd bierzesz takie pomysły. - Ellie poczerwieniała. - Zresztą moje życie erotyczne nie istnieje.

- Mówiłam ci, mam przyjaciół w Internecie. Służę im radą, jak te grupie kobiety w magazynach. A w twoim wieku powinnaś prowadzić życie erotyczne. Przy herbatce wyjaśnisz mi, czemu jest inaczej.

Nasunęła zielony daszek głęboko na czoło i żwawo weszła do salonu.

- Cześć, Mario! -zawołała.-Cześć, Bruno! Do zobaczenia później. I szalom. Ellie parsknęła śmiechem, ale postanowiła dokładniej sprawdzić, co Miss

Lottie czytuje w Internecie.

W hotelu Biltmore Buck rzucił niedbale kluczyki od samochodu chłopakowi. Radośnie pogwizdując „Dixie” czekał pod markizą, aż podprowadzą BMW. Na podjazd wjechał stary biały cadillac i chłopak rzucił się otworzyć drzwiczki. Zapomniał o Bucku. Buck

obserwował, jak wszystkich ogarnęło poruszenie. Dyrektor stanął w drzwiach, kelnerki odwracały głowy, recepcjoniści tłoczyli się w holu.

To jakiś polityk, domyślił się. Nadal nucił cichutko. A może gwiazda filmowa?

59

Dyrektor pomagał wysiąść staruszce. Uśmiechał się, trzymał ją za rękę. Szła w stronę Bucka, ciężko opierając się na lasce. Wyblakłe niebieskie oczy zatrzymały się na nim.

I czas się zatrzymał. Krew zamarzła Buckowi w żyłach. Nie był w stanie zaczerpnąć tchu, czekał, aż go rozpozna, oskarży...

Dyrektor podał jej ramię. Skinęła mu głową na powitanie i powoli ruszyła do wejścia.

Serce Bucka waliło oszalałym rytmem. Przeznaczenie działało sprawniej niż poczta kurierska – podsuwało mu ofiarę jak na tacy. Zamknął oczy, machinalnie wyginał palce; niemal czuł pod nimi miękkie starcze ciało.

– Przepraszam, czy pan się dobrze czuje?

Otworzył oczy i zobaczył najpiękniejszą kobietę na świecie.

Była bardzo wysoka i elegancka w jasnożółtej sukience i złotych sandałkach. Miała długie, równo opalone nogi, zwieńczone koralowymi paznokciami. A wpatrzone w niego oczy były szaroniebieskie.

– Może panu pomóc? – dopytywała się niespokojnie.

– Nie, nie, wszystko w porządku. – Z wysiłkiem wziął się w garść.

– Dziękuję pani...

– W takim razie miłego dnia. – Odwróciła się na pięcie, aż podskoczyły rude włosy i Buck zrozumiał, że miał przed sobą Ellie Parrish Duveen.

Jego serce znowu wzmogło rytm. Nagły ból w piersi sprawił, że haustami czerpał powietrze. Przycisnął dłoń do klatki piersiowej.

– Pański samochód. – Chłopak podał mu kluczyki.

Buck tylko potrząsnął głową. Nie był w stanie mówić. Wolnym krokiem wrócił do hotelu i przysiadł na kanapie, czekając, aż jego serce się uciszy. Nie był na to przygotowany... sądził, że sam wybierze odpowiedni moment... W jego myślach panował chaos.

Kiedy się uspokoił, poszedł w ślad za Ellie do eleganckiej herbaciarni z widokiem na ocean. Stoliki przykrywały obrusy z różowego lnu. Kelnerki krzątały się przy stoliku Lottie Parrish. Staruszka siedziała dumna i pełna majestatu jak królowa. Z tym wizerunkiem klócił się jedynie plastikowy daszek na jej czole.

Ellie wstała ze swego miejsca.

– Miss Lottie, po co ci daszek? Jesteśmy w herbaciarni, tu słońce nie może cię razić.

– Wiem o tym, Ellie. Nie jestem głupia. – Posłała wnuczce piorunujące spojrzenie. Kelnerki zachichotały.

Ellie zignorowała je.

– Wiem, że nie jesteś głupia. I idę o zakład, że doskonale wiesz, co chcesz zamówić.

– Pewnie. Kanapki z łososiem i ogórkiem, rożki bitą śmietaną i herbatę earl grey. Ale nie ekspresową. Herbata zupełnie traci smak w tych papierowych woreczkach.

60

Buck słyszał ten głos w snach, jak mu się zdawało, od tysięcy lat. Na dobrą sprawę, wcale się tak bardzo nie mylił, biorąc pod uwagę fakt, że spędził ten czas zamknięty w domu wariatów. A ona go nawet nie poznała. Ciekawe, czy przyczyniły się do tego ciemne, a nie rude włosy, wąsy, okulary. A może po prostu starcza skleroza wymazała go z jej pamięci. Wzruszył ramionami. To nie ma znaczenia. I tak ją dostanie.

Wybrał stolik sąsiadujący z tym, przy którym one siedziały, i zamówił herbatę. Udawał, że czyta gazetę. Słuchał.

Miss Lottie ugryzła kawałek kanapki z łososiem.

– No, Ellie, co masz mi do powiedzenia? Dlaczego w twoim życiu nie ma żadnego mężczyzny? Przecież jesteś taka ładna.

Ellie wyrwało się westchnienie. A więc o tym babcia nie zapomniała.

– Mówiłam ci już, jestem bardzo zajęta. Pracuję sześć dni w tygodniu, po kilkanaście godzin dziennie. Tak jest od roku i tak pozostanie nadal, dopóki nie będzie mnie stać na otwarcie następnej restauracji, a wtedy prawdopodobnie sytuacja jeszcze się pogorszy.

– Roześmiała się na samą myśl o tym. – Siedem dni w tygodniu i tyle godzin, ile Bóg da.

Miss Lottie przemknęło przez głowę, że Ellie jest taka ładna, kiedy się śmieje, taka młoda i pogodna. Oddałyby wszystko, żeby wnuczka nie musiała ciężko pracować.

– Zastanawiałam się – rzuciła od niechcienia, przebijając wśród ciasteczek – nad sprzedażą Journey's End.

Gazeta wypadła z nagle bezwładnych palców Bucka. Czyżby Parrishowie stracili pieniądze? Co się, do cholery, stało z ich fortuną? Odkąd pamiętał, płynęły nie kończącym się strumieniem. Więc dlatego wyszedł na wolność – nie mogli sobie pozwolić na

dalsze opłacanie ośrodka. Co teraz miał zrobić?

Drżącą ręką nalał sobie herbaty, wepchnął kanapkę w usta. Niemal się udła-wił, więc popił to wrząca herbatą i zaczął się krztusić. Ze złością spojrzął na rozbawione, hałaśliwe towarzystwo przy sąsiednim stoliku; przez nich nie słyszał dalszego ciągu rozmowy.

- Rozmawialiśmy już o tym i wiesz, że się nie zgodzę - odparła Ellie stanowczo. - Nie wolno ci sprzedać domu.

- Nie pojmuję dlaczego. Mogłabym zamieszkać w jednym z tych nowoczesnych apartamentów. W Beverly Hills albo gdzie indziej - dodała niejasno. - A ty mogłabyś otworzyć tyle restauracji, ile dusza zapragnie. Może nawet znalazłabyś trochę czasu, żeby wyjść za mąż i urodzić mi prawnuki. - Miss Lottie uśmiechnęła się złośliwie. - Powinnam zadzwonić do starych przyjaciółek. Chyba nie wszyscy ich wnukowie się ustatkowali.

- Uważasz mnie za starą pannę - naburmuszyła się Ellie. - No, ładnie. Więc chyba cię ucieszy wiadomość, że dzisiaj wieczorem mam randkę.

W wyblakłych niebieskich oczach błysnęło zadowolenie.

- Z mężczyzną?

- Oczywiście.

- Opowiedz mi o nim. Czy znam jego krewnych?

61

- Chyba nie, ale pochodzi z tych stron. Kiedy miałam osiem lat, uczył mnie windsurfingu.

- Ratownik?

- Och, babciu! - Ellie zaniósła się śmiechem. - Już nie. Do niedawna był policjantem. Detektywem w Wydziale Zabójstw na Manhattanie. Teraz kupił tu winnicę. Running Horse.

- Running Horse? - Miss Lottie daremnie szukała danych w uszkodzonym komputerze mózgu. - Pierwszy raz słyszę, co jednak nic nie znaczy. Pierwszy raz słyszę o połowie rzeczy, które kiedyś wiedziałam. Dobrze mu się powodzi? - Z apetytem ugryzła małe ciasteczko.

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Wydaje się bardzo zdeterminowany. Założę się, że zrobi wszystko, co będzie trzeba.

- Determinacja... Lubię tę cechę u mężczyzn. Ale... detektyw z Wydziału Zabójstw? - Wzdrygnęła się. Oglądała seriale kryminalne i wiedziała, co to za praca. - Ellie, skarbie, czy ty aby na pewno obracasz się we właściwym towarzystwie? W jaki sposób go poznałaś?

Ellie zlizwała lukier ze swojego różka, a Buck wyobrażał sobie, co

zrobiłby z jej ustami; wygryzałby krem z jej warg, aż spłynęłyby krwią, czerwony jak dżem truskawkowy. Fascynował go każdy jej ruch, sposób, w jaki pochylała głowę, blask rudych włosów; niemal czuł miękkość jej złotej skóry pod palcami.

Ellie odpowiedziała na pytanie babki:

- Walnęłam w jego nowiutki samochód, tu niedaleko, na Olive Mili Road. Dziwię się, że w ogóle chciał ze mną rozmawiać.

- W dzisiejszych czasach młodzi ludzie zawierają znajomości na dziwne sposoby. - Miss Lottie z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Za mojej młodości wszystko było aranżowane. Chodziło się na herbatki, przyjęcia, do teatru ze znajomymi albo ze znajomymi znajomych. Nikt na nikogo nie wpadał.

Zdumiona, podniosła wzrok. Dyrektor hotelu podążał w jej stronę. Za nim kroczył szef kuchni, niosąc tort w kształcie prezentu z kokardą. Na środku widniała jedna świeczka.

Wszyscy obecni w sali nie odrywali od niej wzroku, gdy kelnerzy i kucharze śpiewali „Happy Birthday”. Następnie zaczerwieniona ze wzruszenia Miss Lottie zdmuchnęła świeczkę i wszyscy, także pozostali goście, bili brawo. Dyrektor hotelu otworzył butelkę szampana.

- Jak zawsze cieszymy się bardzo, mogąc panią gościć, Miss Lottie - zaczął, wznosząc toast za jej zdrowie. - Albowiem Lottie Parrish i Biltmore to instytucje niemal równe wiekiem.

Buck stłumił ochotę, żeby się na nią rzucić, tu i teraz. Zacisnąłby palce na starczym gardle, wgniótłby w nią perły na wieki wieków, nawet siłą by go od niej nie oderwali. Drżącą dłonią skinął na kelnera i zamówił podwójnego burbona. Wychylił go jednym haustem. Ani na moment nie spuszczał obu kobiet z oczu.

W przeszłości, kiedy był wolny, kobiety nie były dla niego ważniejsze niż meble, kruche i nietrwałe. Teraz jego zwykły chłód, sposób myślenia, uczucia, wszystko stanęło do góry nogami.

62

W twarzy Ellie widział ojca, ich ojca. Widział siebie sprzed dwudziestu lat, młodego jak ona. Pełnego życia. Zanim go zamknęli. Czy dlatego wypełniały go te nowe, nieznane uczucia? A może sprawiła to jasność jej skóry, burza włosów, piękne oczy?

Zamówił jeszcze jednego drinka. Patrzył, jak Ellie pije szampana, je tort. Z czułością dotknęła ramienia babki. Mówiła zbyt cicho, by usłyszał. Podała jej niedużą paczkę. Na twarzy Miss Lottie pojawił się zachwyty, gdy wypakowała szlafrok z kremowego weluru.

- Zbyt ekstrawagancki, ale piękny. - Uśmiechnęła się. -

Rozpuszczasz mnie, Ellie.

– Najwyższy czas, po tym, jak ty mnie rozpuszczałaś. – Ellie pocałowała ją w policzek. Niespiesznie piły herbatę i rozmawiały jeszcze długo.

Kiedy zbierały się do wyjścia, Miss Lottie zatrzymała spojrzenie na Bucku. Ellie wzięła ją pod rękę, ale na twarzy staruszki pozostał wyraz namysłu.

Buck odprowadzał ją wzrokiem. Szła wyprostowana jak żołnierz, nie chciała korzystać z laski. Podziękowała wszystkim osobiście. Żegnały ją uśmiechy, a w oczach tych, którzy znali ją najdłużej, nawet łzy. Przemknęło mu przez głowę, że dyrektor hotelu miał rację. Lottie Parrish rzeczywiście stanowi instytucję w Montecito. Ale już niedługo.

Westchnął z żalem. Jego plany się skomplikują. Stara musi umrzeć. A Ellie Parrish Duveen będzie jego, prędzej czy później.

Rozdział 6

N

adchodzi wiosna, stwierdził Dan posepnie, a więc czas, gdy umysły mężczyzn powinny się skierować ku myślom o miłości. Czy to cytat z Tennysona? W każdym razie z kogoś, kto znał się na rzeczy. A on myślał nie o miłości, ale o ratowaniu Running Horse.

Na Honey, nowej klaczy, galopował po swoich piętnastu hektarach. Zatrzymał się na szczycie wzgórza, skąd rozciągał się widok na całą posiadłość. Rozejrzył się za Pancho – leniwe psisko prawdopodobnie znowu chrapie w najlepsze przy stajni. Słońce przypiekało niemiłosiernie. Zeskoczył z konia, zdjął koszulkę i napił się wody.

Na błękitnym niebie kołował jastrząb, polował na zające. Dan pomyślał, że białe ogonki i szybkie ruchy zdradzają napastnikowi.

Może życie tutaj wcale tak bardzo się nie różni od życia ulicy.

Napastnicy i ofiary, gwałtowna śmierć w słoneczne popołudnie.

Boże, jakże mu brakowało akcji.

Potał bolącą bliznę na piersi. Ciekawe, co słyszeć u Piatowsky'ego.

Może później do niego zadzwoni, opowie o postępach w pracy. Czy raczej o ich braku.

Rozległo się pikanie telefonu komórkowego. Wyciągnął go z tylnej kieszeni dżinsów.

– Jak się ma farmer Dan? Uśmiechnął się.

– Co ty, Piatowsky, jesteś telepatą, czy co? Właśnie o tobie myślałem.

– Odpowiedz na pytanie, Cassidy. Jak leci?

- Nieźle, nieźle... jak na kota w worku.

Piatowski zagwizdał, co wywołało niemiłe sensacje w uchu Dana.

- Chcesz powiedzieć, że miałem rację?

- Miałeś rację. A ja sobie stoję w gorącym kalifornijskim słońcu i podziwiam moje sparszywiące winorośle. Idę o zakład, że ani jeden krzew do niczego się nie nadaje. Trzeba będzie wszystko wyrzucić.

- Wydasz na to kupę forsy, co?

64

- Kupę. Za to jest tu pięknie. Żałuj, że nie widziałeś stajni. A wiesz, mam tu dla ciebie konia. - Zerknął na wielką klacz, niecierpliwie grzebiącą kopytem. - Przyjeżdżaj, i zanim się obejrzysz, zrobię z ciebie kowboja.

- Najbliższe koniowi stworzenie, na jakim siedziałem, to harley, a jak mawiają, nie jest to bestia tak niebezpieczna jak koń. Dan się roześmiał, a Piatowsky ciągnął dalej:

- Słuchaj, ty skurczybyku, brakuje mi ciebie tu, na ulicach. Pod koniec miesiąca Angela leci z dziećmi do swojej matki, do Maine. Pomyślałem sobie, że wpadnę i obejrzę twojego kota w worku. Pomogę ci trochę przy wiejskiej harówce, pielenu, oraniu i cholera wie czym jeszcze.

Dan niemal widział jego grymas, gdy to mówił.

- Świetnie - odparł. - Do tego czasu prawdopodobnie doprowadzę dom do użytku. - A więc dom też jest do niczego? - Piatowsky zaniósł się śmiechem. - Kupię ci nowy szyld. Taki z dołem bez dna i latającymi dolarami.

- Dzięki, stary. Mnie też ciebie brakuje.

- Zadzwoń, sprzedę, kiedy przyjeżdżam. Nie będę ci przeszkadzał? Jesteś pewien?

- Na sto procent. I wiem, że ci się tu spodoba. To perła. - Tak, jasne.

- Pozdrów ode mnie Angelę.

- Dobrze. Uważaj na siebie tam, na Dzikim Zachodzie. A przy okazji i, pamiętasz prostytutkę, spaloną na Times Square? Nie znaleźliśmy sprawcy. Na razie nie. Ale w tym czasie nie wyszedł z więzienia nikt, do kogo pasowałby twój profil mordercy. Chciałem ci tylko powiedzieć, że się myliłeś. Może to i dobrze, że kopiesz ziemię, farmerze.

Połączenie przerwano. Dan potrząsnął głową. Ogarnął wzrokiem łagodny łuk wzgórza oświetlonego zachodzącym słońcem, wsłuchał się w ciszę. Powiedział sobie, że nawet za milion dolarów nie zamieniłby tego na brudne ulice Nowego Jorku.

Klacz, którą tego ranka kupił w stadninie niedaleko Los Olivos,

miała dziewięć lat i siedemnaście dłoni wysokości. Rżała niecierpliwie i rzucała łbem, wywijając ogonem. Zwinnie wskoczył na siodło.

- Dobrze, już dobrze, Honey. Jedziemy.

Ponownie rzuciła łbem, zatańczyła niespokojnie. Stanowczo ściągnął cugle.

- Wyjašnjmy sobie jedno - mruknął. - Ja jestem jeźdźcem, ty koniem. Ja kieruję, ty biegiesz, jasne? - Klacz przewróciła oczami, ale posłusznie ruszyła kłusem w stronę stajni.

Odetchnął z ulgą. Nie zniósłby, gdyby się okazało, że kolejny nabytek okazał się kulą w płot. Najpierw rozwalający się dom i winnica, następnie Pancho, który kradł jedzenie z wprawą psiego włóczęgi, jakim do niedawna był, i teraz jeszcze samowolna klacz, gotowa go zrzucić w każdej chwili. Na dodatek tydzień temu dał ogłoszenie, że poszukuje zarządcy, a nie zgłosił się nawet jeden kandydat. Chyba nie radzi sobie najlepiej jako farmer, oj nie.

Pancho drzemał w cieniu stajni. Na powitanie uniósł łeb i ospale zamerdzał ogonem. Dachówki lśniły w słońcu, petunie i geranium czerwieniły się w glinianych

5-Wcześniej...

65

donicach, fontanna szemrała strumykiem wody dzięki niedawno zainstalowanej nowej pompie.

Dokładnie tak samo wyglądała jego posiadłość na rozświetlonych słońcem fotografiach, które sprawiły, że pokochał tę ziemię od razu. I nawet teraz, gdy wiedział, ile pracy go tu czeka, budziła czułość w jego sercu.

Rozsiodłał konia, napił i nasypał owsa, zanim poszedł do sąsiedniego boksu. Tę klacz kupił ze względu na jej urodę.

- Jak się masz, Paradise? - Obwąchała mu dłoń. Podał jej marchewkę. Schrupała ją ze smakiem. - Dobra dziewczynka - pochwalił. - Nie to, co twoja dzika siostra. Musisz ją nauczyć, jak się zachowuje kulturalny koń.

Przypomniał sobie, jak Ellie zarzuciła mu, że postępuje jak człowiek niekulturalny, i jak kopała opony swego dżipa. Uśmiechnął się. Jest postrzelona, ale i słodka. Nie, zdecydowanie nie słodka, poprawił się. Nie znalazł słowa, które opisywałoby ją najlepiej, chociaż „piękna” przemknęło mu przez głowę. Lubił ją. I nie mógł się doczekać wieczornego spotkania.

Wytań pot z pleców koszulką, wyjął z lodówki dietetyczną colę i usadowił się na pieńku niedaleko psa. Zastanawiał się, za co się

teraz zabrać, kiedy Pancho z dzikim ujadaniem zerwał się na równe nogi. W obłoku kurzu zbliżał się ku nim samotny jeździec. Z jego kieszeni wystawała butelka whisky, w dżinsach było więcej dziur niż drelichu, na szyi miał brudną czerwoną bandanę, na nogach kowbojki ze srebrnymi okuciami. Ciemne włosy wysypywały się spod szerokiego sombrero, obfite wąsy niemal zasłaniały promienny powitalny uśmiech.

Dan przesunął baseballową czapkę na tył głowy, gdy ogier zatańczył na tylnych nogach.

- Z cyrku się pan urwał, czy co?! - zawołał zdziwiony.

- Nie, señor. - Mężczyzna zeskoczył z konia. Nadal się uśmiechał.

- Carlos Ortega, pański zarządca, do usług. Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć o uprawie winorośli, i mam najlepszy nos na tym wybrzeżu. Przybyłem, aby zaoferować panu moje cenne usługi. - Zerwał kapelusz z głowy i pokłonił się nisko. Koń schylił łeb do ziemi.

Dan się śmiał, ale wiedział, że Ortega mówi poważnie.

- A skąd wiesz, że szukam zarządcy?

Ortega wsadził kapelusz na głowę, podciągnął dżinsy i puścił oko.

- Powiedzmy, że winorośl o tym szumi, señor. - Na całe gardło roześmiał się z własnego dowcipu.

Dan podejrzliwie łypnął na butelkę whisky, lecz zauważył także błysk piwnych oczu i radość życia bijącą od przybysza. A radość życia była cechą, której w Running Horse nigdy nie będzie za dużo. Wątpił, czy Carlos Ortega umiałby odróżnić merlota od sauvignon, jednak zapałał do niego sympatią.

- Zaprowadź konia do stajni, daj mu wody i chodź do biura.

Pogadamy. Carlos szybko wypełnił polecenie. Usiadł naprzeciwko Dana w małym, ale

czystym pokoiku. Starannie położył sobie sombrero na kolanach i postawił butelkę whisky na stole między nimi.

66

- Señor Cassidy, nie chcę pana okłamywać - zaczął, nagle śmiertelnie poważny. - Jestem dobrym zarządcą, może nawet bardzo dobrym. Po przyjeździe do Kalifornii zbierałem orzechy włoskie, potem pistacjowe, potem truskawki. Zbierałem wszystko, co się da. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. - Miałem zaledwie dwanaście lat, ale byłem duży jak na mój wiek i nikt mnie o nic nie pytał. Po piętnastych urodzinach udałem się na północ, do Napa, na winobranie. Ciężko pracowałem, byłem inteligentny, więc przenieśli mnie z pól do wytwórni wina. Uczyłem się wszystkiego. Widzi pan,

senor, to mnie zainteresowało. Kocham proces tworzenia wina: uprawę winorośli, zbiory, tłoczenie. Pokochałem zapach fermentujących gron do tego stopnia, że nocami wstawałem zobaczyć, czy moje wina fermentują jak należy. Najpierw pracowałem w Mondavi, potem w Beaulieu, a następnie dla małej niezależnej winnicy, takiej jak Running Horse. Właściciel dostrzegł moje zainteresowanie, mianował mnie głównym zarządcą. Uczyłem się szybko, bo kochałem moją pracę. I przekonałem się, że mam talent.

Spojrzał Danowi prosto w oczy.

- Senor, byłem starszym piwnicznym, potem pomocnikiem kiperą.

Pracowałem w najlepszych winnicach, choć nigdy nie na

najwyższym stanowisku. Zaprzepastałem wszystko przez to. -

Stuknął w butelkę. Z westchnieniem nasunął kapelusz na czoło i

podkreślił wąsa. - Jak pan widzi, senor Cassidy, jestem z panem szczerzy. Mam pewien problem, ale to moja sprawa. Obiecuję, że w żaden sposób nie wpłynię na jakość mojej pracy.

- Więc nie pijasz wina?

Carlos zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- W winie kocham jedynie proces jego tworzenia, senor. Moim

zdaniem, to napój dla eleganckich mężczyzn i pięknych kobiet. -

Poklepał się po brzuchu i puścił oko. - Ale nic lepiej nie rozgrzewa niż dobra whisky. Z wyjątkiem dobrej kobiety, ma się rozumieć.

- Panie Ortega, skąd panu przyszło do głowy, że zatrudnię alkoholika? Ortega pochylił się nad stołem.

- Senor Cassidy - zaczął głosem miękkim i śliskim jak jedwab. -

Wydaje mi się, że żaden z nas nie ma specjalnego wyboru. Pan

potrzebuje fachowca. Ja potrzebuję pracy. Nie znajdzie pan innego człowieka o moich kwalifikacjach i doświadczeniu do tej winnicy.

Jest zapuszczona i ma złą opinię. Nie wie pan? Mówi się, że na tej ziemi ciąży klątwa. Nie wyprodukowano tu nawet jednej butelki

przyzwoitego wina. Ale ja znam tę ziemię; zbocza leżą po

południowej stronie, gleba jest lekka. Ta ziemia może rodzić dobre,

mocne wino, ale żeby do tego doszło, potrzebny panu ekspert. Nowe

rośliny będą dużo kosztowały i dużo czasu upłynie, zanim

zobaczymy efekty. Nie jestem chciwy, nie żądam wysokiej pensji.

Będę pracował u pana boku, aż nam się uda.

Nie spuszczał wzroku z Dana, gdy mówił:

- Wystarczy mi dach nad głową. Mały domek przy bramie nada się doskonale, sam go wyremontuję, wyjdzie taniej. Proszę o jedzenie dla mnie i dla rodziny i butelkę whisky od czasu do czasu. Tylko od

czasu do czasu, senor, daję słowo. Porozmawiamy na nowo, kiedy odniesiemy sukces.

67

Oparł się wygodniej, zadowolony, że powiedział wszystko, co chciał. Tym razem nadeszła kolej Dana, by odrzucić głowę do tyłu i się roześmiać.

– A więc to takie proste, tak? Ja potrzebuję zarządcy, ale nikt nie zechce dla mnie pracować, a pan potrzebuje pracy, ale nikt pana nie zatrudni. Z tego wynika, że jesteśmy na siebie skazani, senor Ortega. Umowa stoi. Tylko żadnego picia w czasie pracy.

Meksykanin entuzjastycznie potrząsał jego dłonią.

– Senor Dan, nie pożałuje pan tego, moja w tym głowa. – Zerwał się z miejsca, schował butelkę do kieszeni i ruszył do drzwi.

Gwizdnął na konia, wskoczył na siodło i oddalił się tak samo jak przybył, w tumanie kurzu.

Patrząc, jak obłok znika za wzgórzem, Dan zastanawiał się, czy naprawdę zatrudnił pijaka, czy tylko mu się zdawało. Pokręcił głową. Lepiej niech Carlos okaże się równie dobrym zarządcą, jak mówcą. Bo on, Dan, nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

Niedługo Carlos wrócił. Tym razem siedział za kierownicą wiekowej półciężarówki, której pasażerami byli: z tyłu – zakurzony brązowy kundel, z przodu – pulchna długowłosa kobieta z dzieckiem na ręku.

Pancho podbiegł do Cecila, brązowego kundla, szczekając zajadle, aż Dan odciągnął go za obrozę, Carlos tymczasem dokonał prezentacji:

– Senor, to moja żona, Florita. A to – wyjął dziecko z jej objęć i z dumą uniósł do góry – mój syn, Roberto Carlosito Ortega. Obywatel amerykański. – Uroczyście przyłożył dłoń do serca. – Boże, błogosław Amerykę.

– I błogosław Boże panu Cassidy za to, że dał ci pracę – dokończyła nieśmiało Florita. – Senor, ja też będę dla pana pracować. Mogę sprzątać, prać, gotować, co tylko pan zechce.

Dan się roześmiał. Polubił Carlosa, polubił całą rodzinę.

– Niech i tobie Bóg błogosławi, Florito, za te słowa – odparł. A po chwili, przypomniawszy sobie stan domu, dodał: – Bardzo ci się to przyda.

Rozdział 17

M

Miss Lottie oglądała telewizję w swoim małym saloniku na górze. Miała na sobie urodzinowy prezent od Ellie – welurowy szlafrok.

Starannie wyszczotkowane włosy – sto razy co wieczór, przez całe życie – otaczały jej twarz srebrną chmurą. Piła ciepłe mleko i intensywnie nad czymś myślała.

– Wiesz, Mario – odezwała się. – Wydaje mi się, że dzisiaj w hotelu Bilt-more widziałam kogoś znajomego, tylko nie mogę sobie przypomnieć, skąd go znam.

Maria siedziała naprzeciwko. Oparła stopy w kapciach o wyblakły brokat kanapy. Piła kakao i podjadała waniliowe ciasteczka własnej roboty.

– W Biltmore widziała pani mnóstwo ludzi. Zna ich pani od lat, tylko o tym nie pamięta.

Miss Lottie potrząsnęła głową.

– Nawet nie mogę sobie przypomnieć, jak on wyglądał. Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, wydał mi się znajomy. Później, kiedy siedział niedaleko nas, miałam wrażenie, że muszę go znać. –

Znowu westchnęła. – Mój mózg nadaje się do wymiany, przydałby się nowy twardy dysk.

Napiła się mleka i sięgnęła po ciasteczko.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to ktoś ważny. – Potrząsnęła głową. – To takie irytujące. To tak jakbyś się obudziła w trakcie snu i za żadne skarby świata nie mogła go sobie przypomnieć. Oto jak wygląda moje życie, Mario – stwierdziła gniewnie. – Seria na wpół zapomnianych snów. Rzeczywistość nie istnieje.

– Chyba że Ellie przychodzi z wizytą. – Maria poklepała jej dłoń w geście pocieszenia. Wstała z trudem. – Wyprowadzę Bruna przed dom. Właściwie nie może być mowy o spacerze.

Apartamenty Miss Lottie znajdowały się po lewej stronie schodów, Marii – po prawej. Większość pozostałych pokoi była zamknięta, z wyjątkiem pokoju Ellie

69

na końcu korytarza. Nadal wyglądał tak jak w dniu, kiedy wyjeżdżała do college'u. Miss Lottie usiłowała sobie przypomnieć, czemu wnuczka nie została na noc. Ach, mówiła coś o randce.

Ciekawe z kim...

Skoncentrowała się na ekranie telewizora. Oczywiście, teraz pamięta. Mężczyzna Ellie gra detektywa z Wydziału Zabójstw w serialu telewizyjnym. Uśmiechnęła się, rada, że chociaż to wyjaśniła. Nadal jednak głowiła się, kogo widziała w Biltmore. Była pewna, że to ktoś ważny.

Buck dwukrotnie przejechał obok bramy Journey's End. Zatrzymał

samochód po przeciwnej stronie, w cieniu eukaliptusów. Wyjął papierosa z pogniecionej paczki cameli. Zapalił, wpatrzony w żelazne wrota. Tkwiły w kolumnach z różowego marmuru, które wieńczyły dwa uskrzydłone gryfy.

Strzegą pałacu bogaczki, skomentował. I trzymają rzeczywistość na dystans. Jego nie zdołają powstrzymać, ma się rozumieć. Był ciekaw, ile osób tu teraz mieszka. A jeśli nadal stara ma uzbrojonego strażnika? Stąd nie było widać budynku, jednak żółta poświata zdawała się wskazywać, że na zewnątrz palą się światła ze względów bezpieczeństwa. Musi wszystko dokładnie sprawdzić. Nie da się zamknąć po raz drugi.

Wyobrażał sobie starą taką, jaka dzisiaj zobaczył, wyprostowaną i dumną. Ciągłe zachowuje się jak królowa, wszyscy koło niej skaczą...

Wyrzucił niedopałek przez okno, przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Wszystkiego najlepszego, Miss Lottie! – krzyknął złośliwie, mijając bramę. – Wszystkiego najlepszego! Ciesz się tymi urodzinami, bo to twoje ostatnie.

Ciemna szosa wiła się serpentynami, lecz on beztrąsko pokonywał zakręty na pełnym gazie. Jesteś niezwykły, szeptał wewnętrzny głos. Jesteś lepszy od innych, sprytniejszy, mądrzejszy. Zresztą teraz wiedział wszystko. Pociągnął za język kelnerkę, która przyniosła mu rachunek.

– Miss Lottie to prawdziwa dama – powiedziała. – Wszyscy ją tu znają. Mieszka w Montecito dłużej niż ktokolwiek inny. To znaczy, spośród żyjących.

– Uroczą starszą pani – zgodził się uprzejmie. – Dzisiaj nie ma takich kobiet. Prawdziwa dama.

Kelnerka uśmiechnęła się ciepło.

– Swoją wnuczkę wychowała w ten sam sposób. Ellie też jest damą, mimo że prowadzi kafejkę. W Santa Monica.

– Doprawdy? A gdzie? – Buck dorzucił słony napiwek. Kelnerka przyjęła go z uśmiechem.

– Przy Main Street. Podobno to przytulna knajpka, Ellie pracuje bardzo ciężko. Chyba musi, jeśli w plotkach, że zostały bez grosza i muszą sprzedać Jour-ney 's End, jest choć trochę prawdy.

Serce Bucka zamieniło się w kamień, ale nadal się uśmiechał.

– Pewnie nieczęsto się zdarza, że taka posiadłość jest do sprzedania. Nie wątpię, że będzie wielu chętnych.

70

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Mówią, że posiadłość jest warta fortunę. Miliony dolarów.

Buck od razu poczuł się lepiej. Miał już nowy plan.

Zmienił biegi i skręcił z Hot Springs Road na Coast Village z piskiem opon. Jeszcze jeden skręt i znalazł się na autostradzie na południe. Chciał działać. Chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka Ellie. Chciał kobiety.

Rozdział 8

ezdnia była pusta, ani śladu patrolu. Dojechał do Los Angeles w niecałą godzinę, potem uliczny ruch kazał mu zwolnić. Zjechał z autostrady przy Czwartej Ulicy.

Światła policyjnego wozu sprawiły, że odzyskał zdrowy rozsądek. Nie może sobie pozwolić na mandat. Nowe prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu wystarczą dla laików, nie wiadomo jednak, co by o nich powiedzieli gliniarze.

Jechał powoli wzdłuż Main, aż znalazł to, czego szukał. Napis na szybie głosił „U Ellie”. Zatrzymał się przed restauracją. Na drzwiach wisiała tabliczka „Zamknięte”. W środku było ciemno.

Wysiadł i obszedł budynek dookoła. Kuchennych drzwi i okien strzegły kraty. Sfrustrowany, głowił się, gdzie Ellie mieszka. Będzie musiał ją śledzić, żeby się dowiedzieć. Ta myśl napełniła go poczuciem siły. Wrócił na Sunset Boulevard.

Nawet w poniedziałkową noc tętniło tu życie. Czujnie rozglądając się za policją, dojechał do Hollywood Boulevard. Na ulicy było dużo kobiet, do wyboru, do koloru. Ponieważ jego myśli ciągle krążyły wokół Ellie, wybrał rudą.

Opuścił boczne okienko i wyjrzał, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Była wysoka, o bujnych piersiach, w króciutkiej czarnej spódniczce, obcisłej bluzeczce i pantoflach na wysokich obcasach.

- Ile? - zapytał szybko. Zmierzyła go wzrokiem.

- Zależy, czego chcesz. Powiedz, to ci odpowiem.

- Wsiadaj - zdecydował. - Będziemy się targować w drodze.

Wsunęła się na siedzenie pasażera.

- Jeśli chcesz, możesz mnie mieć na całą noc - oznajmiła. - Za stówę. Posłał jej sceptyczne spojrzenie.

- Chciałaś chyba powiedzieć, za pięćdziesiątkę. Naburmuszyła się.

72

- Pieprzona okazja - zaproponowała, by po chwili parsknąć śmiechem.

- To właśnie ja: pieprzona okazja.

Buck jej nie zawtórował.

- Dokąd jedziemy? - zainteresowała się, nagle niespokojna.

- Gdziekolwiek, byle bez gliniarzy. Odetchnęła z ulgą.

- Daj forse, to pokażę ci specjalne miejsce.

Nie zwracał sobie głowy targowaniem. Spojrzała na jego portfel łąkowie.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł lodowatym tonem. - Wylądujesz w pudle, zanim się zorientujesz, co się dzieje. Ale tym razem dostaniesz więcej niż miesiąc za prostytutkę.

Skwitowała jego słowa wzruszeniem ramion. Wetknęła banknot za cholewkę buta ze sztucznej skóry.

-Nie denerwuj się. Skręć tu w lewo, i zaraz w następną też. To tylko uliczka, ale zawsze panuje tu spokój.

Zaparkował w najdalszym krańcu, przy pojemnikach na śmieci.

Rozsiadł się wygodnie, podczas gdy ona zaspokajała jego potrzeby.

Była w tym dobra, miała usta jak z jedwabiu i gumy, jej zęby jak demony kąsały jego duszę.

Otoczył dłońmi jej szyję. Poderwała się gwałtownie. W panice rzuciła się do drzwi, ale był szybszy. Zacisnął palce na jej gardle i żadna siła nie mogłaby ich oderwać. Z wysiłku nabrzmiały mu żyły na szyi, pot zalewał oczy.

Rzęziła i stękała, chwytając się jego dłoni. Nagle znieruchomiała.

Język, który tak niedawno sprawiał mu rozkosz, wystawał z ust nabrzmiały i fioletowy jak oberżyna, wytrzeszczone oczy pociemniały odnabiegłej krwi.

Wyciągnął dziewczynę z samochodu. Z jej głowy zsunęła się peruka, odsłaniając ciemne włosy. Wściekł się. Dziwka, nie była nawet ruda! Wyjął banknot z jej buta i starannie schował do portfela.

W alej ce panował spokój, w oddali tylko jaśniało mdłe światelko.

Ukląkł nad ciałem z nożem w dłoni. Ostrze z cichym sykiem przecinało skórę, rysując krzyż: od skroni do skroni, od nasady włosów do nosa. Nie było dużo krwi, bo serce przestało ją pompować, niemniej starannie wytarł nóż w krótką spódniczkę prostytutki, wrócił do samochodu i wyjechał z ciemnej alejki.

W pobliżu nadal nikogo nie było. Na następnym skrzyżowaniu zapalił światła i przejrzał się w lusterku. Poprawił włosy. Wyglądał doskonale. Kiedy wracał na autostradę, do Montecito, radośnie pogwizdywał „Dixie”.

W barze było tłoczno. Wypatrzył wolny stółek i skinął na barmana.

- Podwójny, panie Jensen?

- Strzał w dziesiątkę, Al. Zostało jeszcze trochę precelków?

- Pewnie. Oglądał pan dzisiaj Lakersów?

- Jasne. - Buck słuchał w radio końcówki transmisji, zresztą nigdy

nie odrzucał alibi, jeśli samo pchało się w ręce. - Ostatnimi czasy są nie do pobicia.

Zapomniał o kobiecie, którą dopiero co zabił. Sącył dobrego burbona i wspominał, jak o nim marzył w Hudson, jak sobie wyobrażał ten głęboki, bogaty smak. Teraz to miał. Wkrótce będzie miał wszystko.

73

RozcMał19

D

an mocował się z nowiutkim grillem. Powrócił z winnicy wcześniej, bo nie chciał, żeby Ellie zastała go śmierdzącego końmi i stajnią. Po prysznicu włożył levisy, adidasy i niebieską koszulę. Bolał go każdy mięsień - wspomnienie po długiej przejażdżce tego popołudnia.

Przezesął dłonią ciągle wilgotne włosy. Sam nie wiedział, czemu tak bardzo mu zależy na tym spotkaniu. Przecież tak naprawdę to nie jest randka, tylko spotkanie dwojga starych znajomych. Mimo że jest piękna. O, proszę, w końcu to przyznał. Uroda Ellie Parrish zwała z nóg.

Nagle stanął mu przed oczami obraz małej Ellie: wizja wysokiego, chudego brzdąca w za luźnym kostiumie kąpielowym. Trzęsa się z zimna na wietrznej plaży, lecz odważnie wbiegała do wody. Miała aparat dentystyczny czy nie? Nie mógł sobie przypomnieć. Nie, chyba była za mała, miała jakieś osiem, dziewięć lat. W każdym razie była za młoda, żeby się umawiać na randki.

Podczas pracy w Wydziale Zabójstw rzadko znajdował czas na spotkania z dziewczynami. Nie miał stałych godzin pracy, pełnił zmiany o różnych porach dnia. Nigdy nie mógł pojąć, jakim cudem Piatowsky dawał sobie radę z żoną i gromadką dzieci. Przyjaciel miał ładną, oddaną żonę.

- To miłość - wytłumaczył mu Piatowsky tajemniczo. -

Rozumiesz, ona kocha mnie, jaja. To wszystko. I może jeszcze umiejętność dawania i brania.

- Zakładam, że o „dawaniu” jest mowa ze strony Angeli? - pamiętał, jak rzucił to pytanie z drwiącym uśmiechem. Znał przyjaciela jak zły szeląg. Piatowsky spędzał na posterunku noce i dnie, nigdy nie rezygnował z prowadzonej sprawy, bardzo rzadko brał dni wolne.

Tak więc praca w policji nie miała dobrego wpływu na Dana życie uczuciowe. Oczywiście, nie brakowało w nim kobiet, i to kobiet, jakie lubił. Zwłaszcza pewna młoda prawniczka, którą poznał w sądzie; oskarżała faceta, którego on aresztował. Myślał nawet, że ich

związek przerodzi się w coś poważniejszego, że

74

ona jest tą jedną jedyną... Niestety, nieregularne godziny jego pracy i jej napięty grafik nie zostawiały dużo czasu na spotkania. Widywali się coraz rzadziej, aż doszli do wniosku, że to nie ma sensu.

Chodził na siłownię, wstawał wcześniej, żeby biegać; dwukrotnie ukończył maraton nowojorski z całkiem niezłym czasem. Wypełnił mieszkanie muzyką i książkami – opowieściami o sportowych wyczynach: samotnych rejsach dookoła świata, wyprawach na biegun północny, wspinaczkach wysokogórskich. Powtarzał sobie, że może kiedyś, pewnego dnia, zdecyduje się na taką przygodę. Pozostały czas zajmowała mu praca. Była jego życiem i mało brakowało, a stałaby się jego śmiercią. Nie znaczy wcale, że przestał lubić kolacyjki we włoskich knajpkach, lampkę dobrego wina, towarzystwo ładnej, inteligentnej kobiety.

Ellie zwolniła w cichej uliczce. Wypatrywała Pines Cottage. Zdażyła się przebrać: zmieniła żółtą sukienkę na wąskie białe dżinsy, adidas i białą koszulę, zawiązaną na węzeł w talii. Jak zwykle miała na szyi perły matki. Tym razem nałożyła makijaż jak należy, przed lustrem, a nie w pośpiechu, na czerwonym świetle. Na tylnym siedzeniu leżały dwie torby ze smakołykami. Były tam steki, sałata, ser, owoce, świeże pieczywo i kawałek urodzinowego tortu Miss Lottie. Rzuciła okiem na zegarek. Dwie minuty przed czasem. Chyba po raz pierwszy w życiu się nie spóźni. Nagle ogarnęły ją wątpliwości: czy ona się mu się przypadkiem nie narzuca? To tylko stary przyjaciel z dzieciństwa, upomniała się. No, może nie do końca przyjaciel. W każdym razie dawno temu się znali.

Jako osiemnastolatek Dan Cassidy wyglądał wspaniale. Miał brzuch płaski jak deska do prasowania, pokryty kratką mięśni, do tego te ciemnoniebieskie irlandzkie oczy pod długimi ciemnymi rzęsami, złotobrazową klatkę piersiową i czarne kąpielówki, które przylegały jak druga skóra i wywoływały nerwowy chichot wszystkich dziewczynek.

Pamiętała także, jak ją przycisnął do tej złotej piersi, kiedy wyłowił ją spod powierzchni. Dostała deską surfingową w głowę.

Zwymiotowała morską wodą – prosto na niego.

– Może teraz się nauczysz, że nigdy nie należy wygłupiać się w wodzie? – skarcił ją lodowatym tonem. – To najlepsza droga na tamten świat.

Zmarszczyła nos. Oby Dan tego nie pamiętał.

Koślawe litery nad furtką oznajmiały, że przyjechała do Pines

Cottage. Wysiadła z samochodu, zabrała siatki i nogą pchnęła furtkę. Im głośniejszy szumiał ocean, tym rzadziej rosły drzewa. Po chwili zobaczyła mały białoniebieski domek. Przy drzwiach wisiał stary mosiężny dzwon okrętowy.

Przełożyła torby z wiktuałami do jednej ręki, pociągnęła za sznurek i cofnęła się o krok. Jak szczeniak głęboko wciągała nosem rześką morską bryzą. Nabrała przekonania, że tego wieczoru będzie się dobrze bawić, nawet jeśli jest to tylko kolacja ze starym przyjacielem. Fakt, że przyjaciel jest bardzo przystojny, nie ma tu nic do rzeczy.

Pancho wyskoczył jak z procy, zaledwie Dan uchylił drzwi. Ellie przyjrzała się psu, który obwąchiwał ją i witał w szaleńczych podskokach. Nigdy w życiu nie widziała brzydszego stworzenia.

75

- Założę się, że wzięłeś tego kundla, bo wiedziałeś, że nikt inny go nie zechce.

- Był w schronisku od dawna. W przyszłym tygodniu mieli go wyekspediować do psiarni Pana Boga. Spojrzał na mnie tymi dużymi brązowymi ślepiami...-Dan wzruszył ramionami i westchnął ponuro - ...a teraz mu się wydaje, że jest moim panem. - Wyjął jej torby z ręki. - To ja cię zaprosiłem, a ty odwaliałaś całą robotę.

- Co to, to nie, szanowny panie. Nie ma mowy. Od tej chwili ty przejmujesz pałeczkę. - Przeszli razem do kuchni. Ellie zajęła się wypakowaniem jedzenia.

Pancho wspiał się na tylne łapy. Radośnie wywijał ogonem, łakomie obwąchiwał steki. Ellie skarciła go surowo:

- O nie, psie, nie ma mowy. Nawet takie cudo jak ty nie ma na co liczyć.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten kundel ci się podoba? - Dan nie posiadał się ze zdumienia.

- Wygląda jak futrzana poduszka nadgryziona przez mole, ale mam miękkie serce dla życiowych rozbitków.

- Mam nadzieję, że mnie nie zaliczasz do tej kategorii. Roześmiała się głośno.

- Myślałam, że sprawy się mają dokładnie odwrotnie. O, jest. - Ostrożnie wypakowała kawałek ślicznego różowego tortu ze srebrnym napisem „Wszystkiego najlepszego, Miss Lottie”, wetknęła palec w lukier i oblizała z apetytem.

- To okropne, wiem - przyznała, przewracając oczami z rozkoszy. - Ale nie mogłam się powstrzymać.

- Babcia ci na pewno powtarzała, że jeśli zaczniesz od ciasta, kolacja

nie będzie ci smakować.

- Spodziewałam się, że powiesz, że nie można zjeść ciastka i nadal go mieć.

- Robię co w mojej mocy, żeby udowodnić coś wręcz przeciwnego. A ty? Z westchnieniem oparła się o zlew.

- Staram się, staram.

Miała smutny głos. Nalał jej wina.

- Iron Horse - poinformował. - Świetna winnica. Spróbuj i powiedz, co myślisz.

Spojrzała mu niewinnie prosto w oczy.

- Myślę, że zbyt dużo czasu upłynęło, odkąd jadłam kolację z mężczyzną. - Po chwili dodała ze śmiechem: - Wprawdzie co wieczór jadam z wieloma facetami, ale to się nie liczy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Wiem. - Nadal patrzył jej w oczy. - To miłe. Zwłaszcza że jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Kilka stopni prowadziło na plażę. Nadchodził przypływ. Łagodny wiatr rozwiewał włosy Ellie, która, przechylona przez poręcz werandy, napawała się pięknem oceanu. Dan zauważył bliznę na jej czole. Skąd ona się wzięła? - zastanawiał się. Potem zaproponował:

- Masz ochotę na spacer o zachodzie słońca?

Zdjęła adidas i prawie pokonała Pancho w szaleńczej gonitwie na plażę. Podwinęła nogawki spodni, krzyknęła:

76

- Kto ostatni, ten mięczak! - i odbiegła. Ruszył za nią. Bolał go każdy mięsień.

- Patrzcie państwo, co to za staruszek! - Drażniła się z falami, zachwycona wolnością. - Gdzie się podział Dan surfer, Dan z brzuchem jak deska do prasowania i pośladkami z marzeń każdej dziewczyny?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Masz niezłą pamięć. Ciekawe, czy pamiętasz również, jak na mnie wymiotowałaś?

Dogonił ją. Jęknęła.

- Miałam nadzieję, że o tym zapomniałeś.

- Skądże znowu. Nie wiem tylko, czy nosiłaś wtedy aparat, czy nie? Tak energicznie pokręciła głową, że rude włosy podskoczyły.

- Zaczęłam dopiero później. Dobrze, że chociaż tego nie dodasz do twoich wspomnień.

- Może... do moich życzeń.

Spojrzała na niego podejrzliwie, więc wyjaśnił:

- Już wtedy byłaś słodkim dzieciakiem.
- Kłamca! - uśmiechnęła się. - Byłam jak Pancho, niezdarna, miałam długie pająkowate nogi i wielkie stopy. Ścigamy się do skał! - krzyknęła i już jej nie było. Zrezygnowany ruszył za nią. Wróciła zaraz. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Ostatnio tak się czuła pierwszego dnia w college'u, pierwszego dnia wolności. Nieważne, że to tylko jeden dzień.
- Ha! - mruknęła. - Wiedziałam! To skutek wypadku. Pozwiesz mnie do sądu i zedrzesz ostatnią koszulę z pleców. Będę ci płacić rentę do końca życia.

Parsknął śmiechem.

- To, że rozwaliłaś mój nowiutki samochód, nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu dziś po raz pierwszy od lat jechałem konno. To klacz, równie niesforna jak ty i dwa razy silniejsza. Bolał mnie miejsca, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

- Mówią, że konie są pod tym względem jeszcze gorsze niż rowery. Wsunęła dłoń pod jego ramię. Wolnym krokiem wracali do domu.

- Dlaczego odszedłeś z policji? - zapytała nagle.

- Na mojej drodze stanęła kula. Najpierw uważałem się za szczęściarza, bo nie zginąłem, ale potem okazało się, że do emerytury mam siedzieć za biurkiem. - Wzruszył ramionami. -

Wtedy zatęskniłem za życiem na wsi. Przyziemnym, małomiasteczkowym i spokojnym. Od codziennego obcowania ze zbrodnią robiło mi się niedobrze.

Skinęła głową: rozumiała go. Wdychała słone powietrze i rozkoszowała się dotykiem jego skóry na rękę, jego męskością. Dużo czasu upłynęło od ostatniej randki, stwierdziła. To oczywiście nie jest randka w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Teraz on pytał:

- A ty? Pamiętam, że twoja rodzina była bogata. Rezydencja na szczycie wzgórza, prawnicy zarządzający majątkiem, stare pieniądze.

77

Zatrzymała się. Cisnęła kamyk w fale.

- Tak było kiedyś. Teraz muszę zarabiać na życie. Moja babcia nadal mieszka w Journey 's End, ale ledwo wystarcza na utrzymanie domu. Nie ma już prawników, bo nie ma czym zarządzać. Jakimś cudem pieniądze się skończyły, zanim nadeszła moja kolej. -

Odgarnęła włosy z oczu. - Jak to się mówi, takie j est życie.

- Nie żałujesz?

- Żartujesz chyba. - Roześmiała się. - Pewnie, że żałuję. Po

pierwsze, babcia mogłaby prowadzić styl życia, do jakiego przywykła, nie martwiąc się, skąd brać pieniądze. Po drugie, moje życie byłoby wówczas dużo łatwiejsze. – Zamyśliła się na chwilę. – Z drugiej strony, prawdopodobnie i tak robiłabym to samo co teraz, a to chyba o czymś świadczy. Wiesz, jeśli ci na czymś zależy, robisz to, z pieniędzmi czy bez. W innym wypadku jestem idiotką, skoro pracuję po osiemnaście godzin dziennie w knajpie, która ledwo wiąże koniec z końcem.

– Wygląda na to, że siedzimy na tym samym koniu. Moja winnica to ruina. Prawdopodobnie upłyną całe lata, zanim doprowadzę ją do ładu. Podobno ciąży na niej klątwa i nigdy nie wyprodukowano tu butelki przyzwoitego wina.

– Dopóki ty się nie pojawiłeś.

– Dopóki nie pojawił się Carlos Ortega. Mój nowy zarządca.

Chociaż niewykluczone, że uciekł z cyrku.

Śmiała się, kiedy jej opowiadał o przybyciu Ortegi.

– Ale skąd wiesz, że możesz mu zaufać?

– Przeczucie. Nie mam wiele ponad to, lecz w niego wierzę. I, jak sprytnie mi wyjaśnił, nie mam innego wyboru.

Pancho wyprzedził ich, wpadł do domu i po chwili znowu biegiem pognął na plażę. Kątem oka Dan zobaczył mięso w psim pysku. Z jękiem złapał się za głowę.

– Zwędził naszą kolację!

Ellie wychyliła się przez poręcz werandy. Pancho leżał na piachu i kończył konsumować stek z polędwicy.

– Co za przebiegły kundel – stwierdziła z podziwem. – Wybrał doskonały moment na dokonanie przestępstwa. Jest bardzo mądry.

Dan zerknął na psa ze złością.

– Nie mogę go oddać do schroniska. Myśli, że jest mój. Nawet sypia w moim łóżku.

– Danie Cassidy, straszny z ciebie frajer. Od pierwszego dnia trzeba psom pokazać, kto tu rządzi, w innym wypadku natychmiast wykryją twój słaby punkt i po tobie. – Uśmiechnęła się patrząc na psa, który radośnie tarzał się na piasku, machając łapami w powietrzu. – Jest rozkoszny, ale dobrze, że przywiozłam chleb i ser. Do tego butelka wina i nie mamy na co narzekać.

Weszli do kuchni. Ellie kroić bagietkę.

– Miałam cię zapytać... Nie ożeniłeś się? – pożałowała tych słów w tej samej chwili, w której je wypowiedziała. Najwyraźniej wino rozwiązało jej język. – Cofam pytanie – dodała pospiesznie.

Dan splótł ręce na piersi, oparł się o framugę.

78

- Byłem żonaty. Jako przyjaciółka masz prawo wiedzieć. Byłem, ale już nie jestem. To nie była jej wina, moja chyba też nie. To był romans dzieciaków, coś takiego rzadko kiedy się udaje. Dlatego wyjechałem do Nowego Jorku i zamiast biologiem, zostałem policjantem. - Wzruszył ramionami. - Ale nie żałuję. I tak mam przecucie, że moim przeznaczeniem była ta winnica.

- To tak jak moim przeznaczeniem jest restauracja, a nie leniwe życie damy z towarzystwa. Chyba odzywają się geny mojego ojca, był szalonym Irlandczykiem. - Zaniosła pieczywo do salonu, na stół.

- Może dlatego cię lubię.

-A lubisz? - ostrożnie postawił talerz z serem.

- Och, nie jesteś zły. - Flirtowała z nim. - W porządku. Dolał wina i usiadł obok niej na podłodze.

- Opowiedz mi o ojcu. I matce.

Ellie sięgnęła po kieliszek. Było tyle do opowiedzenia - a zarazem tak mało. Tak mało wspólnie spędzonych lat.

- Wiem, że była piękna - zaczęła po dłuższej chwili. - Miałam zaledwie pięć lat, kiedy zginęła, ale do dziś pamiętam jej uśmiech i jej perfumy. Używała Fracas Piguet. Te perfumy pachną, jakby wszystkie lilie świata zamknięto w szklanej buteleczce. Są bardzo charakterystyczne, nie znoszę czuć ich od innych kobiet. Wystarczy, że o nich pomyślę, a już mam wrażenie, że ona tu jest.

Rozdział 20

E

Ellie słyszała historię swoich rodziców nieskończenie wiele razy. W dzieciństwie była to jej ulubiona bajka na dobranoc. „Opowiedz mi o mamie i tacie” – prosiła, i Miss Lottie powtarzała ją po raz kolejny. Często miała łzy w oczach, które Ellie wycierała małutkimi paluszkami.

- Kiedy moja mama przyszła na świat – powiedziała Danowi – dziadkowie nie mogli się zdecydować, po kim nadać jej imię, więc w końcu nazwali ją Romaną. Miss Lottie zawsze powtarza, że później ciągle tego żałowała, bo dziewczyna była dokładnie taka jak jej imię. Miała cygańską naturę: zawsze szczęśliwa, upojona samym faktem, że żyje i że kocha. A biedna Miss Lottie, dama z krwi i kości, miała wrażenie, że córka jest wiecznie zakochana, od kiedy skończyła piętnaście lat.

Po nagłej śmierci męża musiała wychować Romany sama. Była surowa, a dziewczynka nie uznawała żadnych autorytetów, lecz

babcia ciągle miała nadzieję, że się pewnego dnia ustatkuje. Tymczasem czasy się zmieniły. Nadeszły lata sześćdziesiąte, młodzi postawili świat, który znała Miss Lottie, do góry nogami. Żył się chwilą. I na własnych warunkach.

Kiedy Romany miała dwadzieścia cztery lata, uciekła z domu z Rorem Du-veenem, z nieznannej rodziny i bez grosza przy duszy. Na dodatek był od niej o piętnaście lat starszym rozwodnikiem.

„Dlaczego?” – dopytywała się załamana Miss Lottie.

„Bo go kocham, mamuśka” – odparła jej piękna, roześmiana córka. W błękitnych oczach lśniła dziecięca psotliwość: Romany wiedziała, że matka nie znosi nazywania jej „mamuśką” prawie tak bardzo, jak nienawidzi nowego zięcia.

Co się stało, to się nie odstanie – kontynuowała opowieść Ellie. – Romany miała własne pieniądze, spadek po ojcu. Młodzi podróżowali po całym świecie w oparach marihuany i doskonale się bawili. Bo, jak zwykł mawiać Rory, cóż innego można robić w życiu?

80

Po kilku latach zwolnili tempo, żeby Romany mogła mnie urodzić, a potem znowu ruszyli w świat, zostawiając mnie pod opieką Miss Lottie. Czasami, mimo jej sprzeciwów, zabierali mnie ze sobą do Europy. Rory nie znosił Kalifornii w lecie, jego zdaniem było tu za gorąco.

Wyprostowała plecy. Dziwne, ale ten drobny gest najlepiej wyrażał jej smutek.

– I tak żyli. Do dnia, w którym biały bentley ich zawiódł i spadli w przepastny kanion w górach Los Padres.

...Jest jeszcze coś – dodała po chwili namysłu. Ściągnęła brwi w zadumie. – Widzę nas na górskiej szosie, słyszę śpiew ojca, widzę, jak się do mnie odwraca z uśmiechem. Pamiętam, jak samochód tak się śmiesznie zakrztusił... ojciec cały czas śpiewał, pamiętam nawet, jak się do siebie uśmiechali... a potem już ich nie było.

Wyrzuciło mnie na krzaki na poboczu. Siedziałam tam, ciągle w słomianym kapelusiku nasuniętym na oczy, z długą raną na czole.

Tak mnie znaleziono dużo później.

Wstrząsnął nią dreszcz. Dan nie wiedział, czy wywołały go smutne wspomnienia, czy wieczorny chłód. Na wszelki wypadek wstał, żeby zamknąć okna i rozpaścić ogień na kominku. Podał Ellie sweter. Przyjęła go z wdzięcznością. Był miękki, ciepły i przyjemnie pachniał mężczyzną.

– Właściwie nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam –

stwierdziła. – Nigdy z nikim nie rozmawiałam na ten temat, tylko z Miss Lottie i Mayą. Uważałam, że to wyłącznie moja sprawa. Co najdziwniejsze jednak, ciągle mam wrażenie, że o czymś zapomniałam. To jest na krawędzi wspomnień, ale niczego nie pamiętam. – Westchnęła ze smutkiem. – Za to ich pogrzeb pamiętam, jakby to było wczoraj. Był to jeden z najpiękniejszych, najbardziej uroczystych pogrzebów w historii Montecito. Miss Lottie tego chciała, ze względu na Romany. Kościół i Journey's End ginęły wśród białych róż. Mnie wystroiła w sukienkę z białej organdy i lśniące czarne buciki, jakbym szła na przyjęcie. Tłumy ludzi odprowadzały moich rodziców do grobu. Chór śpiewał „Naprzód, rycerze Chrystusa”, gdy opuszczano trumny. Pamiętam, że płakałam. Nie mieściło mi się w głowie, że moi barwni, tryskający energią i radością życia rodzice odeszli. Cały czas czekałam, że wyskoczą zza drzew z okrzykiem „A kuku!”, bo często robili to po powrocie z licznych podróży.

Niestety, ich śmierć była faktem, i obie, Miss Lottie i ja, musiałyśmy się nauczyć z tym żyć. Jeszcze wiele lat później w snach słyszałam przeszywający dźwięk rozdzieranej blachy, brzęk tłuczonego szkła. A potem ciszę, nie kończącą się, śmiertelną ciszę. Nawet świerszcze przestały wtedy grać, ptaki śpiewać. Wydawało się, że góry pogrążyły się w żałobie.

Nie minęło wiele czasu, a Miss Lottie poinformowała mnie, że w ciągu dziesięciu lat Romany przehuła fortunę, którą gromadziły trzy pokolenia Stamfordów. Wystarczyło tego na dziesięć lat podróży dookoła świata na luksusowych jachtach, w czarterowych samolotach. Musieli mieć wszystko w najlepszym gatunku, bo, jak mawiał mój ojciec, życie ma być przyjemne, a na co innego mogą

6-Wcześniej...
81

się przydać pieniądze, jak nie na dostarczanie przyjemności? Taka była ich filozofia życiowa. Kierowali się nią za życia, do samej śmierci, bo zginęli w kabriolecie wartym sto tysięcy dolarów.

– To okropne. – Dan pochylił się nad stolikiem i wziął ją za rękę. – To okropne przeżycie, zwłaszcza dla takiej małej dziewczynki.

Ogień na kominku wypełniał pokój złotym światłem, natomiast kąty nikły w mroku. Z zewnątrz dobiegał monotony szum fal. Ellie czuła się zawieszona w czasie, jakby cofnęła się o wiele lat i po raz pierwszy wyraźnie postrzegala fakty, które miała wymazać z pamięci. Oczy Dana pociemniały od współczucia.

– Tamtego roku dowiedziałam się wszystkiego o strachu –

powiedziała cicho. – Najpierw śmierć rodziców, a potem babcia...
Zawahała się.

– Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam, nawet mojej najlepszej przyjaciółce, Mai. Miss Lottie mi zabroniła, powiedziała, że mam to wymazać ze wspomnień, zetrzeć jak krede z tablicy i nigdy do tego nie wracać. Próbowałam, lecz nigdy mi się to nie udało. Nie zapomniałam ani samego zajścia, ani jak bardzo się wtedy bałam. Dan sięgnął po kieliszek. Widząc, że stare koszmary na nowo napawają ją przerażeniem, zapytał:

– Chcesz mi opowiedzieć?

Tak długo trzymała to w sobie. Uznała, że wypowiedzenie tego na głos przyniesie jej ulgę.

– To się zdarzyło kilka tygodni po wypadku. Miss Lottie zawsze sama układała mnie do snu i czytała bajkę na dobranoc. Wyobrażam sobie, jak było jej ciężko. Musiała sama uporać się ze śmiercią Romany, a jednocześnie udawać dziarską i energiczną ze względu na mnie. Podejrzewam, że zasypiała zapłakana, jak ja. A ja bardzo nie lubiłam zostawać sama w nocy.

Kiedy opowiadała o tym Danowi, widziała siebie, małą dziewczynkę w biało--niebieskim pokoju, na wąskim dzieciennym łóżeczku, które przed laty należało do Romany. Okno było odsłonięte i otwarte na oścież, jak zwykle, latem czy zimą. Miss Lottie upierała się przy tym, „dla zdrowia”, jak twierdziła. „Małe dziewczynki potrzebują dużo tlenu w czasie snu”, powtarzała. Tylko że gałęzie jałowca tak groźnie pukały w szybę. Ellie nie mogła zasnąć, więc, jak często w tym okresie, ześlizgnęła się z wysokiego łóżka i bosą, w piżamie, pobiegła do pokoju Miss Lottie.

Przekręciła klamkę, zajrzała do środka. Pokój był pusty, więc podeszła do szczytu schodów i spojrzała w dół.

Na dużym kominku buzował ogień, lampy rozjaśniały mrok. Wielki hol wyglądał zapraszająco, przytulnie, o wiele milej niż jej pusty pokój. Kurczowo trzymając się dębowej poręczy, powoli zeszła na dół. Wiedziała, gdzie znajdzie Miss Lottie, i dążyła tam jak gołąb wracający do gniazda.

W tamtym czasie często zakradała się i cichutko siadywała w bibliotece, obserwując, jak babcia otwiera koperty, pisze listy, rozmawia przez telefon. Miss Lottie najpierw udawała, że jej nie widzi, aż w pewnej chwili podnosiła głowę, odnajdywała jej wzrok i mówiła:

82

- Czas do łóżka, dziecino. Późno już. Chodź, zaprowadzę cię na

górze. Musisz mi obiecać, że tym razem będziesz spała. Ellie zawsze obiecywała solennie. O dziwo, zawsze dotrzymywała słowa: magia biblioteki, skrzypienie pióra na papierze, równomierne tykanie zegara miały na nią kojący wpływ.

Ale nie tamtej nocy. Zza uchylonych drzwi dochodziły głosy. Zaciekawiona, ukradkiem przyjrzała się późnemu gościowi. Nie zauważona przez nikogo, wślizgnęła się do biblioteki i wdrapała na swoje ulubione miejsce: stary chiński fotel, który Miss Lottie nazywała „tronem mandaryna”. Gładko wypolerowane drewno było zimne. Zadrżała, obserwując babcię i nieznajomego. Była ciekawa, o czym rozmawiają.

Nagle mężczyzna zerwał się na równe nogi. Podbiegł do Miss Lottie. Krzyczał coś ostrym, gniewnym głosem. Ellie nigdy nie słyszała równie szorstkich słów. W następnej chwili był tuż przy babci, zaciskał ręce na jej szyi. Krzyczał coś, w kółko powtarzał te same słowa... „Suko, ty stara suko, zabiję cię i odbiorę, co moje...” Mała Ellie zacisnęła rączki na poręczy fotela. Z przerażenia szeroko otworzyła usta. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Dygotała w panice.

- Babciu! - zawołała. - Babciu!!!

Odwrócił się i ją zobaczył. Na widok czystego, absolutnego zła w jego oczach opadła z powrotem na krzesło. Zaczęła wrzeszczeć.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko. Lokaj Gustave i szofer wpadli pędem, za nimi biegli ochroniarze z pistoletami w dłoniach. Nie minęła chwila, a nieznajomy leżał na podłodze, z rękami wykręconymi do tyłu, z twarzą wtuloną w dywan.

Strażnik przyłożył mu lufę do skroni. Miss Lottie patrzyła na niego z góry. Drżała, była blada i zła. Ale nie było w niej strachu.

Wtedy wbiegła Maria. Porwała Ellie na ręce i ciągle przerażoną, ciągle płaczącą, zniosła na górę.

Po jakimś czasie Miss Lottie przysła z nią porozmawiać.

- To był wariat - wyjaśniła. - Już go tu nie ma. Masz zapomnieć, że go kiedykolwiek widziałaś. Już nigdy nie będzie nam zakłócał spokoju. Ellie, obiecaj mi, że zapomnisz o tym, co się dzisiaj wydarzyło, i że nigdy nie będziesz o tym wspominała.

I Ellie obiecała.

- I do dzisiaj dotrzymałam słowa- zakończyła swoją opowieść, patrząc w pociemniałe oczy Dana. - Byłam za mała, żeby zrozumieć, co się dzieje, ale wiedziałam, że chciał jej zrobić krzywdę. Później powiedziała, że szczęśliwy traf sprowadził mnie tamtego wieczoru do biblioteki. I że uratowałam jej życie.

- Czy wiesz, kto to był? Potrząsnęła głową.
 - Mówiłam ci, nigdy więcej nie rozmawialiśmy na ten temat.
- Westchnął.

83

- Dla pięciolatki to był naprawdę okropny rok. Twoja babcia zasłużyła na medal, pomagając ci się z tym wszystkim uporać. Na kominku głośno trzasnęło polano. Ellie ziewnęła.
 - Przegadałam pół nocy - stwierdziła przepraszająco. - Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Jesteśmy przyjaciółmi? Wyciągnęła do niego rękę.
 - Jasne. - Miała silne, chłodne dłonie. - Jako przyjaciel nie pozwolę ci teraz jechać do domu. Wypiłeś dużo wina, opowiadałeś o sobie przez pół nocy i jesteś najbardziej zmęczona kobietą, jaka w życiu widziałem. Pościel jest czysta, łóżko wygodne. I do twojej wyłącznej dyspozycji.
- Pokręciła głową.
- Nie mogę. - Ziewnęła. - Przepraszam, chyba morskie powietrze tak na mnie działa. - Ułożyła się wygodniej na miękkiej kanapie. - Muszę wracać - wymamrotała. - Jutro o ósmej mamy dostawę.
- Dan skwitował te słowa uśmiechem. Zaśnie, ani się obejrzy. Poszedł do sypialni po koc. Jak przypuszczał, kiedy wrócił, już smacznie spała. Otulił ją troskliwie. Na chwilę zatrzymał dłoń na jej włosach. Kiedy spała, wyglądała jak niewinne dziecko. W ciągu dnia była stuprocentową kobietą.
- Wyszedł na werandę. Pancho położył się u jego stóp, oparł nos na przednich łapach i zasnął. A Dan wpatrywał się w noc, słuchał szumu fal i myślał o kobiecie śpiącej w saloniku. I ciężkiej pracy, która go czeka. Dużo czasu upłynęło, zanim poszedł spać.
- Obudził ją raniutko. Na stole czekały tosty i kawa.
- Ellie zerwała się błyskawicznie. Nieprzytomnym gestem przeczesła włosy.
- Która godzina?
 - Szósta. Spokojnie, przyjaciółko. Zdasz coś zjeść i jeszcze wskoczyć pod prysznic.
- Uśmiechnęła się, gdy nazwał ją przyjaciółką. Zabawnie przechyliła głowę na bok.
- Dzięki, Wesoły Danny.
 - Nie ma za co, psze pani - powiedział, ale pomyślał sobie, że chyba niełatwo będzie tylko się z nią przyjaźnić.

Rozdział 21

M

niej więcej w tym czasie, gdy pili poranną kawę, Buck wylegiwał się na kanapie w apartamencie w hotelu Biltmore. Czekał, aż podadzą mu śniadanie do pokoju, i przeglądał kolumny z ogłoszeniami w „USA Today”.

Bogowie mu sprzyjali. Prawie natychmiast znalazł to, czego szukał – skrytka pocztowa i odbieranie telefonów. Fakt, że mieściło się to w Miami, pięć tysięcy kilometrów od Kalifornii, odpowiadał mu idealnie. Zadzwoił i załatwił wszelkie formalności. Będą odbierali telefony jako Towarzystwo Budowlane Eda Jensena. Nie żeby się jakichś spodziewał, ale na wszelki wypadek wolał się ubezpieczyć na wszystkich frontach.

Podano śniadanie. Z wilczym apetytem zjadł naleśniki z jagodami, ubrał się, spakował i wymeldował z hotelu. Gdyby zatrzymał się tu na dłużej, zapamiętaliby go, zaczęliby zadawać pytania. Zresztą nie wiadomo, czy od razu uda mu się sprzedać Journey's End, więc lepiej ostrożnie obchodzić się z pieniędzmi.

W Los Angeles wynajął tanią kawalerkę przy wąskiej uliczce niedaleko Sun-set. W budynku mieszkali głównie młodzi ludzie, ciągle zmieniający miejsce pobytu. Mieszkanie miało osobne wejście, co bardzo Buckowi odpowiadało.

Rzucił torby na podłogę i wyszedł. Przejechał zaledwie kilka przecznic, gdy trafił na niewielki zakład drukarski wykonujący ekspresowe zamówienia. Zamówił wizytówki Towarzystwa Budowlanego Eda Jensena z adresem i telefonem w Miami.

Następnie pojechał na zachód, do Santa Monica.

Zanim dotarł do kafejki „U Ellie”, było późne popołudnie. Szczęście go nie opuszczało: właśnie zwolniło się miejsce dokładnie naprzeciw wejścia i mógł tam zaparkować BMW. Kierowca innego wozu zaklął szpetnie pod jego adresem, lecz Buck nie zwracał na niego uwagi. Wrzucił do parkometru pięćdziesiąt centów i wrócił do auta, skąd obserwował kafejkę.

85

Choć dochodziła dopiero szósta, przy kilku stolikach już siedzieli goście. Obsługiwała ich seksowna blondynka, natomiast po Ellie nie było śladu. Nasilający się ruch zasłonił mu widok. Wściekły, rozejrzał się dokoła.

Zaparkował akurat przed małym barem, w którym było pełno ludzi, a którego okna wychodziły idealnie na kafejkę.

Wszedł, zamówił mrożoną kawę i usiadł przy oknie. Uważnie wypatrywał Ellie.

Minęło pół godziny. Zamówił jeszcze jedną kawę. Zastanawiał się,

czemu do tej pory nie przyszła. I wtedy ją zobaczył, biegła bez tchu, rude włosy powiewały jak chorągiew. Przyciskała do piersi spore pudełko. Widział, jak zdyszana wpada do środka.

– Najwyższy czas – powitała ją May a zza lady. – Zaczęłam już podejrzewać, że sama reperujesz ten ekspres do kawy.

– Przepraszam. – Ellie z ulgą rzuciła pudło na kontuar. – Ale musiałam coś wymyślić, zanim wszyscy goście uciekną od nas do konkurencji. To nam wystarczy, dopóki nie naprawią dużego ekspresu.

Pobiegła na zaplecze, zobaczyć, jak wygląda sytuacja w kuchni.

Chan z ponurą miną przestawiał garnki i patelnie. Terry siekał warzywa. Na gazie bulgotała „zupa dnia”, z rondli z sosami unosiły się smakowite zapachy.

– Odchodzę – powitał ją Chan. – Kuchnia jest za mała.

– Małe jest dobre, Chan. – Opasała się nieskazitelnie białym fartuchem. – Nie musisz dużo chodzić. W dużej kuchni nogi znacznie bardziej dawałyby ci się we znaki. – Nogi często go bolały, narzekał na nie bez przerwy i dla wygody chodził w drewniakach. Ellie spięła włosy w koński ogon, założyła czapeczkę baseballową i pobiegła witać nowych klientów.

May a zablokowała jej drogę.

– Nie tak szybko, Ellie Parrish. Najpierw opowiesz mi o wczorajszym wieczorze.

– O wczorajszym wieczorze? – Przekornie udawała, że nie wie, o co chodzi. – Och, było bardzo miło. Miło, rozumiesz. Fajnie jest się spotkać ze starym przyjacielem.

– Co ty ciągle o tej przyjaźni? Kiedy go poznałaś, byłaś dzieckiem. Nie uwierzę, że się wtedy przyjaźniliście.

– Za to przyjaźnimy się teraz.

– Nie zaproponował ci następnej randki?

– Maya, ile razy mam ci powtarzać, że to nie była randka?

Zjedliśmy razem kolację. Opowiadał o swoim życiu, a ja o moim.

Później zasnęłam, rano obudził mnie kawą i tostami...

W bursztynowych oczach Mai czaiło się zdumienie i niedowierzanie.

– Chwileczkę, dziewczyno. Nie chcesz chyba powiedzieć, że zostałeś u niego na noc po pierwszej randce? Mój Boże, celibat rzucił ci się na mózg. Albo ten facet jest uwodzicielem doskonałym. Ellie, chyba musimy bardzo poważnie porozmawiać. Nie wiesz, jak trzeba się zachować na pierwszej randce?

- Tylko rozmawialiśmy, to wszystko. Czy raczej ja mówiłam, on słuchał.

- Słuchanie to świetna metoda - stwierdziła Maya podejrzliwie. - Nie ufam temu facetowi za grosz.

- Uwierz mi, raz na jakiś czas bardzo miło jest mieć słuchacza. To niezła odmiana, bo zwykle ja wysłuchuję ciągłych kazań. - Ellie wyminęła ją, witała uśmiechem stałych bywalców, podawała karty dań nowo przybyłym gościom. Zaczął się kolejny pracowity wieczór.

- Pomyśl, co by na to powiedziała twoja babcia - syknęła Maya mijając ją.

- Przypomnij mi później, żebym ci opowiedziała o kazaniu, które mi urządziła, na temat mojego życia erotycznego, czy też raczej jego braku - odparła szeptem Ellie. Uśmiechnęła się widząc, jak brwi przyjaciółki unoszą się w niemym pytaniu.

Właśnie w tej chwili Buck przekroczył próg restauracji. Rozejrzał się w poszukiwaniu Ellie, lecz zamiast niej spieszyła ku niemu piękna blondynka.

- Dobry wieczór. - Uśmiechnęła się uprzejmie. - Stolik dla dwóch osób? Odpowiedział tym samym.

- Niestety, dzisiaj jestem sam.

- Szkoda, ale wybrał pan właściwe miejsce. Nawet samotni goście się u nas dobrze czują, a jedzenie jest znakomite. - Zaprowadziła go do stolika przy oknie ze słowami: - Może pan obserwować przechodniów, to umili panu czekanie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wie pani, jak sprawić, by każdy tu się czuł mile widziany.

- Na tym polega moja praca. Powiem panu, jakie dziś mamy dania dnia. Z win polecam Vieille Ferme, z czerwonych, a jeśli chodzi o białe - chardonnay Fess Parker.

Buck był uprzejmy i grzeczny, zamówił soupe aupistou i krewetki a la Chan. Od niechcienia skubnął dobrego chleba, rozglądał się i czekał.

Wychylił pół szklanki wina, kiedy Ellie wyszła z kuchni. Posłała mu uśmiech, obsługując sąsiedni stolik. Buck szybko opróżnił szklankę.

- Przepraszam, czy mogę prosić jeszcze raz to samo? - zapytał z uśmiechem.

- Oczywiście. A co pan pił? - Jej głos był słodki jak cukier.

- Czerwone wino. Zdaje się, Ferme coś tam.... - Wyglądał na zagubionego.

- Vieille Ferme.
- Chwileczkę! - Udawał bardzo zdziwionego. - Czy pani nie była wczoraj w Biltmore? W Montecito?
-Owszem, ale...
- Zauważyła pani, że się źle czuję. Była pani na tyle uprzejma, że się zatrzymała i zapytała, czy nic mi nie jest. - Spojrzał na nią ciepło. - Czegoś takiego się nie zapomina. W dzisiejszych czasach taka troskliwość to rzadkość, niestety.
Z czoła Ellie znikły zmarszczki.
- Tak, teraz sobie pana przypominam. Cieszę się, że się pan lepiej czuje.
- Prawdopodobnie za długo siedziałem na słońcu, i tyle.
Uśmiechał się tak przyjaźnie, że odpowiedziała tym samym, choć z pewnością słońce nie mogło mu zaszkodzić. Był blady jak kreda.

87

- Zaraz panu podam wino - obiecała.
Buck nie posiadał się z radości. Roziskrzonym wzrokiem odprowadzał jej zgrabną sylwetkę. Nucił „Dixie” i czekał, aż wróci. Tymczasem wino podała mu blondynka.
- Proszę bardzo - postawiła przed nim szklanekę. - Od Ellie, na koszt firmy.
Był wniebowzięty. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jadł równie smaczny posiłek. Jedzenie było niezłe, ale dodatkowego smaku dodawał mu fakt, że miał doskonale miej sce, skąd mógł cały czas patrzeć na Ellie. Był zazdrosny o każdego mężczyznę, z którym rozmawiała, o każdy uśmiech, który dodawała gratis do posiłków. Nie spieszył się. Kiedy szedł do kasy, żeby zapłacić, restauracja powoli pustoszała.
- Mam nadzieję, że jedzenie panu smakowało?
Podał jej banknot. Przez ułamek sekundy ich dłonie się dotykały. Dla niego było to jak wybuch dynamitu.
- Pyszne. Wino również. Jest pani bardzo uprzejma.
- Dbamy o naszych gości.
- Dziękuję. Nazywam się Ed. Ed Jensen.
- Mam nadzieję, że znowu pan do nas zajrzy, panie Jensen. - Posłała mu ten swój szeroki uśmiech.
Wyszedł. Był bardzo z siebie zadowolony. Faza pierwsza rozpoczęta. Kontakt nawiązany.
Po drugiej stronie ulicy dorzucił monet do parkometru, wsiadł do samochodu i czekał. Tego wieczoru ruch nie był duży. O dziesiątej seksowna kelnerka pożegnała się i wyszła, a Ellie wywiesiła w

drzwiach tabliczkę „Zamknięte”. Znikła mu z oczu.

Chan i jego pomocnik poszli do domu pół godziny wcześniej. Ellie była sama. Oparła się o ladę. Myślała o Danie. Czy nie powiedziała zbyt dużo o sobie, o swoich uczuciach? Taka spowiedź nie należy do najzabawniejszych form spędzania czasu. Dlatego nie zaproponował następnego spotkania. Upiła łyk wody.

Ze wzruszeniem ramion, które miało znaczyć: „A kogo to obchodzi?”, odstawiła szklanke, powtarzając sobie, że i tak nie ma na nic czasu. Zdjęła fartuch, rozpuściła włosy, odetchnęła z ulgą. Sięgnęła po kurtkę i torebkę.

Gdy mocowała się z kluczem, Buck szybko wykręcił, łamiąc przy tym przepisy, i zaraz ruszył za nią. Przeszła kilka przecznic, zanim skręciła w kierunku kilkupiętrowego parkingu. Zatrzymał się przy krawężniku. Silnik mrucał cicho.

Wyjechała po chwili żółtym dżipem. Zatrzymała się na skrzyżowaniu, włączyła lewy kierunkowskaz. Buck zawrócił po raz drugi. Jechał tuż za dżipem.

Zmęczenie otulało Ellie jak szary koc. Chciała tylko trafić do domu, wziąć gorący prysznic i iść spać. Jechała do domu jak automat. Nie zauważyła, że za nią ktoś jedzie.

Wcisnęła guzik otwierający drzwi garażu. Niestety, kapryśne wrota odmówiły posłuszeństwa w połowie. Naciskała kilkakrotnie, zanim ustąpiły całkowicie. Z ulgą wjechała do środka. Wyskoczyła z samochodu w ciągu sekundy, gnała na górę, po drodze zrzucając z siebie ubranie.

Po prysznicu podeszła do okna. Oparta o parapet, wsłuchiwała się w ciche odgłosy nocy. Wiał łagodny wietrzyk. W oddali szumiał ocean.

Przypomniał się jej dużo wyraźniejszy szum fal w Pines Cottage i intymny nastrój w pokoju rozświetlonym kominkiem. Dan, który siedział naprzeciwko niej, dolewał wina i jadł urodzinowy tort babci. Kundel, który smacznie spał u jego stóp, zjadłszy na kolację ich steki. W tym obrazie było tyle ciepła, że wyrwało się jej westchnienie żalu. Dan Cassidy jest bardzo zapracowanym mężczyzną. A ona równie zapracowaną kobietą.

– I nie było im nic pisane – mruknęła, układając się na miękkim łóżku.

Na dworze, w ciemności, Buck jęknął głośno, tak bardzo jej pożądał. Mimo chłodu nocy było mu gorąco. Płonał.

Pobiegł do samochodu. Na pełnym gazie wrócił do wynajętej kawalerki. Zamknął drzwi na klucz, rozbierał się w gorączce. Nagi,

miotął się po małym mieszkanku, rozdrażniony jak tygrys w klatce, tak samo jak robił to w Ośrodku Hudson. Tylko że tu nie było strażników, którzy zagładaliby przez judasza i mówili: „Szykujcie kaftan bezpieczeństwa. Buckowi znowu odbiło”.

RozdzM22

c

Carlos Ortega na czworakach oglądał poszczególne pędy, ad korzenia po czubki, gałązka po gałązce.

– Niech pan patrzy, senior. – Wskazał wątłą, niepozorną gałązkę. – Te rośliny puszczały nowe pędy, zniszczyły je brak opieki i prawdopodobnie zła pogoda. Ale winorośl jest dobra. Jeśli się nimi zaopiekujemy, jeśli będziemy je pieścić jak małe dzieci, kochać, wtedy, senior, wtedy one ożyją.

– Innymi słowy, same pieniądze nie wystarczą. Mam również kochać moją winnicę. Carlos, to za bardzo przypomina nieudane małżeństwo.

– Nie, nie, senior. To nie to samo co kochać kobietę. To są pańskie dzieci. – Wstał z klęczek, rondem kapelusza otrzepał ziemię z kolan.

– Dobre nowiny, senior. Już oszczędzam pańskie pieniądze.

Dan również klęczał, oglądając pędy. Wdychał charakterystyczny, słodki zapach ziemi, czuł na dłoniach jej ciepło, widział malutkie czerwono-zielone pączki - młode kłącza. Ogarnęła go duma. To jego ziemia, jego winorośl, jego cholerne pędy. Ortega ma rację, są jak jego dzieci.

– Ile? – zapytał, wracając na ziemię, zanim popadnie w zbyt poetycki nastrój. Carlos z namysłem szarpał sumiaste wąsy.

– Dobre sadzonki cabernet? Dziesięć centów sztuka. Danowi od razu poprawił się humor. Nie jest tak źle.

– Na całe wzgórze – Ortega zatoczył łuk ramieniem – trzydzieści, może czterdzieści tysięcy dolarów.

Danowi zrzędała mina. Powinien był się domyślić. W uprawie winorośli wszystko brzmiało sensownie, dopóki nie brało się pod uwagę potrzebnej ilości.

– Czyli znowu muszę się spotkać z dyrektorem banku.

– Kupowanie sadzonek to jak uprawianie miłości – oznajmił Ortega. Puścił mimo uszu przyziemną uwagę o dyrektorze banku. – Uczysz się swojej kobiety, poznajesz jej zapach, hołubisz we wspomnieniach... właśnie tego szukasz, wybierając winorośl.

Bogatego aromatu wina, który pamięta twój nos. – Głęboko

90

wciągnął powietrze, z zadowoleniem skinął głową. – Najpierw, senor, zadzwoni pan do Centrum Uprawy Winorośli na Uniwersytecie Kalifornijskim. Gdyby nie mieli odpowiedniego cabernet, pojedziemy do Napa. Znam tamtejsze winnice. Później, bliżej zbiorów, pojedziemy skosztować owoców. A ja rozpoznam te najlepsze. – Z rozkoszą przewracał oczami. – Wyprodukujemy świetny cabernet. Dan żywił gorącą nadzieję, że Carlos się nie myli.

– Kiedy zaczniemy sadzić?

– Lipiec będzie dobry. Dalej na północ musielibyśmy czekać do sierpnia, ale tu jest cieplej.

Dan spojrzął na łagodne zbocze. Już sobie wyobrażał bujną winorośl, ciężką od soczystych owoców. Tymczasem na polu uwijało się pół tuzina Meksykanów; wrywali chwasty, udrażniali kanaliki nawadniające. Z głośników starego pikapa Ortegi grzmiała pogodna meksykańska muzyka mariacki. Pancho usadowił się na platformie i z wywieszonym ozorem rozglądał się dokoła, jakby wszystko należało do niego. Ze szczytu wzgórza dobiegał warkot piły mechanicznej – to stolarz likwidował przegniłe deski werandy. Florita wieszała pranie na sznurze przy kuchni. W stajni stały dwa konie. A on już niedługo prześpi się we własnym łóżku. Czuł się prawie jak w domu.

W progu biura powitał go dzwonek telefonu. Rzucił się biegiem.

– Winnica Running Horse, słucham?

– Brzmi prawie prawdziwie – ocenił Piatowsky. Dan słyszał śmiech w jego głosie.

– Bo jest prawdziwe. Tylko że będzie mnie kosztowało następne trzydzieści, może czterdzieści patyków.

– Za co, do cholery? – Pete wydawał się oburzony. Dan nie mógł opanować śmiechu.

– Na sadzonki, Piatowsky. Nie wiesz, co to znaczy, ale i tak ci nie powiem. Zaufaj mi. Ortega twierdzi, że doczekamy się wyśmienitego caberneta.

– Kimkolwiek j est Ortega, j jeśli cię namówił na wyrzucenie w błoto trzydziestu kawałków, musi być niezłym spryciarzem. To kupa szmału, stary.

– Tak, mój bankier pewnie przyzna ci rację. Więc? – Dan oparł zabłocone nogi o biurko. Przeczesał włosy dłonią. Nie mógł się doczekać, kiedy wejdzie pod prysznic. – Przyjeżdżasz?

– Najpierw chcę, żebyś ruszył resztkami mózgu, których nie wysuszyło do cna kalifornijskie słońce. Dzisiaj rano znalazłem coś

ciekawego. Pewnie nie słyszałeś niczego w telewizji, bo chłopcy z Los Angeles nie ujawniają żadnych szczegółów. O prostytutce zamordowanej w ciemnej alejce, niedaleko Sunset Boulevard. Piatowsky zawiesił głos dla lepszego efektu, a Dan ciekawie nadstawił ucha.

- Na jej czole wycięto krzyż, Cassidy. Od skroni do skroni, od nasady włosów do nosa.

Dan gwizdnął przeciągle.

- A więc to on. Miałem rację.

91

- Na nieszczęście tej prostytutki, miałeś. Na dodatek przeniósł się na twój teren, kolego. Skontaktowałem się z policją w Los Angeles i FBI, przekazałem, co mieliśmy o tamtej z Times Square, żeby porównali dane. To ten sam facet, użył tego samego noża, prawdopodobnie składanego. Wygląda na to, że w tym zasmakował i robi to ponownie. Raczej wcześniej niż później.

- Kiedy wpadnie w odpowiedni nastrój - dodał cicho Dan.

- Rozsyłamy ostrzeżenia - zakończył Piatowsky. - Ale sam wiesz, ile to warte. Dla dziewczyn to zwykła praca, nigdy nie należała do najbezpieczniejszych. W każdym razie pomyślałem sobie, że jak u ciebie będę, skontaktuję się z tamtejszą policją, zobaczę, co znaleźli. Trochę współpracy nie zaszkodzi.

- Kiedy przyjedziesz?

- Za kilka tygodni, koło piętnastego. Może być?

- Honey jest gotowa, czeka na ciebie niecierpliwie.

- Kto? - W głosie Piatowsky'ego było tyle podejrzliwości, że Dan parsknął śmiechem.

- Poczekaj, a się przekonasz. Nie uwierzysz własnym oczom.

- No pewnie. A tak w ogóle, co powiesz o kobietach z krainy słońca?

- Wspaniałe - odparł. Przed oczami stanęła mu Ellie. - Fantastyczne, żeby ująć to dokładniej.

- No, chociaż tyle dobrego. Założę się o każdą sumę, że jest mniej kosztowna niż sadzonki. I więcej z nią zabawy.

- Zakładaj się o co chcesz. Jeśli będziesz grzeczny, może cię jej przedstawię.

- Skoro lubi grzecznych mężczyzn, na co jej Daniel Patrick Cassidy, zakąła Manhattanu?

- Odwal się, Piatowsky! - Dan ze śmiechem odłożył słuchawkę. Na kalendarzu ze zdjęciem wielkiego traktora zakreślił piętnastego.

Myślał o mordercy. Jeden trup na Wschodnim Wybrzeżu, drugi na

Zachodnim. Czy to kierowca ciężarówki? A może szalony marzyciel, który przybył na Zachód autobusem Greyhonda w pogoni za marzeniem o Hollywood? Zbył te rozważania wzruszeniem ramion. To nie jego sprawa. On ma na głowie winorośl.

Dłoń nadal trzymał na słuchawce. Mógłby zadzwonić do Ellie, ot tak, żeby powiedzieć: „Cześć, przyjaciółko, jak leci? Dzięki, że wpadłaś. I za jedzenie, towarzystwo, rozmowę... Cieszę się, że u mnie nocowałaś”.

Wystukał numer do restauracji.

Serce Ellie przyspieszyło rytm, kiedy usłyszała jego głos.

- Właśnie o tobie myślałam.
- Naprawdę?
- Chciałam ci podziękować. Spędziłam uroczy wieczór.
- Ja też. I dzięki za kolację. Przepraszam za steki i za Pancho.

Roześmiała się.

- Nic nie szkodzi. Następnym razem...
- A skoro o następnym razie mowa... - wpadł jej w słowo. - Zdaję sobie sprawę, że jesteś bardzo zapracowana, w innym wypadku odezwałbym się wcześniej. Co powiesz na przyszły tydzień? Może chciałabyś obejrzeć winnicę?

92

- Bardzo chętnie.

Powiedziała to tak ochoczo, że chyba nie udawała, więc dodał szybko:

- Później moglibyśmy wpaść gdzieś na kolację.
- Gdzie?
- Może zjedlibyśmy „U Mollie”? Ellie uśmiechnęła się pod nosem.
- Czy stanowi dla mnie konkurencję?
- Ani trochę. Jest włoska, nie francuska. To trattoria, nie bistro.
- Więc na pewno mi się tam spodoba.
- Świetnie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Jak się ma zapracowany farmer? - zapytała cicho.
- Jest spocony, zgrzany i brudny.
- Chyba ciężko pracował.
- Z pomocą Carlosa postawię na swoim.
- Mam klientów. Później mi o wszystkim opowiesz. Nie mogę się doczekać...
- Ja też nie - odparł.

Myślał o niej nawet wtedy, gdy dzwonił do Centrum Uprawy

Winorośli.

Rozdział 23

N

astępnego ranka Buck już o szóstej zaparkował na wzgórzu, niedaleko domu Ellie. Opuścił okno, pił kawę z plastikowego kubka, przeglądał „Los Angeles Times”. Rześka bryza chłodziła jego rozpalone czoło.

O siódmej minął go żółty džip. Ruszył za nim, lecz tym razem zachował bezpieczną odległość. Wystarczyło mu, że nie traci jej z oczu. Pojechał za nią na targ, gdzie znowu zaparkował i czekał. Po jakimś czasie wróciła pchając wózek zastawiony skrzynkami świeżych warzyw. Załadowała je do dzipa i odjechała.

Jechał za nią.

Śledził ją przez cały tydzień. Pod koniec znał na pamięć rozkład jej dnia, wiedział, dokąd chodzi, z kim się spotyka, co robi. Wiedział, że co rano wychodzi z domu po siódmej i najczęściej nie wraca wcześniej niż po północy. Wiedział, że co poniedziałek odwiedza Miss Lottie i razem piją herbatkę w Biltmore.

Ściemniało się, gdy zaparkował naprzeciw jej domku. Miał na sobie drogi garnitur. Gdyby ktoś go zobaczył, wyglądał jak szanujący się biznesmen. W pobliżu jednak nie było nikogo. Przebiegł przez ulicę, pchnął białą furtkę i jednym susem znalazł się przy drzwiach wejściowych. Pokonanie prostego zamka zajęło mu ledwie kilka sekund i w końcu był w środku.

Oparł się o drzwi. Drżał z podniecenia. Po jego lewej stronie, w malutkim saloniku świeciła się lampa. Rozsiadł się na kanapie, oparł nogi na stoliku i rozejrzał dokoła wzrokiem właściciela.

Nad sosnowym kredensem wisiało ładne lustro z weneckiego szkła, na blacie stały dwa srebrne świeczniki i fotografie w ramkach.

Wstał, żeby je obejrzeć, ale Ellie nie było na żadnym zdjęciu. Przy przeciwległej ścianie stała francuska antyczna komódka, a na niej wazon przekwitających tulipanów. Jeden z obrazów przedstawiał kobietę namalowaną w stylu prerafaelitów, dosyć podobną do Ellie, a drugi – Journey's End. Namalowano go w latach trzydziestych, wkrótce po tym,

94

jak rezydencja została wybudowana. Na każdym skrawku wolnej przestrzeni piętrzyły się książki. Choć w saloniku panowała czystość, był w nim smutek rzadko używanego pomieszczenia.

Buck, rozczarowany, przeszedł do jadalni. Ściany nikły pod tuzinem obrazków w złożonych ramach. Łukowate przejście prowadziło do

malutkiej kuchni.

Na stole stał kubek zimnej herbaty ze śladem szminki na krawędzi. Drżącymi dłońmi przycisnął go do ust. Pijąc earl greya, wchłaniał i ją. Narastała w nim rozkosz.

Zanim doszedł do szczytu skrzypiących schodów, poczuł jej zapach. Stał w drzwiach sypialni, głęboko wciągając powietrze, nie unosząc powiek. A potem je otworzył i zorientował się, że trafił do rajy.

Na krześle poniewierały się ubrania, do łazienki prowadził szlak z bielizny. Osunął się na kolana, dotykał koronkowych majteczek, przezroczyściego stanika. Z uniesieniem wtulił w nie twarz.

Kiedy trochę oprzytomniał, metodycznie przejrzał zawartość szafy. Zauważył, że Ellie nosi ubrania w rozmiarze sześć, a buty – nieoczekiwanie duże, rozmiar dziesięć. Zapisał nazwę jej perfum, płynu do kąpieli, toniku, pudru. Zapamiętał, że jej ulubionym kolorem jest niebieski, że w lodówce miała butelkę wody Evian, jabłka Fuji, dobrego medoca, Chateau Beychevelle. Zajrzał do każdej szafki, każdej szuflady.

Gdy opuszczał jej domek godzinę później, wiedział wszystko o Ellie Parrish Duveen.

Zostawił samochód w małej uliczce odchodzącej od Main.

Przekraczał próg „U Ellie” pełen energii. Powitała go piękna blondynka.

– Dzień dobry! – odparł. – Jak leci? Jestem Ed. Ed Jensen, pamięta pani? Obsługiwała mnie pani kilka dni temu.

– A, rzeczywiście. Jak się pan ma, Ed? Miło, że znowu pan do nas zajrzał.

– Niestety, znowu sam.

Uśmiechnął się przekornie, a w głowie Mai rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Szkoda. Co pan powie na ten sam stolik, przy oknie? – Jego szorstki głos drażnił jak papier ścierny. Było w nim coś dziwnego. Może to, że jego uśmiech ani razu nie odbił się w oczach.

– Gdzie Ellie?

Więc tu jest pies pogrzebany, domyśliła się Maya. Ellie. Cóż, ma pecha. Ellie nawet na niego nie spojrzy.

– Zajęta – odparła szybko. – Czy zamówi pan coś do picia? –

Podawała mu kartę dań i po chwili przyniosła czerwone wino, o które prosił.

W kuchni zagadnęła przyjaciółkę:

– Kto to właściwie jest ten Ed Jensen? Zachowuje się, jakby cię znał od Bóg wie kiedy.

- Jensen? - Ellie podniosła głowę znad grilla. Zaraz spali filet z tuńczyka, o ile nie będzie uważała. Chan znowu rzucił pracę, więc sama gotowała. - Ach, ten. Poznałam go w Biltmore, potem przyszedł tutaj.

95

- Dzisiaj znowu tu jest i pyta o ciebie, jakby cię dobrze znał. Ellie uśmiechnęła się.

- To moja sława szefa kuchni i właścicielki restauracji. Wszyscy chcą poznać Wolfganga, czemu nie mieliby pragnąć poznać mnie?

- On jest jakiś dziwny, Ellie. Wiesz, jak to jest, kiedy się ma przeczucie? Aż mnie ściska w żołądku. - Maya oparła sobie dłoń na brzuchu. Miała bardzo poważną minę.

- On nie jest stąd. - Ellie ponownie zajęła się rybą. - Nie zna tu nikogo. Pewnie po prostu doskwiera mu samotność.

- Tak, pewnie. - Maya nie kryła swego sceptyzmu. - Dokładnie tak mówi się

o każdym seryjnym mordercy. Doskwierała mu samotność.

Buck zamówił stek z frytkami. Po tak pracowicie spędzonym dniu zasłużył na krzepiący posiłek. Fakt, że obsługiwała go blondynka, stanowił nie lada rozczarowanie, ale pocieszał się wyobrażając sobie, jak Ellie się kręci po domu, po sypialni, jak śpi. Obsesja na jej punkcie ogarniała go do tego stopnia, że niemal zapomniał o babce. Wypił jeszcze kilka szklanek wina i zbierał się do wyjścia. Maya szybko wyjęła mu pieniądze z ręki. Gotówka, pomyślała, nie karta kredytowa. Facet nie zostawia śladów...

- Jak pani na imię? - zapytał wychodząc.

- Maya, proszę pana. - Uprzejmie podała mu rachunek i resztę.

- Dziękuję, Mayu. Bardzo mi smakowało. - Znowu posłał jej przekorny uśmiech, lecz nie podnosiła głowy znad kasy.

- Dobranoc, panie Jensen - mruknęła, ciągle unikając jego wzroku.

- Dobranoc, Mayu. A na imię mi Ed.

Pewnym krokiem zmierzał do drzwi, po czym nagle odwrócił się na pięcie

1 uśmiechnął złośliwie. Maya spłonęła rumieńcem. Wiedział, że będzie go obserwowała.

Mając w pamięci jego lodowate spojrzenie, uznała, że wygląda na kogoś, kto wie zbyt dużo. Podbiegła do drzwi i zamknęła je za nim starannie.

Rozdział 24

R

ówny o czwartej w poniedziałkowe popołudnie Miss Lottie

wkroczyła do hotelu Biltmore na herbatkę. Miała na sobie lnianą spódnicę w kolorze ecru, bluzkę z kremowego jedwabiu i paryski kapelusz ozdobiony kwiatami. Ellie została na dworze, rozmawiała z kimś, kto się zainteresował cadillakiem. Miss Lottie chciała jak najszybciej dotrzeć do stolika, bo dawał się jej we znaki artretyzm. Stukała laska na terakotowej posadzce, gdy powoli przemierzała hol, skinieniem głowy witając tych, których znała. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna zwrócił jej uwagę, bo minął ją w pośpiechu.

Odprowadzała go wzrokiem.

To znowu on, ten, którego nie mogła sobie przypomnieć. Jej czoło przecięła głęboka zmarszczka. Trudno powiedzieć cokolwiek o wyglądzie człowieka z wąsami. Może powinna mu się przedstawić i zapytać, kim jest? Tylko że takich rzeczy damy nigdy nie robiły. Buck wyglądał bardzo elegancko w niebieskim garniturze i drogim krawacie. Jasnoniebieska koszula była wyprasowana na sztywno, czarne pantofle lśniły. Ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Natknął się na Ellie na schodach.

– Coś takiego, znowu się spotykamy. – Złapał ją za ramię. – To powoli wchodzi nam w krew.

– Pan Jensen? – Ellie odwróciła się, zaskoczona. – Nie wiedziałam, że pan tu mieszka.

– Chciałbym, żeby tak było. – Uśmiechnął się smutno. – Po Miami ten hotel jest oazą ciszy i spokoju.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Mój pradziadek był tego samego zdania. Nie wrócił już na Wschód. Kupił tu ziemię, zbudował dom i został.

– Szczęściarz z niego. – Buck udawał wahanie, jakby nie wiedział, czy ma poruszyć następny temat, czy też nie. – Tak w ogóle, to zajmuję się budownictwem

7-Wcześniej...

97

i handlem nieruchomości. – Po długim poszukiwaniu w portfelu wręczył jej swoją wizytówkę. – Szukam tu domu i powiedziano mi, że w okolicy jest na sprzedaż przepiękna posiadłość. Później zaś dowiedziałem się, że należy ona do pani. – Uśmiechnął się ciepło. – Co za zbieg okoliczności. No, ale zawsze wierzyłem w przeznaczenie.

– Znowu te stare plotki! – Ellie westchnęła głośno. – Ludzie nigdy się chyba nimi nie znudzą. Ale, panie Jensen, Journey's End należy do mojej babki, a poza tym nie jest na sprzedaż.

– Niestety, moje zdrowie nie jest takie jak dawniej. – Położył dłoń

na sercu i Ellie skinęła głową ze współczuciem. – Szukam domu, którego nie miałem w dzieciństwie. Prawdziwego domu. Szukam miejsca, które mógłbym kochać, gdzie mógłbym mieszkać, aż nadejdzie mój własny Koniec Podróży. Byłbym bardzo szczęśliwy, mogąc chociaż obejrzeć rezydencję – namawiał przekonywająco. – Kto wie, może pewnego dnia zmieni pani zdanie i zdecyduje się na sprzedaż. Przynajmniej będzie miała pani wtedy pewność, że zamieszka tam ktoś, kto kocha dom tak samo jak pani.

Przyglądała mu się niepewnie. Był uprzejmy, czarujący, dżentelmen w każdym calu. To chyba nie podryw? Zmiękła, przypomniawszy sobie, jak strasznie pobladł, kiedy ostatnio go widziała tu, w hotelu. Zresztą miał rację; pewnego dnia będzie musiała sprzedać dom, choć wolałaby o tym nie myśleć.

Zgodziła się pod wpływem impulsu.

– Proszę wpaść koło piątej, oprowadzę pana.

Buck nie posiadał się z radości. To takie łatwe. Nadal wiedział, jak je czarować. Uścisnął jej dłoń na pożegnanie.

– A więc do zobaczenia o piątej.

Przed hotelem zatrzymał się samochód. Dan rzucił kluczyki bojowi i nagle ją zauważył.

– Ellie! – zawołał zdziwiony. – Myślałem, że zobaczymy się później. Szedł ku niej tym rozkołysanym, równym krokiem, który sprawił, że uznała,

podczas ich pierwszego spotkania, iż jest seksowny.

– Dan! Miło cię widzieć.

Jej twarz rozjaśnił specjalny uśmiech. Serce Bucka zamieniło się w kamień. Obrzucił Dana lodowatym spojrzeniem i odszedł. Nie miał nawet pewności, czy to zauważyła. Zapomniała o jego istnieniu. Dan odprowadzał go czujnym wzrokiem: instynkt gliniarza kazał mu zachować ostrożność. Buck zbył to wzruszeniem ramion; prawdopodobnie nie spodobało mu się, że stoi tak blisko Ellie. Po prostu był zazdrosny.

– Co to za wybladły Romeo? – Dan nie mógł powstrzymać złośliwej uwagi. Uśmiechnęła się na te słowa.

– Żaden Romeo, tylko znajomy. Chciałby kupić Journey's End.

– Sprzedajesz? – zdziwił się.

– Nie, ale to nie powstrzymuje ludzi od pytania. Chyba wiedzą już, że babcia straciła wszystkie pieniądze. A właściwie co ty tu robisz?

– Przyjechałem po „New York Timesa”.

A ja idę na herbatkę z Miss Lottie. Będzie zachwycona, jeśli napijesz się z nami. Pomyśli, że w końcu mam chłopaka, więc się

nie zdziw, jeśli zacznie cię wypytywać o pochodzenie i plany na przyszłość.

Parsknął śmiechem.

– Odpowiedź jest prosta: I jedno, i drugie są bardzo kiepskie.

Miss Lottie zobaczyła wnuczkę na progu restauracji. Śmiała się z mężczyzną. Przystojnym mężczyzną. Staruszka wyraźnie się ożywiła.

– Babciu, to mój przyjaciel, Dan Cassidy. Pamiętasz? Opowiadałam ci o nim. Obdarzyła go uśmiechem.

– Pamiętam doskonale, panie Cassidy. Wydawało mi się, że skądś znam pana twarz. Gra pan nowojorskiego policjanta w serialu telewizyjnym, prawda? Dan słyszał ciche westchnienie Ellie.

– Niestety nie, szanowna pani – sprostował. – Ale byłem policjantem w Nowym Jorku.

– Ach, tak. Detektyw z Wydziału Zabójstw. Wiedziała, że coś pokręciłam. – Poklepała siedzenie krzesła. – Czy napije się pan z nami herbaty?

– Ellie była na tyle miła, że mnie zaprosiła.

– To bardzo dobrze. – Miss Lottie naląła herbaty drżącą ręką. – Mam nadzieję, że pan lubi earl grey i wafelki. – Następnie zwróciła się do wnuczki i oznajmiła scenicznym szeptem: – Podobają mi się jego oczy. Budzą zaufanie, jak oczy labradora. – Ponownie uśmiechnęła się do Dana. – Szkoda, że nie było tu pana w zeszły poniedziałek, w moje urodziny. Był szampan i pyszny tort.

– Dan kupił winnicę Running Horse, babciu – przypomniała jej Ellie. – Ciężko pracuje, żeby doprowadzić ją do dawnego stanu. Dziurawa jak sito pamięć starszej pani tego dnia działała lepiej niż zwykle.

– Czy na tej ziemi nie ciąży klątwa? – zapytała Miss Lottie zdziwiona. Ellie jęknęła. – Zresztą uprawa ziemi to wieczne ryzyko – perorowała. – Wszystko zależy od pogody i kaprysu bogów.

– Ellie obiecała, że przyjedzie tam z wizytą dzisiaj wieczorem. – Dan bawił się doskonale.

– Doprawdy? – Starsza pani badawczo spojrzała na wnuczkę. – Coś musi pan w sobie mieć, Danie Cassidy, skoro jest pan w stanie wyrwać ją z tej restauracji. – Wróciła wzrokiem do Ellie. – Moja droga, musisz zaprosić tego młodego mężczyznę do Journey's End. Będziemy mieć więcej czasu, żeby nam opowiedział, czym się zajmuje.

Ellie przewróciła oczami i posłała Danowi spojrzenie typu „A nie

mówiłam?" Odpowiedział uśmiechem.

Po przeciwnej stronie sali Buck wychylił duszkiem szklanę burbona i skinął na kelnera, żeby mu podał następną. Zazdrość przerodziła się w gniew, gdy obserwował roześmianą trójkę. Nie należał do ich świata. Podnosząc szklanę do ust, przypomniał sobie, że już niedługo będzie z Ellie. Uśmiechnął się do siebie. Przystąpił do realizacji fazy drugiej.

Rozdział 25

E

Ellie czekała przy schodach. Buck przybył punktualnie o piątej. Przebrała się w dżinsy i białą koszulkę polo, niedbale przewiązała włosy niebieską wstążką.

Kiedy szła na spotkanie, poczuł jej czysty, świeży zapach.

– Mam nadzieję, że nie musiała pani na mnie czekać. – Wręczył jej olbrzymi bukiet róż. Były duże, różowe, bezwonne. Podziękowała mu, zaskoczona.

Przez chwilę stał bez ruchu, patrzył na ogród. Podziwiał taras, wielką fontannę, na której brązowe delfiny wypuszczały wodę z pyszczków, ogród w stylu włoskim ze stawami odbijającymi niebo i stare, potężne drzewa, ocieniające trawniki. Potrząsnął głową z niedowierzaniem:

– To raj na ziemi.

Ellie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Też jestem tego zdania. Wychowałam się tutaj, to najpiękniejsze miejsce pod słońcem. – Ukradkiem zerknęła na zegarek. Już żałowała pochopnej decyzji, że go zaprosiła. O szóstej miała się spotkać z Danem i chciała jak najszybciej zakończyć zwiedzanie domu.

Buck poczuł elektryzujący przepływ mocy, kiedy przekraczał próg Journey 's End. Wracał jako zaproszony gość do domu, z którego wyprowadzono go w kaftanie bezpieczeństwa. Udało ci się! – krzyczał tryumfalnie głos w jego głowie. Odzyskałeś władzę! Był w euforii, gotów do działania. Pogwizdując „Dixie” pod nosem, szedł za nią.

Zdjął okulary słoneczne, schował je troskliwie do górnej kieszeni marynarki, poprawił włosy i rozejrzał się dokoła.

Nic się nie zmieniło. Te same drogie dywany, weneckie antyki, flamandzkie obrazy. I olbrzymi portret Waldo Stamforda. Nawet białe róże w kryształowych wazonach były takie same, i brzoskwiniowy aromat potpourri.

Ellie nie zliczyłaby wszystkich razy, kiedy pokazywała obcym dom.

Często oprowadzała większe grupy: towarzystwo historyczne, antykwariuszy, dziennikarzy.

100

Jej wiedza na temat historii domu i znajdujących się w nim antyków dorównywała wiadomościom niejednego historyka. Z nadzieją, że się nie zorientuje, prowadziła gościa w przyspieszonym tempie, nie zostawiając mu czasu do namysłu.

– Podłoga w holu jest z wapienia – oznajmiła energicznie. – Z kamieniołomów w pobliżu Bordeaux. Mój dziadek zdecydował się w końcu na niego ze względu na ciepły, lekko różowy odcień. Dębowe schody to prawdziwy antyk, z angielskiej rezydencji w stylu jakobińskim. Natomiast kominek powstał tu, na miejscu, lecz wybudowali go włoscy rzemieślnicy na podstawie fotografii kominka w siedemnastowiecznej rezydencji. Zawsze w nim palimy na Boże Narodzenie – dodała z uśmiechem. – Dawniej poręcze wręcz nikły pod pękami jemioli i ostrokrzewu. A u stóp schodów, właśnie tutaj, stała największa choinka, jaką sobie można wyobrazić, pod nią zaś leżała oczywiście cała góra prezentów. Kołędników pukających do drzwi Miss Lottie poila świątecznym ponczem i częstowała ciasteczkami.

Buck rozglądał się uważnie, pochłaniał wzrokiem każdy szczegół. Uznał, że zabicie szyby w oszklonych drzwiach nie będzie trudne. Wszystko zależy od tego, jaki mają system alarmowy.

Ostrożnie wybadał grunt:

– Zapewne utrzymanie tego domu w czystości wymaga całej armii służby – rzucił domyślnie.

Ellie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Teraz nie możemy sobie na to pozwolić. Na stałe jest tu jedynie Maria. Kilka razy w tygodniu przychodzą sprzątaczkі. Panie Jensen, radzę pamiętać przy kupnie domu, że koniec końców utrzymanie takiej rezydencji może się okazać droższe niż koszt jej nabycia.

Roześmiał się, ucieszony tym, co mu powiedziała o Marii.

– Zapamiętam to.

Wyszli na taras, szli w kierunku starszej pani. Buck szybko założył okulary słoneczne.

– Babciu – Ellie pochyliła się nad nią łagodnie. – To pan Jensen.

Oprowadzam go po domu.

Buck stanął twarzą w twarz z kobietą, która odebrała mu dwadzieścia lat życia. Nie obawiał się, że mogłaby go rozpoznać. Popatrz na nią! – urągał głos w jego myślach. Zobacz, jaka to słaba starucha, krucha i bezsilna. Teraz ty rządzisz. Nadeszła twoja kolej.

Miss Lottie drzemała. Wyrwana ze snu, podniosła się zbyt gwałtownie. Kręciło się jej w głowie. Okulary zsunęły się z nosa, książka spadła z kolan na podłogę. Pies poderwał się z głośnym szczekaniem.

- Dzień dobry szanownej pani. - Buck wcielił się uprzejmego dżentelmena.

- Nie wiedziałam, że mamy gości - spieszyła się. Buck podniósł książkę, położył ją na małym stoliku obok fotela. Pies warczał gardłowo. Ellie jeszcze nie widziała go tak zdenerwowanego.

- Brano, nie popisuj się! - chciała uciszyć psa, ale warkot przybrał na sile. Buck cofnął się szybko. Miss Lottie pokręciła głową.

101

- Chyba mi się coś śniło. Ellie podała jej okulary.

- W takim razie nie będziemy ci więcej zawracać głowy. Chodźmy, panie Jensen.

Miss Lottie odprowadzała ich wzrokiem, gdy znikali w domu. Skądś znała jego chód; dałaby sobie rękę uciąć, że kiedyś już tego człowieka widziała. Jej powieki same się zamknęły. Po chwili znowu spała. Miała za sobą długi dzień

Ellie otworzyła drzwi do biblioteki.

- Kiedy byłam mała, było to moje ulubione miej sce. - W zadumie pogładziła wypolerowane oparcie chińskiego fotela. - Wieczorami, zamiast spać, zakradałam się tutaj. Miss Lottie udawała, że mnie nie widzi, co oczywiście nie było prawdą. Mogłam godzinami obserwować, jak pisze listy i odbiera telefony. Byłam wtedy taka mała, że fotel zdawał się mnie pochłaniać.

Buck przypomniał sobie rudowłosą dziewczynkę z przerażeniem w oczach i z buzią otwartą do krzyku.

- Mamy ich dwa. - Ellie poklepała krzesło. - Pochodzą z siedemnastego wieku, z Chin. Nazywamy je tronami mandaryna, bo przywieziono je z rezydencji mandaryna pod Szanghajem. Komódka inkrustowana srebrem pochodzi z Włoch, a dywan jest turecki, sprzed dwustu lat. Bardzo już wypłowiał od słońca, lecz nadal jest piękny.

Buck zadrżał nerwowo. Cofnął się w przeszłość. Podeszedł do biurka; właśnie tutaj go rzucili na ziemię. Jego nozdrza ponownie wypełnił słodkawy zapach dywanu; czerwień wypełniała oczy jak krew, wrzeszczał i przeklinał ją. A Charlotte Parrish stała nad nim.

Wysoka, zimna, nieulekła. Pani na włościach. Głęboko zaczerpnął tchu. Teraz on jest panem jej losu.

Z wysiłkiem powrócił do terażniejszości. Ellie namawiała, żeby

obejrzał salę balową.

- Odbywały się tu huczne bale. Mój pradziadek gościł w tym domu dwóch prezydentów, Randolpha Hearsta, oczywiście z Marion Davies, Charliego Chaplina i Ronalda Colmana.

Buck posłusznie szedł za nią, a w myśli szukał okazji. Wiedział już, że system alarmowy jest przestarzały i mało skuteczny. Chyba nie zmienili go od trzydziestu lat.

Ellie zerknęła na zegarek.

- Na koniec pokażę panu kuchnię. W dzisiejszych czasach już takich nie budują.

Wielka kuchnia wyglądała dokładnie tak samo jak w latach sześćdziesiątych. Podłogę pokrywała szachownica czarno-białych kafli, pod ścianami stały białe szafki, rozmaite kuchenki i piece. Wąskie okna wpuszczały popołudniowe słońce. Na ścianie przy drzwiach kuchennych Buck dostrzegł wielki pęk kluczy. Każdy był opisany.

- Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś pracował tu kucharz, pół tuzina podkuchennych i lokaj - wspominała Ellie - i nawet wtedy nie było ciasno. Kuchnia z mojej restauracji zmieściłaby się w spiżarni.

102

Oczy Bucka rozbłysły; musi jakoś zdobyć te klucze.

- Przepraszam, czy mógłbym dostać szklankę wody? - poprosił grzecznie.

- Oczywiście. A może wolałby pan colę?

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu...

Zgodnie z jego oczekiwaniami, Ellie weszła do małej spiżarni. W mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach, po chwili ścisnął pęk w dłoni. Napisy przy trzech głosiły „Kuchnia”. Gotów był się założyć, że stara ma dużo kluczy zapasowych, bo coraz to któryś gubiła.

Wsunął jeden do kieszeni. Kiedy Ellie wróciła ze szklanką w dłoni, czekał na nią przy sosnowym stole.

Nie miał ochoty rozstawać się ani z nią, ani z Journey's End. Jej słodki głos był jak balsam na jego rany, a pożegnalny dotyk jej dłoni zostawił płonący ślad w jego pamięci. Później, w samotności, będzie się rozkoszował tym wspomnieniem.

Cały czas miał ją przed oczami. Kochał ją. Wkrótce uczyni z niej swoją księżniczkę, a ona w jego obecności zapomni o bożym świecie.

Z uśmiechem poklepał się po kieszeni z kluczem. To będzie takie łatwe.

Pogwizdując, wrócił do hotelu, do baru. Zasłużył na toast. Faza

druga dobiegła końca.

Rozdział 26

o

to i ona - oznajmił Dan z dumą. - Moja winnica. - Zatoczył szeroki łuk ramieniem. Na wzgórzu jak okiem sięgnąć wyrosła armia prostych, nagich pędów.

- Jestem pod wrażeniem - zażartowała Ellie. - Ale nie widzę nawet jednego winnego grona.

- Poczekaj, za rok najważniejszym słowem dla mojej winnicy będzie „w pełni rozkwitu”.

- Czy przypadkiem nie popadasz w skrajny optymizm? - Obrzuciła wątle roślinki sceptycznym spojrzeniem.

Dan potrząsnął głową.

- Ależ z ciebie uparciuch, Ellie Parrish Duveen! W porządku, przyznaję, kupiłem winnicę w ciemno. Niemniej faktem jest, że Running Horse nie przynosiło zysków, bo uprawiano tu niewłaściwą winorośl. Tu, po stronie południowej, spróbujemy z cabernetem, a po północnej z chardonnay... - Wzruszył ramionami. - Tylko na to było mnie stać, ale jeśli mi się uda, to miałem cholerne szczęście. Jest w tym jakaś magia, uznana, idąc wśród nagich pędów. W oddali szosa wiała się w cieniu dębów, nieco dalej czarno-białe stado krów leniwie skubało trawę. Zachodzące słońce grzało w plecy, lekki wiaterek burzył włosy. Zamknęła oczy, żeby posłuchać specjalnej wiejskiej ciszy; cichego szumu wiatru na wzgórzu, trzepotu ptasich skrzydeł, szelestu traw. Z rozkoszą wdychała czyste wiejskie powietrze. Najchętniej zabrałaby je ze sobą do miasta.

- Tak kiedyś wyglądała cała okolica - szepnęła, nie otwierając oczu.

- Kiedyś, zanim ludzie wymyślili samochody, samoloty i radia. Nic, tylko wzgórza, winorośl i cisza.

Dan usłyszał to pierwszy. Ostrzegawczo podniósł dłoń, gdy gwałtownie otworzyła oczy. Po chwili na wzgórze wspinał się zardzewiały pikap Ortegi. Z głośników rozbrzmiewała muzyka mariacki. Uśmiechnęli się do siebie jednocześnie. Ortega tymczasem wyskoczył z samochodu i zmierzał w ich stronę.

104

- Seniorita. - Posłał jej olśniewający uśmiech i zamiótł sombreroem ziemię, tak nisko się skłonił. Uniósł jej dłoń do ust. - Widok tak pięknej kobiety to dla mnie wielka przyjemność. Senior nie wspomniał o pani ani słowem. - Tu puścił do Dana perskie oko. Ellie nie mogła się nie roześmiać.

- Dużo o panu słyszałam, senior Ortega.

- Na pewno. - Zrobił fałszywie skromna minę. - Senor powiedział pani, że jestem najlepszym winiarzem w okolicy. Razem wyprodukujemy świetne caber-net. - Z dumą podkreślił wąsa.
- Chciałem pokazać Ellie winnicę. - Dan złapał ją za rękę i zaciągnął do samochodu. Odwróciła się, żeby pomachać Ortedze. Ponownie uklonił się w pas. Nie przestawał się uśmiechać. - Powinnaś go zobaczyć na koniu - mruknął Dan, rozbawiony.

W budynku z czerwonej cegły było chłodno i cicho. Dan pieszczotliwie musnął dłonią nowe beczki.

- To amerykański dąb, nie francuski. Daje delikatniejszy, subtelniejszy posmak. W tym roku nie będzie zbiorów, ale i tak wypuścimy nasze pierwsze wino. Zinfandel - przyzwoite, proste wino, smaczne i niedrogie. To będzie nasza rozgrzewka.

Ellie zajrzała do wyszorowanych, lśniących kadzi, obeszła maszynę do butelkowania, która wyglądała jak maszyna z filmów Disneya, przeszła do dużego, pustego pomieszczenia, gdzie, jak wyjaśnił Dan, goście będą mogli degustować jego wina.

- Pewnego dnia będą tu waliły tłumy, na wino i najedzenie - stwierdził. Odwróciła się gwałtownie. Oparła dłonie na biodrach.

Wjej wzroku kryło się wyzwanie.

-Jakie jedzenie?

- Och - z pozorną nonszalancją wzruszył ramionami - mała francuska kafejka, nic wielkiego, rozumiesz... Bezpretensjonalna, przytulna, z dobrym jedzeniem i najlepszym pieczywem i tarte tatin w całej Kalifornii.

Pokręciła głową.

- Żłudne nadzieje, panie Cassidy. Następną restaurację otworzę w samym centrum. I sama będę tam gotowała.

- Zawsze można pomarzyć. - Z pełnym żalu westchnieniem wziął ją za rękę. Szli do stajni. - Tylko pomarzyć, kobieto.

Pancho przybiegł jej na powitanie.

- Co za interesowny pies! Pamięta, że przyniosłam steki, najlepszą kolację jego życia. - Pogłaskała szorstką sierść. W tej chwili zauważyła Cecila. - Boże, masz już dwa i nie wiadomo, który jest brzydszy.

Oprowadził japo posiadłości: pokazał malownicze stajnie i piękne konie, zastęp Meksykanów pochylony nad wątlymi roślinkami.

Kupił nowe sadzonki, trzeba teraz użyźnić ziemię. Wyjaśnił, że na to poszła lwia część pieniędzy jego i banku.

- Przynajmniej zaczyna to wyglądać jak winnica - zakończył. Zerwał

z krzaka czerwoną różyczką i podał jej.

105

Wsunęła kwiat za ucho. Zauważyła, jak bardzo Dan kocha to, co robi. Widziała, że praca fizyczna sprawia mu przyjemność, lubił czuć ziemię na dłoniach, wracać do farmerskich korzeni.

W drodze powrotnej do Montecito milczała. Myślała o życiu, które wybrał; z dala od stresów, ale i od rozrywek wielkiego miasta. Może w tym rzeczywiście coś jest, ale nie dla niej. Jest dziewczyną z miasta, do szpiku kości. Odnajdzie własną drogę, w gąszczu Los Angeles.

Oszołomiona świeżym powietrzem ziewała, kiedy Dan zatrzymał samochód przed restauracją „U Mollie”.

Wewnątrz, w świetle świec, wyglądała jak kobieta z obrazów prerafaelitów. A w życiu przecież kocha słońce. A może nie? Nie wiedział o niej nic, oprócz bardzo osobistych zwierzeń, którymi się z nią dzieliła tamtej nocy w domku przy plaży.

– Czy ja cię znam? – zapytał. Ellie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, więc wyjaśnił: – Mam wrażenie, że jesteśmy starymi przyjaciółmi, ale bardzo mało o tobie wiem.

– Przecież wszystko ci powiedziałam. – Upiła chianti, które zamówił do włoskiego posiłku.

Pochylił się nad stolikiem.

– Dzieciaka z plaży i kobietę siedzącą naprzeciwko dzieli kilkanaście lat. Co się wtedy z tobą działo? Gdzie chodziłaś do college'u? Z kim się przyjaźniłaś? Czy kiedykolwiek się zakochałaś? Obserwowała go uważnie. Lekko przechyliła głowę na bok. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

– To bardzo osobiste pytanie.

– O to, gdzie chodziłaś do college'u? – Jego udawana niewinność ją rozbawiła.

– Na to mogę odpowiedzieć. W Phoenix, do Arizona State College. Tam poznałam Mayę. Moją najlepszą przyjaciółkę. Mało brakowało, a wyrzuciliby nas ze studiów. Od katastrofy uratowali nas Miss Lottie i ojciec Mai. Ach, byliśmy wtedy zupełnie szalone, dwie wariatki, które po raz pierwszy zasmakowały wolności.

Dan słuchał z rozbawieniem opowieści o jej karierze naukowej, jakże różnej od jego przeżyć. W college'u był już żonaty; wplątał się w nierealny związek i żywił nierealne marzenia.

– Oczywiście, zakochałam się także. – Skosztowała ravioli z langusty, przewróciła oczami z rozkoszy. – Niebo w gębie.

– Zakochałaś się? – Nie spuszczał z oka jej apetycznych ust.

- Owszem, raz czy dwa. - Włoch z ciałem Michała Anioła wydawał się odległy o całe lata świetlne. - Ale chyba stłumiłam w sobie te uczucia i kupiłam harleya.

- Kupiłaś harleya jako substytut seksu? - Śmiał się z niej w żywe oczy.

- Panie Cassidy. - Skromnie spuściła powieki. - Wszyscy wiemy, że nic nie może tego zastąpić.

106

Jego westchnienie ulgi było komicznie głośne.

- Och, jak to dobrze.

- Tylko że w naszych stosunkach nie będzie o tym mowy. - Tym razem nie żartowała. Wzięła jego dłoń, uniosła do ust, musnęła przelotnym pocałunkiem. - Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi. Jego ciśnienie podskoczyło o dobrych kilka jednostek, może, jak zakochany nastolatek, przez najbliższy tydzień nie umyje tej ręki.

- Pewnie, nie będzie - zgodził się potulnie. - Nie rozumiem - przyznał po chwili.

- Czego? - Wybierała łyżeczką resztki sosu. - Muszę pogratulować Mollie tej potrawy, jest przepyszna.

- Powinnaś spróbować jej czerwonych muli, w piątki sprowadza je z Włoch. A nie pojmuję, co cię nakręca. Innymi słowy: skąd czerpiesz siłę? Jaką masz motywację, żeby tak bardzo się starać? Dlaczego poświęcasz restauracji tyle czasu, energii, tyle życia? Ellie długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Mam wrażenie, że sama przed sobą muszę coś udowodnić - powiedziała w końcu. - Że dam sobie radę, że mi się uda, chociaż wychowałam się w bogatej rodzinie. A udać się w moim rozumieniu znaczy wypłynąć na naprawdę głębokie wody. Wiesz, Nowy Jork albo Los Angeles. Chcę mieć restaurację w najlepszym punkcie i chcę, żeby ludzie oglądali się za mną na ulicy, tak jak za Verge, Ducas-sem czy Puckiem.

- Chcesz być gwiazdą.

- Nie ukrywam tego - przyznała. - I chcę robić pieniądze. Przede wszystkim po to, żebym nigdy więcej nie musiała się o nie martwić i żebym mogła utrzymywać Miss Lottie w stylu, do którego przywykła.

- I co jeszcze zrobisz z taką kasą? - Nie mógł uwierzyć, że pieniądze są głównym motorem jej działania.

- Jeśli zarobię naprawdę dużo, o to ci chodzi? To proste. Otworzę kuchnię dla ubogich, jak w latach trzydziestych. Lecz my będziemy

wydawać nie tylko zupę. Będziemy mieli proste, ale smaczne i pożywne posiłki. Dla dzieci, które co rano idą do szkół o pustym żołądku. Dla dzieciaków, które udają, że zapomniały drugiego śniadania, bo wstydzą się przyznać, że go nie mają. Dla dzieciaków, które po szkole wracają do pustego mieszkania, bez kolacji na stole, albo do domu z naćpanymi rodzicami. Nigdy nie zaznałam głodu. Może dlatego mam przeczucie, że powinnam spłacić dług, choć częściowo podzielić się z innymi dobrem, które mnie spotkało. – Ostatnie słowa zbyła wzruszeniem ramion. – Nie miałam zamiaru prawić kazań.

Młodziutki kelner przyniósł tiramisu i dwa widelce.

– Nie prawisz. – Dan spojrzał jej w oczy. – Chyba cię lubię, Ellie Parrish. Mimo że nie odpowiedziałas na pytanie. Zakochałaś się? Po uszy?

Stłumiła westchnienie. Zajął się smakowitym, puszystym leciutkim deserem.

– Nie dajesz za wygraną, co?

– Nie wtedy, gdy temat mnie zainteresował.

107

Skrzywiła się na myśl o Steviem Cohenie, o tym, jak była młoda, jaka naiwna.

– Naprawdę zakochana byłam tylko raz – zaczęła opowiadanie o długich spódnicach, warkoczu, martensach i Steve'a naglej metamorfozie z intelektualisty w młodego biznesmena w garniturze od Hugo Bossa. – Rzucił mnie i złamał serce – dodała po chwili ze śmiechem. – Ale wiesz, to zabawne, serca mają to do siebie, że prędzej czy później wracają do dawnej formy.

Ku własnemu zaskoczeniu, ziewnęła głośno.

– To od nadmiaru świeżego powietrza – tłumaczyła się. – Jestem dziewczyną z miasta.

– Zawsze możesz u mnie przenocować. – Dan miał optymizm we krwi.

– Dzięki, przyjacielu – uścisnęła jego dłoń – ale tym razem muszę wracać. Dzięki za wycieczkę, była wspaniała.

Błękitne oczy spojrzeniem odnalazły opałowe.

– Przyjedź znowu, kiedy dom będzie gotowy. Zostaniesz na kolacji.

Może w przyszłym tygodniu?

Skinęła głową.

– W poniedziałek nie dam rady, ale co powiesz na środę? Specjalnie z tej okazji wezmę wolny wieczór.

- Świetnie. Powoli wchodzi ci to w krew.

Ellie była tego samego zdania, ale nie miała nic przeciwko temu. Lubiła przebywać w jego towarzystwie.

- No to do zobaczenia w śróde! - Pomachała mu wsiadając do starego wran-glera.

Stał tuż przy samochodzie, zaglądał przez okno. Nadal pachniał świeżym powietrzem. Pod wpływem impulsu przyciągnęła jego twarz do siebie i pocałowała w usta. To tylko lekki, nic nie znaczący przyjacielski pocałunek, wmawiała sobie.

- Dobranoc, Wesoły Danny - mruknęła, zbyt energicznie wyjeżdżając dzi-pem. Samochód z głuchym łoskotem uderzył w jego explorera.

Dan uderzył się w czoło.

- Boże drogi, Ellie! Znowu!

- Przepraszam. - Pobieźnie obejrzała szkody. - No cóż, wiesz, jak się nazywam, i wiesz, gdzie jestem ubezpieczona. Zresztą co takie małe wgniecenie znaczy dla prawdziwych przyjaciół?

Odjechała ze śmiechem.

Rozdział 27

B

uck udał się na rekonesans na terytorium wroga. Najpierw, za dnia, jeździł po Hot Springs Road, aż znał na pamięć każdy zakręt, każdy wybój, dom, znak drogowy. Obserwował, w jakich godzinach wychodzą wracają sąsiedzi, samochody dostawcze, wiedział, o której matki prowadzą dzieci do szkoły i kiedy z niej wracają.

Orientował się w częstotliwości przejazdów patroli policyjnych i prywatnych ochroniarzy. Wiedział, że w Journey 's End nie ma strażników. I że wiele pobliskich domów należy do ludzi z Los Angeles, którzy spędzają tu tylko weekendy. W soboty okolica ożywała: organizowano przyjęcia, kolacje, koktajle.

Poprzednio działał impulsywnie, niczego nie przemyślał, nie miał żadnej koncepcji. Teraz akcja będzie dopięta na ostatni guzik. Po tygodniu był przygotowany, przede wszystkim zaś wiedział, że w ciągu tygodnia nocami okolica pustoszeje.

Po zapadnięciu zmroku minął Journey's End i skręcił w wąską ścieżkę na tyłach posesji. Miał zamiar przeprowadzić próbę, tak jak przy zabójstwie matki.

Miał na sobie czarny dres, czarne reeboki, czarne rękawiczki i plecak z niezbędnymi narzędziami. Za wąskim promykiem małej latarki wędrował zarośniętą ścieżką, aż doszedł do zardzewiałej bramy. Światło latarki wydobyło z mroku potężną kłódkę.

Westchnął z żalem; spodziewał się, że rezydencja będzie strzeżona jak forteca. Po dłuższym namyśle porzucił zamiar forsowania muru. To zajęłoby zbyt dużo czasu w drodze powrotnej.

Na szczęście przewidział i taką sytuację. Wydobył z plecaka nieduże nożyce do metalu i przystąpił do pracy. Nie minęła nawet minuta, a ciężka kłódka upadła na ziemię. Spocony, podniósł głowę. Gdzieś w oddali czekały psy.

Bramy nie używano od lat i zardzewiały metal zazgrzytał przeraźliwie, gdy wchodził do środka. Starannie zamknął wrota za sobą.

Znalazł się w brzoźowym zagajniku. Nie przypuszczał, że panuje tu tak nieprzenikniona ciemność. Stracił orientację, ogarnęło go rozdrażnienie. Przez

109

kilkadziesiąt minut stał bez ruchu, czekał, aż jego oczy przywykną do ciemności. Postanowił sprawdzić fazy księżyca, zanim ustali ostateczną datę.

Zaświecił latarką na kompas. Pamiętał, że dom leży na wschód od tego miejsca. Ruszył w tamtym kierunku, ostrożnie przedzierając się przez splątane gałęzie.

Z ciemności wynurzył się podłużny, niski budynek. Buck zakradł się do okna. W mdłym świetle latarki zobaczył duże, puste pomieszczenie. Pod ścianami stały stare kotły na bieliznę i od dawna nie używane pralki.

W notesie szybko naszkicował plan terenu i zaznaczył położenie pralni. Następnie ruszył dalej.

Drzewa zostały w tyle, teraz zmierzał nieco szerszą dróżką. Spojrzał na zegarek. Na razie upłynęło dziesięć minut. Po dalszych pięciu zobaczył dom: potężny, masywny, wybudowany, by stał wiele lat. Zatrzymał się. Wkrótce będzie właścicielem tego domu. Wyobrażał sobie chwilę ostatecznego tryumfu, gdy dopełni zemsty na Charlotte Parrish. Cierpiał ponad dwadzieścia lat; szkoda, że w porównaniu z tym ona tak szybko zazna spokoju.

Skręcił w bok, do ogrodu. Minał pusty basen, kort tenisowy, nadal zadbane przydomowy ogródek, ze starannie przystrzyżonym żywopłotem i grządkami. Minał fontannę z delfinem z brązu i wszedł po marmurowych stopniach na taras. Reflektory oświetlały cały front domu.

Ponownie zerknął na zegarek. Dwadzieścia dwie minuty. Będzie musiał nad tym popracować.

Był spokojny, opanowany. Zapalił camela i zaciągnął się z rozkoszą.

Powolnym krokiem przechadzał się po tarasie. Na parterze światło paliło się jedynie w holu, za to na piętrze było jasno w czterech oknach. Pewnie tam mieszka Miss Lottie.

Był już przy drzwiach, gdy usłyszał trzask klucza w zamku.

Błyskawicznie zdusił niedopałek palcami, bezgłośnie przebiegł cały taras i ukrył się w krzakach pod oknem biblioteki.

Na dwór wybiegł stary labrador, w ślad za nim pojawiła się drobna siwowłosa kobieta w szlafroku i kapciach. Buck wysilał wzrok, żeby się jej dobrze przyjrzeć. Trzymała coś w ręku.

– Dobrze, stary łobuzie – dobiegły go jej słowa. – Ale to będzie nasza tajemnica, nie piśniesz Miss Lottie ani słowa. – Dała psu ciasteczko, poklepała duży łeb z czułością. – Nic dziwnego, że jesteś taki gruby. – Psisko schrupało smakołyk i ciężkim truchtem zbiegło ze schodów, do ogrodu. Po chwili również kobieta znikła z pola widzenia Bucka.

Z wahaniem popatrzył na strumień światła z otwartych drzwi wejściowych. Los podsuwa mu doskonałą okazję. Mógłby po prostu wejść, zabić wroga, dopełnić zemsty. Ale ciągle nie wiedział wielu rzeczy. Nie mógł sobie pozwolić na błąd. Musi udoskonalić swój plan, być pewny sukcesu. Zresztą nie chciał się spieszyć, chciał się rozkoszować każdą chwilą.

Po kilku minutach Maria wróciła w zasięg jego wzroku. Pies szedł za nią. Nagle zatrzymał się i spojrzał prosto na Bucka. Ze szczeniem ruszył w jego stronę.

110

Buck zamarł. Serce waliło mu jak szalone. Jeśli pies go zaatakuje, będzie musiał natychmiast przystąpić do działania. W myślach układał już awaryjny plan. Mógłby najpierw załatwić służącą i nadal miałby szansę zaskoczyć starą...

– Bruno! Wracaj, ty głuptasie! – zawołała Maria.

Pies odwrócił głowę. Spojrzał na nią i ponownie na krzaki, w których siedział Buck. Znowu zaszczekał.

– Bruno, wracaj natychmiast. – Maria traciła cierpliwość. Pies niepewnie zerknął na zarośla, po czym posłusznie wszedł do domu. Buck odetchnął z ulgą. Ciężkie dębowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Usłyszał chrobot wielkiego klucza, który wyglądał, jakby strzegł dostępu do średniowiecznego zamczyska.

Znowu popatrzył na zegarek; teraz wie mniej więcej, o której Maria wychodzi z psem na spacer i zamyka drzwi na noc.

Zapalił następnego papierosa. Poczeka, aż zgasną wszystkie światła, żeby się przekonać, o której idą spać. Czuł się, jakby dom już

należał do niego. Beztrosko przechadzał się po tarasie. Mniej więcej godzinę później zgasły światła na górze. Znowu zapamiętał, która to godzina, po czym puścił się biegiem w drogę powrotną. Skręcił ze zwirowanego podjazdu, żeby nie hałasować. Przy samochodzie przekonał się, że powrót zajął mu osiemnaście minut. Zdecydowanie za długo. Najgorszy problem to te cholerne drzewa. Musi przyjechać tu za dnia i zaplanować trasę przez zagajnik. Powrót nie może mu zająć więcej niż siedem minut. W tym czasie ma pokonać półtora kilometra.

Mimo wszystko nie było źle jak na pierwszą próbę. Zrobi to ponownie jutro wieczorem, i pojutrze, i następnego dnia. Będzie wracał co noc, aż będzie gotowy.

Rozdział 28

E

Ilie eksperymentowała z nowym przepisem. Jeśli danie się uda, zaproponuje Chanowi, by włączyli je do menu. Jej rude włosy znikły pod białą kucharską czapą. Była w swoim żywiole, spokojna, zręczna, rozkoszowała się każdą chwilą pracy.

Gotowanie ma w sobie coś specyficznego, łączy niemal naukową precyzję niezbędną profesjonalnemu szefowi kuchni z twórczą fantazją. Widziała w tym odzwierciedlenie dwóch stron własnej osobowości: szaloną, spontaniczną poszu-kiwaczkę przygód i zrównoważoną, rozsądną kobietę biznesu.

Oстрыm jak brzytwa tasakiem zręcznie odrąbała skrzydełka i pokroiła kurczaka na mniejsze kawałki. Posiekała drobniutko szalotkę, zrobiła chiffonade ze szpinaku: zwinęła liście na kształt cygar i pokroiła w cieniutkie paseczki. To samo zrobiła z rukwią i trybulą. Roztopiła odrobinę masła w żeliwnym rondelku, wsypała szalotki i kurczaka, dodała soli i pieprzu i zostawiła na wolnym ogniu. Następnie ugotowała szpinak i zioła. Wlała ziołowy sos do garnka z kurczakiem, dodała odrobinę śmietany i jajko i mieszała, aż sos zgęstniał. Spróbowała i po chwili namysłu dodała więcej soli i pieprzu.

Natknęła się na ten przepis w wiejskiej karczmie w Prowansji. Zachwycił ją delikatny zielony kolor i łagodny smak, przywodzący na myśl upalne lato. Właśnie takie potrawy chciała serwować w swojej restauracji.

Nałożyła na talerzyki po kawałku kurczaka, połała każdą porcję sosem i wręczyła je Chanowi, Terry'emu i Mai.

– Co wy na to? – Oparła dłonie na biodrach. W napięciu czekała na werdykt. Maya przewracała oczami i bardzo nieelegancko wyjadała

sos łyżeczką.

- Niebo w gębie.

- Znam ten przepis - nadał się Chan. - To francuska kuchnia wiejska.

- Czyż nie najlepsza na świecie? - wpadła mu w słowo.

- No, może... po chińskiej i japońskiej. Terry puścił do niej oko za plecami Chana.

112

- Pyszne, Ellie. Tylko na mój gust mogłabyś dodać więcej trybulki. Uwielbiam ją.

- Ja też. - Ellie wróciła wzrokiem do Chana.

- Smaczne - przyznał w końcu. - Może się nam do czegoś przyda. Sos będzie dobry do ryb. Albo do placków z krabów.

- Super! - Ellie posłała mu swój olśniewający uśmiech.

- Jeśli jest to wystarczająco dobre dla Francuzów, będzie dobre i dla nas - podsumowała Maya.

Ellie umyła ręce i zabrała się za mieszenie ciasta na tarte tatin.

Wcześniej przygotowała daquoise z podwójną czekoladą. Na deser podawali także świeże owoce z popisowym dziełem Terry'ego,

creme anglaise, i sorbety owocowe. Ellie chętnie podawałaby również deskę serów z małą miseczką zielonej sałaty, jak we

Francji. Nie wyobrażała sobie lepszego zakończenia posiłku.

Niestety, w dzisiejszych czasach ludzie dbali o poziom cholesterolu i nie opłacało się kupować świeżych serów dla kilku klientów.

Do tego stopnia pochłonęła ją praca, że nie usłyszała dzwonka telefonu.

- Do ciebie! - Maya podała jej słuchawkę.

- „U Ellie”, słucham?

Na drugim końcu linii Dan uśmiechnął się pod nosem. Uwielbiał rosnącą intonację, jakby spodziewała się cudownej niespodzianki.

Miał nadzieję, że nie rozczaruje się słysząc, że to on.

- Cześć, Ellie Parrish Duveen.

Mieszała karmel, więc przytrzymała słuchawkę ramieniem.

- Dzwonisz, żeby mi powiedzieć, że twój explorer nadaje się do kasacji i że to moja wina?

- Masz szczęście, tym razem skończyło się na niegroźnym zadrapaniu. Po prostu zastanawiałem się, co robisz.

- Haruję jak niewolnica.

- Pomyślałem sobie, że do przyszłego tygodnia jeszcze strasznie daleko.

- Hm. Czyżbyś nie mógł się doczekać mojego towarzystwa?

- Na to wygląda. Zresztą i tak dzisiaj po południu muszę przyjechać do miasta, w interesach. Może wpadnę do ciebie na kolację? Czy przyjmujecie rezerwacje dla jednej osoby?

Odsunęła włosy z czoła umączoną ręką. Była bardzo zadowolona.

- Dostaniesz najlepszy stolik i jedzenie na koszt firmy.

- Ty zapewne będziesz dalej harowała?

- Niestety, ale postaram się napić z tobą wina. - Przypomniał sobie poprzedni wieczór i intymny nastrój „U Mollie”.

- Na myśl o tarte tatin leci mi ślinka - stwierdził.

- To pycha, mówię ci. - Uśmiechała się do siebie na myśl o nim tutaj, w jej restauracji. Tym razem w jej świecie.

- Więc do zobaczenia koło dziewiątej.

- Czekam. - Niemal wyśpiewała to słowo. Miała rumieńce na policzkach. Maya spojrzała na nią przebiegle.

8-Wcześniej...

113

- Wyglądasz jak kobieta szczęśliwa.

- Kto? Ja? - Ellie roześmiała się na głos i ponownie zajęła ciastem.

Celowo nie odpowiedziała na pytanie w oczach przyjaciółki.

- No, Ellie, gadaj, czy to farmer? Nie podnosiła głowy znad stolnicy.

- We własnej osobie.

- Proszę, proszę. Czy to ma znaczyć, że dzisiaj poznam go osobiście? - Maya nie dawała za wygraną. Zżerała ją ciekawość.

Ellie nie umawiała się z nikim od tak dawna, że była tym podekscytowana prawie tak, jak własnymi randkami.

- Będzie tu o dziewiątej. - Ellie zdjęła karmel z palnika. Rzut oka na zegarek przekonał ją, że zobaczy Dana za równe cztery godziny.

Postanowiła ćwiczyć silną wolę i nie bawić się w liczenie minut.

- Na pewno nie chcesz pożyczyć mojego pulowerka od Versacego?

Maya się z niej nabijała, z czego Ellie sobie doskonale zdawała sprawę.

- Słuchaj, powiedziałam mu, że pracuję i że będzie jadł sam. To nie randka, Maya.

- W porządku, jeśli tak twierdzisz.

Maya oddaliła się majestatycznie, żeby sprawdzić, czy stoliki są właściwie nakryte, a Ellie wróciła wzrokiem do zegara. Przez eksperymentowanie z nową potrawą była trochę opóźniona, ale i tak zdąży skoczyć do domu, wziąć prysznic i się przebrać. I psiknąć perfumami.

Rozdzał29

Z

mierzchało, gdy Buck jechał Hot Springs Road. Wybrał czas między przejazdami patroli obserwujących sąsiednią posesję. Zaparkował w tym samym miejscu, włączył stoper i puścił się biegiem w kierunku bramy.

Tym razem widział, dokąd biegnie, i starannie wybierał trasę między brzoza. Wielokrotnie się cofał, żeby się upewnić, że wybrał najkrótsze, najlepsze przejście. Wyrывał chwasty i zoczył ślad, aż wytyczył najkrótszą trasę.

Zadowolony, czekał, aż zapadnie zmrok, ponownie uruchomił stoper i skierował się w stronę budynku. Zanim dotarł do tarasu, oddychał z najwyższym wysiłkiem. Powinien pochodzić trochę na siłownię, poprawić kondycję.

Po odliczeniu czasu, który spędził w zagajniku, okazało się, że droga zajęła mu piętnaście minut. Stanowczo za długo. Nie spodziewał się, by musiał uciekać, lecz tym razem chciał się przygotować na każdą okazję. Musi być szybszy.

Ponieważ zakładał, że lada chwila Maria wyjdzie z psem na spacer, schował się w zaroślach na najdalszym skraju tarasu. Wyciągnął papierosa i czekał. Kiedy się pojawili w drzwiach, jego serce zdążyło odzyskać normalny rytm. Tym razem był wystarczająco daleko: stare psisko nie wyczuło go i nie szczekało. Ponownie spojrzął na zegarek; wieczorny spacer odbywał się o tej samej porze co wczoraj, z różnicą zaledwie kilku minut.

Nie odchodził, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi. Dopiero wtedy równym krokiem pobiegł z powrotem.

Trzydzieści minut, ale serce mało mu nie wyskoczyło z piersi. Z ulgą opadł na miękki fotel w samochodzie. Już jutro pójdzie na siłownię, popracuje nad odzyskaniem dawnej formy. Co prawda nie przewidywał żadnych komplikacji, przecież po nocach nikt nie będzie odwiedzał dwóch staruszek, ale wolał dmuchać na zimne.

W ciemności dojechał do szosy. Była pusta. Dopiero wtedy włączył reflektory. Skręcił w lewo, w stronę miasta.

115

W swoim mieszkaniu wziął prysznic, przebrał się w drogą niebieską koszulę i beżowe spodnie, pociągnął spory łyk burbona z otwartej butelki i pojechał do Santa Monica.

Na Main Street utworzył się korek, a o miejscu do parkowania nie było nawet co marzyć. Dan uważał się za szczęściarza, że udało mu się znaleźć wolne miejsce w niedalekim parkingu wielopoziomym. Jego radość nie trwała długo: okazało się, że tuż obok stoi żółty džip Ellie. Explorer już teraz wyglądał jak weteran

niejednej stłuczki; kolejna rysa albo zbity reflektor nie dodadząmu uroku.

Kiedy ponownie wyszedł na Main Street, poczuł się jak prowincjusz w wielkim mieście. Zdażył już przywyknąć do ciszy i ciemności wiejskich nocy. Ze sklepowych witryn sączyło się światło, z samochodów grzmiała muzyka, roześmiani, rozgadani ludzie mijali go w drodze do restauracji, dyskotek i barów. W pobliskiej galerii akurat otwierano wernisaż. Elegancko ubrani goście popijali marga- rity, zajadali malutkie kanapeczki i krytycznym wzrokiem patrzyli na najnowsze dzieła artysty. Dan z rozkoszą wdychał smakowite zapachy; oby jedzenie Ellie było równie dobre! Uśmiechnął się na myśl o niej; dzisiaj będzie się zwijała jak w ukropie, chcąc mu się pokazać z jak najlepszej strony. Tym razem to ona będzie broniła swojej restauracji, a nie on winnicy.

Maya rozpoznała go, gdy tylko przekroczył próg. Miał na sobie koszulę z białego lnu z zakasnymi rękawami, dzinsy i jasnobrązowe mokasyny. Na tle opalonej twarzy błękit oczu wydawał się wyjątkowo intensywny; to wrażenie potęgowało jeszcze charakterystyczne spojrzenie człowieka, który z niejednego pieca chleb jadł. Pospieszyła mu na powitanie.

– Niech zgadnę–omiotła go długim spój rzeniem bursztynowych oczu. – Dan Cassidy.

– We własnej osobie. – Uśmiechnął się lekko. Maya nie mogła pojąć, jakim cudem Ellie opiera mu się tak długo. – A ty jesteś Maya?

Skinęła głową.

– Widzę, że jestem sławna od Los Angeles aż do Santa Barbara.

– Och, jeszcze dalej, nawet w Arizonie. Jęknęła głośno.

– Powiedziała ci?

– Niestety. – Rozbawiła go jej ponura mina. – Nie wdawała się w szczegóły, ale i tak domyślam się, że bawiłyście się doskonale.

Maya westchnęła.

– Życie Ellie jest jak otwarta księga. Ta kobieta nie wie chyba, co to tajemnica. W każdym razie witamy „U Ellie”. – Zaprowadziła go do stolika przy oknie i wręczyła kartę dań. – Powiem Ellie, że jesteś. – Z tymi słowami oddaliła się do kuchni. Nie mogła się doczekać miny, jaką zrobi przyjaciółka, kiedy powie jej, co sądzi o Danie Cassidym.

Dan rozglądał się ciekawie. Oświetlenie było skromne, stwarzało intymny nastrój; na każdym stoliku stała mała lampka z różowym abazurem. Z sąsiednich

stolików dobiegał przyjemny szmer rozmów i śmiechu. Trzy czwarte miejsc było zajęte; jak na środowy wieczór chyba nie jest źle. Po dłuższej chwili zaczął studiować kartę dań.

Poczuł zapach perfum Ellie, jej usta na policzku, i z uśmiechem podniósł głowę. Nigdy dotąd czyjś widok nie sprawił mu takiej radości. Zresztą wyglądała wspaniale w białej koszulce z napisem „U Ellie”, czarnych dżinsach i czarnej baseballowej czapeczce.

– No, dzisiaj jesteś na moim terenie – postawiła na stole butelkę wina i usiadła po drugiej stronie.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały.

– Prawda – mruknął. – Zobaczymy, czy twoja reputacja nie jest przesadzona.

– Przekonasz się – stwierdziła skromnie. Nalała wina do dwóch szklanek. Maya przyniosła miseczkę tapenade i koszyk pachnącego świeżego chleba.

– Ellie sama go piekła – poinformowała Dana. – To jeden z jej licznych talentów.

Sięgnął po kromkę.

– A inne? – z tymi słowami spojrzał na Ellie. Ponieważ zdawała się nie rozumieć, wyjaśnił: – Talenty. Boże, jakie to smaczne.

Naprawdę pyszne. Nie jadłem takiego chleba odkąd... Nigdy w życiu. Pewnie taki chleb piekły dawniej nasze babcie.

– Raczej Paul Poilane w Paryżu – uśmiechnęła się. – U niego uczyłam się fachu.

– W takim razie byłaś bardzo pojętną uczennicą. – Skosztował wina. – Czyje?

– Twojego sąsiada, Fessa Parkera.

– Facet zna się na rzeczy. – Nakrył jej dłoń swoją. – Stęskniłem się za tobą – wyznał cicho.

– Nie miałeś kiedy, widzieliśmy się wczoraj wieczorem.

– To bardzo dawno temu.

Maya pomyślała, że wyglądają jak zakochani, ukryci w okiennej wnęce oświetlonej różowym światłem. Westchnęła. Jakie to romantyczne! Oby tylko Ellie nie dała się znowu ponieść ambicji. Czy ona się kiedyś nauczy, że życie polega na zawieraniu kompromisów?

Z zewnątrz, z Main Street, Buck obserwował ich przez szybę. Już-już miał wejść do restauracji, lecz zrezygnował. Cofnął się o krok. Patrzyli sobie w oczy, trzymali za ręce. Jak ona śmie! – krzyczał

głos w jego myślach. To moja kobieta. Jeśli facet nie zejdzie mi z drogi, jego także muszę zabić.

Wściekły, odwrócił się na pięcie, pognął do samochodu i pojechał do jej domu. Otworzył dorobionym kluczem. Po drugim namyśle ruszył na górę, do sypialni.

Jego Ellie to nie żaden niechluj. W pokoju panował idealny porządek. Wtulił twarz w różowy szlafrok. Pachniał jej pudrem i perfumami.

Osunął się na łóżko ze szlafrokiem w objęciach. Spoczywała w jego ramionach, jej zapach łaskotał jego nozdrza. Prawie uwierzył, że jest przy nim.

117

Dochodziło wpół do jedenastej, zanim w restauracji zrobiło się na tyle luźno, że Ellie miała chwilę, by przysiąc się do Dana. Na jego prośbę wybrała dania – proste, bo był człowiekiem nieskomplikowanym, który wie, czego chce. Zupa z białej fasoli, comber jagnięcy wpersillade, puree ziemniaczane i ratatouille. A na deser, oczywiście, słynna tarta.

W napięciu pochyliła się nad stołem, zagryzła dolną wargę, obserwowała, jak Dan podnosi widelec, unosi kawałek ciasta do ust. Jeśli nie będzie mu smakowało, zabije się...

Dan zamknął oczy, jakby się zastanawiał. Po dłuższej chwili uniósł powieki i w milczeniu zjadł następny kęs.

Nerwowo pochyliła się nad stołem.

– Dalej, powiedz, że jest okropne. Przeżyję to. Spojrzenie niebieskich oczu było niewinne jak u dziecka.

– Miałem coś powiedzieć? – Pochłonął kolejny kęs. Wyprostowała się dumnie.

– Potwór! – syknęła.

Danowi bardzo się podobała, kiedy się tak dąsała. Wyglądała wówczas jak mała dziewczynka. Skończył ciasto, odłożył widelczyk i poklepał się po brzuchu.

– Pycha. Mógłbym to jeść do rana.

– Dzięki. A reszta?

Wiedział, jak bardzo się denerwuje.

– Najlepsza, odkąd ostatnio byłem w Paryżu. Nie ukrywała zdumienia.

– Nie wiedziałam, że byłeś w Paryżu. – Ledwie wypowiedziała te słowa, zaczerwieniła się ze złości. Nabijał się z niej. Oczywiście, że nigdy nie był w Paryżu, był za bardzo zajęty bawieniem się w policjanta. – Wielkie dzięki – burknęła. Zajęła się zbieraniem

naczyń.

Złapał ją za ramię, zanim odeszła.

– Na Manhattanie jest knajpka o nazwie „Paryż”. Mają wyśmienite jedzenie. – Śmiał się głośno. – Ale nie tak dobre jak u ciebie.

Naprawdę, Ellie.

– Więc podziękuj Chanowi. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– To była zemsta za to, co powiedziałaś o mojej winnicy.

– W stanie rozkwitu? – Zachichotała.

– Co byś powiedziała na filiżankę kawy w moim towarzystwie? –

Posuwał się za szybko, ale widział, że Ellie słabnie.

Rozejrzała się po niemal pustej sali.

– Mam lepszy pomysł. Napijemy się u mnie w domu.

Tego się nie spodziewał, a już zwłaszcza nie po kawale, który jej spletał.

– Poproszę Mayę, żeby zamknęła! – krzyknęła przez ramię.

Siedział przy kontuarze, z rękami w kieszeniach. Przeszło jej przez głowę, że wygląda równie dobrze jak osiemnastolatek z jej wspomnień: szczupły, muskularny, opalony.

118

A jemu przyszło na myśl, że Ellie wygląda smakowicie jak tarta, z której jest tak dumna. Włożyła krótką czerwoną kurteczkę, przez ramię przerzuciła czarną torbę.

Widząc oboje, Maya nie mogła powstrzymać się od refleksji, że świetnie razem wyglądają. A wyglądali jeszcze lepiej, gdy wychodząc Dan objął Ellie ramieniem.

Jak to dobrze, że Ellie w końcu ma kogoś, na kim jej zależy.

Wprawdzie się do tego nie przyznała, ale nigdy tego zrobi, chyba że zdarzy się albo cud, albo katastrofa.

Buck z trudem dźwignął się z łóżka. Starannie odwiesił szlafrok.

Umył twarz i ręce w jej łazience, wytarł się jej białym miękkim ręcznikiem. Wygładził pościel, strzepnął poduszkę, żeby znikł zarys jego głowy.

Obrzucił tęsknym spojrzeniem królestwo ukochanej. Chodził z pokoju do pokoju, w dół po schodach i na dwór.

Najbliższa latarnia uliczna stała o pół przecznicy dalej, więc przed domem Ellie panował półmrok. Buck przemierzył chodniczek wiodący do furtki dwoma susami i przebiegł wąską uliczkę akurat w chwili, gdy skręcały w nią dwa samochody. Na sekundę oślepiły go reflektorami. Szybko odwrócił głowę w drugą stronę.

Kiedy usłyszał, że się zatrzymały, obejrzał się przez ramię.

Zobaczył, jak Ellie wysiada z dżipa, a Cassidy wyskakuje z

explorera. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy razem ruszyli do domku.

Po mniej więcej minucie na górze zapaliło się światło. Ellie stała w oknie sypialni, pokazywała coś Danowi, wyciągała rękę. Potem zamknęła okno i zaciągnęła zasłony.

Buck biegiem wracał do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, objechał całą przecznicę, zaparkował niedaleko domu Ellie. Niemal nie widział przez łzy.

- A oto - Ellie wychyliła się z okna sypialni - główna przyczyna, dla której tak bardzo kocham mój domek.

Dan wysunął głowę, popatrzył w dół wzgórza, ponad dachami, gdzie w oddali jaśniał wąski pasek srebra. Uniósł brew.

- Czyżby tam był ocean?

- Oczywiście - naburmuszyła się. - Nawet go słyszać. Nadstawił ucha.

- Ja tam słyszę tylko samochody. Zatrzasnęła okno i zaciągnęła zasłony.

- A ja cię miałam za prawdziwego romantyka. - Prychnęła pogardliwie. Deski podłogi zaskrzypiały, gdy w ślad za nią wyszedł z sypialni na dół.

- Wiesz, gliniarz zawsze zostaje gliniarzem. - Zobaczywszy zwiedłe tulipany w wazonie na komodzie, dodał: - Gdybym był romantykiem, przyniósłbym ci kwiaty.

119

- Wielkie dzięki, stać mnie na kwiaty.

Pobiegła do kuchni, wsypała kawę, naląła wodę, włączyła ekspres. Wyjęła z kredensu zielone fajansowe kubki z namalowanymi czerwonymi wisienkami i żółtą cukiernicę. Nagle się zawahała.

- Nie wiem nawet, czy słodzisz.

- Fakt, wiem o tobie więcej niż ty o mnie. - Opierał się o framugę, zahaczył kciuki o szlufki džinsów.

- To policyjna natura. Wszystko zauważasz.

- Zauważyłem rysy na ścianach. Czy jesteś pewna, że ten dom nie zawali ci się na głowę?

Wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że nie stanie się to przed następnym trzęsieniem ziemi.

- Oto Kalifornijka z krwi i kości. - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Teraz wiem, że jestem w krainie przyszłości.

- Proszę się nie martwić, panie detektywie, inspektorzy z Wydziału Budownictwa powiedzieli, że to uszkodzenie powierzchniowe, nic

poważnego. Mam wrażenie, że odkąd ostatnio tu byli, ściany się odrobinę przemieściły, ale szczerze mówiąc - z filozoficzną rezygnacją rozłożyła ręce - mnie to nie przeszkadza.

Danowi też nie. Podobał mu się dobór kolorów i przytulny charakter przeładowanych wnętrz. To nie było zwykłe mieszkanie, lecz dom Ellie. Przypomnił sobie atmosferę kafejki i stwierdził, że Ellie ma najwyraźniej talent do tworzenia ciepłego nastroju. Pomógł jej zanieść kawę do saloniku.

Włączyła odtwarzacz płyt kompaktowych, zapaliła świece na stoliku, zrzuciła poduszkę na ziemię i usiadła na niej po turecku. Jednym ruchem ściągnęła gumkę z włosów i potrząsnęła głową. Zafascynowany patrzył, jak rude loki opadają na jej ramiona, silne i sprężyste niczym grzywa żrebaka. W ciepłym blasku świec skóra Ellie wydawała się niemal przezroczysta. W opałowymi oczach odbijały się płomyki.

Podawała mu kubek kawy.

- Czy w końcu odpowiedziałeś na moje pytanie w sprawie cukru? -
Uśmiechała się, odprężona.

- Nie opamiętam, ale nie, nie słodzę, dzięki.

Z głośników śpiewała Billie Holiday, cicho i smutno, głosem nabrzmiałym tęsknotą. W pokoju unosił się zapach brzoskwiniowego potpourri, perfum i dobrej kawy. Dan nie wyobrażał sobie, gdzie mogłoby mu być lepiej niż tutaj.

- Teraz twoja kolej. - Ellie uniosła na niego wzrok znad krawędzi kubka. - Poprzednim razem zdradziłam ci moją przeszłość. Teraz chcę się dowiedzieć czegoś o tobie.

- Nawet najgorszych rzeczy?

- Nawet najgorszych.

- W porównaniu z twoim, w moim życiu działo się niewiele.

Mówiąc szczerze, było raczej zwyczajne, dopóki nie stanąłem oko w oko z kulą. Mój ojciec był strażakiem. Jako dzieciak marzyłem o takiej karierze, puchłem z dumy, gdy widziałem go w remizie, w hełmie i pełnym rynsztunku. Najpiękniejszy dzień

120

mojego dzieciństwa to ten, kiedy pozwolili mi wleźć na drabinę strażacką. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że to niebezpieczne, dopóki ojciec nie wylądował w szpitalu z oparzeniami trzeciego stopnia. Miałem wtedy siedem lat. Wyszedł z tego, został komendantem. Byliśmy z niego bardzo dumni.

- My? - wtrąciła się zaintrygowana.

- Moja mama, siostra i ja. Mama była nauczycielką w podstawówce,

a Aisling obroniła doktorat z psychologii w Michigan. Ma teraz prywatny gabinet w Chicago.

- Piękne imię. - Opowieść fascynowała ją jak bajka na dobranoc.

- Otrzymała je na cześć irlandzkiej babki. Kilka lat temu pojechaliśmy z ojcem do starego kraju, szukać korzeni. - Dan roześmiał się na samo wspomnienie. - Boże, kocham Irlandię. Nigdzie indziej nie spotkasz się z taką gościnnością, wszyscy są twoimi przyjaciółmi. A dokładnie rzecz ujmując, albo przyjaciółmi, albo krewnymi, albo znają kogoś w Kalifornii. W każdym razie znaleźliśmy więcej Cassi-dych, niż się da spamiętać, a wszyscy zdawali się w jakiś sposób z nami spokrewnieni.

Jeździliśmy po wsiach, nocowaliśmy w małych przydrożnych zajazdach. W wielu z nich czuliśmy się tak, jakbyśmy się cofnęli w czasie, gdzieś do początku wieku. Nie zapomnę, jak pewnej nocy podjechaliśmy do walącej się rezydencji wśród bezdroży hrabstwa Cork. Lało jak z cebra, byliśmy tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Podświadomie oczekiwałem, że lada chwila rozlegnie się szczekanie psa Baskerville'ów. Tymczasem pan domu usłyszał nasz samochód. Otworzył drzwi na oścież i zalał nas strumień światła. Gospodarz był wysoki i chudy, z niesforną siwą czupryną.

„Witamy! Witamy! - krzyczał. - Za momencik napalą w piecach w waszych pokojach. A Mary Kate już się krząta przy kolacji! Macie apetyt na świeżą kaczuszkę? Własnoręcznie ją zabiłem, nie dalej jak tego ranka”. - Dan uśmiechnął się do wspomnień. - Nigdy nie słyszałem cieplejszych słów powitania.

Ellie zawtórowała, rozbawiona obrazem, który roztoczył.

- Gospodarz zaprowadził nas do pokoi, a Mary Kate, która była tak pulchna, jak jej małżonek chudy, o włosach koloru prawdziwego irlandzkiego guinnessa, już przykładała zapałkę do kupki torfu na kominku.

Tu przerwał i spojrzał na Ellie spod oka.

- Tylko nie myśl, że płonący torf cię rozgrzeje. To paskudztwo jedynie się żarzy i produkuje niewiarygodne ilości dymu. Nie ogrzejesz się przy tym, nawet tuląc się do komina.

Pamiętam, whisky płynęła strumieniami, jedzenie pachniało smakowicie, a rozmowa, jak to w Irlandii, nie milkła ani na chwilę.

„Podam jedzenie w salonie” - oznajmiła Mary Kate wyniośle. Ale co to był za salon! Zmieściłoby się tam i ze stu gości. Był lodowato zimny, więc wiedzieliśmy, że nikt go nie używał od dawna.

Tymczasem Mary Kate zapaliła kilka mdłych lampek i zaproponowała, że puści nam muzykę. Był kwiecień, a z głośnika

popłynęły dźwięki kolęd. Domyślałam się, że po raz ostatni korzystali z salonu na Boże Narodzenie.

Za to kaczka spotkałaby się z twoją aprobatą, złocista i chrupiąca na zewnątrz, a w środku delikatna i soczysta. Do tego kopa ziemniaków i butelka domowej

121

whisky, żeby jedzenie lepiej wchodziło. I tak siedzieliśmy, biesiadowaliśmy jak sam Brian Boru, król Irlandii, słuchaliśmy w kwietniu „Cichej nocy” i gawędziliśmy z naszymi gospodarzami, jakbyśmy się znali od lat.

Właśnie taka jest Irlandia – zakończył. – Kraj chłodny i dżdżysty, a mimo to najcieplejszy pod słońcem.

Ellie opłotła kolana rękami. Czekwała na dalszy ciąg.

– Chciałabym tam pojechać.

– Więc cię kiedyś zabiorę – rzucił lekko.

– Hm. – Zbyła jego słowa mruknięciem. – Opowiedz mi o swoich rodzicach. Zacisnął usta w wąską linię. Po raz pierwszy na jego twarzy zagościł smutek.

– Mama umarła cztery lata temu, na raka piersi. Ojciec bardzo to przeżył. Wtedy akurat przeszedł na emeryturę, co tylko pogarszało sytuację. Mimo wszystko jakoś wziął się w garść. Wyprowadził się ze starego domu do mniejszego mieszkania. Nauczył się grać w golfa, umawiał się na pokera ze starymi przyjaciółmi. Chyba był szczęśliwy, chociaż może to za mocno powiedziane. Umarł w zeszłym roku. Za to, co po nim odziedziczyłem, plus moje oszczędności i renta z policji, kupiłem winnicę. – Rozłożył szeroko ręce. – I tyle. Oto historia mojego życia.

Nie miała zamiaru pozwolić mu wymigać się tak łatwo.

– Tak? A gdzie chodziłeś do college'u? Z kim się przyjaźniłeś? Czy byłeś kiedykolwiek zakochany? – jedno za drugim powtórzyła te same pytania, które on jej zadawał. Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Obnażył silne białe zęby, które tak bardzo ją zirytowały przy ich pierwszym spotkaniu. Patrząc na opaloną szyję drżącą ze śmiechu, doszła do wniosku, że spotkanie Dana to najlepsze, co mogło jej się wydarzyć, odkąd... odkąd się nauczyła piec chleb.

– Ukończyłem z wyróżnieniem fizykę na Uniwersytecie Kalifornijskim, w Santa Barbara. Mój najlepszy przyjaciel nazywa się Pete Piatowsky, jest policjantem w Nowym Jorku. I owszem, byłem zakochany. – Wciąż się śmiał.

Dolała mu kawy.

- Opowiesz o swojej żonie?

- To bardzo osobiste pytanie. - Patrzył jej prosto w oczy. Tym razem to on powtarzał jej słowa.

- Wiem. Ale nadeszła pora zwierzeń.

Upił łyk kawy i pomyślał o Frań. Do tej pory pamiętał, jak cierpiał z miłości do niej, myślał jedynie o niej, nie potrafił bez niej żyć.

- Byliśmy bardzo młodzi. - W jego oczach ciągle widniało stare cierpienie. - Poznaliśmy się w szkole. Była najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Drobną blondynką.

Uprawiała sport, była w zespole cheerleaders. Przy naszym pierwszym spotkaniu pokonała mnie na rękę. Miała mięśnie ze stali, chociaż nigdy byś się tego nie domyśliła, była smukła jak chart.

Ilekroć ją widziałem, serce stawało mi w gardle. Byłem dosłownie chory z miłości. Nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedziała, że czuje to samo.

Ellie wyobraziła ich sobie bez trudu; drobniutka, śliczna sportsmenka i wysoki, opalony surfer. Z ukłuciem zazdrości pomyślała, że na pewno wyglądali wspaniale.

122

- Byliśmy nierozłączni - opowiadał. - Razem się uczyliśmy, razem trenowaliśmy na bieżni, razem pływaliliśmy na desce. Była królową balu absolwentów, a ja pękałem z dumy, że jestem jej chłopakiem.

Jak wytłumaczyć takie szczeniackie zauroczenie? - Pokręcił głową.

Do tej pory nie pojmował, skąd się brała siła pierwszej miłości. -

Pobraliśmy się, gdy mieliśmy po dziewiętnaście lat, oboje w college'^ lecz o skrajnie różnych zainteresowaniach. Mnie interesowały nauki ścisłe, ją- sport. Uczyłem się po nocach, ona wstawała o szóstej rano, żeby trenować. Miłość nastolatków w ciasnym wynajętym mieszkaniu.

Wzruszył ramionami.

- To nie mogło trwać. W pewnym sensie jednak zyskałem wolność. Rzuciłem studia podyplomowe i wyjechałem do Nowego Jorku.

Miałem wtedy głowę pełną ideałów, chciałem bronić dobrych i ścigać złych, przyczynić się do poprawy bezpieczeństwa zwykłych ludzi. - Znowu wzruszył ramionami. - W życiu nic nie jest białe albo

czarne. Niemniej byłem dobrym gliniarzem, żyłem pracą i w pewnym sensie miałem poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

- Czy kiedykolwiek zakochałeś się ponownie? - Jej głos był cichy, niski, wyrażał pełne zrozumienie.

- Owszem, ale nigdy nie tak, jak wtedy... - Miał na końcu języka „aż do teraz”, lecz uznał, że jeszcze za wcześnie, Ellie jest zbyt czujna.

Nie była gotowa na miłość.

Ujęła jego dłoń.

- Dzięki, że mi to wszystko powiedziałeś.

- Myślisz, że teraz mnie znasz?

- W pewnym sensie zawsze cię znałam - odparła cicho, z powagą.

Nie pytał, co chciała przez to powiedzieć. Zrozumiał. Nie potrzebowali wielu słów.

- Późno już. - Wstał. Tęsknie pomyślał o białym łożu z baldachimem i stertą poduszek, i Ellie... Lecz nie nadszedł jeszcze odpowiednim moment.

- Cieszę się, że wpadłeś. - Weszła razem z nim do przedpokoju tak małego, że dwie osoby mieściły się w nim z trudem.

- Ja też. - Jej zapach owionął go lekka chmurą, kosmyk jej włosów musnął jego usta, gdy się pochylił, by ją pocałować na pożegnanie. Objął ją delikatnie, gdy ich usta zetknęły się na moment. Pierwszy otworzył oczy. - Piękna - stwierdził.

-Co?

- Nie mogłem znaleźć słowa, które najlepiej cię opisuje. Teraz wiem: piękna. Zarumieniała się, co nie uszło jego uwagi. Prawdziwy staromodny rumieniec

pomyślał. Ciagle go zaskakiwała.

- Dziękuję. - Odsunęła się i otworzyła drzwi. - Dobranoc, Wesoly Danny.

- Dobranoc, przyjaciółko. - Pomachał, idąc do furtki. - Zadzwoń jutro.

Z przeciwnej strony ulicy Buck obserwował, jak Dan macha Ellie na pożegnanie i zbliża się do furtki. Zegarek na tablicy rozdzielczej wskazywał kwadrans

123

po trzeciej. Było mu niedobrze z zazdrości, był wściekły, że go zdradziła. Jak mogła?! Jak śmiała?!

Okna sypialni były ciemne od kilku godzin. Teraz na nowo zapaliło się w nich światło. Gryząc palce ze zdenerwowania, poczekał, aż zgaśnie, zanim wrócił do swego mieszkania, ponurego jak cela więzienna.

Następnego ranka goniec przyniósł do restauracji bukiet kwiatów. Kremowe peonie, narcyzy białe jak śnieg, rdzawe lilie. Ellie ukryła twarz w pachnących płatkach. Z uśmiechem przeczytała załączony bilecik:

Dzięki za wspianą kolację i rewelacyjną tarte tatin. Nie wiem dlaczego, ale te kwiaty, ich kolory i zapachy kojarzą mi się z tobą.

Postawi je na honorowym miej scu, przy stoliku nocnym, a później zadzwoni, żeby mu podziękować. Nie mogła się doczekać następnego spotkania. W przyszłą środę, u niego w domu.

Rozdział 30

w,

następną środę Ellie nerwowo rozglądała się po pustej restauracji. Dochodziła szósta po południu, powinna być już w drodze do Running Horse, a Jake'a ciągle nie było widać.

– Na pewno dasz sobie radę beze mnie? – dopytywała się nerwowo. Niespokojnie chodziła w tę i z powrotem.

Maya podniosła głowę znad kasy.

– Idź już, dziewczyno, skoro trafiła ci się okazja. Nie słyszałaś nigdy, że tym, co wyróżnia doskonałego menedżera spośród dobrych, jest jego umiejętność posługiwania się zastępcami?

– Nie jestem menedżerem, tylko szefem kuchni, kelnerką i Bóg jeden wie czym jeszcze. W każdym razie nie stać mnie na zastępców, zbankrutowałabym w ciągu tygodnia.

Maya odeszła od kasy, żeby krytycznie obrzucić wzrokiem niebieską spódnicę i sweterek przyjaciółki.

– Tak – mruknęła pod nosem. – Niezły kolor. Trochę świętoszkowaty, ale w porządku, zważywszy na wiejskie otoczenie.

– Świętoszkowaty? Co masz na myśli? – Ellie się obruszyła.

– Nie jest seksowny. – Maya przeczesła palcami krótkie blond włosy. – Szczęka mu nie opadnie z wrażenia.

– Może wolę, kiedy ma szczękę na właściwym miejscu. Gdzie jest Jake? – Nerwowo zerknęła na zegarek. – Miał przyjść o wpół do szóstej.

Do restauracji weszli pierwsi klienci. Odruchowo złapała karty dań i pospieszyła w ich stronę. Maya stłumiła westchnienie; Ellie nigdy stąd nie wyjdzie.

W Running Horse Florita krzątała się w kuchni, szykując meksykańską ucztę. Dan łakomie wdychał smakowite zapachy.

– Florito, nie mam pojęcia, co szykujesz, ale pachnie wspaniale.

125

Uśmiechnęła się znad patelni.

– Będzie panu smakowało, senior, i panience Ellie również.

Zanosił się na chłodny wieczór, więc napalił w kominku i przyniósł zapas drewna. Wcześniej udekorował stół tuberozami i białymi liliami, i teraz pokój wypełniała przyjemna mieszanka zapachów: kwiatów, jedzenia i płonącego drewna. W kubelku pod stolikiem chłodził się szampan. Dan nastawił płytę Bena Webstera.

Pancho wpadł do pokoju po kolejnej niewiarygodnej przygodzie na dworze, rzucił się na dywanik przed kominkiem, przeciągnął leniwie. Drewno trzaskało głośno, z kuchni dobiegał radosny śmiech; to Florita bawiła się z synkiem.

Dan zauważył leniwie, że przeszedł drugą drogę, od domu jak z powieści Stephena Kinga do prawdziwego domu. Do pełni szczęścia brakowało mu jedynie obecności Ellie.

– Więc Jake nie przyszedł. – Maya nie traciła zimnej krwi nawet o siódmej wieczorem. – Nie martw się, poradzę sobie.

Ellie nerwowo poprawiła rozwichrzone włosy. Obrzuciła wzrokiem zatłoczoną restaurację.

– Wiedziałam, że powinnam była mu odmówić. Ostatnio za mało pracowałam.

– Za mało pracowałaś? Ellie, policzę twoje wolne dni na jednej dłoni, używając do tego jednego palca. Idź, na miłość boską. Idź już. Maya popychała ją w stronę drzwi, lecz Ellie nie dawała za wygraną.

– Zadzwońię do niego i powiem, że się spóźnię.

Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. W tle słyszała powolny jazz i blues, Pancho szczechnął od niechcienia.

– Przykro mi, Dan, ale kelner nie przyszedł do pracy. Spóźnię się.

– W porządku. – Nie tracił dobrego humoru. – Ile?

– Teraz mamy duży ruch, może za pół godziny uda mi się wyjść.

Będę u ciebie o ósmej trzydzieści.

– Więc do zobaczenia. – Poszedł do kuchni, by zawiadomić Floritę, że kolacja się opóźni. Potem wyszedł na werandę. O zmierzchu kręta droga lśniła srebrem, nowo zasadzona winorośl zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Pachniało wilgotną ziemią. Uśmiechnął się pogodnie. Jednak życie jest piękne.

W domu nachmurzył się, gdy przyszło mu do głowy, czy aby Ellie nie uzna kwiatów, szampana i ognia na kominku za próbę podrywu. W końcu musiał sam przed sobą przyznać, że cieszył się na jej odwiedzinie zdecydowanie bardziej niż facet, który rzekomo nie jest zaangażowany uczuciowo.

O wpół do ósmej Ellie porwała torebkę, gotowa do wyjścia. W ostatniej chwili pobiegła do kuchni, zobaczyć, jak sobie radzi Chan.

– Wszystko w porządku? – zapytała niespokojnie.

– Jasne. – Podniósł głowę znad kawałka cielęciny, który akurat rozbierał. – A co miałoby być nie w porządku? Poza faktem, oczywiście, że ta kuchnia jest za

mała... – Zamachnął się tasakiem i krzyknął głośno. Z jego kciuka trysnęła krew. – Jezus Maria! – syknął. – Zobacz, co narobiłaś. – Och, Chan! – Z przerażeniem wpatrywała się w głęboką ranę u nasady kciuka. Szybko założyła prowizoryczny opatrunek z serwetki. Krew przesiąkała błyskawicznie. – Musisz zaraz jechać do szpitala – zdecydowała. – Dzieciak cię zawiezie, a ja zajmę się gotowaniem.

May a wsadziła głowę przez drzwi.

– Co się tu dzieje? – Zbladła, gdy zobaczyła zakrwawioną dłoń Chana. – Ojej, kłopoty! – Współczująco spojrziała na Ellie, która już zdążyła włożyć fartuch. – To tyle, jeśli chodzi o romantyczny wieczór w winnicy.

Dan odrzucił głowę do tyłu, na oparcie kanapy, i słuchał muzyki, której wtórowały pochrapywania Pancha. Co jakiś czas zerkał na zegarek. Spodziewał się jej lada chwila. O ósmej ponownie zadzwonił telefon.

Odebrał od razu.

– Ellie? – zapytał radośnie.

– Nie, Maya. Bardzo mi przykro, ale mieliśmy tu mały wypadek i Ellie nadal siedzi w kuchni. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ją stąd wyprowadzić jak najszybciej, dobrze?

– Dobrze, dzięki, że mnie zawiadomiłaś. Z westchnieniem wrócił na kanapę.

O dziewiątej zadzwoniła Ellie.

–Przepraszam cię, Dan – wymamrotała szybko – ale sprawy się bardzo skomplikowały. Zadzwonię do ciebie później.

– Dobrze, nie ma sprawy. – Odłożył słuchawkę.

Kiedy telefon ponownie zadzwonił o jedenastej, był tak wściekły, że go zignorował. Siedział na stopniach werandy w chłodną noc, przenikliwy dźwięk telefonu wibrował mu w uszach. Przez okno widział, jak Florita sprząta ze stołu czyste naczynia, nietkniętą sałatkę i świeże tortille.

Wrócił do pokoju i nalał sobie szampana. Okazał się za zimny, zresztą picie w samotności to żadna przyjemność. Cisnął kieliszek na podłogę i wybiegł do swego biura w stajni.

Uparcie odsuwał od siebie wszystkie myśli o Ellie. W ostrym świetle nagiej żarówki, w towarzystwie Pancha, spędził wiele godzin studiując plany rozwoju winnicy i czytając o nowym typie dębowych beczek. Wszystko jest lepsze niż myśli o Ellie i jej szaleńczym życiu dziewczyny z wielkiego miasta.

Rozdział 31

N

astępnego wieczoru Ellie nie mogła się opędzić od ponurych myśli o Danie. Czuła się winna. Nie miała do niego pretensji, że nie odbierał telefonu, ale przecież nie miała wyboru – musiała zostać w restauracji.

Ze znużeniem ustawiała talerze, kiedy przyszło jej do głowy, że może Chan ma rację, może kuchnia jest rzeczywiście za mała. Chan wziął dzień wolny, w kuchni zostali ona i Terry, ale szczerze mówiąc, Ellie nie miała dzisiaj serca do gotowania.

Nowy dzieciak przy zmywarce upuścił stos talerzy. Zacisnęła zęby, żeby na niego nie nawrzeszczyć.

– Skarbie, potrzebujesz wolnego dnia. – Maya układała spodeczki na drewnianej półce. – Słuchaj, jest jeszcze wcześniej, może po prostu zamkniemy na dzisiaj? Jedź do swojego faceta, przeproś go. Albo odwiedź babcię. Idź do kina. Zrób cokolwiek.

Ellie pokręciła głową.

– Nie mogę.

– A to czemu? – Maya nie czekała na jej decyzję, podeszła do drzwi i odwróciła wywieszkę stroną „Zamknięte” do ulicy. – Zobacz, jakie to proste. Już po wszystkim.

– Nie mogę tak po prostu zamknąć, bez uprzedzenia. Co sobie pomyślą nasi starzy klienci?

– Powiemy, że kucharz jest chory, i żeby przyszli jutro. Bardziej się za nami stęsknią, i tyle.

Ellie nadal się wahała, lecz Maya widziała, że zaczyna ją przekonywać.

– Więc załatwione. – Z tymi słowami włożyła żakiet. – Do zobaczenia jutro.

– Chwileczkę! Dokąd się wybierasz? – Ellie złapała ją za łokieć. – I co to ma znaczyć? Do zobaczenia jutro?

– Nie słyszałaś? Dzisiaj jest zamknięte.

Śmiech dźwięczał jeszcze w małej kuchni, gdy Maya dochodziła do drzwi.

– Oprzytomniej! – zawołała przez ramię. – Zaczynaj żyć!

128

A co tam, powiedziała sobie Ellie. Maya ma rację. Nieobecność

Chana to kiepska wymówka, ale lepsza kiepska wymówka niż żadna. Postanowiła sprawić Miss Lottie niespodziankę wizytą. W głębi duszy wiedziała jednak, że nade wszystko chciałyby spotkać się z Danem.

Do Camarillo miała niezły czas, ale tam dopadła ją gęsta mgła, więc musiała zwolnić. Klnąc korki i pogodę, zadzwoniła do babci z telefonu komórkowego. Nikt nie odbierał. Po kilku minutach spróbowała ponownie. Nadal nic. Zaniepokojona, wyłączyła telefon. Czyżby Miss Lottie zachorowała? Ale w takim wypadku Maria chybaby ją natychmiast zawiadomiła? A jeśli babcia miała wypadek i leży w szpitalu?

Z sercem w gardle nacisnęła pedał gazu, wściekle trąbiąc na błękitnego jaguara, który bezczelnie zajechał jej drogę.

– I co ci to dało, dupku? – syknęła przez zęby. – Marne dwa metry przewagi. Pomyślała o Danie. Nie wiedziała, co ma robić, wiedziała tylko, że jest na nią

wściekły. Zadzwoniła do niego i niecierpliwie bębniąc palcami o kierownicę, czekała, aż podniesie słuchawkę.

– Gdzie się, do cholery, wszyscy podzieli? – mruknęła do siebie. – Całe Santa Barbara znikło z powierzchni ziemi czy co?

Dan oprowadzał zgrzaną klacz po podwórzu przed stajnią. Choć słyszał dzwonek telefonu, pośpiesznie uznał, że Honey jest ważniejsza. Narzucił na nią koc, klepnął w zad i wysłał do stajni. Odbiegła truchtem. Telefon nie ucichł.

Ściągnął koszulę, otarł pot i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

– Winnica Running Horse, słucham.

Ellie odetchnęła z ulgą. Był zdyszany, miała nadzieję, że biegł do telefonu.

– W ten sposób się nie prowadzi interesów. A gdybym była poważnym kupcem, zainteresowanym kupnem stu skrzynek, to co wtedy?

– Miałabyś pecha. Nie mamy nawet dziesięciu skrzynek, a co dopiero stu. A to, co mamy, sam wypiję. Sam jak palec, w ciemnym pokoju.

– Tak źle?

– Gorzej. – Cisnął koszulę na drugi koniec. – Więc? Gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

– Myślałam, że już nigdy nie zapytasz.

– Właśnie pytam.

Miał ponury głos. Westchnęła ciężko.

– Powiedzmy tylko, że nieoczekiwane okoliczności zatrzymały

mnie w restauracji.

– Problemy z personelem.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Tym razem westchnęła głośno.

– Słuchaj, nie możesz powiedzieć, że na początku cię nie ostrzegałam. Dan oparł się o drzwi. Drewno było nadal ciepłe od słońca, obłaząca farba

przylegała mu do pleców. Zamknął oczy, wyobrażał sobie chłodne fale oceanu, jak się w nie zanurza... z Ellie u boku. Dlaczego jest taka płochliwa, taka trudna?

9-Wcześniej...

129

Skoncentrował się na jej słowach.

– Wzięłam sobie wolny wieczór. Jadę do babci. Może spotkalibyśmy się później? Może mogłabym cię osobiście przeprosić za wczoraj? – Zapadła długa chwila ciszy. W końcu dodała miękko: – Naprawdę mi przykro, Dan. Chciałam się z tobą zobaczyć, ale szef kuchni zaciął się w dłoń. Mało brakowało, a odrąbałby sobie kciuk. Musieliśmy go zawieźć do szpitala.

– I wtedy superdziewczyna wkroczyła do akcji. – Oczami wyobraźni widział, jak się krząta po ciasnej kuchni i co chwila potyka o duże stopy.

Z jego głosu odgadła, że się uśmiecha. Kamień spadł jej z serca.

– Najpierw zajrzę do Miss Lottie, potem możemy się spotkać.

– Nigdy nie widziałem Journey's End... – Dan pozwolił sobie na przejrzystą aluzję.

– A więc mam okazję zaproponować ci wycieczkę z przewodnikiem. Poznałeś już Miss Lottie, a dzisiaj przedstawię ci Marię i Bruna, naszego psa. Wtedy będziesz znał całą moją rodzinę.

– Tak mało? Żadnych kuzynów w piątej linii, żadnych wujów i ciotek w dalekich krajach?

– Przynajmniej nic o nich nie wiem. – Gniewnie zatrąbiła na niebieskiego jaguara, który przymierzał się do następnego manewru.

– Wiesz, jak tam dojechać?

– Hot Springs Road do bramy, której strzegą gryfy. Parsknęła śmiechem.

– A więc do zobaczenia, Wesoly Danny. Za mniej więcej czterdzieści minut. Ponownie zadzwoniła do babci. Nadal nikt nie odbierał. Z niepokojem wpatrywała się w mgłę, zła, że nie może jechać szybciej.

Rozdział 32

B

uck ocenił, że pogoda jest idealna. Tej nocy miał zamordować Lottie Parrish. Po upalnym dniu powietrze zasnęła gęsta mgła, spowiała niżej położoną część miasta nieprzeniknionym całunem, omotała czubki drzew, ścieliła się na wzgórzach.

Jechał po wyboistej ścieżce tak daleko, aż nabrał pewności, że z głównej szosy nie widać jego BMW. Był ubrany w czarny dres, za pasek spodni zatknął automatyczny pistolet Glock 27, który zabrał handlarzowi narkotyków, narciarską kurtkę, w której wyglądał jak ludzik z reklamy Michelina, czarną kominiarę, reeboki i lateksowe rękawiczki chirurgiczne. Latarkę ukrył w kieszeni, a swego przyjaciela, nóż, przytroczył do łydki.

Mdłe promienie księżycy z trudem przedzierały się przez mgłę, jednak światła wystarczyło, by dostrzegł znajomą ścieżkę, od bramy, obok starej pralni, przez połyskujący srebrno brzoźowy zagajnik, który siedemdziesiąt lat wcześniej własnoręcznie zasadził Waldo Stamford. Buck biegł bezgłośnie i równo, jak drapieźnik na łowach, mijał pusty basen, zarośnięty kort tenisowy, pełne chwastów boisko do krykieta. Zmierzał do kamiennego tarasu, na którym niegdyś gromadzili się znakomici goście: politycy, gwiazdy filmowe i potentaci finansowi.

Zatrzymał się na chwilę, napawał się widokiem ziemi, która wkrótce będzie należała do niego. Następnie bezszelestnie skręcił za róg rezydencji.

Miał dwa problemy. Maria stanowiła mniejszy z nich. Bardziej niepokoił się psem. Choć powolny i stary, szczekał donośnie jak doberman. Buck poważnie się zastawiał nad kawałkiem zatrutego mięsa, jednak koniec końców zrezygnował z tego rozwiązania. To wskazywałoby na świadome, zaplanowane działanie, a on chciał, by wzięto zbrodnię za zwykłe włamanie, którego sprawca wpadł w panikę.

Otworzył drzwi kuchenne, wślizgnął się do środka, starannie zamknął je za sobą. Ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara i monotonny szum lodówki.

W holu świeciła się mała lampka na bocznym stoliku. Zgasił ją i wyjął broń zza paska. Bezszelestnie wszedł po schodach wyłożonych grubym chodnikiem.

131

Zobaczył, że drzwi do pokoju Marii są lekko uchylone. Wewnątrz nikogo nie było. Z łazienki dobiegał szum płynącej wody. Buck domyślił się, że stara gospoia bierze prysznic. Podeszedł bliżej.

Czekał przy drzwiach łazienki.

Było mu gorąco w wy watowanej kurtce narciarskiej. Pot spływał po plecach, dłonie w gumowych rękawiczkach zwilgotniały. Słyszał, że Maria coś śpiewa, i ciekawie nadstawił ucha. Przechylił głowę na bok. Nagle zapragnął roześmiać się głośno.

Maria nuciła „Dixie”. Owinęła się wielkim ręcznikiem. Używała go od ponad dziesięciu lat. Miss Lottie miała rację mówiąc, że dobre rzeczy długo służą, jak choćby ten ręcznik, ze stuprocentowej egipskiej bawełny – chłonie wodę jak gąbka. Włożyła koszulę nocną i flanelowy szlafrok. Łakomie pomyślała o czekoladowym cieście, które upiekła tego popołudnia. Zejdzie na dół, zaparzy herbaty i razem z Miss Lottie będą oglądały telewizję w saloniku. Może zainteresuje je jakiś plotkarski program o życiu wielkich gwiazd, a może obejrzą ulubiony serial komediowy? Później obie pójdą spać. Wcześniej, jak zwykle ostatnimi czasy.

Nucąc pogodnie, wsunęła stopy w puszyste niebieskie kapcie, rozwiesiła ręcznik, żeby wysechł, rozczesała włosy, upięła je w czarno-srebrny kok i otworzyła drzwi.

Buck nie posługiwał się pistoletem tak sprawnie jak dłońmi, lecz z tej odległości nie mógł chybić. Lufa wypluła małą kłopotkę raz, drugi, trzeci.

Maria osunęła się do tyłu. Złapała się drzwi i przez dłuższą chwilę stała wyprostowana. Buck zastanawiał się właśnie, czy nie strzelić do niej jeszcze raz, kiedy osunęła się na ziemię.

Zadowolony skinął głową. Cel numer jeden osiągnięty, zgodnie z planem.

W głębi korytarza z pokoju Miss Lottie sączyło się błękitne światło. Ćwicząc palce jak pianista przed koncertem, ruszył w tamtą stronę. Usłyszał, jak prezenter zapowiada: „To wszystko zobaczycie w dzisiejszym programie!”

Miss Lottie dopiero co wyszła z łazienki. Miała na sobie nowy szlafrok z kremowego weluru. Jak zawsze, szczotkowała włosy, licząc przy tym do stu.

Niewiele wcześniej odpowiadała na listy z poczty elektronicznej i komputer nadal był włączony. Na monitorze migotał wygaszacz ekranu z bohaterami kreskówek Disneya, męski głos ogłuszająco głośno informował o najnowszych skandalach Hollywood. Miss Lottie celowo nastawiła telewizor na cały regulator, bo zauważyła, że Maria niedosłyszy, choć za żadne skarby świata by się do tego nie przyznała. Poza tym Miss Lottie ze szczerym zainteresowaniem wysłuchiwała filmowych plotek, a to, że nie miała najmniejszego

pojęcia, kim są Pamela Anderson Lee czy Drew Barrymore, nie miał żadnego znaczenia.

Spojrzała na stary zegarek. To głupota, tak niecierpliwie czekać na wieczorny kubek herbaty i kawałek pysznego czekoladowego ciasta Marii, ale w jej wieku nawet drobne przyjemności nabierają specjalnego znaczenia. Tak jak dla Bru-na tosty z masłem.

Pieszczotliwie zmierzwiła psu sierść.

– Ach, staruszk, pamiętam cię jako malutkiego szczeniaka – powiedziała z uśmiechem. – Byłeś strasznie niezdarny, same wielkie łapy i obwisłe uszy, i głupia mina na pysku. Ellie pokochała cię od pierwszego wejrzenia, chociaż ja wolałam

132

większego psa. Właściwie nie powinnam ci tego wszystkiego mówić, nie chciałam cię urazić. Zresztą Ellie dokonała właściwego wyboru, nie zamieniłam cię na żadnego psa na świecie.

Otwierane drzwi zaskrzypiały cicho. Bruno nadstawił ucha. Z trudem wstał, odwrócił się w tamtą stronę.

– Nie popisuj się, staruszk. – Miss Lottie zbeształa go czule. – To tylko Maria. – Z uśmiechem odwróciła głowę. – Mario, przegapisz cały program. Co tak długo?

Drzwi otworzyły się powoli. W jej wyblakłych niebieskich oczach pojawił się niepokój.

– Mario? Wszystko w porządku? – rozejrzała się w poszukiwaniu laski. – Gdzie jesteś, Mario? Co się dzieje?

W gardzieli Bruna gotowało się gniewne warczenie. Miss Lottie przeszył dreszcz. Ogarnęło ją złe przeczucie.

Warcząc wściekle, Bruno jak lew skoczył w otwarte drzwi. Nagle dobiegł ją dziwny dźwięk, jakby wystrzelonego korka. Pies zaskomlał, powoli wrócił i osunął się na jej stopy. Z brązowych psich ślepi uciekało życie.

Miss Lottie poczuła, że kaptcie ma mokre od krwi. Pochyliła się, głaskała czule miękką sierść Bruna. Dłoń jej drżała, serce pękało z bólu.

Podniosła głowę i napotkała spojrzenie zamaskowanego mężczyzny. Wysokiego, potężnego w wywatowanej kurtce, przerażającego, bo o niewidocznej twarzy. W dłoni miał pistolet. I celował w nią.

W jej oczach zapłonął gniew.

– Zastrzeliłeś mojego psa – powiedziała lodowatym tonem. – Zupełnie niepotrzebnie. Był stary i niegroźny. Jeśli przyszedłeś, żeby mnie obrabować, sejf jest tam, otwarty.

-Wiem.

Mówił cicho, niemal szeptem.

- Kim jesteś? – zapytała władczo. Za nic nie okaże strachu. – Czego chcesz? Powiedziałam ci, gdzie trzymam resztkę biżuterię. W okolicy są chyba bogatsze domy niż mój? – Spojrzała na psa. Gniew i rozpacz dławily ją w gardle. – Tylko tchórz włamuje się do domu dwóch starych kobiet, zabija psa....

Pistolet w jego dłoni zadrżał. Miała się bać, błagać o życie.

Tymczasem mówi mu, co ma robić, rozkazuje, jakby to ona była panią sytuacji. Pokaż jej! – rozkazał wewnętrzny głos. Powiedz tej suce, kim jesteś, co chcesz zrobić, spraw, żeby wyła. Teraz nie ma nic, a ty masz moc. Ta moc pulsowała w jego żyłach, przepływała przez dudniące serce... słyszał, słyszał, jak krew pulsuje mu w uszach...

- Natychmiast odłóż broń – zażądała Miss Lottie. – Weź, co chcesz, i wynoś się z mojego domu. Chociaż naprawdę nie wiem, po co tu przyszedłeś.

- Po ciebie, Miss Lottie. – Buck posłusznie położył pistolet na bocznym stoliku. Miss Lottie zacisnęła dłoń na uchwycie laski. Była starą kobietą i nie bała się śmierci, ale opuści ten świat, kiedy przyjdzie jej czas, nie wcześniej. Buck chciał, żeby go rozpoznała. Wtedy się przestraszy. Zdarł z głowy kominiarkę.

133

- Przyjrzyj się dobrze, Miss Lottie - rzucił drwiąco. - Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio widziałaś tę twarz.

Miss Lottie wpatrywała się w jego ciemne oczy, zwiastuny śmierci.

- No tak - powiedziała w końcu. - W Biltmore nie mogłam sobie przypomnieć, skąd cię znam. Teraz wiem. Poznałam twoje oczy. Ich nigdy nie zmienisz, Bucku Duveen.

- Ty się też nie zmienisz, Miss Lottie. Nadal grasz wielką panią, tylko że tym razem nie ma wiernych sług, nie ma armii strażników, którzy pospieszą ci na ratunek.

- Mylisz się - skłamała dzielnie. - Lada moment zjawi się tu patrol. - Wiedziała, że nie będzie żadnego patrolu. I że nie ma już ani Bruna, ani Marii. Nikt jej nie ocali. Nie miała nic do stracenia... oprócz Ellie. Jeśli umrze, nie zobaczy jej więcej, a tego by nie zniosła. Buck obserwował ją w milczeniu. Jej głos nie zadrżał ani przez chwilę. Nie bała się go.

- Ty stara suko! - Złapał ją za ramię. - Zamknęłaś mnie na pół życia, a sama mieszkałaś tu jak królowa, miałaś wszystkiego pod

dostatkiem.

- Przebywałeś w izolacji, bo jesteś szalony - odparła spokojnie. - Teraz widzę, że to był błąd, niepotrzebny odruch litości z mojej strony. Powinnam była pozwolić, by cię wsadzili do więzienia. Żeby cię skazali za okropności, które popełniłeś. Żeby cię napiętnowali, bo jesteś mordercą! - Uderzyła go laską w twarz.

Potrząsał głową, aż krople krwi rozprysły się po pokoju. Cofnął się o krok, podniósł dłonie do oczu, zaślepiony bólem.

Miss Lottie wiedziała już, że nie ma ucieczki. Może jedynie ostrzec Ellie. Ma na to kilka sekund.

Na monitorze jaśniał wygaszany ekran. Drżącymi palcami wyszukiwała odpowiednie klawisze. Napisała: DUVEEEE...

Buck dygotał, przepelmiony mocą. Jej ciało było jak wosk w jego rękach, czuł, jak na skórze powstają siniaki, jak kruche kości pękają, jak krew w jej żyłach płynie coraz wolniej. Lecz niebieskie oczy cały czas wpatrywały się niego. Miał wrażenie, że staruszka z niego drwi, mówi: „Widzisz, nawet teraz nie zwyciężyłeś. Nie boję się.

Nigdy nie będziesz jednym z nas... morderco... ”

- Zamknij oczy! - zawył. - Zamknij te cholerne oczy, ty dziwko!

Miss Lottie nie zrobiła tego, nawet po śmierci.

Upuścił ciało. Wciąż krwawił, lecz przeszył go dreszcz rozkoszy.

Tak długo marzył, że zobaczy ją w takiej właśnie pozycji.

Zaciągnął ją do garderoby, perły, garść broszek i pierścionków z otwartego sejfu upchnął w kieszeniach kurtki.

Pot przyjemnie chłodził rozpaloną skórę. Obrzucił ofiarę tryumfalnym spojrzeniem, a następnie ukląkł i wyrył swój znak na jej czole.

Rozdział33

K

rótką podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Było ciemno, mgła gęstniała coraz bardziej, gdy Ellie skręcała z autostrady w krętą Hot Springs Road. Języki mgły spowijały szpaler drzew wzdłuż szosy srebrzystym całunem. Zawsze lubiła chrzęst opon na żwirze, lecz tej nocy, we mgle i w ciszy, sprawiał niesamowite wrażenie.

Z okna pokoju babci sączył się światło. Odetchnęła z ulgą. Czyli po prostu nie działa im telefon. Zaparkowała samochód, wbiegła na stopnie, nacisnęła kłamkę. Dzięki Bogu, dzisiaj nie zapomniały zamknąć drzwi. Sięgnęła do kieszeni po klucz.

Zazwyczaj po lewej stronie holu paliła się mała lampka, lecz dzisiaj panowała tu ciemność. Ellie sięgnęła do kontaktu.

- Maria! - zawołała w głąb domu. Czekwała, aż Bruno niezdarnie

zbiegnie ze schodów na powitanie. – Maria? – powtórzyła.
Buck otworzył drzwi na balkon, odsunął przejrzystą muślinową firankę i patrzył na ziemię, która wkrótce będzie jego. Mgła uniosła się nieco, odsłoniła trawnik. I żółtego dżipa Ellie, tuż przed domem. Gwałtownie wciągnął powietrze. Nie może dopuścić, by go tu zastała... niestety, już za późno; słyszał, jak woła Marię, słyszał jej kroki na schodach. Szybko wyszedł na balkon.

Ellie poczuła na ramionach gęsią skórę. Cisza otoczyła ją jak gruby koc.

Nic się nie stało, uspokajała się, przeskakując po dwa stopnie. Oglądajatele-wizję, dlatego mnie nie usłyszały. To dwie staruszki, nic dziwnego, że coraz gorzej słyszą.

– Babciu, to ja... – Z rozmachem otworzyła drzwi i mało brakowało, a potknęłaby się o psa. Cofnęła się o krok. Buty miała lepkie od krwi. Bruno wpatrywał się w nią martwym wzrokiem.

135

Nie mogła oddychać. Włosy na karku stanęły jej dęba. Oderwała wzrok od martwego psa i czujnie rozejrzała się po pokoju.

W telewizorze omawiano nowinki z Hollywood, na monitorze widniał wygaszany ekran z postaciami z kreskówek.

– Babciu? – Z wahaniem zrobiła krok w stronę garderoby. Nagle zobaczyła bosą stopę. Z przerażeniem w szeroko rozwartych oczach osunęła się na kolana, patrzyła w okaleczoną twarz, otwarte niebieskie oczy, siniaki, zakrwawione siwe włosy... Zaczęła płakać. Nie, to nie może być prawda, to się nie mogło zdarzyć, nie Miss Lottie... Jakby z oddali słyszała dyszenie.

Buckiem wstrząsnął jej krzyk, wysoki, rozpaczliwy jęk. Nigdy dotąd nie zetknął się z czymś takim, nawet kiedy zabijał. Miał ochotę do niej podbiec, zatkać jej usta dłonią, uciszyć. Zdawał sobie sprawę, że wtedy będzie musiał ją zabić, a jeszcze nie nadszedł czas. Jednak jakież to byłby rozkoszny ból; zabijać tę, którą kochasz.

Przez szparę widział, jak wychodzi z garderoby. Wyciągała przed siebie ręce, jakby chciała odepchnąć koszmar jak najdalej. Nagły podmuch wiatru wepchnął firankę do środka. Ellie odwróciła się na pięcie, skulona, z wzrokiem utkwionym w szybie.

Pot wystąpił mu na czoło. Nadeszła chwila prawdy. Jeśli Ellie wyjdzie z pokoju, będzie żyła. Jeśli podejdzie bliżej, umrze.

Zacisnął nóż w dłoni. Był spokojny.

Ellie zamarła w bezruchu, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, wpatrywała się w falujące firanki... promień księżyca zaśnił na czymś na balkonie... nagle odzyskała siły. Biegiem rzuciła się na

korytarz.

Buck był bardzo zadowolony, kiedy wyszła. Tej nocy jego ukochana nie umrze. Słyszał, jak biegnie na dół, otwiera drzwi, odjeżdża. Spojrzał na fotografię w srebrnej ramce, która stała na stoliku. Ellie patrzyła mu prosto w oczy, rozchyliła usta w olśniewającym uśmiechu. W uśmiechu specjalnie dla niego. Wepchnął zdjęcie do kieszeni.

Bezszelestnie zbiegł po schodach, przez hol do kuchni. W drodze powrotnej trzymał się bliżej zarośli, gnał wzdłuż boiska do krykieta, obok kortu i ziejącej rany w ziemi, gdzie kiedyś był basen. Pędził przez brzozowy zagajnik Waldo Stamforda, przez zardzewiałą furtkę niedaleko starej pralni, aż dotarł do samochodu.

Ukrył nóż w nogawce, ściągnął z głowy kominiarkę, schował ją do kieszeni wraz z lateksowymi rękawiczkami. Watowaną kurtkę wrzucił do bagażnika. Kiedy wyjeżdżał na pustą drogę, bardzo uważał, żeby nie przekroczyć dozwolonej szybkości. Zakładał, że Ellie wybrała najkrótszą drogę do miasta, więc sam pojechał pod górę, zatoczył łuk.

Szczęśliwy, pogwizdywał ulubioną melodię. Lottie Parrish nie żyje, nie musiał zabić kobiety, którą kocha.

Zostawił samochód na ulicy i wrócił do wynajętego mieszkania, gdzie się umył i przebrał. Obejrzał ranę na policzku. Duży plaster załatwił sprawę. Bardzo z siebie zadowolony wyszedł do baru.

Faza trzecia dobiegła końca. Tej nocy podwójny burbon smakował jak nektar.

Rozdział 34

E

xplorer pokonywał Hot Springs Road z cichym szumem silnika. Dan nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy skręcał w bramę, której strzegły dwa potężne gryfy. Ellie miała rację, nie sposób ich nie zauważyć, rozmiarem pasowały bardziej do pałacu Buckingham. Zbyt późno dostrzegł żółtego dżipa jadącego z przeciwka. Z całej siły nacisnął na hamulec i skręcił w prawo. Dżip rąbnął w explorera, wpadł w poślizg i zatrzymał się na drzewie.

– Jezus Maria, Ellie, nie miałem pojęcia, że ci odbiło! – Był wściekły.

Wyskoczyła z samochodu. Nic nie widziała przez lzy. Morderca... musi uciekać... Słyszała jego kroki za sobą, coraz głośniejsze, coraz bliższe... Był tuż za nią... Złapał ją za ramię. Odwróciła się gwałtownie i z precyzją zawodowego boksera wymierzyła mu cios w szczękę.

Dan jęknął. Miał gwiazdy przed oczami.

- Co cię, do cholery, ugryzło, zupełnie zwariowałaś? - Trzymał ją za ramiona, bacznie uważając na jej prawy sierpowy. Walczyła z nim, szamotała się histerycznie.

- Nie, nie, nie...

- Ellie! - wrzasnął. - Ellie, przestań!

Spojrzała na niego przytomniej. Coś w końcu przebiło zasłonę paniki, która spowijała jej mózg.

- Wszystko w porządku - zapewnił delikatnie. Czuł, jak Ellie dygoce. - Jesteś cała i zdrowa, to najważniejsze. To tylko samochód, co z tego, że nowy. - Chciał jej dodać otuchy uśmiechem, lecz nie reagowała.

Wszystko się jej plątało. Jak to powiedzieć... jak mu wyjaśnić...

Słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

- Miss Lottie... nie żyje... zamordowana... pies...

Trzymał ją na odległość ramion. Patrzył prosto w oczy, nie wierząc własnym uszom.

137

- Chwileczkę, Ellie. Chcesz powiedzieć, że to widziałaś? Stłumiła szloch, który, jak wiedziała, nie pozwoli jej mówić.

- Widziałam, widziałam... o Boże, Boże...

Przytulił ją z całej siły. Nagle sobie przypomniał, że staruszka mieszkała sama i bardzo beztrąsko odnosiła się do kwestii bezpieczeństwa. Czyżby naprawdę ją zamordowano?

- Muszę tam iść, rzucić okiem - powiedział cicho. - Masz zostać w samochodzie. Zamknij drzwi i nie ruszaj się na krok.

Pokręciła głową. Bała się zostać sama, bała się iść z nim. Z westchnieniem otoczył ją ramieniem i poprowadził z powrotem w stronę domu.

- W porządku, ale obiecuj mi, że nie wejdiesz do środka. Pokiwała głową jak posłuszne dziecko.

Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, tak jak je zostawiła.

Została w holu, a on wchodził schodami, szedł do tamtego okropnego pokoju. Zaraz się odwróci, uśmiechnie, powie, że to pomyłka, że miała koszmarny sen... Wiedziała, że tak będzie.

Uniosła dłoń do ust, żeby powstrzymać krzyk.

Dan pchnął drzwi. Poczł zapach przemocy, zanim cokolwiek zobaczył. Pies już zeszywniał. Głos z telewizora dudnił w całym domu, na monitorze uwijały się figurki z kreskówek, firanki trzepotały na wietrze z otwartych drzwi balkonowych. Don zobaczył kałużę krwi i laskę na podłodze. Wcześniej wątpił w słowa Ellie,

teraz wierzył jej w stu procentach. Przeszedł do garderoby. Ciało Miss Lot-tie było żałośnie drobne i kruche. Miała szeroko otwarte oczy. Na jej czole wyryto krzyż. Od nasady czoła do nosa, od skroni do skroni.

- Jezu Chryste! - szepnął Dan.

Jako doświadczony policjant niczego nie dotykał, nie poruszył zwłok. To zadanie miejscowych detektywów i koronera. Zajrzał do szafy, do łazienki, na balkon.

Ze szczytu schodów zobaczył Ellie. Czekwała na niego z dłońmi przy ustach.

- Gdzie jest pokój Marii? - zapytał. Wskazała sąsiednie drzwi. Znalazł ją tuż przy drzwiach łazienki. Zginęła od strzałów w klatkę piersiową. W pokoju było dużo krwi, ale na jej czole nie było krzyża.

Wrócił do garderoby, chcąc jeszcze raz spojrzeć na Miss Lottie. Intrygowało go, czy i ogóle jest jakiś związek między tym morderstwem a zabójstwami dwóch prostytutek. Pokój był zdemolowany, sejf pusty, a jednak coś tu nie grało. Zginęły dwie kobiety, każda w inny sposób, ale dałby sobie rękę uciąć, że dokonała się tu swoista rytualna egzekucja.

Wszystko w porządku, wmawiała sobie Ellie, patrząc, jak Dan idzie w jej stronę. Zaraz powie, że wszystko w porządku.

Potrząsnął głową.

- Musimy zadzwonić po policję - powiedział cicho. - Bardzo mi przykro, Ellie. Nic więcej nie możemy zrobić.

Rozdział 35

E

Ellie kuliła się na przednim siedzeniu samochodu Dana, przed głównym wejściem do Journey's End. Najdziwniejsze, że kiedy we wszystkich oknach zapaliły się światła, dom wyglądał jak za dawnych lat, kiedy Miss Lottie wydawała, jak zwykła się wyrażać, małe przyjęcia, czyli kolacje dla trzech setek gości pod jedwabnym namiotem w o-grodzie, gdzie powietrze przesycali słodkie zapachy kwitnących róż i jaśminu. Szampan, kobiety w eleganckich sukniach wieczorowych i przystojni, opaleni mężczyźni we frakach. A pod koniec spotkania okazywało się, że Miss Lottie znowu zebrała olbrzymią ilość pieniędzy na cel dobroczynny: miejscowy szpital, dom dziecka czy inny cel drogi jej sercu, dla którego akurat organizowała kolację.

Teraz, zamiast wysmukłych limuzyn i mercedesów, u stóp stopni na taras stały wozy patrolowe. Na ich dachach migotały niebieskie

koguty. Karetki pogotowia z szeroko rozwartymi paszczami czekały na nowych pasażerów. Nie oznakowane samochody detektywów niszczyły i tak zaniedbany trawnik.

Mężczyźni w mundurach odgradzali żółtą plastikową taśmą „miejsce zbrodni”, jak mówili. Ellie miała rozpaczliwą ochotę wytłumaczyć im, że się mylą. To nie żadne miejsce zbrodni, tylko dom jej babci. Miss Lottie i Maria siedzą w saloniku na górze. Jak zwykle oparły stopy o starą sofę obitą zielonym brokatem. Jako szczeniak Bruno odgryzł wszystkie frędzle z narzuty. Oglądają ulubiony serial komediowy w telewizji. Bruno jak zwykle opiera łeb na kolanach Miss Lottie i tęsknie patrzy jej w oczy. Babcia niedługo wynagrodzi jego cierpliwość ciasteczkiem, „żeby nie było mu tak smutno”.

Dan opowiadał detektywowi Johannsenowi, jak znalazł ciała, że niczego nie ruszał na miejscu zbrodni, że krzyż na czole jednej z ofiar nasunął mu skojarzenia z morderstwem w Nowym Jorku i niedawnym w Los Angeles.

139

- Usiłuję doszukać się logicznego związku między włamaniem z użyciem przemocy i seryjnymi morderstwami prostytutek - zakończył zadumany. - I nie mogę tego pojąć.

- Okropna zbrodnia. - Johannsen skinął głową. Zanim go przeniesiono do Santa Barbara, detektyw Jim Johannsen pracował wiele lat w policji Los Angeles. Choć widział wiele brutalnych zbrodni, w zabójstwie dwóch staruszek i psa było coś żalnego. Niemniej nie będzie dyskutował o sprawie z cywilem. Na dodatek ze świadkiem.

Policyjny fotograf uwieczniał na zdjęciach położenie ciał i cały pokój. Technicy zabezpieczali wszelkie możliwe ślady, obrysowali kredą plamy krwi, posypywali proszkiem do zabezpieczania odcisków palców każdą gładką powierzchnię, szukali kul, które nie trafiły celu. Inni pakowali do foliowych worków przedmioty, którymi zajmie się laboratorium: laskę, zakrwawione kapcie. Drobiazgowo przeszukają cały wielki dom.

To samo działo się w pokoju obok, gdzie leżała Maria. Nawet psa zabiorą do kostnicy, wyjmą z niego kule i poślą do analizy. Koroner klęczał przy zwłokach Miss Lottie, starając się ustalić czas i przyczynę zgonu. Później dokona sekcji zwłok i zbada, czy pod paznokciami zamordowanej nie znajdzie kawałeczków skóry, włosów, włókna z ubrania. Na podstawie siniaków na szyi oszacuje w przybliżeniu wzrost i wagę mordercy, zbada, czy została

zgwalczona. Po śmierci Miss Lottie nie zostanie nawet godność. Telewizor nadal grał. Jak na ironię, właśnie nadawano serial kryminalny o policji nowojorskiej.

Detektyw Johannsen stał przy komputerze. Myślał o czymś intensywnie. Poruszył myszką i wygaszacz ekranu znikł.

- Co pan na to, Cassidy?

Miss Lottie pisała do niejakiego rabiego Altmana, z Manchesteru w Anglii. List był dowcipny i lekki, ale niejasny, jakby wiedziała, że go zna, lecz nie mogła sobie przypomnieć.

„Szanowny rabinie - napisała Miss Lottie. - Szalom. Ucieszyły mnie wiadomości od ciebie, chociaż szczerze przyznaję, że w tej chwili za nic nie mogę sobie przypomnieć, skąd się znamy. Tak czy inaczej, tu, w Journey's End, zawsze serdecznie witamy gości. Poznaję po twoim liście, że jesteś człowiekiem gołębiego serca...” W tym miejscu przerwała. Linijkę niżej, drukowanymi literami napisała nazwisko DUVEEN. Tylko że nie zdążyła go dokończyć.

- Wygląda na to, że komputer się zaciął na literze E - skonstatował Johannsen. - Dlaczego pisała nazwisko Ellie?

Dan przypomniawszy sobie opowieść Ellie o Romany.

- Jej umysł czasami szwankował. Może myślała o córce. Romany zginęła przed laty w wypadku samochodowym.

Wpatrywali się w monitor.

- Zabezpieczyliście odciski? - zapytał Dan. Johannsen posłał mu sceptyczne spojrzenie. Uniósł dłonie w przeproszającym geście. - Przepraszam. Pan tu jest szefem.

140

- Owszem. - Johannsen powiedział to spokojnie, a jednak usadził Dana błyskawicznie.

Dan uznał, że do niczego więcej się nie przyda i może odejść.

- Czy coś jeszcze? - Urwał. Zaciśnął usta w wąską linię. - Dzwoncie do mnie o każdej porze.

- Nie omieszkamy. - Johannsen szedł już w przeciwną stronę. - Teraz chciałbym zamienić kilka słów z panną Duveen.

Ellie nie chciała zamykać oczu, bo wtedy ponownie zobaczyłaby Miss Lottie, jej małe stopy, z których zawsze była taka dumna, takie białe i żałośnie bezbronnie na dywanie, rozrzucone ramiona, srebrne włosy poplamione krwią... To nieprawda... - nieprawda, powtarzała bezgłośnie. Z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

- Ellie? - Dan nachylił się do okna. Miał zmartwioną minę. - Czy dasz radę odpowiedzieć na kilka pytań? W ten sposób możesz pomóc.

- Dobrze. - Nawet jej głos brzmiał inaczej, ochryple i obco. Teraz wszystko jest inne. Życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem... Detektyw Johannsen, starszy mężczyzna w rogowych okularach, był uprzejmy i współczujący. Podczas lat pracy w policji nieraz stykał się z krewnymi ofiar zbrodni i nigdy nie przywykł do ich rozpacz. - Bardzo mi przykro, panno Duveen. Pani babka była wspaniałą kobietą, z charakterem. Dzisiaj rzadko się takich ludzi spotyka. Skinęła głową. Nie odrywała wzroku od podłogi. - Ellie, jeśli to możliwe, chciałbym, żeby opowiedziała mi pani własnymi słowami, co się dokładnie stało, od kiedy weszła pani do domu. - Czekał z notatnikiem w dłoni.

Nie musiała się nawet zastanawiać, każdy krok zostawił odcisk w jej pamięci, każda chwila została we wspomnieniach. Jej opowiadanie trwało zaledwie kilka minut. Pod koniec mówiła ledwo słyszalnym głosem.

Johannsen spojrzał na nią spod oka.

- Czy przychodzi pani jakikolwiek powód, dla którego ktokolwiek mógłby pragnąć śmierci Miss Lottie?

Dan od razu się zorientował, do czego zmierza policjant: dopóki nie znajdą zabójcy, Ellie będzie podejrzana. -Nie.

- Dziękuję. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla pani trudne.

Ellie odprowadzała wzrokiem przysadzistego detektywa w ciemnej marynarce i białej koszuli. Chciała mu powiedzieć, że to wcale nie było trudne, że pamięta wszystko doskonale, że nigdy tego nie zapomni. Jej dłonie drżały. Spojrzała na nie zdziwiona. Zdawały się żyć własnym życiem.

- Już dobrze, możemy iść. - Dan ujął jej dłonie. - Położę cię do łóżka, dostaniesz środek uspokajający.

Wyrwała mu się.

141

- Nigdzie nie idę.

- Nie powinnaś tu zostawać, potrzebujesz odpoczynku.

Jej twarz poszarzała jak popiół, oczy się zapadły, nawet włosy zdawały się tracić blask i sprężystość, wisiały w smutnych strąkach. Zrozumiał, że Ellie wyjdzie z domu razem z babką.

Koroner zabezpieczył dłonie i stopy Miss Lottie, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców, i ostrożnie wsunął ciało do worka na zwłoki. Następnie na noszach, pod białym prześcieradłem, zniesiono staruszkę na dół. Miss Lottie opuszczała Journey's End na wieki.

Przepiękny żyrandol z weneckiego kryształu oświetlał sanitariuszy i

nosze, jakby byli na scenie. Ellie nie mogła oderwać wzroku od drobnej postaci pod białym całunem. Odprowadziła kondukt do drzwi karetki. Z rozszerzonych rozpaczą oczu nie popłynęła ani jedna łza. Sanitariusze zatrzasnęli drzwiczki karetki i wrócili na górę. Kiedy zeszli ponownie, nieśli Marię. Kształt na noszach był pełniejszy, bardziej okrągły. Dotychczas nie uświadamiała sobie, jak drobna, jak malutka była Maria. A może po śmierci ludzie się kurczą?

Po raz kolejny zeszli z psem. Ellie nie była w stanie opłakiwać Miss Lottie, nie uroniła łzy za Marią, lecz teraz nie mogła się opanować. Wskoczyła z samochodu, podbiegła do noszy.

- Bruno! - krzyknęła. - Och, Bruno...

Otoczyła go ramionami i niemal natychmiast się cofnęła. Był zupełnie sztywny.

- To stężenie pośmiertne, proszę pani - wytłumaczył sanitariusz. - Niedługo zelżeje. Wtedy będzie taki, jakiego pani pamięta.

Dotknęła miękkiej sierści. Przypomniała sobie, jak ona i Miss Lottie wybierały go spośród siedmiu szceniąt. „Ten!” - zdecydowała i tryumfalnie wzięła go na ręce. Tyle lat, tyle wspomnień, tyle szczęścia tkwiło w biednym sztywnym ciałku. Pochyliła się i ucałowała kochany łeb.

- Kocham cię, Bruno - szepnęła. Sanitariusze wymienili spojrzenia.

- Powinna pani wziąć coś na uspokojenie - poradził jeden. - To pani pomoże wziąć siew garść.

Uparcie pokręciła głową. Chciała być razem z Miss Lottie i Marią. Potrzebowały jej. Chciała, by poczuli jej miłość, jej energię, jej rozpacz. Kiedy nie spała, była z nimi. Jeśli zaśnie, pograży się w nicości.

- Zabieram cię do domu. - Dan objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego ufnie. Mogła na nim polegać, płakać przy nim.

Zagubiona, odwróciła się i popatrzyła na Journey's End, oświetlone jak na przyjęcie. Podświadomie spodziewała się, że usłyszy muzykę z ogrodu.

- Przecież tu jest dom - szepnęła. Jednak nawet gdy wymawiała te słowa, wiedziała, że to już nieprawda. Nadszedł koniec pewnej ery. Już nigdy nie zamieszka w Journey's End.

Rozdział 37

D

użo później Ellie leżała po czubki uszu w wannie z gorącą wodą. Miała wrażenie, że odbyła długą, trudną podróż, wspięła się na wysoką, stromą górę, przebiegła rozpaloną pustynię. Na jej ciele nie

było żadnych obrażeń, ból był wewnątrz i tam miał na zawsze pozostać.

Dan przywiózł ją na Running Horse. Proponował jej kawę, herbatę, brandy, wino. Zgodziła się jedynie na filiżankę gorącej herbaty, lecz nawet wrzątek nie był w stanie stopić lodowatego odrętwienia w jej wnętrzu.

Zanim wyszła z kąpieli, woda prawie zupełnie wystygła. Owinęła się ręcznikiem. W tym momencie zerknęła w lustro. Ze szklanej tafli patrzyła na nią kobieta o poszarzałej twarzy i pustych, martwych oczach. Nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Włożyła koszulkę, którą pożyczył jej Dan, i jego szlafrok, i mechanicznie przeciągnęła grzebieniem przez splecione włosy.

Wielkie sosnowe łóżko ze stosem poduszek kusiło, ale wiedziała, że nie zaśnie, a nie chciała środków nasennych. Musi być przytomna, myśleć o babci, zatrzymać ją choćby w ten sposób. Podeszła do okna. Błady księżyc rozjaśniał nocne niebo.

Usłyszała drapanie. Po chwili Pancho nosem otworzył sobie drzwi. Radośnie wbiegł do pokoju, ale zamiast skoczyć na nią, jak to miał w zwyczaju, usiadł i patrzył na nią uważnie.

Nagle Ellie zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. Zwierzęta i dzieci posiadają niewiarygodną umiejętność przywracania wiary w życie, skonstatowała ze zdumieniem. Przywracania nadziei, że na tym świecie istnieje nie tylko zło.

Ułożyła się na łóżku, na stercie poduszek, które Florita dla niej przyniosła. Przyjemnie chłodne prześcieradła ładnie pachniały lawendą. Bardzo się jej to spodobało, zwłaszcza że jej pościel, w domu, pachniała tylko środkiem do płukania.

143

Pokój gościnny był mały, kwadratowy i skąpo umeblowany. Na sosnowej podłodze leżał barwny szmaciany chodniczek, w otwartym oknie nie było zasłon ani firanek. W rogu stała stara, zielona komoda, przy łóżku sosnowy stolik z brązową lampą w kształcie niedźwiedzia. Na przeciwległej ścianie królował duży abstrakcyjny obraz. Pokój był skromny, ale przytulny.

Pancho usadowił się w nogach łóżka. Panowała głęboka cisza. Ellie zamknęła oczy. Sennie pomyślała, że chyba jeszcze za wcześnie na ptasie trele. Powieki ciążyły jej coraz bardziej i po chwili osunęła się w błogosławioną nicość.

Dan zajrzał niewiele później. Pomyślał, że Ellie śpi jak dziecko, z lekko rozchyłoną buzią i rękami wzdłuż ciała. Psisko łypnęło na niego jednym okiem i wróciło do drzemki. Cicho zamknął za sobą

drzwi. Niech choć przez kilka godzin Ellie zazna spokoju.

Rozdział 38

M

aya wstała wcześniej. O ósmej trzydzieści wybierała się na zajęcia jogi. Ziewając i przeciągając się jak kotka, włączyła telewizor i poszła do łazienki.

„Podajemy wiadomości lokalne. Wczoraj wieczorem zamordowano powszechnie znaną mieszkankę Santa Barbara, jej gosposię i psa. Oprócz Charlotte Parrish zginęła również...”

Maya z niedowierzaniem spojrzała na ekran.

„... Maria Novales. Policja odmawia wszelkich komentarzy. Pani Parrish należała do najbardziej znanych osobistości tego miasta od kilkadziesiąt lat, jej dom słynął z przepięknych ogrodów. Zwłoki znalazła jej wnuczka, Ellie Parrish Duveen, wczoraj wieczorem. A teraz pogoda i komunikaty z autostrady...”

Maya otworzyła szeroko usta, wytrzeszczyła oczy. Przez minutę nie była w stanie się ruszyć. Potem z bijącym sercem rzuciła się do telefonu.

Ellie nie odbierała. No pewnie, jest w Santa Barbara. Ale gdzie? Chyba nie w Journey's End? Drżącą ręką wybierała numer do Running Horse.

- Boże drogi, biedna Ellie, biedna Miss Lottie, Maria... Boże drogi...
- bezmyślnie powtarzała te słowa w kółko.
- Si? Dom pana Cassidy'ego.
- Czy jest Ellie? - Maya niecierpliwie bębniła palcami w stół.
- Momento.

Słyszała, jak woła Florita Dana.

- Dan Cassidy, słucham. Odetchnęła z ulgą.
- Tu Maya Morris, przyjaciółka Ellie. Właśnie oglądałam wiadomości, nie mogłam się dodzwonić do niej do domu... martwię się o nią...
- Wszystko w porządku, przywiozłem ją tutaj.
- Dzięki Bogu... Dziękuję. - Osłabła z ulgi. - Jak ona się czuje? Jezu, co za grupie pytanie, jak się może czuć? Muszę się z nią zobaczyć, jadę natychmiast...

10-Wcześniej...

145

mów, co mogę dla niej zrobić. - Paplała bez ładu i składu, chciała powiedzieć wszystko naraz. Wiedziała tylko, że Ellie cierpi.

- Jest w szoku, Mayu. Bardzo trudno będzie się jej uporać z tym

przeżyciem... Przydajej się ubranie na zmianę, jeśli mogłabyś przywieźć...

- Jasne. - Maya otarła łzy wierzchem dłoni. Miała klucz do domku Ellie, a Ellie klucz do jej mieszkania. Na wszelki wypadek, umówiły się. Do tej pory klucze się nie przydały. Do tej pory.

Dan wytłumaczył, jak dojechać do winnicy, i dodał:

- Teraz jedziemy do Santa Barbara. Policja chce jeszcze raz porozmawiać z Ellie. Prawdopodobnie wrócimy, zanim tu dotrzesz.

- Przyjadę tak szybko, jak się da. - Zawahała się. - Dan? -Tak?

- Powiedz jej, że ją kocham, dobrze?

- Dobrze.

Miał spokojny, opanowany głos. Maya dziękowała niebiosom za Dana Cassi-dy'ego. Przy nim nic Ellie nie grozi.

Rozdział 38

szystkie stacje telewizyjne podawały tę wiadomość. Buck z uśmiechem popijał ranną kawę i pstrykał pilotem telewizora. Tym razem trafił na pierwsze strony gazet.

Umoczył rogalik w kawie. Lokalny kanał z Santa Barbara ciągle wracał do morderstwa. Pokazywali fotografię Waldo Stamforda, jak razem z prezydentem Rooseveltem stoi na tarasie Journey's End. Potem zdjęcia Miss Lottie -jako panny młodej i matki malutkiej dziewczynki o oczach Ellie. Na myśl o Ellie poczuł ucisk w żołądku. Upił kolejny łyk gorącej kawy. Czekala na niego jak róża na ciernistym krzaku. Teraz wystarczy tylko ją zerwać.

Skoczył na równe nogi, rozlewając kawę po podłodze, gdy ekran wypełniła podobizna Rory'ego Duveena. Reporter opowiadał o tragicznym wypadku. Nawet wygrzebali z archiwów stare zdjęcie bentleya na dnie wąwozu.

Gniewnie wpatrywał się w roześmianą twarz ojca. Nienawidził go, nienawidził też jej, pięknej kobiety, którą poślubił. Dziedziczka.

Roześmiał się krótko, szczerliwie. Ładna mi dziedziczka. We dwójkę przełuli wszystko. A Miss Lottie dokończyła dzieła. Na szczęście dzięki Journey's End i tak będzie milionerem. Będzie bogaty. I wolny.

Coraz więcej fotografii: Miss Lottie na balach dobroczynnych, na przyjęciach. I wreszcie Ellie.

„Oto jej wnuczka i jedyna żyjąca krewna - oznajmił prezenter - ta sama, która znalazła ciało”.

Przypomniał sobie minioną noc, jak stał na balkonie i czekał. Nie zapomniał chłodnego dotyku noża i świadomości, że będzie musiał ją zabić. Uśmiechnął się zimno. Jej kolej nadejdzie.

Tymczasem wymeldował się z hotelu. Wrócił do Los Angeles.
Poczekaj, zobacz, jak się rozwinie sytuacja.

Rozdział 39

Piatowski siedział na kanapie w saloniku, w swoim niedużym domku w Fort Lee, New Jersey.

Był to przytulny pokój, niezbyt duży, z oknem wychodzącym na mały ogródek i podłogą wyłożoną piaskową wykładziną, na której nie widać brudu z dziecięcych butów. Na umeblowanie składała się podniszczona skórzana kanapa, fotele obite kwiecistym kretonem, kominek i duży telewizor.

Ze swego miejsca widział, jak najstarszy syn, siedmioletni Michael, odrabia pracę domową przy kuchennym stole. Na górze jego żona kąpała Bena, pięciolatka, natomiast trzyletnia Maggie, czyli Margaretta, jego oczko w głowie, siedziała mu na kolanach i zawzięcie ssała kciuk.

– Zanim skończysz cztery latka, nic z palca nie zostanie – ostrzegł. Posłała mu poważne spojrzenie dużych piwnych oczu. Nie wyjęła kciuka z buzi. Pachniała czystą piżamką, pudrem i mydłem dziecięcym. Przytulił ją do siebie z pełnym szczęściem westchnieniem.

Przesunął córeczkę na bok, żeby spojrzeć na zegarek. Za pół godziny musi wyjść. Dzisiaj zaczynał o szóstej, czyli do domu wróci najwcześniej o trzeciej nad ranem, a jeśli będzie dużo roboty, nawet o czwartej. Angela nie lubiła, kiedy miał nocną zmianę, ale jako żona gliniarza przywykła do tego. Za kilka dni pojedzie do matki, do Maine, a on wyrwie się na ryby do Cassidy'ego. Już się na to cieszył. Był ciekaw, jak się kumplowi powodzi w słonecznej Kalifornii. Maggie ścisła mu coraz bardziej. Zerknął na nią: zamknęła oczka. Przestała ssać kciuk. Z uśmiechem ściszył telewizor i włączył NBC. Początkowo nie zwrócił na to uwagi; ot, kolejne morderstwo w Kalifornii. Dwie staruszki, mieszkające samotnie w rezydencji w Santa Barbara. Dopiero usłyszawszy znajomą nazwę miejscowości, podniósł głowę. Z ekranu patrzyła na niego elegancka kobieta. Potem pokazali dom. Niczego sobie, uznał. I pewnie wart fortunę. Mówili, że sejf był otwarty, morderca zabrał biżuterię... pokazali fotografię ślicznej młodej kobiety o ciepłym uśmiechu.

148

„Ehie Parrish Duveen, wnuczka i jedyna żyjąca krewna pani Parrish, znalazła zwłoki” – czytał spiker.

Jedyna żyjąca krewna. Pete Piatowski przypomniał sobie efektowną

posiadłość i pieniądze, które Ellie pewnie odziedziczy. Zastanawiał się przez chwilę, czy Ellie Parrish Duveen zabiła babkę, czy nie. Później zaniósł córeczkę na górę, ucałował żonę i synów na pożegnanie i wyruszył do miasta, w noc pełną przemocy.

RozdzM40

Wiedzieli w ponurym gabinecie na komisariacie w Santa Barbara. W papierowych kubkach parowała nietknięta kawa. Ellie siedziała sztywno na niewygodnym krześle. Niczego nie czuła. Żadnego bólu, gniewu, strachu. Jej dusza umarła.

Johannsen napił się kawy i rzucił okiem na swego partnera.

Detektyw Ray Mullins był wysoki, chudy, śniady i tajemniczy.

Obserwował zebranych z rogu pokoju. Odchrząknął.

– Panno Duveen, chciałbym, żeby jeszcze raz opowiedziała pani jak najdokładniej, co pani robiła wczoraj wieczorem. Podając dokładny czas, o ile to możliwe.

Ellie podniosła na niego wzrok.

– Jechałam autostradą 101, do Montecito. Dojeżdżałam do Camarillo. Mgła gęstniała z minuty na minutę. Zadzwoiłam do babci, by powiedzieć, że niedługo u niej będę. Nikt nie podnosił słuchawki...

Zmęczonym głosem opowiedziała całą historię po raz kolejny.

Powtórzy ją i tysiąc razy, jeśli dzięki temu znajdą zabójcę.

– I umówiła się pani z panem Cassidym w domu babki?

Potwierdziła ruchem głowy. Miała na sobie za duży biały podkoszulek, dzinsy i czarny sweter Dana. Zatrzęsła się z zimna.

– A w jakim celu spotykała się pani z panem Cassidy?

W jej oczach błysnęło zdziwienie; to pytanie zadali jej po raz pierwszy. – Nigdy nie widział Journey's End, obiecałam, że go oprowadzę. Potem mieliśmy iść na kolację...

– Dokąd? Zarezerwowaliście stolik w jakiejś restauracji?

– Nie... – Pokręciła głową, zmieszana. – Wymyśliliśmy to pod wpływem impulsu...

– Panno Parrish, od jak dawna zna pani pana Cassidy? W zadumie przeczesła włosy palcami.

150

-Mniej więcej... kilka tygodni.

- Więc nie jest starym przyjacielem rodziny?

- Widział Miss Lottie tylko raz. Razem piliśmy herbatę w Biltmore.

Johannsen napotkał spojrzenie Mullinsa. Po delikatności nie został nawet ślad,

w jego głosie pojawiły się ostre, szorstkie nuty.

- O ile mi wiadomo, jest pani jedyną żyjącą krewną zamordowanej. Odziedziczy pani całą posiadłość. Czy tak?

Znowu skinęła głową, zaskoczona nieoczekiwaną zmianą tematu.

Dokąd zmierzała ta rozmowa? - Tak, ale...

- To chyba niezły motyw, prawda? Zaszokowana, wyprostowała się gwałtownie.

- Nie myślicie chyba, że ją zabiłam? - Uniosła głos. Z niedowierzaniem opuściła ramiona. - Nie, nie, nie, nie...

Mullins wyjął z kieszeni paczkę lucky strike'ów.

- Może papierosa?

Nie słyszała go, na nowo przeżywała wczorajszy koszmar. To niemożliwe, żeby podejrzewali ją o popełnienie takiej okropnej zbrodni...

- Nikt niczego nie sugeruje, panno Parrish. To zwykła formalność. - Johannsen wcale tego nie wykluczał. Motywu rabunkowego nie uznał za wiarygodny. Odniósł wrażenie, że w sejfie było niewiele kosztowności, w każdym razie nie tyle, by w tym celu mordować dwie staruszki. Chociaż w dzisiejszych czasach nie ma sensu starać się zrozumieć, jak myślą inni ludzie. W dzisiejszych czasach, gdy rabuś na ulicy bez wahania wpakuje przechodniowi kulkę między oczy dla paru nędznych dolarów.

- Będziemy zobowiązani, panno Duveen, jeśli pojedzie pani z nami do domu. Chcemy, żeby się pani rozejrzała i w miarę możliwości powiedziała nam, co zginęło.

W panice uniosła się z krzesła.

- Z powrotem, do tamtego pokoju?

- To nam może pomóc w znalezieniu sprawcy. Otarła łzy wierzchem dłoni.

- Dobrze. Ale niech Dan z nami pojedzie.

- W porządku, jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej. - Johannsen nie był zachwycony. Brał pod uwagę możliwość, że działali wspólnie.

Ellie zacisnęła dłoń na ręce Dana. Jechali radiowozem wzdłuż Cabrillo Boulevard. Lekka bryza kołysała wierzchołkami palm, niebieski ocean lśnił w słońcu, wszystko wyglądało po staremu, normalnie. Minęli zagajnik, który Miss Lottie lubiła obserwować przez lornetkę. Zawsze wiedziała, ile ptaków uwiło gniazda wśród gałęzi. Minęli piękny cmentarz z widokiem na ocean, na którym leżą obok siebie rodzice Ellie i Waldo Stamford, i gdzie wkrótce spocznie Miss Lottie. Minęli zjazd na Coast Village Road, skręcili w lewo, na Hot Springs Road. Znała tu każdy zakręt.

- Trzymaj się! - Dan spojrział na nią troskliwie, gdy samochód wjechał w bramę, której strzegły dwa gryfy.

151

Mocniej zacisnęła dłoń na jego ręce. Zazwyczaj pełne usta zwały się w wąską linię. Była na krawędzi załamania.

Wjazdu strzegli dwaj umundurowani policjanci, inni kręcili się przed domem. Jeszcze nie usunięto żółtych taśm, przy tarasie stał tuzin samochodów, nieznajomi wchodzili i wychodzili z domu z ważnymi minami.

Po raz pierwszy w życiu Ellie nie miała wrażenia, że wraca do domu. Wszystko, czym Journey's End dla niej było: domem jej babki, matki, jej własnym – nie miało teraz znaczenia.

Johannsen i Mullins czekali przy schodach.

- Tędy, panno Duveen.

Mullins pokazał jej drogę, jakby była tu po raz pierwszy. Wchodził po schodach przed nimi. Każdy krok sprawiał jej większy ból.

- Tędy, panno Duveen. - Johannsen przytrzymał jej drzwi.

- Robię to dla ciebie, babciu – szepnęła, ponownie wchodząc do koszmarne go pokoju. - Pomogę ci, pomogę ująć tego, który to zrobił. Przysięgam. - Mimo wszystko było to trudne, tak bardzo trudne. Brązowa plama na dywanie to jej krew, tu Miss Lottie leżała, tu kapeć zsunął się z jej nogi... tutaj leżał Bruno...

- Sejf był otwarty, panno Parrish. Czy wiadomo pani, kto oprócz pani babki miał do niego klucz? - Johannsen mówił energicznie i rzeczowo. W czystej białej koszuli i ciemnym garniturze wyglądał jak biznesmen.

Pokręciła głową.

- Miss Lottie nigdy go nie zamykała. Twierdziła, że nie ma tam nic, co mogłoby skusić złodzieja. Zresztą komu przyszłoby do głowy ograbić staruszkę? - Głos ją zawiódł.

- Czy może nam pani dokładnie powiedzieć, czego brakuje?

Zajrzała do sejfu.

- Pereł... czterdziestopięciocentymetrowy sznur pereł o średnicy dwunastu milimetrów każda...

Johannsen uniósł brwi.

- Już te perły są zapewne warte niemałą fortunę...

- Możliwe, ale Miss Lottie dostała je na osiemnaste urodziny, chyba nigdy nie myślała o ich wartości materialnej. Wątpię, czy były ubezpieczone. - Dotknęła sznurka pereł na swojej szyi. - Moje chyba też nie są. To były klejnoty rodzinne, cenne ze względu na związane z nimi wspomnienia, a nie wartość rynkową.

Johannsen nie wydawał się przekonany.

– Co jeszcze?

– Zareczynowy pierścionek z brylantem, bardzo staroświecki. Nie mam pojęcia, ile miał karatów ani ile jest wart. Może prawnicy albo księgowi babci będą wiedzieli. Kilka pierścionków z mniejszymi brylantami, jeden z szafirem. Staroświeckie broszki, kolczyki z perłami i brylantowymi łezkami... To chyba wszystko, choć Majors z kancelarii Majors, Fleming i Untermann w Santa Barbara będzie mógł udzielić panom bardziej szczegółowych informacji.

– Proszę się uważnie rozejrzeć, panno Duveen. Czy brakuje czegoś jeszcze?

152

Starannie omijając wzrokiem plamę krwi, Ellie patrzyła na dobrze znane przedmioty. Malachitowe egipskie obeliski na ozdobnym gzymsie kominka, francuski zegar z trzema tłustymi amorkami, którym w dzieciństwie nadała imiona: Patsy, Fatsy i Kupidyn. Bibeloty z kryształu i srebra, stare fotografie. Jej wzrok zatrzymał się na nocnym stoliku, gdzie Miss Lottie postawiła swoje ulubione zdjęcie wnuczki, zrobione zaraz po jej powrocie z Paryża, skąd przyjechała z pękiem dyplomów kulinarnych i doświadczeniem. Zdumiona, szeroko otworzyła oczy.

– Nie ma fotografii.

Johannsen był przy niej w ułamku sekundy.

– Jakiej fotografii?

– Mojej, w srebrnej ramce. Babcia zawsze miała ją przy łożku.

– Co jeszcze, panno Parrish?

– Nic. – Zmęczenie otuliło ją ciężkim kocem. Długim, pożegnalnym spojrzeniem obrzuciła pokój, który był jej kiedyś tak bliski, odwróciła się i szybko wyszła. Nigdy więcej tam nie wróci.

Milczała w drodze do Running Horse, zamknęła oczy. Explorer zawył, gdy jechali pod górę, wśród pędów winorośli. Nie unosząc powiek, szepnęła:

– Przepraszam.

Dan zerknął na nią kątem oka. – Za co?

– Rozwaliłam ci samochód. Znowu.

– W porządku, wybaczam ci.

Nie mógł przestać myśleć o skradzionym zdjęciu. W pokoju było dużo przedmiotów cenniejszych, więc czemu złodziej zabrał akurat fotografię Ellie? Nie tylko dla ramki, tego był pewien.

W domu na automatycznej sekretarce czekało wiele wiadomości; od przyjaciół Ellie, od prawników Parrishów, od Chana, Terry'ego i

Jake'a, od krewnych Marii w Guadalajara. I od Piatowsky'ego.

– Pamiętasz mnie? – mówił. – Tu stary sukinsyn, który pojutrze przylatuje z wizytą. Szykuj posłanie i kobiety! – Śmiech. – Tylko żartuję, stary, tylko żartuję. Pewnie pomagasz lokalnym chłopakom wyjaśnić to ostatnie morderstwo w sąsiedztwie, co? Twoja pomoc bardzo im się przyda. Zadzwoń.

Ellie bezradnie przycupnęła na kanapie.

– Muszę zadzwonić do krewnych Marii. A co z pogrzebem? Co mam robić?

– Może ja się tym zajmę?

– Zrobiłbyś to? – Była wręcz żałośnie wdzięczna.

– Jeśli mi na tyle zaufasz... Dotknęła jego policzka.

– Jesteś moim przyjacielem. Ufam ci bezgranicznie.

Mimo wysokiej temperatury na dworze było jej zimno, więc dołożył drwa do ognia. Ukląkł, zdjął jej buty, położył ją przykrytą niebieskim kocem. Krzyknął do Flority, żeby zaparzyła gorącej herbaty.

153

Całował opuszki jej palców, kiedy przed domem zahamował z piskiem opon jakiś samochód.

– Ellie, Ellie... – Maya przeskakiwała po dwa stopnie, jak burza przebiegła przez werandę, do domu. W korytarzu się zatrzymała, obłąkanym wzrokiem rozglądała się dokoła, przyciskała do czarnego kostiumu bukiet letnich kwiatów. – Tu jesteś. – Minęła Dana i objęła Ellie z całej siły. – Kocham cię... Tak mi przykro...

Płakały razem, bliskie sobie jak rodzone siostry. Dan podniósł kwiaty z podłogi i zaniósł do kuchni, gdzie Florita znajdzie wazon.

Powie jej, że będą mieli jeszcze jednego gościa na noc, i poprosi, żeby przygotowała lekką, smaczną kolację.

Z kuchni poszedł do biura i zadzwonił do Piatowsky'ego.

Rozdział 41

p

iatowsky pchał wiekową kosiarkę po mikroskopijnym trawniku.

Wraz z malutkim tarasem, kilkoma japońskimi klonami, które własnoręcznie zasadził dwa lata temu, ukochanymi różami Angeli i domkiem zabaw dla dzieciaków, dziełem jego rąk (wymagało to kolosalnego wysiłku, niezliczonych wypraw do sklepów z narzędziami i spojrzenia prawdzie w oczy; teraz już wiedział, czemu jest gliniarzem, a nie stolarzem), trawnik ten stanowił cały ogródek. Ciężkie szare chmury zwiastowały deszcz, znad rzeki wiał zimny wiatr. Tak, warto pojechać na kilka dni w Kalifornii.

W kieszeni Piatowsky'ego rozdzwonił się telefon komórkowy. -Tak?

- Cześć, tu Dan.

Pete wykrzywił usta w szerokim, zawadiackim uśmiechu, dzięki któremu wyglądał jak dzieciak, a nie poważny detektyw z Manhattanu. Upuścił kosiarkę, przesunął dłonią po coraz rzadszej blond czuprynie.

- Akurat myślałem o tobie i o kalifornijskim słońcu. Tu, w Nowym Jorku, tyłek mi odpada z zimna.

- Dobrze, że przyjedziesz.

Poważny ton Dana nie uszedł jego uwagi. -Co jest?

- Moja przyjaciółka ma kłopoty. Wczoraj wieczorem zamordowano jej babkę. W rezydencji, w Santa Barbara. Policja ją podejrzewa

- Staruszka w Santa Barbara? Tak, słyszałem. - Piatowsky zawahał się. - Powiedz, jak blisko się z nią przyjaźnisz?

- Bardzo blisko.

Wiedział, że Dan ma na myśli romans. Musi postępować bardzo ostrożnie. Odchrząknął.

- Wiesz, Dan, mnie to też przyszło do głowy. Znaczy, jest jedyną krewną bogatej staruszki. Dla gliniarza to logiczne.

155

- Nie ma mowy - odparł Dan stanowczo. - Umówiłem się z nią tam, na miejscu. Byłem tam bezpośrednio po tym, jak znalazła zwłoki. Ona naprawdę kochała babkę, która właściwie była dla niej drugą matką. A gosposia nie była zwykłą służącą, tylko członkiem rodziny. Nawet psu się dostało. Sejf był pusty, morderca zabrał biżuterię. Byłeś dziś w pracy? Nie? Więc jeszcze nie wiesz. Słuchaj teraz, Piatowsky. Udusił ją. I zostawił swój znak. Krzyż, taki sam jak na czole prostytutki z Times Square.

- Jezu! - Piatowsky nie wiedział, co powiedzieć. - Ale to było włamanie z użyciem przemocy... nasz morderca by na to nie poszedł. To nie jego działka.

- Właśnie. Więc może mamy naśladowcę? Piatowsky pokręcił głową.

- To się nie trzyma kupy. Jakies dowody?

- O ile wiem, nic. Nadal badają zabezpieczone ślady. Jak na mój rozum, autopsja wykluczy Ellie. Trzeba nie lada siły, żeby udusić kogoś gołymi rękami. Jednak gosposię i psa zastrzelono. Motyw rabunkowy jakoś mnie nie przekonuje, wygląda jak fałszywy trop, dla zmylenia śladów, wiesz, o co mi chodzi. Moim zdaniem to była zaplanowana egzekucja. A nasz morderca odczuwa przymus.

Wycinanie krzyża na czole ofiar to swoisty rytuał.

- To rzeczywiście dziwne - zgodził się Piatowsky. Rzadko się zdarzało, by przy jednej zbrodni zabójca mordował na różne sposoby. - Chyba że było ich dwóch...
- Dwóch zabójców? To możliwe...
- Ze słuchawki dobiegło go westchnienie Dana.
- Piatowsky, bardzo mi się tu przydasz.
- Potrzebujesz moralnego wsparcia, tak?
- Nie tylko. Musimy złapać mordercę.
- W porządku, stary. Będę u ciebie jutro. Jedenasta trzydzieści, lot United.
- Będę czekał.

Chowając telefon do kieszeni, Piatowsky z żalem pomyślał o leniwych wieczorach na werandzie, z zimnym piwem i świeżym wiejskim powietrzem. Narastało w nim przeczucie, że jego pobyt w Kalifornii będzie wyglądał zgoła inaczej.

Zdażył skosić jeszcze jeden pas trawy, zanim lunęło. Z westchnieniem pocieszył się, że w Kalifornii przynajmniej będzie ciepło i słonecznie.

Rozdział 42

F:

lorita krzątała się po kuchni, nakrywała długi stół do kolacji. Nie wiadomo jakim sposobem, choćby poruszała się bardzo szybko, nie wyglądała, jakby się spieszyła. Jej czerwona spódnica szeleściła przyjemnie, czerwone trzewiki tańczyły po podłodze, gdy ustawiała wazon z polnymi kwiatami na środku stołu. Carlosito raczkował za nią, obejmował ją za nogi, łapał się spódnicy. Uśmiechnęła się do niego.

-Ay, nino, jaki już z ciebie duży chłopiec. Niedługo będziesz chodził.

Wzięła go na ręce i wróciła do kuchni, żeby dopilnować zupy fasolowej, pieczonego kurczaka i sałatki. Tortille upiekła przedtem. Pachniało intensywnie czosnkiem i rozmarynem.

Na kaflach podłogi zastukały podkute buty Ortegi. Wszedł tylnymi drzwiami.

- Co z nią? - Bujne wąsy poruszyły się niespokojnie. W brązowych oczach wyjątkowo nie było pogodnych iskierek.

- Niedobrze. - Błyszczący warkocz Flority przeskakiwał z ramienia na ramię, tak energicznie kręciła głową. - W środku umiera, to widać. Pobredta, ay, que horror, que tragedia. - Miała łzy w oczach. Przytuliła synka do siebie.

-Aelsenorl

- Ma wielki ciężar na barkach.

Popatrzyli sobie w oczy. Ortega wzruszył ramionami.

- Jest silny, udźwignie go. Zresztą jest zakochany, a w Ameryce mają przysłowie: Triunfa todo el amor. Miłość pokona wszelkie przeszkody.

- Przyjechała jej przyjaciółka. - Postawiła małego na podłodze. Szybko pod-pełził do ojca. - Ale dzisiaj musi coś zjeść. I spać, odpocząć.

- Porozmawiam z panem Cassidy, dowiem się, czy mogę jakoś pomóc. - Ortega posadził sobie synka na karku i obiegł pokój dokoła. Carlosito piszczał z radości.

Ellie usłyszała ich schodząc na dół. Jaki piękny, niewinny jest śmiech dziecka. W jej oczach malował się smutek. Choć na dworze było ciepło, na kominku

157

buzował ogień. Domyśliła się, że Dan rozpałił go specjalnie dla niej. Na drewnianym stole stał wazon z kwiatami, w kubelku chłodziła się butelka białego wina.

Podeszła do okna. W oddali śpiewały ptaki. Świat wydawał się taki spokojny, taki normalny. A więc życie toczy się dalej. Dzieci się śmieją, ptaki śpiewają, kurczaki się pieką.

Z westchnieniem odwróciła się akurat w tej chwili, gdy Maya wchodziła do pokoju. Obie włożyły czyste białe koszule i dżinsy. Ellie spięła włosy z tyłu głowy. W twarzy bez makijażu uderzały smutne, podkrążone oczy i biała postrzępiona blizna na czole.

- Wyglądamy jak nowoczesny chór grecki. - Maya starała się rozluźnić atmosferę. - Ale to i tak lepsze niż jak wyglądałyśmy przedtem. Czy w tamtym kubelku naprawdę widzę wino, czy może mnie wzrok myli?

- Nie myli. - W drzwiach stanął Dan, za nim pojawił się Ortega. - Nalać ci? To chardonnay, bardzo dobre.

- Nasze będzie lepsze. - Ortega wniósł koszyk drewna. - Chociaż to nie jest złe, przyznaję.

- I oczywiście jesteś całkowicie obiektywny. - Maya uśmiechnęła się złośliwie.

- Skądże znowu, seniorita. Jestem po prostu szczery.

Roześmiali się. Dan podał kieliszek Ellie, nalał wina sobie i Carlosowi.

- Tylko na skosztowanie - mruknął Ortega.

- Chcę wznieść toast. - Ellie uniosła swój kieliszek i rozejrzała się

po twarzach przyjaciół. – Za Miss Lottie.

Dan zerknął na nią zaniepokojony. Wydawała się spokojna i opanowana. Wypili więc za jej babkę.

– A teraz za Marię, moją przyjaciółkę, członka mojej rodziny.

Maya obserwowała ją z czujnością. Znała Ellie za dobrze, widziała, że przyjaciółka jest na granicy wytrzymałości.

– I, ma się rozumieć, za kochanego Brana, który dał im obu tyle radości, a w końcu oddał za nie życie.

Pancho wpadł do domu z głośnym szczekaniem, poślizgnął się na podłodze i ignorując zebranych, pognął do kuchni. W ślad za nim spieszył Cecil.

– Serce tego psa jest w żołądku – skomentowała Ellie. Dan się uśmiechnął. Oto pierwsza normalna uwaga z jej ust.

– Wino jest wyśmienite. – Maya starała się podtrzymać lekki ton rozmowy, bo wiedziała, że rozpacz może ich ogarnąć lada chwila.

– Bardzo dobre. – Ortega pod światło oglądał kolor. – To wzorcowe chardonnay.

– Senor, kolacja gotowa! – krzyknęła z kuchni Florita.

– Dasz radę jeść? – Maya nie ukrywała niepokoju.

– Muszę. Muszę być silna, żeby pomóc ująć zabójców.

Ellie była zbyt spokojna, w jej głosie pojawiły się nuty, których Maya nigdy w nim nie słyszała.

– Wszystko w porządku? – delikatnie dotknęła jej ramienia.

158

- Po prostu muszę się skupić, przypomnieć sobie każdy szczegół, żeby opowiedzieć Johannsenowi. Muszę zrobić wszystko co w mojej mocy...

Dan włączył odtwarzacz CD. Pokój wypełniły kojące dźwięki koncertu skrzypcowego Brahmsa.

- Miałam zapytać... - Ellie podniosła głowę, gdy Florita wносиła wazę z zupą i półmisek z gorącymi tortillami. - Co z Chanem, z restauracją?

- Sprawa załatwiona - uspokoiła ją Maya. - Restauracja będzie nieczynna aż do... dopóki nie poczujesz się lepiej.

Ellie podziękowała jej. Dlaczego tak bardzo boli ją głowa? Nie pomagają żadne lekarstwa. Może to część cierpienia, które przypadło jej w udziale. Nie czuła smaku pysznej zupy, ale ciepły płyn złagodził ucisk w żołądku.

Usłyszeli warkot silnika przed domem i spojrzeli po sobie niespokojnie.

- Co znowu? - syknęła Maya. Florita już biegła do drzwi. Dobiegł

ich znajomy głos Johannsena.

- Czy zastaliśmy pana Cassidy'ego?

- Si, senor. A kto...

- Już dobrze, Florito. - Dan stanął w progu.

- Panie Cassidy... - Johannsen był uprzejmy, oficjalny, chłodny. -

Czy panna Duveen jest tu z panem?

Dan wyczuł kłopoty. -Tak.

- W takim razie chciałbym prosić oboje państwa o udanie się ze mną na posterunek w Santa Barbara w celu ustalenia pewnych szczegółów dotyczących morderstwa.

Ellie stała za nim. Usłyszał, jak głośno wciąga powietrze i mówi:

- Panie Johannsen, powiedziałam już wszystko, co pamiętam, wszystko, co widziałam... gdyby było coś jeszcze, czy sądzi pan, że bym wam o tym nie powiedziała?

- Z pewnością tak, proszę pani, niemniej chcemy poznać więcej szczegółów.

- Chcą sprawdzić, czy się nie płaczesz w zeznaniach, Ellie. - Dan odnalazł wzrok Johannsena. Zazwyczaj znajdował się po drugiej stronie barykady, nigdy nie był podejrzany o morderstwo.

Nieprzyjemna sytuacja. - Akurat jedliśmy kolację. Panna Duveen nie jadła nic od wczoraj. Chyba się pan ze mną zgodzi, że powinna zjeść, zanim podda ją wyczerpującemu przesłuchaniu. Przecież dopiero co straciła babkę w koszmarnych okolicznościach.

Johannsen zacisnął usta w wąską kreskę. Nie miał ochoty wyjść na nieczulego gburę, ale taką miał pracę, o czym Cassidy doskonale wiedział.

- Proszę skończyć posiłek. Poczekamy. Maya ścisnęła Ellie za rękę.

- Co on ma na myśli, mówiąc, że chcą poznać więcej szczegółów?

Była przerażona, więc Dan uspokoił ją pośpiesznie.

- To rutynowe postępowanie. Może Ellie o czymś zapomniała. - Nie miał zamiaru ich straszyć i mówić, że Johannsen podejrzewa jego i Ellie o popełnienie tej zbrodni.

159

Ellie wróciła do stołu. Z trudem wmusiła w siebie łyżkę zupy.

Błagalnie spojrzała na Dana.

- Jedźmy już – poprosiła z determinacją.

- Pojadę z wami. – Maya zerwała się z miejsca, lecz Dan potrząsnął głową.

- Zostań tutaj, odbieraj telefony. Zadzwoń i powiem, na czym stoimy. – Spojrzał na Ellie. – Masz prawnika?

- Miss Lottie ma... Miała. Michael Majors, w Montecito.

Przypomni sobie, e czowiek o tym nazwisku dzwoni wczejniej i zostawi swoj telefon. Szybko odnalaz karteczk z numerem.

Majors akurat siada do kolacji, ale kiedy usysza, o co chodzi, obieca, e natychmiast przyjedzie na posterunek w Santa Barbara.

– W porzadku. – Dan z faszyw beztrosk obj Ellie ramieniem. – Chod, miejmy to ju za sob.

– Ellie! – Maya dogonia ich w progu. – Zadzwo, kiedy bdziesz wiedziaa, o co chodzi.

– Dobrze. – Ellie oddaaby duo, eby dowiedzie si tego samej.

Rozdzia43

T

o bardzo dziwne uczucie, uzna Dan, j echa na tylnym siedzeniu policyjnego forda victoria w charakterze pasażera, a nie siedzie za kierownic. Tym razem by podejrzanym, nie straznikiem prawa.

Zwierzyn, nie owc.

W myslach analizowa wszelkie znane sobie fakty. Dwa odmienne sposoby pozbawienia ycia sugerowa istnienie dwoch sprawcow. Jednak w tej zbrodni byo co rytualnego. Daby sobie rek uci, e zaplanowano j i wykonano z ze-garmistrzowsk precyzj. Mimo „podpisu” seryjnego mordercy, wygladao to na egzekucj. Wiedzia jednak, e Johannsen idzie innym tropem.

Wrocili do ciasnego szarego pokoju, oni siedzieli po jednej stronie biurka, Johannsen po drugiej, Mullins czai si pod cian i pali lucky strike'a. Policjantka w mundurze przyniosa kubki z kaw.

– Dwie z cukrem, dwie bez–powiedziaa, zanim wysa. Ciekawie rozejrzaa si po twarzach zebranych.

– Nie ma popiechu, panno Duveen. – Johannsen opar si na okciach. – To tylko tak nieformalna rozmowa, midzy nami.

Dan nie da si wywie w pole.

– Czy mam rozumie, e przesuchujecie pann Duveen i mnie jako podejrzanym o morderstwo pani Parrish?

Johannsen chrkn.

– Niezupenie... –Nie mieli najmniejszych dowodw, a sekcja zwok wykazaa, e Ellie nie daaby rady udusi babki. Sprawc by bez wpienia mezczyzna. Wiec moe jej wspolnik, Cassidy. By roty, mia do siy, by to zrobi. Ellie zastrzelia gosposi, a on zaja si babk. Odziedziczyaby wszystko i yliby dugo i szczeliwie... Poza tym Cassidy wiedzia o seryjnym mordercy, mog okaleczy zwoki choby po to, eby zmyli trop. Tylko e seryjny morderca wybiera na swoje ofiary prostytutki, a nie staruszki.

Dan przerwa narastajce milczenie.

11-Wcześniej...

161

- Więc może panowie przeczytają nam nasze prawa i poczekamy na adwokata panny Duveen.

Johannsen westchnął głośno. Liczył, że uda mu się nieco przycisnąć dziewczynę, zanim sprawy posuną się tak daleko. Tymczasem Cassidy, dawny glina, pokonał go jego własną bronią. Skinął na Mullinsa, który monotonicznie wyrecytował regułę Mirandy.

Ellie spojrzała na Dana pustym wzrokiem.

- Nie rozumiem...

- Nie martw się - uspokoił ją. - Poczekamy na Majorsa i pojedziemy do domu. - Ależ ja chcę wszystko powiedzieć! - Odwróciła się gwałtownie, mocno

splotła dłonie. - Chcę, żebyście się o wszystkim dowiedzieli, może o czymś zapomniałam. Chcę, żebyście znaleźli zabójcę mojej babci. Johannsen poruszył się niespokojnie. Dziewczyna nie wygląda na morderczynię, ale z drugiej strony...

- Właśnie o to panią prosimy, panno Duveen.

Rozległo się pukanie do drzwi i policjantka wprowadziła Michaela Majorsa.

Stanął w progu, rozglądał się po podobnym do celi pokoju, patrzył na skuloną Ellie. W swojej praktyce zajmował się testamentami, umowami, aktami, niemniej pamiętał ze studiów tyle, że miał nadzieję ją stąd wyciągnąć.

Był drobnej kości, chłopięcy. Pod marynarką w prążki miał różową koszulę, którą żona kupiła mu na urodziny. Jej zdaniem była pogodna i radosna, ale w tym otoczeniu wydawała się bardzo nie na miejscu. Poprawił jedwabny krawat, podszedł do Ellie, poklepał ją po ramieniu.

- Wyraży najgłębszego współczucia, Ellie. To straszna tragedia.

- Dziękuję. To Dan Cassidy, mój przyjaciel. I detektywi Johannsen i Mullins. - Przedstawiła zebranych. Dobre maniere miała we krwi, nawet w takiej chwili nie zawiodło doskonale wychowanie Miss Lottie.

Majors uściskał obecnym dłonie.

- Czy mogę zapytać, dlaczego właściwie zatrzymano moją klientkę?

- Nikt nikogo nie zatrzymywał, panie Majors. Chcemy tylko z pańską klientką porozmawiać - wyjaśnił łagodnie Majors.

- Więc przedstawili panowie jej prawa? - Tak.

- Nie od razu - wtrącił się Dan. - Musiałem o to poprosić. Johannsen wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie zaczęliśmy przesłuchiwać żadnego z was. - Zmarszczył brwi. Cassidy był gliniarzem z krwi i kości, doskonale wiedział, co się święci. Blokował każde jego posunięcie. W ten sposób niczego z nich nie wyciągnie. -Zresztą panna Duveen zgodziła się z własnej woli odpowiedzieć na wszelkie pytania.

Majors był zagubiony.

- Dobrze, skoro sama się zgodziła...

Ellie chciała tylko jednego: żeby wreszcie przestali się kłócić i dali jej mówić.

- Chcę pomóc. Zrobię co w mojej mocy.

162

Dan nie mógł zrobić nic, żeby ją powstrzymać. Co prawda nie miała nic do ukrycia, lecz on aż za dobrze wiedział, jak łatwo nadać niewinnym słowom obciążające znaczenie.

- No, skoro to wyjaśniliśmy... - Johannsen w myśli zacierał ręce.

Pierwsza runda dla niego. - Proszę usiąść, panie Majors. Jeśli uzna pan, że w którymś momencie posunęliśmy się za daleko, proszę się nie krepować i krzyczeć. A teraz, panno Duveen, proszę nam opowiedzieć jeszcze raz, własnymi słowami, co się stało wczoraj wieczorem.

Znowu przeżywała piekło we wspomnieniach. Oczami wyobraźni widziała, jak dzwoni do babci z samochodu, widziała kłęby mgły nad Camarillo, pamiętała swoje zdziwienie, kiedy nikt nie podnosił słuchawki. Potem telefon do Dana; po jego głosie zorientowała się, że biegł. Ulżyło jej, kiedy powiedział, że się nie gniewa za poprzedni wieczór. Opowiadała, jak smutno zazgrzytały koła na zwirowanym podjeździe, o świetle w oknie pokoju babki. O ciemności w holu, o przerażającej ciszy, w której jej głos niósł się echem, gdy wołała Marię. O tym, jak biegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. O wpatrzonych w nią martwych ślepiach Bruna, jego krwi na dywanie i na kapciu Miss Lottie...

O babce, która leżała na plecach w garderobie, z szeroko rozrzuconymi ramionami, a jej twarz... Boże drogi, jej twarz...

Widziała siebie, jak wybiega z pokoju. Kwiliła jak przerażone zwierzątko... stała we krwi Bruna. Wiatr wepchnął firanki do pokoju przez otwarte drzwi na balkon...

- Tam ktoś był! - Złapała Johannsena za rękę. - Na balkonie ktoś był. Jestem pewna!

- Dobrze, więc proszę mi dokładnie i powoli opowiedzieć, co pani widziała. Skupiła się, żeby sobie przypomnieć najmniejszy szczegół.

- Usłyszałam coś, jakiś hałas, ruch. Drzwi na balkon były otwarte i

nagły podmuch wiatru wepchnął firankę do środka... – Zamknęła oczy, szukała w pamięci tego czegoś, co przykuło jej uwagę. Nagły błysk w ciemności, na balkonie. – To był odblaskowy pasek na bucie – powiedziała w końcu. – Wie pan, taki jak na obuwiu biegaczy, żeby kierowcy zauważali ich po ciemku. Odbija światło. – Dumna z siebie, raz po raz kiwała głową. – Widziałam to.

– I co pani wtedy zrobiła?

Z twarzy Johannsena nie sposób było nic wyczytać. Spodziewała się uśmiechu, pochwały, podziękowań...

– Ja... nie wiem... – Zaplątała się. – Pamiętam tylko, jak biegłam na dół, do samochodu... Byłam... byłam...

– Panna Duveen była przerażona – odezwał się szorstko Dan. – Co pana zdaniem miała zrobić?

– Oczywiście, oczywiście. – Majors energicznie kiwał głową. – Przyznacie, panowie, że mojaklientka postąpiła właściwie, uciekając przed niebezpieczeństwem.

– A gdzie pan był w tym czasie, panie Cassidy? – Johannsen badawczo przyglądał się jego silnym dłoniom. Z łatwością mógłby zadusić staruszkę, złamać jej kark...

163

- Jechałem do Journey's End, bo tam się umówiłem z Ellie. - Choć zmęczony, Dan uważał na każde słowo. - Ledwie wjechałem w bramę, kiedy zobaczyłem nadjeżdżającego z przeciwka dżipa. Skręciłem w prawo, ale i tak doszło do zderzenia, po czym dżip wpadł w poślizg i zatrzymał się na drzewie. Ellie wyskoczyła z samochodu z płaczem, w hysterii. Myślałem, że to szok powypadkowy, że jest ranna. Złapałem ją za ramię. Wzięła mnie za mordercę i uderzyła. - Machinalnie dotknął obolałej szczęki. - W końcu dotarło do niej, że to ja. Wtedy usiłowała mi powiedzieć, co widziała.

-A potem?

- Wróciliśmy do domu. Nie chciała ponownie wchodzić do tamtego pokoju, czekała przy schodach, a ja poszedłem rzucić okiem.

Zostałem miejsce zbrodni w takim samym stanie jak panowie.

Sprawdziłem łazienkę, balkon, szafę, również w pokoju gosposi.

Potem wezwałem policję.

- Więc na balkonie nie było nikogo w sportowych butach?

- Nie. Nie wtedy, gdy ja tam byłem.

- A ile czasu upłynęło między tym, jak widziała go panna Duveen, a pana przyjściem? Panno Duveen?

Spojrzała na niego nieprzytomnie. Wczoraj czas dla niej nie istniał. -

Nie wiem...

- Maksimum dziesięć minut. - Dan był szybki i rzeczowy.
 - Dziękuję państwu. Majors wstał.
 - Zakładam, że to wszystko?
 - Chwilowo tak. - Johannsen westchnął z żalem. Dopiero się za nich zabierał.
 - Na pana miejscu byłbym zachwycony tym, co sobie przypomniała panna Duveen. Na balkonie był mężczyzna w sportowych butach. - Z tonu Dana można było wywnioskować, że Johannsen wygrał los na loterii, powinien dać im spokój i wziąć się do roboty.
 - Ale kiedy pan wyszedł na balkon, już go tam nie było, czy tak, panie Cassidy?
 - Miał prawie dziesięć minut na ucieczkę.
 - A może przypadkiem ma pan właśnie takie buty? Dan uśmiechnął się krzywo i potrząsnął głową.
 - Fałszywy trop. Nie, nie mam. Johannsen wsunął ręce do kieszeni.
 - Dobranoc, panno Duveen. Przepraszam, że przerwaliśmy pani kolację. I dziękujemy za współpracę.
- Ellie odnalazła jego wzrok.
- Wie pan, ja go naprawdę widziałam. Chłodno skinął głową.
 - Tak, wiem.

Zmarszczyła brwi. Nie rozumiała jego zachowania.

- Chodź. - Dan wziął ją za rękę. - Dobranoc, panowie.

Na parkingu Majors przełożył aktówkę do drugiej ręki i szukał kluczyków do samochodu. Był to czarny mercedes 500SEL.

164

- O co im chodziło?
 - O przesłuchiwanie pańskiej klientki w związku z morderstwem, panie Ma-jors - warknął Dan. - Z morderstwem, w które detektyw Johannsen usiłuje zrobić ją i mnie.
- Ellie otworzyła szeroko buzię.
- Nie, to nieprawda. Chce tylko, żebym im pomogła.
 - Jasne. - Dan miał ponurą minę.
 - Więc on naprawdę podejrzewa, że Ellie... - Błada skóra Majorsa płonęła żywym ogniem, oczy za oprawkami od Armaniego mrugały z niedowierzaniem.
 - Ajak pan myśli, po co nas tu ściągali? Na przyjacielskie pogaduszki? - Dan wcisnął pięści w kieszenie i obrzucił prawnika kpiącym spojrzeniem.
 - Bardzo... bardzo mi przykro. Nie zajmuję się sprawami kryminalnymi, to nie moja działka...

- Wiec, na Boga, proszę nam załatwić kogoś, kto się tym zajmuje!
Pańskiej klientce bardzo się to przyda.

- Tak, oczywiście.

Ellie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wierzę. Myślałam, że gorzej już być nie może, ale teraz...

- To burza w szklance wody - pocieszał ją Dan. - Jutro wszystko wyjaśnimy. - Dziękował niebiosom, że Piatowsky przyleci następnego dnia. Przyda się jego pomoc.

- Czy mogę was podrzucić do... domu? - zapytał pokornie Majors.
Dan złagodniał. Potraktował go zbyt ostro.

- Przepraszam. - Poklepał prawnika po plecach. Rozejrzał się po parkingu. Dopiero teraz przypomniał sobie, że przyjechali tu wozem policyjnym. Zgodnie z prawem powinni tak samo wrócić do domu, ale nie miał ochoty na kłótnie. -Nie, dzięki, weźmiemy taksówkę.

- Zaraz wam sprowadzę.

Taksówka przyjechała po dziesięciu minutach. Majors oddalił się z ulgą.

Siedzieli w milczeniu, nie mając ochoty na rozmowę w obecności kierowcy. Trzymali się za ręce. Dan myślał już, że podróż nigdy się nie skończy, kiedy wreszcie stanęli na szczycie wzgórza. Maya czekała na werandzie.

- Wszystko w porządku? Ellie podbiegła do niej.

- Och, Mayu, oni myślą, że to ja zamordowałam Miss Lottie -
powiedziała, zanim straciła przytomność

Rozdział44

B

uck nie mógł sobie znaleźć miejsca. Odczuwał niepokój , jak w Hudson, gdy miał ochotę uciec, zająć się czymś. Chciał zobaczyć Ellie, lecz nigdzie jej nie było.

Siedziałw samochodzie na wzgórzu, niedaleko jej domu, popijał kawę z plastikowego kubka i zastanawiał się, gdzie może być Ellie. Nagle minęły go dwa wozy policyjne i skręciły w jej uliczkę.

Ostrożnie obserwował je w bocznym lusterku.

Po chwili do wozów patrolowych dołączył nie oznakowany ford victoria, z którego wysiadło dwóch mężczyzn w cywilu.

Buck zapalił camela i powolnym krokiem ruszył w ich stronę. Nie zapukali do drzwi, po prostu weszli do środka. Uniósł brwi w zdumieniu. Przeszukiwali dom.

Zdusił niedopałek, wrócił do samochodu i pojechał na Main Street.

Była słoneczna, upalna sobota, ulicą ciągnęły tłumy samochodów w stronę Venice Beach. Trąbił na nich niecierpliwie. Przed restauracją

„U Ellie” nie było gdzie zaparkować, zresztą nie musiał wysiadać z wozu, by zobaczyć duży napis „Zamknięte”.

Gdzie ona, do cholery, siępodziewa? Nie było jej u Mai, bo Mai też nie było. Na pewno są razem. Maya pojechała ją pocieszyć.

Jeździł bez celu, w stronę Marina del Rey. Nie mógł przestać myśleć o Danie Cassidym. Musi się dowiedzieć, kim jest, gdzie mieszka...

Nagle ogarnęło go przekonanie, że Ellie jest z nim. Wściekłość narastała w żołądku kwaśną falą. Zatrzymał się przed sklepem monopolowym, zaopatrzył w trzy butelki dobrej whisky.

Wrócił na autostradę, tym razem jechał w stronę Sunset.

Zadecydował, że zabije Cassidy'ego, jeśli ten będzie mu wchodził w drogę.

Nigdy nie odsłaniał okien w swojej kawalerce. Włączył telewizor, tak długo pstrykał pilotem, aż trafił na kanał z lokalnymi wiadomościami. Miotając się po

166

ciasnym ciemnym pokoju jak zwierzę w klatce, pił whisky z butelki, ocierał usta wierzchem dłoni i nie odrywał oczu od telewizora.

Prezenter pogody zapowiadał wspaniały dzień, jeśli nie brać pod uwagę stężenia zanieczyszczenia powietrza i dziury ozonowej.

Buck przyłożył butelkę do ust. Cholera jasna! Dlaczego nie podają wiadomości, nie mówią mu, co się dzieje w sprawie morderstwa Miss Lottie, co się dzieje z Ellie? Zerwał z siebie koszulę, cisnął na podłogę. Wkrótce dołączyły do niej spodnie i buty. Po chwili krążył po pokoju zupełnie nagi.

Gdzie ona jest?!

Rozdział45

B

oeing 737 linii United stopniowo podchodził do lądowania.

Piatowsky patrzył, jak Los Angeles powoli się wynurza z żółtego smogu. Przed nim rozciągała się siatka ulic, upstrzona turkusem basenów i zielenią palm.

Choć był mieszcuchem do szpiku kości, nie mieściło mu się w głowie, jak w ciągu kilku godzin można przemierzyć cały kontynent i znaleźć się w zupełnie innym świecie.

Cassidy czekał przy taśmie bagażowej. Jak na mieszkańca słonecznej krainy wyglądał kiepsko. Na jego policzkach widniał błękitnoczarny cień zarostu, a po ciemnych włosach można było poznać, że nieraz przeczesał je w nerwowym geście. Mimo to jego oczy załśniły na widok przyjaciela.

– Jezu, Piatowsky, jak dobrze, że jesteś!

- No chyba! - Obejmowali się, klepali po plecach.

Dan wziął jego torbę. Piatowsky przerzucił sobie przez ramię wędki w czarnym futerale.

- Pewnie nie będzie czasu na łowienie, ale zabrałem na wszelki wypadek. - W ślad za Danem wyszedł na zewnątrz i uniósł bladą twarz mieszczucha ku słońcu, głęboko wciągnął w płuca spaliny z milionów samochodów. - Stary, to raj na ziemi.

- Poczekaj, aż wyjedziemy z miasta.

Posłusznie szedł za przyjacielem, co chwila oglądając się za fantastycznymi kobietami w szortach.

- Od razu widać, że nie jesteśmy w Nowym Jorku - stwierdził z podziwem. - Same blondynki. To chyba od słońca.

Dan zręcznie manewrował między sznurami samochodów na Century Boule-vard.

Piatowsky zmierzył go uważnym spojrzeniem. Uznał, że przyjaciel wygląda jak człowiek, któremu niejedno spędza sen z powiek.

168

- Na czym stoimy?

- Nie wiem, czy uwierzysz, ale lokalne gliny podejrzewają mnie o współudział.

- Jezu! - Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, trawił tę informację.

- Na czym się opierają?

- Motyw. Dobry motyw. Chciwość. Załatwiamy staruszkę. Ellie dziedziczy. Żyjemy długo i szczęśliwie.

- Czemu akurat ty?

- Uznali mnie za jej faceta. Jestem eksplinierzem, znam reguły gry. - Ze wzruszeniem ramion skreślił w prawo, na autostradę. - Jestem silny, mogłem udusić staruszkę, a Ellie w tym czasie zastrzeliła gosposię. I psa. Wiedziałem o seryjnym mordercy, mogłem naśladować jego działanie, żeby odsunąć podejrzenia od nas.

- Znaleźli broń?

- Nawet jeśli, nic mi o tym nie wiadomo.

- No tak, jasne. - Piatowsky ściągnął brwi z namysłem. - Ale to się nie klei. Zbyt proste. Zresztą musiałbyś być ostatnim durniem, żeby to zrobić i zaraz wzywać policję. Gdybyście to naprawdę byli wy, mielibyście alibi nie do podważenia o sto kolometrów stąd.

- To była egzekucja, Pete, czuję to w kościach. - Obaj widzieli wystarczająco dużo zabójstw, które w rzeczywistości były wykonaniem wyroku, by wiedzieć,

o co chodzi. - Marię zastrzelił w drzwiach łazienki. Czekał na nią.

Miss Lottie została uduszona, choć miał przy sobie broń i ją również

mógł zastrzelić. Więc dlaczego to zrobił? Dlaczego ją udusił?

- Zemsta?

Popatrzyli na siebie uważnie. Dan zjechał na lewy pas i przycisnął pedał gazu.

- Też o tym myślałem. Ale Ellie nie przypomina sobie, by ktokolwiek miał jakieś pretensje do babki. Chociaż, przed laty... opowiadała mi o pewnym incydencie. Jakiś facet włamał się do domu i ją zaatakował. Ellie była mała, ale akurat znalazła się w tamtym pokoju i wszystko widziała. Jej wrzaski zaalarmowały służbę

1 strażników.

- Co z facetem? Siedzi?

- Ellie nie wie. Babka o nim nie wspominała, kazała jej o wszystkim zapomnieć i nikomu o tym nie mówić. To się wydarzyło ponad dwadzieścia lat temu, nie wiem, czy może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Stare urazy nie blakną, tylko palą coraz bardziej. Dan wzruszył ramionami.

- Skontaktowałem się z agencją ochrony, z której wówczas korzystała. Wycofali się z rynku. Nie znalazłem nikogo, kto mógłby mi o tym coś powiedzieć, poza Ellie. Ale widziałem miejsce zbrodni. Byłem tam. Wiesz, co mi chodzi?

Piatowsky wiedział. Znał to uczucie, częściowo instynkt, częściowo doświadczenie, częściowo zgadywanie. Nieważne, co to było, w każdym razie ilekroć się pojawiało, trzeba było szukać dalej niż wśród rzeczy pozornie oczywistych. Właśnie to przeczucie wyróżniało dobrego detektywa.

169

- A odciski palców?

- Prawdopodobnie odciski Ellie są w całym domu, w końcu bywała tam co tydzień. Ja pilnowałem, żeby niczego nie dotknąć. Teraz słuchaj uważnie. Wczoraj wieczorem zabrali nas na posterunek, na przesłuchanie, akurat kiedy siadaliśmy do kolacji.

Piatowsky prychnął gniewnie; wiedział, do czego zmierzali.

Zaniepokoić podejrzanych, dopaść ich, gdy są głodni i zdenerwowani.

- Ellie bardzo się starała. - ciągnął Don - Przypomniała sobie, co widziała, kiedy znalazła ciało. Drzwi na balkon były otwarte.

Podmuch wiatru wepchnął firanki do środka i coś widziała w świetle księżycyca... odbłaskowy pasek na sportowych butach.

-On tam był?! Dan pokiwał głową.

- Przynajmniej Ellie tak twierdzi.
- Więc dlaczego nie zabił i jej?
- Jest jeszcze coś. Na nocnym stoliku babka miała zdjęcie Ellie w srebrnej ramce. Znikło.

Piatowsky głośno zaczerpnął tchu.

- Daniel, drogi chłopcze, ta sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż się nam wydaje. Dużo bardziej.
- Wytłumacz to detektywowi Johannsenowi. Piatowsky łypnął na niego podejrzliwie. - Kochasz ją?
- Nie chciałem, nie mam pieniędzy, nie mam perspektyw, nie mam czasu...
- Przepraszam bardzo, od kiedy prawdziwa miłość bierze pod uwagę te czynniki?

Dan uśmiechnął się krzywo.

- Pewnie Romeo pytał Julię o to samo?
- Tak, i patrz, jak skończyli. Musisz się bardziej starać, Cassidy. Jeśli naprawdę ci zależy na tej Ellie, musi być wyjątkowa.
- Bo jest. Sam się przekonasz.

Rozdział 46

Z

upełnie jak na zdjęciach. - Piatowsky stał na szczycie wzgórza. Podziwiał rzędy winorośli i stadko krów w oddali, w cieniu wiekowych dębów. Odwrócił się, żeby obejrzeć dom, a Dan w tym czasie wyciągał torby z bagażnika. - Zdawało mi się, że to miała być rudera?

- Jak myślisz, gdzie się podziały moje pieniądze?

Piatowsky roześmiał się na te słowa. Przechylił głowę na bok, wsłuchany w ptasie trele i szum wiatru. Po chwili stwierdził, zdumiony:

- Bardzo tu cicho.
- Można się do tego przyzwyczaić. Bez hałasu żyje się dużo lepiej, uwierz mi na słowo.

Piatowsky pokiwał głową. Chciałby, żeby Dan miał rację, ale to potrwa. W oddali dostrzegł dwie postacie. Dookoła nich uganiały się z głośnym szczekaniem dwa psy. Wiatr niósł radosne szczekanie.

- To Ellie i Maya. A to Pancho. - Kundel gnał w stronę Dana jak koń wyścigowy, Cecil deptał mu po piętach. Skakały na niego przez chwilę, po czym zainteresowały się Piatowskym. Obserwowały go z wywieszonymi ozorami.

- Super. - Poglaskał je ostrożnie. - Co to za rasa?
- To wiejskie psy, Piatowsky. Stanowią część inwentarza.

- No tak, wybacz, nie znam tutejszych obyczajów. Ale wyglądają równie paskudnie jak miejskie kundle. - Podniósł wzrok, bo zbliżały się Maya i Ellie. - Ale za to tutejsze kobiety... - mruknął. - Jezu, Cassidy, podrywasz je parami, czy co?

Ellie, blada, szczupła, wysoka, wyglądała bardzo niewinnie z włosami spiętymi w kucyk, bez makijażu. Miała na sobie koszulkę z napisem „U Ellie” i białe szorty. Maya, również bez makijażu, mogłaby uchodzić za uczennicę, gdyby nie fantastyczna figura w obcisłej koszulce na ramiączkach i szortach. Ellie od razu podeszła do Dana.

Niczym gołąb wracający do domu, pomyślał Piatowsky, obserwując, jak przyjaciel obejmuje ją i zagląda w oczy.

171

- Ellie, to Pete Piatowsky, mój kumpel z Nowego Jorku. Maya Morris, Pete. - Podali sobie ręce i Piatowsky już się nie zastanawiał, czemu Dan się zakochał. W jej pięknych oczach był smutek, ale i siła. Cierpiała, ale nie dała się załamać.

- Pomoże pan Danowi złapać zabójcę? - Maya nie owijała w bawełnę. Duże oczy barwy whisky patrzyły na niego badawczo, domagały się natychmiastowej odpowiedzi.

- Postaram się, panno Morris, chociaż właściwie to zadanie policji z Santa Barbara.

Ellie nie odrywała od niego wzroku. Więc to jest przyjaciel Dana, z którym pracował, któremu ufał. Powiedział, że jeśli ktokolwiek może im pomóc, to właśnie Piatowsky. Nie przeoczy żadnego szczegółu, jak nikt zna się na swoim fachu.

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała cicho. - I przykro mi, że zepsuliśmy ci urlop.

- Nie ma strachu, taki facet jak ja na prawdziwym urlopie zanudziłby się na śmierć. Nie mogę wyjść z wprawy. Jeśli czegoś zapomnę, zaraz jakiś bandyta mnie wyprowadzi w pole.

Maya ze śmiechem wzięła go pod ramię.

- Jestem Maya, panie Piatowsky.

- Pete - bąknął zachwycony.

W korytarzu czekała Florita z dzieckiem na biodrze.

- Witamy, sehor Piatowsky. - Wzięła wędki w wolną rękę. -

Zaparzyć kawy? A może ma pan ochotę na mrożoną herbatę?

Piatowsky wkroczył do salonu w otoczeniu trzech troskliwych kobiet. Nie wyobrażał sobie, że życie może być takie piękne.

Dan sprawdził wiadomości na sekretarce automatycznej. Były trzy.

Pierwsza od Johannsena. Zawiadamiał ich, że uzyskał nakaz rewizji

w domu Ellie w Santa Monica.

Na chwilę zamknął oczy. Oni nie żartują.

Drugą zostawił prawnik, Marcus Winkler, który wyjaśnił, że Michael Majors polecił mu się z nim skontaktować w sprawie Ellie Parrish Duveen. Podał swój numer w Santa Barbara.

Trzeciej wiadomości właściwie nie było, tylko długa cisza i trzask odkładanej słuchawki. Głowiąc się, kto to mógł być, Dan zadzwonił do Winklera. Opowiedział mu pokrótce ostatnie wydarzenia, zawiadomił o nakazie rewizji i umówił się na spotkanie w kancelarii adwokata, na Anapamu Street, o trzeciej po południu. Potem podzielił się z innymi ponurymi wiadomościami.

- Przeszukują mój dom? - Ellie wpadła w panikę. - Ale czemu?

Przecież chyba nie myślą serio, że... że...

Maya przysunęła się bliżej, złapała ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła, choć w jej głosie dało się słyszeć zwątpienie.

Piatowsky poprawił rzednącą czuprynę.

- To rutynowe posunięcie z ich strony - oznajmił. - Ellie, gliniarz musi sprawdzić każdy trop. Ty jesteś tylko jednym z wielu. - Miał nadzieję, że się nie myli,

172

ale nie widział sensu w dalszym straszaniu biedaczki, skoro i tak trzymała się resztkami sił.

Dan powiedział o Winklerze i jednogłośnie zdecydowali, że na umówione spotkanie pójda wszyscy razem.

- Żeby ci dodać odwagi - wyjaśniła Maya, obejmując Ellie.

Ellie nie mogła pojąć, jak do tego doszło. Zamiast starać się uporać ze smutkiem, musi się martwić o siebie. Odnalazła wzrok Dana.

Uśmiechnął się, pragnąc dodać jej otuchy.

- Głowa do góry, Winklerze wszystko wyjaśni - powiedział. Oby się nie mylił.

Rozdział 47

B

Buck znowu zadzwonił pod numer Dana i znowu włączyła się ta cholerna sekretarka. Z wściekłością cisnął słuchawkę na widełki. Tam, gdzie jest Cassidy, jest i Ellie. Odkręcił drugą butelkę whisky, upił spory łyk. Alkohol płonął w jego żyłach żywym ogniem. Buck buzował energią, pragnął działać. Lecz nie mógł.

Wpatrywał się w ekran telewizora w oczekiwaniu na następny serwis informacyjny. Musi dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Skoro gliniarze przeszukiwali dom Ellie, podejrzewają, że to zrobiła.

Roześmiał się na całe gardło na tę myśl. Co za ironia losu, kochająca wnuczka morderczynią!

No, doczekał się w końcu.

„Policja z Santa Barbara nadal poszukuje mordercy. Charlotte Parrish, jedna ze znamienitych mieszkanek Montecito, zginęła przed dwoma dniami we własnym domu. Z naszych źródeł wiemy, że jej wnuczkę, która znalazła zwłoki, wielokrotnie przesłuchiowano, jednak nie postawiono jej żadnych zarzutów”.

Buck gwałtownie wytrzeźwiał. Odstawił butelkę na stół.

Przesłuchiwali Ellie.... jeśli ją zamkną, nigdy nie będzie jego...

Poszedł do łazienki, rozkręcił zimną wodę i stał pod lodowatym prysznicem, aż odzyskał jasność umysłu. Wylał się, włożył niebieską koszulkę polo od Ral-pha Laurena, drelichowe spodnie i reeboki.

Schował pistolet do brązowej papierowej torby ze sklepu monopolowego, zjechał windą do podziemnego garażu i wsiadł do czarnego BMW. Torba z bronią leżała na tylnym siedzeniu. Jechał Sunset Boulevard na zachód w stronę autostrady.

Musi znaleźć Ellie. Musi ją zobaczyć.

Rozdział48

W:

inkler był wysoki i chudy, miał ciemne kręcone włosy i inteligentne piwne oczy, którymi zmierzył ich badawczo, gdy tylko weszli do jego gabinetu.

Dan dokonał prezentacji. Nie było potrzeby, by referował całą sprawę, niemniej przypomniał najważniejsze punkty. Winkler spojrział Ellie prosto w oczy.

– Czy zamordowała pani własną babkę, Ellie?

Zagryzła wargi i patrzyła na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Nie była w stanie odpowiedzieć.

– Oczywiście, że nie! – Maya zerwała się na równe nogi, bojowa jak kotka broniąca małych. – Jak pan śmie w ogóle zadawać takie pytania? Nie widzi pan, że ona nie jest zdolna do czegoś takiego? – Krążyła po gabinecie, zaplotła ramiona na piersi, wysunęła podbródek do przodu, gotowa walczyć, jeśli będzie trzeba.

– Niech pani zrozumie: jako adwokat musiałem to pytanie zadać mojej klientce. – Winkler nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Osobiście uważam, że Ellie jest niewinna, ale moim zadaniem jest udowodnić to innym.

– Policji – poprawiła Maya. Skinał głową.

– W tej chwili nie mają żadnych dowodów, tylko motyw. Ponieważ

nie otrzymaliśmy jeszcze wyników sekcji, nie wiem dokładnie, w jaki sposób zginęły obie ofiary. Dzwoniłem do koronera. Przekażą nam wyniki dzisiaj późnym popołudniem.

Ellie poczuła wewnętrzny chłód na myśl o Miss Lottie i Marii na zimnych stołach w kostnicy. Błagała opatrzość, by już było po wszystkim, by mogła je pochować jak należy. Może w ten sposób odzyskają utraconą godność.

- Tymczasem mogą panią przesłuchiwać wyłącznie w mojej obecności. Nie mają na panią niczego.

175

- Kiedy mi oddadzą Miss Lottie? - Myślała o pogrzebie.

- Na początku przyszłego tygodnia. Może pani zaplanować ceremonię na, powiedzmy, czwartek. O ile, oczywiście, nic nieoczekiwanego się nie wydarzy. - Znowu spojrzał jej w oczy i dodał: - A do tego nie dojdzie, prawda, Ellie?

Pożegnali się i wyszli.

- Jest niezły. - Dan szanował ludzi, którzy znają się na tym, co robią.

- Bystry, dobrze poinformowany, twardy. - Piatowsky był pod wrażeniem. -Kogoś takiego nam trzeba.

- Lepiej teraz? - Dan uściskał jej dłoń.

Ellie posłała mu blady uśmiech i zwróciła się do Mai:

- Powinnaś wracać do domu. Co z Gregiem? Nie tęskni za tobą? - Nie chciała być nikomu ciężarem.

- Bzdury. Greg może poczekać. Pomogę zorganizować pogrzeb, dopilnuję, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik, tak jak chciałaby tego Miss Lottie. -Maya była bezgranicznie lojalna dla przyjaciół.

Sielankowy wiejski spokój stanowił ukojenie dla ich nerwów.

Wracali do winnicy. Po obu stronach drogi ciągnęły się uprawy winorośli, na turkusowych łąkach pasły się konie, na bezchmurnym błękitnie nieba zastygły w bezruchu dwa jastrzębie.

- Niepokoi mnie ukradzione zdjęcie. - Dan przerwał ciszę i ściągnął ich z powrotem do ponurej rzeczywistości. - Nijak się ma do włamania z użyciem przemocy. Ani z dziełem seryjnego mordercy. Ciągłe zadaję sobie pytanie, po co zabójca miałby je zabierać. I za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku: zrobił to ktoś, kto cię zna, Ellie.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Chcesz powiedzieć, że znam zabójcę?

W głowie Dana rozdzwoniły się ostrzegawcze dzwonki.

- Na miejscu zbrodni mamy cztery zupełnie odmienne rzeczy.

Włamanie, dwa całkowicie różne zabójstwa i zniknięcie fotografii kobiety.

Skreślił i gwałtownie zjechał na bok, żeby uniknąć zderzenia z czarnym BMW, który z dużą szybkością jechał w przeciwną stronę.

- Ty sukinsynu! - Skruszony, odwrócił się do kobiet na tylnym siedzeniu. -Przepraszam.

- Nie szkodzi. Zazwyczaj obrzucam innych kierowców bardziej soczystymi epitetami. - Maya obejrzała się za siebie, ale samochodu już nie było widać. -Najwyraźniej wiejskie widoki nie przemawiają do tego kretyna tak jak do nas. -Popatrzyła na dom na wzgórzu. To miejsce emanowało dobrocią. Dobrze, że Ellie ma Dana i winnicę, może się tu schronić, zanim będzie gotowa zmierzyć się ze światem. Buck wyhamował z piskiem opon, zawrócił i ruszył w tę samą stronę, z której przyjechał.

176

Ford wspinał się na wzgórze, do domu. Buck zwolnił, ale był zbyt daleko, nie widział Ellie. Sfrustrowany, docisnął pedał gazu. Głos w jego myślach odezwał się znowu, namawiał, przekonywał...

Jesteś wszechmocny. Możesz zrobić, co zechcesz, mieć każdą kobietę... masz władzę nad życiem i śmiercią... tylko ty...

Gwałtownie zawrócił. Jechał do Los Angeles.

12 -Wcześniej...

RozcMał49

Z

kuchni dochodziły smakowite zapachy i Ellie pomyślała o swojej restauracji; miała wrażenie, że nie była tam od wielu miesięcy.

Przycupnęła na starej ogrodowej huśtawce. Martwiła się o Chana, Terry'ego, Jake'a i dzieciaka.

- Nic im nie będzie. - Maya jak zwykle czytała w jej myślach. - Dzwoniłam do Chana, rozumieją. Powiedziałam, że po powrocie zajmiesz się wszystkim.

Ellie skinęła głową z wdzięcznością. Słyszała, jak w domu dzwoni telefon. Dan pospieszył do aparatu.

Wrócił po kilku minutach z butelką caberneta. Florita przyniosła na tacy - aluminiowej, w czerwone róże - domową salsę, ciągle ciepłe chipsy i ser.

Piatowsky wiercił się niespokojnie. W zamieszaniu zapomnieli na śmierć o jedzeniu, a on nadal żył czasem nowojorskim. Wziął z rąk Dana kieliszek wina, skosztował. Nie był smakoszem, ale przypadło mu do gustu.

- Dobrze. - Obdarzył ich swoim chłopcym uśmiechem. - Czuję

pieprz i delikatny posmak czarnej porzeczki. Niezłe.

Dan się roześmiał.

- Świetnie. A przy okazji, dzwonił Winkler. Znamy już wyniki sekcji. - Poczul na sobie wzrok Ellie. Wołałby tego nie mówić, jednak musiała poznać szczegóły. Zaczął od lepszej wiadomości. - Nie doszło do gwałtu. Maria zginęła od strzałów w klatkę piersiową i żołądek, z odległości około trzech metrów. Miss Lottie uduszono gołymi rękami, z wielką siłą. Miała złamany kark. - Ból w oczach Ellie nie uszedł jego uwagi. - Umarła bardzo szybko, jeśli to stanowi jakąś pociechę.

Skinęła głową, niezdolna nic mówić.

- Wiadomo już, z jakiej broni strzelał? - Piatowsky napił się wina.

- Tak. Z automatycznego glocka kalibru 27.

Piatowsky sięgnął po chipsa, umoczył go w pomidorowej salsie i skrzywił się, gdy ugryzł kawałek ostrej papryczki.

178

-Co dalej?

Dan bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Winkler twierdzi, że nie mają żadnych dowodów. Nie znamy wyników badań DNA, więc na razie nie mają niczego oprócz podejrzeń. A obaj wiemy, że to nie wystarczy, żeby zamknąć sprawę.

- Czy to oznacza, że możemy znowu żyć normalnie? - Ellie nie doceniała rutyny codzienności, dopóki jej nie utraciła.

- Jak najbardziej.

Miała wrażenie, że zdjęto jej pleców wielki ciężar. Napiła się wina.

- Zbyt dobre, żeby pochodziło z twojej winnicy, Cassidy - rzuciła z cieniem dawnego uśmiechu.

- Poczekaj rok, jeszcze zobaczysz. Moja winnica będzie w pełni rozkwitu. Kiedy z uśmiechem patrzyli sobie w oczy, Piatowsky doszedł do wniosku, że

ten urlop chyba jednak nie będzie taki zły.

Rozdział 50

J:

ohannsen i Mullins siedzieli w nie oznaczonym fordzie ' victoria, na podjeździe Journey's End. Znad gór nadciągały ołowiane chmury, o przednią szybę bębniły pierwsze krople deszczu. W smugach wody uwijali się policjanci z wilczurami na smyczy. Psy szukały pistoletu, noża, jakiegokolwiek śladu, który zostawił zabójca.

Nad ogrodem zaśniła błyskawica, powietrzem wstrząsnął grzmot tak potężny, jakby bóg Thor osobiście walczył z niebieskimi

potworami. Ulewa zatrze wszelkie tropy, na które mogłyby wpaść psy, i wszelkie inne ślady, pomyślał ponuro Johannsen. Jak na razie chłopcy niczego nie znaleźli. Teraz pędzili do domu, by ochronić się przed deszczem. Cholera. Ta sprawa zapowiadała się tak łatwo.

Dlaczego ciągle stoją w miejscu?

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Johannsen.

– Dzień dobry. Tu detektyw Pete Piatowsky z nowojorskiej policji.

– W czym mogę panu pomóc?

Piatowsky usłyszał znużenie w jego głosie. Aż za dobrze znał to uczucie.

– Mój departament kontaktował się już z wami w związku z prostytutką zamordowaną na Times Square. Zabójstwo miało bardzo podobny przebieg do niedawnej zbrodni w Montecito. Uduszenie gołymi rękami i okaleczenie zwłok.

– Bardzo charakterystyczne okaleczenie. – Johannsen rozmawiał już na ten temat i z policją nowojorską, i z Los Angeles, i z FBI.

Wszyscy patrzyli mu na ręce. Niepotrzebnie sobie zawracają głowę. Był przekonany, że zna sprawców.

– Jestem obecnie w Santa Barbara. Chciałbym się z panem spotkać, omówić podobieństwa w obu zabójstwach.

Johannsen już je omawiał nieskończenie wiele razy. Westchnął głośno.

– Będę w biurze w południe.

– A więc do zobaczenia.

180

Piatowsky uśmiechnął się szeroko i zadzwonił na ich posterunek w Nowym Jorku.

– Tak, Georgie, tu Piatowsky. Niedługo mam spotkanie z detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie morderstw w Montecito, dowiem się, czy ma to coś wspólnego z naszą prostytutką i dziewczyną z Los Angeles. Tak, dam ci znać, kiedy się czegoś dowiem. Nie, moim zdaniem tutejsze gliny nie wierzą, że to ten sam facet, ale wkrótce się o tym przekonają... – Słuchał uważnie. – Tak, to pracowite wakacje... cóż, takie życie. Dobrze, przekażę Cassidy'emu pozdrowienia. – Wyjrzał przez okno, na chmury zasnuwające całe niebo. – Wiesz co? Cholera, tu leje.

Usłyszał chóralny rechot w słuchawce. Skończył rozmowę i stwierdził z pretensją w głosie:

– Dan, myślałem, że w południowej Kalifornii nigdy nie pada.

- Nasłuchałeś się za dużo Beach Boysów. Więc idziemy do Johannsena?

- Ja idę do Johannsena. Ty jesteś cywilem, Cassidy, na dodatek podejrzanym. - Przerwał mu dzwonek telefonu. Odebrał szybko. - Tak - rzucił zdziwiony.

Dan czekał, aż mu powie, kto dzwoni, ale Piatowsky nerwowo przechadzał się po pokoju. Przytrzymał słuchawkę ramieniem.

- Tak - powtórzył. - Żartujesz. Dobra, dzięki. Skończył rozmowę.

- No i...? - Dan nie ukrywał ciekawości.

- Zamordowano kolejną kobietę. W Los Angeles. prostytutkę. Udużono ją gołymi rękami i okaleczono ciało. Zwłoki znaleziono w kanale w Venice Beach.

- Więc to dowodzi niewinności mojej i Ellie. Tym razem mamy niepodważalne alibi.

- Tak. - Piatowsky skinął głową, ale wcale nie był przekonany. - O ile to ten sam zabójca.

- Myślisz, że mamy następnego naśladowcę? - Nie było to nic niezwykłego w przypadku wyjątkowo brutalnych morderstw, które trafiały na pierwsze strony gazet.

Piatowsky wsunął ręce w starą skórzaną kurtkę, której wcale nie zamierzał nosić w słonecznej Kalifornii.

- Rusz się, stary. Idę na spotkanie z twoim przeznaczeniem.

Johannsen siedział za biurkiem. Zsunął okulary na czubek nosa i studiował wiadomość o nowym morderstwie. Tak go zastał Piatowsky.

Podniósł wzrok, szacował przybysza wzrokiem, tak samo jak tamten oceniał jego. Spodziewał się, że Piatowsky uzna go za gliniarza z małego miasteczka - Santa Barbara liczy zaledwie dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, i będzie patrzył na niego z góry, wszystkowiedzący, doświadczony weteran policji nowojorskiej. Cóż, jeśli tak pomyśli, jest w błędzie. Johannsen zasmakował wielkiego miasta.

Kółka starego fotela obrotowego zaskrzypiały głośno, gdy się odsunął od biurka, wstał i podał gościowi rękę.

181

- Niech pan siada, Piatowsky - Wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. - Napije się pan kawy?

Kobieta w mundurze czekała przy drzwiach na odpowiedź.

- Nie, dzięki. - Piatowsky od rana wlał w siebie tyle kofeiny, że postawiłaby na nogi zmarłego. Poza tym domowa kawa Flority była na głowę policyjną lurę. Czuł wrogość emanującą z biurka.

Uśmiechnął się szeroko. Nie miał do Johannsena pretensji; nikt nie lubi, kiedy inni gliniarze wtrącają się do śledztwa.

- Podobno miało miejsce kolejne zabójstwo? - Wyjął lucky strike'a z pogniecionej paczki, zapalił. To jego pierwszy papieros odkąd przyleciał do Kalifornii, a zazwyczaj palił półtorej paczki dziennie. W atmosferze komisariatu było coś, co budziło w nim głód nikotyny. Zakrztusił się dymem.

Johannsen podsunął mu popielniczkę i czytał na głos:

- prostytutka, biała, blondynka, metr sześćdziesiąt sześć wzrostu, nazwisko Rita Lambert. Pracowała w klubach i spelunach w pobliżu Hollywood Boulevard. Ciało znaleziono w Venice Beach, o wpół do szóstej rano. Natknął się na nie facet uprawiający jogging. Uderzono ją w głowę, uduszono i okaleczono.

- Tak samo jak Charlotte Parrish? Skinął głową.

- Ale nie jak Marię Novales. - Piatowsky pytająco uniósł brwi, więc Johannsen wyjaśnił: - Gosposia. Zastrzelono ją i nie okaleczono.

- Ma pan jakąś teorię?

- Moim zdaniem okaleczenie pani Parrish miało na celu odwrócenie uwagi śledztwa od właściwych sprawców, czy też sprawcy.

Mieliśmy uwierzyć, że to działanie seryjnego mordercy. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Nie wierzę, żeby to zrobił ten sam człowiek.

- Nadal pan przypuszcza, że Ellie Parrish Duveen może mieć z tym coś wspólnego?

- Tak. Prawdopodobnie nie działała sama. Niestety, na razie nie mamy przeciwko niej żadnych dowodów. Rewizja w jej domu niczego nie ujawniła. Wiemy, że czarne włókna na miejscu zbrodni to wełna, prawdopodobnie ze swetra albo kominiarki. Szukamy dalej. Strzelano z automatycznego glocka kalibru 27. - Zawahał się. Było jeszcze coś, o czym nie miał ochoty mówić. Ten dowód albo dowiedzie jego teorii, albo rozbije ją w drobny mak. Postanowił nie wspominać o tym gliniarzowi z Nowego Jorku. Rozłożył ręce w bezradnym geście. - To wszystko.

- Dziękuję za współpracę. - Piatowsky wstał. Ponownie uściśnił sobie dłonie.

- Proszę mi zostawić swój telefon - zaproponował Johannsen.

Uśmiechał się. - Żebym mógł się z panem skontaktować, jeśli coś będzie wiadomo. Gdzie się pan zatrzymał? - Chciał mu polecić pewien przytulny motel, podtrzymać przyjazną atmosferę współpracy.

- Nie mówiłem panu? - Piatowsky przejechał dłonią po resztkach

jasnych włosów. - Mieszkam w winnicy Running Horse, u Dana Cassidy'ego. To mój stary kumpel. Przez pięć lat byliśmy partnerami, razem pracowaliśmy na ulicy.

Uśmiechnął się swoim najpiękniejszym chłopięcym uśmiechem, ale Johannsen był ponury jak chmura gradowa. Po jego uśmiechu nie został najmniejszy ślad.

Rozdział 51

E

Ellie rozmawiała przez telefon, starała się na nowo ułożyć swoje życie. Michael Majors tłumaczył jej, że jeśli nie liczyć hojnego zapisu na rzecz Marii – który, rzecz jasna, utracił ważność – jest jedyną dziedziczką całej posiadłości.

– Serdecznie pani radzę, proszę natychmiast wystawić posiadłość na sprzedaż. Proszę zabrać stamtąd meble, pamiątki, które chce pani zatrzymać, lecz proszę pamiętać, że antyki osiągają obecnie zawrotne ceny. Dom, co prawda, jest niekształtny i... – chciał powiedzieć „skalany”, ale ugryzł się w język – ...ale teren ma dużą wartość i na pewno bez trudu znajdziemy kupca, zwłaszcza że, jak pani wiadomo, w Montecito trudno o działki, szczególnie o takim dobrym położeniu.

– Nie mogę. Jeszcze nie. – Upłynęło zbyt mało czasu, by mogła się rozstać ze wspomnieniami, z przeszłością.

– Rozumiem, niemniej proszę to przemyśleć, Ellie. I proszę dać mi znać, gdy tylko podejmie pani decyzję. Zajmę się wszystkim.

Ellie odłożyła słuchawkę. Wszyscy się czymś zajmują, za nią. Musi wziąć się w garść. „Zakasać rękawy”, jak by powiedziała babka. Zawsze umiała się o wszystko zatroszczyć. Teraz czas zająć się własnym życiem.

Dan zorganizował pogrzeb i załatwił transport doczesnych szczątków Marii do Guadalajary, gdy tylko koroner wyda im ciała. Pogrzeb Miss Lottie był dopięty na ostatni guzik, musieli tylko wyznaczyć konkretny termin. Nie miała nic do roboty, tylko siedzieć spokojnie i czekać, czy ją aresztują pod zarzutem zamordowania własnej babki. Gdyby nie było to tak tragiczne, roześmiałyby się w głos.

Maya schodziła ze schodów z torbą w ręku, gdy zobaczyła Ellie przy telefonie. Przyjaciółka wpatrywała się w słuchawkę takim wzrokiem, jakby widziała ją po raz pierwszy. Maya zaniepokoiła się, czy aby na pewno może ją teraz zostawić, ale była umówiona na rozmowę z producentem filmowym, któremu przypadł do gustu jej ostatni pomysł.

- Co się stało? - pokonała hol kilkoma susami, cisnęła torbę na podłogę. - Adwokat babci właśnie mi powiedział, że odziedziczyłam Journey's End,

i radził od razu wystawić posiadłość na sprzedaż.

- Teraz nie możesz tego zrobić. - Mai nie trzeba było niczego tłumaczyć. Znowu zadzwonił telefon. Ellie podniosła słuchawkę.

- Winnica Running Horse. - Odpowiedziała jej cisza. - Halo? Tu winnica Running Horse. - Dalej żadnej odpowiedzi, a jednak wiedziała, że ktoś jej słucha. Cisnęła słuchawkę na widełki.

- Kto to?

- Nie wiem. - Ellie się wzdrygnęła.

Telefon rozdzwonił się ponownie. Tym razem odebrała Maya.

- Kto tam, do jasnej cholery? - warknęła i zarumieniła się po uszy. - Och, przepraszam, myślałam, że to ktoś inny. Tak, jest. - Podała słuchawkę Ellie.

Ellie zrobiło się zimno, gdy rozpoznała głos Johannsena.

- Tak, panie Johannsen. Tak, dziękuję, że mnie pan zawiadomił. Milczała przez chwilę, słuchała uważnie. Brwi Mai zdawały się dotykać jasnej grzywki.

- Rozmiar buta? Tak, dziesiątka. Owszem, duże jak na kobietę, od dziecka była to zмога mojego życia. - Ellie znowu słuchała uważnie.

- Reeboki walkery DMX? Tak, mam takie buty. Białe z niebieskim paskiem. Nie, nie mają elementów odblaskowych.

Milczała, a Maya skręcała się z niecierpliwości. O co im chodzi z tymi butami?

- Dziękuję, panie Johannsen. Tak, poproszę, żeby się z panem skontaktował zaraz po powrocie. - Odłożyła słuchawkę.

Maya przestępowała z nogi na nogę. - No?

- Koroner pozwolił zabrać ciała Miss Lottie i Marii. Nie ma przeszkód, żeby pogrzeb odbył się w czwartek. - W jej głosie dało się słyszeć nutę zrezy-gnowania.

- Przykro mi, kochanie, ale tak będzie lepiej. - Maya przytuliła ją serdecznie. Miss Lottie i Maria odnajdą spokój.

Ellie wiedziała, że przyjaciółka ma rację, chciałyby tylko odczuwać cokolwiek. Ulgę, cierpienie, rozpacz, cokolwiek. Bo nie odczuwała niczego. Równie dobrze mogłaby nie żyć.

- A o co chodziło z reebokami? Wróciła do rzeczywistości.

- Na balkonie znaleźli odcisk reeboka walkera... z krwi i błota.

Chcieli wiedzieć, jaki mam numer buta.

- Myślą, że stałaś sobie na balkonie, po tym, jak zadusiłaś własną

babkę? Ha! - Tym okrzykiem Maya dała wyraz swej pogardzie dla rozumowania policji.

- Ktoś tam był - powiedział cicho Ellie. - Widziałam jego stopę. Widziałam czarny but z odblaskowym paskiem.

- Znają rozmiar?

184

Wzruszyła ramionami.

- Nawet jeśli, nie powiedzieli.

- To bzdura. - Maya zarzuciła sobie torbę na ramię. - Na mnie czas, Eli. Wrócę jutro rano.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - Ellie nie chciała jej wypuścić z objęć. To straszne, zauważyła Maya, jak bardzo jeden barbarzyński akt mógł skrzywdzić taką silną, twardą kobietę.

- Doskonale sobie radzisz, Ellie, naprawdę. Po pogrzebie poczujesz się dużo lepiej. Niedługo złapią zabójcę i wszystko się skończy.

Zobaczysz, ledwie się obejrzysz, a zapomnisz o całej sprawie.

Ellie wyszła na werandę, żeby jej pomachać na pożegnanie.

Wyobraziła sobie, że będzie dokładnie tak, jak mówiła przyjaciółka.

Policja znajdzie mordercę i wsadzi go do więzienia. Jej życie wróci do normy. Po pogrzebie.

Rozdział 52.

z

apadł zmrok, burza skończyła się równie niespodziewanie, jak się zjawiała. Zachodzące słońce lśniło w kroplach na trawie, wzgórze parowało jak wulkan tuż przed wybuchem. Ellie i Pia-towsky siedzieli nad zarośniętym stawem za domem, słuchali śpiewu ptaków ukrytych w gałęziach rozłożystej wierzby.

- Naprawdę są tu jakieś ryby? - Pia-towsky zwinął żyłkę i uważnie obejrzał nietkniętą przynętę.

- Podobno karpie.

- Ktoś kiedyś widział chociaż jednego? - Łypnął na nią podejrzliwie, aż się roześmiała. Cała jej twarz pojaśniała i nagle dostrzegł jej piękno. Nie chodziło tylko o regularne rysy i nieskazitelną cerę, choć w jej wypadku jedno i drugie było w porządku, bo piegi tylko dodawały uroku. Chodziło o coś wewnątrz niej. Widział to w jej oczach, jej uśmiechu, w miękkości jej głosu. Kiedy się uśmiechała, jaśniała jak halogen.

- Ja nie - przyznała się. - Ale Dan się zaklina na wszystkie świętości.

- Ha! - Zachnął się. - Powinnaś robić to częściej. Spojrzała na niego pytająco.

– Uśmiechać się. Wzięła go za rękę.

– Zepsułam ci wakacje, prawda?

Wstał i ponownie zarzucił wędkę, po czym usiadł na nagrzanym trawie. – Nic nie zepsuje uroku tego miejsca na ziemi. Mój były partner znalazł sobie raj, tu, w Kalifornii.

– Czasami też tak myślę. – Oplotła rękami kolana, oparła na nich brodę i zapatrzyła się na nieruchomy spławik. – Ale zaraz sobie przypominam, że jestem dziewczyną z miasta, że mam własny lokal, pracowników... klientów... muszę tam wrócić. Po pogrzebie.

Miss Lottie i Maria spoczną w grobach tego samego dnia, choć w różnych krajach. Za pośrednictwem Majora Ellie przesłała rodzinie Marii czek, który aż

186

nadto wystarczy na wspianą mszę i marmurowy nagrobek z aniołem, żeby jej strzegł przez wieczność. Po sprzedaży posiadłości prześle sumę, którą Miss Lot-tie zapisała Marii, jej rodzeństwu w Meksyku. Wskazała ciemną powierzchnię stawu.

– Spławik się rusza...

Piatowsky zerwał się na równe nogi, ostrożnie ściągnął wędkę. Z niesmakiem patrzył na stary but smętnie kołyszący się na haczyku.

– To tyle, jeśli chodzi o zabawę w Hucka Finna.

– Dobrze, że to nie reebok walker, rozmiar dwunasty. – Dan przycupnął koło Ellie i musnął ustami jej policzek.

– Co masz na myśli? – Piatowsky zamienił się w słuch.

– Johannsen nie puszczał pary z ust, dopóki nie poznał rozmiaru. Nasz facet z balkonu nosi dwunastkę, a to wyklucza Ellie i mnie. Jednocześnie dowodzi, że ktoś tam naprawdę był.

– Więc Johannsen musi sobie znaleźć nowych podejrzanych? –

Piatowsky uśmiechnął się zadowolony. – Mówiłem mu, że jest na fałszywym tropie, ale wiecie, jak to jest z glinami. – Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Wariatów nie przekonasz”.

– Lepiej? – Z twarzy Ellie Dan wyczytał, że przynajmniej jeden głąz spadł z serca.

Przez chwilę zastanawiała się, co by bez niego zrobiła, ale zaraz odepchnęła od siebie to pytanie. Zakasałam rękawy, babciu, powiedziała bez słów. Dam sobie radę. Musi działać, musi odnieść sukces, żeby Miss Lottie była z niej dumna. Dopiero wtedy będzie mogła być dumna z siebie. Teraz liczy się tylko praca.

Uścisnęła dłoń Dana. To prawdziwy przyjaciel.

– O wiele lepiej.

Ucieszył się, bo z jej głosu wywnioskował, że odzyskała część dawnego animuszu. I był spokojny, bo Johannsen przestał ją podejrzewać. Wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec.

Rozdział 53

B

Był to jeden z tych dni, z których słynie Kalifornia: słoneczny, bezchmurny, ciepły. Lekki wietrzyk marszczył gładką powierzchnię oceanu, słońce barwiło ją złotem. Góry dookoła Santa Barbara ustroiły się w najpiękniejszy odcień zieleni, po przeciwnej stronie zatoki wyspy lśniły różowo. Z wysokiego wzgórza, na którym znajdował się cementarz, widniejące w oddali platformy wiertnicze przypominały hiszpańskie armady, szykujące się do ponownego podboju Kalifornii. Miss Lottie osobiście wybrałaby właśnie taki dzień na swój pogrzeb.

„Żadnych głupich łez i posępnego deszczu! – Ellie zdawało się, że słyszy jej głos. – Niech grają same podnoszące na duchu hymny, a po nabożeństwie szampana dla wszystkich”.

Podczas gdy w ślad za karawanem przemierzała czarną limuzyną ulice Santa Barbara, powróciła wspomnieniami do innego pogrzebu, jedyne, w którym uczestniczyła. Pamiętała, jakby to było wczoraj, że z Miss Lottie siedziała w takiej samej limuzynie i towarzyszyła rodzicom w ich ostatniej podróży.

Miss Lottie ustroiła ją wówczas w białą organdyńską sukienkę i czarne trzewiki, jakby szła na przyjęcie, i dlatego dzisiaj zdecydowała się właśnie na te kolory. Włożyła długą tunikę bez rękawów, z białego lnu, bo babcia zawsze lubiła, kiedy ją wkładała. Od Mai pożyczyła kapelusz z czarnej słomki z szerokim rondem. Ozdobiła go rozwiniętą białą różą zatknietą za wstążkę. Miała czarne zamszowe pantofle i torebkę. Jak zwykle, ledwie musnęła twarz makijażem. Smutne oczy nikły za ciemnymi szklami dużych okularów. Prawdopodobnie dzięki temu wyglądała jak rodowita mieszkanka Los Angeles, ale co z tego? Dziś pożegna babcię w towarzystwie przyjaciół i znajomych, ale z prawdziwą rozpaczą i z poczuciem winy musi się uporać w samotności.

Poczuła na ramieniu ciepłą dłoń Dana. Podniosła na niego wzrok. Skinęła głową, zadowolona, że jest u jej boku, wdzięczna losowi, że się spotkali. Nie wiadomo kiedy stał się jej równie bliski jak Maya.

188

Przyjaciółka starała się dodać jej otuchy pogodnym uśmiechem. Sukienka z czarnego jedwabiu podkreślała zalety jej wspaniałej figury. Obok siedział Pia-towsky w czarnej marynarce i krawacie

Dana. Dan zaś wyglądał bardzo elegancko w granatowym garniturze.

Dan wiedział, że na pogrzebie będzie Johannsen i że całą ceremonię policja zarejestruje na taśmie wideo. Nierzadko zdarzało się, że morderca przychodził na pogrzeb ofiary. Prawdopodobnie napełniało go to poczuciem makabrycznego tryumfu. Dan miał oczy i uszy otwarte, podobnie jak Piatowsky.

– Jest coś takiego jak zapach mordercy – stwierdził przyjaciel nie dalej jak tego ranka. – Coś, co ci mówi: uważaj, ten gość jest dziwny. Jeśli przyjdzie, wyczujemy go.

W eskorcie policyjnych motocykli, które powstrzymywały ruch uliczny, karawan, limuzyna i dziesiątki wozów z żałobnikami przemierzały ulice Santa Barbara. Ellie nie mogła się powstrzymać od refleksji, jak bardzo Miss Lottie przypadłoby do gustu całe to zamieszanie z jej powodu, w taki słoneczny dzień, gdy w oddali błyszczą ocean.

Niemal odetchnęła z ulgą, kiedy nad trumną, obsypaną białymi różami, pochylił się wielebny Allan, który znał jej babkę od ponad czterdziestu lat. Miss Lottie w końcu znalazła się wśród przyjaciół. Żałobnicy przyszli tłumnie. Można by sądzić, że w pogrzebie uczestniczy całe miasto. Wielu było rówieśnikami Miss Lottie; ich siwe włosy i zgarbione plecy budziły odruch współczucia i opiekuńczości. Ellie pamiętała ich z przyjęć babki i wizyt w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, który w Journey's End zawsze był dniem otwartym; pamiętała, jak grali w tenisa, pływali w basenie, dużo młodsi i pogodniejsi.

„Wszystkim nam się powiodło – usłyszała znowu słowa Miss Lottie. – Nie ma czego żałować. Czas ustąpić miejsca młodym”.

Nie brakowało nikogo: był burmistrz, radni, szeryf, wszyscy znamienici mieszkańcy Montecito, którzy znali starszą panią od lat. Zjawił się dyrektor hotelu Bilt-more, wielu kelnerów, i mechanik, który dbał o jej cadillaca, odkąd go kupiła w 1972 roku.

Byli Chan i Terry, nawet dzieciak przyszedł okazać szacunek.

Widziała Mi-chaela Majorsa z żoną, Harrisona Thackraya, księgowego, i dyrektora banku. I detektywa Johannsena.

Johannsen, w ciemnym garniturze i stonowanym krawacie, uważnie obserwował żałobników. Po cmentarzu nie kręciły się żadne podejrzanе indywidua. Przyszli jedynie poważni obywatele, cieszący się powszechnym szacunkiem. On jednak jak każdy policjant wiedział, że najczęściej morderca wygląda jak najzwyklejszy śmiertelnik. Poza tym on ciągle wierzył, że wie doskonale, kim są

zabójcy.

Nie mógł zapomnieć o napisie na monitorze: DUVEEEE...

Staruszka starała się im coś przekazać, to jasne. Kogóż innego mogłaby mieć na myśli, jeśli nie Ellie?

Buck zatrzymał wzrok na Ellie. Była taka wdzięczna w białej sukience, z kokiem rudych włosów pod kapeluszem. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo ryzykuje,

189

przychodząc na pogrzeb, ale odczuwał nieodpartą pokusę, by to zrobić. Był czujny. Chełpił się, że zwietrzy gliniarza na pięćdziesiąt kroków. Więzień to więzień, nieważne, czy siedział w Alcatraz, czy w Hudson. Od razu rozpoznał w mężczyznach w ciemnych garniturach, którzy bacznie lustrowali tłum żałobników, policjantów w cywilu. Czuł się bezpiecznie, bo niczym się nie wyróżniał.

Wyglądał zupełnie jak oni, bogaci bankierzy, prawnicy i biznesmeni. Był jednym z nich.

Niemniej poczuł pieczenie w żołądku, gdy zobaczył Dana Cassidy'ego u boku Ellie przy grobie. Jakby do niego należała.

Kiedy Miss Lottie podążała na ramionach żałobników na miejsce ostatniego spoczynku, Dan pomyślał, że trudno o pięknie położoną mogiłę: soczyście zielona trawa, kwiaty, lekka bryza i sąsiedztwo innych mieszkańców Santa Barbara, którzy odeszli przed nią, najdawniejsi w minionym stuleciu. W śmierci jest ciągłość, pomyślał, jeśli ktoś ma dosyć odwagi, by to dostrzec. Jako policjant widział najgorsze: przemoc, rozpacz i koszmar, tak jak w przypadku Miss Lottie. Bardzo trudno zaakceptować taką śmierć. Dostrzegł oko kamery skierowane na Ellie. Miał nadzieję, że nie jest tego świadoma. Pogrzeb Miss Lottie stał się sprawą publiczną.

Oparł dłoń na ramieniu Ellie, gdy duchowny zaczął:

– Drodzy wierni, zebraliśmy się tu, aby towarzyszyć w ostatniej drodze wielkiej damie, Charlotte Amelii Stamford Parrish, którą wszyscy znaliśmy jako Miss Lottie.

Ellie miała wrażenie, że się cofa w czasie. Pogrzeb rodziców... taki sam kobierzec białych róż, ci sami żałobnicy, ten sam piękny, spokojny cmentarz z widokiem na ocean, ten sam daleki szum fal.

– Módlmy się, aby pan dał siłę jej ukochanej wnuczce, Ellie – prosił kapłan. Piatowsky przyglądał się ciekawskim przechodniom:

biegaczom w drodze

na plażę, ludziom z psami na smyczy, zwykłym obywatelom, którzy wyszli na spacer. Każdy może się okazać mordercą.

Zebrani śpiewali. Buck znał każdy hymn na pamięć, nie na darmo

spędził każdą niedzielę swego życia w kościele, dopóki nie uznał, że ma dosyć takiego życia i matki. Z odpowiednio smutną miną słuchał, jak pastor intonuje psalm.

Psalm 23 zawsze wzruszał Ellie do łez. Miss Lottie nauczyła ją go na pamięć, gdy jako mała dziewczynka zjawiała pacierz, klęcząc przy łóżeczku. Nie zapomniała, jak wierzyła, że Pan jest jej pasterzem, że widzi ją wśród swej licznej trzody, i opiekuje się nią osobiście.

„...Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć... orzeźwia moją duszę” ... Czyjej duszę kiedykolwiek coś orzeźwi?

Muzyka Haendla była łagodna, uduchowiona. Wielebny Allan nakreślił znak krzyża nad trumną.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

Buck wiedział, co to umiar, i nie posunął się do uronienia fałszywej łezki, jednak z trudem opanował tryumfalny śmiech, gdy ksiądz wypowiedział słowa, na które tak długo czekał. Miał ochotę tańczyć i wiwatować. W końcu! Żegnaj, Miss Lottie. Najwyższy czas.

190

Ellie czuła obok siebie silne ramię Dana; wiedziała, że może na nim polegać. Przez chwilę panowała zupełna cisza, tylko ocean szumiał cicho. Podniosła głowę, wyprostowała plecy, jak zawsze ją pouczała Miss Lottie, wzięła Dana pod ramię i odeszła.

Miss Lottie była znana z udanych przyjęć. To ostatnie, w jej ulubionym hotelu Biltmore, potwierdzało tę opinię. Jak zwykle doskonale przeszkolony personel baczył na najmniejszy drobiazg. Hotel żegnał się z najwierniejszą, najmiłszą klientką, i robił to z wielką klasą. Kwartet smyczkowy grał jej ulubione utwory z musicali, poczynając od kawałków z „Roberty” z lat trzydziestych, poprzez lata czterdzieste i „Oklahomę”, aż po lata osiemdziesiąte i „Evitę”. Serwowano szampana, ma się rozumieć – Veuve Cliquot, bo Miss Lottie zawsze bawiła myśl, że wdowa pije dzieło innej wdowy, Wdowy Cliquot. Kelnerzy roznosili miniaturowe kanapeczki z ogórkiem i łososiem, które tak bardzo jej smakowały podczas poniedziałkowych herbatek, ciasteczka, śmietankę, świeże konfitury i słynne ciasto czekoladowe. Przecież, poza wszystkim, wybiła czwarta i w hotelu Biltmore był czas na herbatkę.

Pod łukiem z białych róż Ellie, w towarzystwie Mai i Dana, przyjmowała kondolencje.

– To bardziej przypomina przyjęcie weselne niż stypę. – Maya rozglądała się zdenerwowana.

Ellie uśmiechnęła się uspokajająco.

– Właśnie tego by chciała. Herbatka w Biltmore po raz ostatni.

– Taka tragedia, taka tragedia, moja droga... – wiekowa dama, przyjaciółka babci, serdecznie uściśnęła jej dłoń. Cała społeczność słyszała o morderstwie. Zbrodnia wstrząsnęła całym Mon-tecito. W takim spokojnym, dystyngowanym miasteczku podobne rzeczy nie miały miejsca.

– To koniec pewnej ery – powiedział ktoś cicho. – Teraz już nic nie będzie takie jak przedtem.

Buck wahał się, czy iść na stypę. Zdawał sobie sprawę z ogromu ryzyka, lecz jego wewnętrzny głos nie dawał za wygraną. Czemu, do licha, miałbyś tam nie iść? Gdyby nie ty, nie byłoby żadnej stypy. Buck uśmiechnął się do tej myśli, wsiadł do samochodu i podjechał przed Biltmore. Fakt, ci wszyscy ludzie zebrali się tu przez niego. Wziął kieliszek szampana z tacy kelnera, który akurat przechodził obok. Kroczył statecznie przez trawnik, uśmiechał się i kiwał głową do ludzi, których nie znał, a którzy byli przekonani, że znajajego. Czasami stawał, żeby zamienić kilka słów ze starszymi, którym się wydawało, że go zapomnieli, lecz dawniej znali: inaczej przecież nie rozmawiałby z nimi? Upajał się swoim sprytem i przebiegłością. Jednym haustem opróżnił następny kieliszek szampana, bo zobaczył Ellie i Cassidy'ego pod różanym łukiem. Wyglądali zupełnie jak młoda para.

Podszedł do bufetu po kanapki z ogórkiem i łososiem. Zbliżył się, a ona nawet nie patrzyła w jego stronę. Był niewidzialny.

191

Myślał, że z wściekłości serce wyskoczy mu z piersi. Ból nie pozwalał oddychać. Ostrożnie odstawił talerzyk, zaczerpnął tchu i oddalił się od tłumu, do baru. Dwa burbony później poczuł się o niebo lepiej. Żalobni goście powoli się rozjeżdżali. Wsiadł do samochodu i czekał na poboczu.

Ellie podziękowała dyrektorowi i personelowi, pożegnała się i wsiadła do limuzyny. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła wrócić do tego hotelu.

Kierowca postanowił nie wracać koło cmentarza, tylko przejechać Coast Village Road. Ellie odwróciła głowę, gdy mijali Hot Springs Road. To naprawdę koniec pewnej ery.

Czarna limuzyna przemknęła obok, lecz tym razem Buck za nianie pojechał, choć uwoziła jego Ellie. To bez sensu. Ma związane ręce, dopóki przebywa z Cassidyem w winnicy. Musi to przeczekać, aż zakończy się faza czwarta jego planu. Wcześniej czy później Ellie będzie jego.

Rozdział 54

E

llie zmęczonym gestem rzuciła czarny kapelusz na ławę w korytarzu. Florita wybiegła z kuchni. Złapała ją za ręce i troskliwie zajrzała w oczy.

- Wszystko dobrze?

- Tak, Florito, dziękuję, wszystko dobrze.

Meksykanka gwałtownie zarzuciła jej ramiona na szyję i przytuliła bardzo mocno.

- Ay, Madre de Dios. - Wypuściwszy Ellie z objęć, przeżegnała się i zmówiła krótką modlitwę. - Teraz będzie lepiej, seniorita Ellie.

Zobaczy pani, lepiej, że już po wszystkim.

Ellie odnalazła wzrok Piatowsky'ego.

- Czy widziałeś kogoś, kto wyglądał jak morderca?

- Rzucił mi się w oczy jedynie Johannsen, czał się jak czarny charakter.

- Po prostu wypełniał swoje obowiązki. - Dan wszedł wraz z Mayą.

- Zarejestrował ceremonię na wideo. Później ktoś nam podrzuci taśmę. Prosi, żeby Ellie ją obejrzała, może zauważy kogoś dziwnego, nieznanego albo kogoś, z kim babka mogła mieć na pieńku dawno temu. - Widząc jej przerażenie, dodał szybko: - Nie musisz tego robić dzisiaj, jeśli nie chcesz.

- Chcę. - Wzięła się w garść. Najbardziej chciała, żeby to wszystko dobiegło końca, ale Johannsen nie dawał za wygraną.

Wkrótce we czwórkę siedzieli przy stole, a Florita wносиła parujące talerze z arroz conpollo, sałatę i domowe tortille z salsa verde. Malec raczkował za nią. Z trudem wdrapał się na krzesło Ellie.

- Ay, Carlosito, no! - Porwała go na ręce, ale Ellie wyciągnęła ramiona.

- Chodź do mnie, Carlosito, opowiesz, jaki miałeś dzień. -

Zadowolony wiercił się jej na kolanach, szarpał za rude loki i przyglądał twarzom zebranych. - Na pewno lepszy niż my, idę o zakład - szepnęła w jego ciemne włoski.

13-Wcześniej...

193

- Ma włosy po ojcu - oznajmiła dumnie Florita.

Nie tylko włosy; przede wszystkim zabójczy wdzięk, dokończyła w myślach Ellie.

- Cóż, przynajmniej mamy to za sobą. - Maya połaskotała małego w policzek. - Teraz powinnaś odpocząć. Może we dwie wybrałybyśmy się na urlop? Na Hawaje albo Bermudy? Gdzieś w tropiki, na białą

miękki piasek i turkusowe morze?

Chłopczyk wyciągał rączki do matki. Gdy Ellie podawała go Floricie, Dan z rozmarzeniem patrzył na ten obrazek: Ellie, dziecko, wspólny posiłek, domowe ognisko. Kicz nad kicze.

- Muszę wracać do pracy. - Starła się nadać swemu głosowi energiczne, rzeczowe brzmienie, lecz Maya nie dała się oszukać. Ellie zawsze zadzierała głowę, czy to po zawodzie miłosnym, czy po utracie najbliższej krewnej.

- Więc na jakiś czas wprowadzę się do ciebie.

- Dzięki, ale muszę sama stanąć na nogi, bo inaczej... - nie dokończyła, ale i tak wiedzieli, co chciała powiedzieć: jeśli nie poradzi sobie sama, nikt jej nie zdoła pomóc.

- To tak samo jak po upadku z konia, trzeba wsiąść ponownie - podsunął usłużnie Dan.

Spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem, prawie jak dawna Ellie.

- Zawsze wiesz, co powiedzieć, Cassidy. - Ich spojrzenia się spotkały.

- Proszę, zostań. - Nadal patrzył jej w oczy. Rozłożył szeroko ręce. - Mi casa es su casa.

- Gracias, señor. - Nie skorzysta z tej propozycji; musi wracać do pracy, do swego życia.

Po kolacji zjawili się Johannsen i Mullins z kasetą. Siedzieli na brzeźkach krzesel, na nowo przeżywając każda chwilę pogrzebu.

Detektyw puścił film w zwolnionym tempie, gdy kamera przesuwała się po twarzach ludzi tłumnie zgromadzonych nad grobem.

- Bardzo proszę przyjrzeć się im dokładnie. Czy nikt się wydaje pani podejrzany? Może pani babcia знаła kogoś przed laty?

Uważnie przypatrywała się smutnym twarzom. Niektóre były mokre od łez, inne nieruchome, wszystkie zatroskane. Niektóre znała, niektórych nie. Potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Chciałabym pomóc.

Piatowsky prawie współczuł Johannsenowi. To trudna sprawa, a przypadkowe morderstwa nigdy nie były łatwe. Odprowadził go do samochodu.

- Jeśli będę mógł się na coś przydać, proszę dać znać. - Zapalił lucky strike'a i oparty o poręcz werandy, odprowadzał samochód wzrokiem. W głębi duszy miał przecucie, że Ellie jeszcze usłyszy o Johannsenie.

Pozostali też wyszli przed dom.

- Masz ochotę na mały spacer? - Dan popatrzył na Ellie.

Zmierzchało się już. Podała mu rękę. Szli wąską ścieżką za dom,

nad staw.

194

- Dobrze razem wyglądają. - Piatowsky poczęstował Mayę papierosem. Podziękowała.

Patrzyła w ślad za Danem i Ellie. Dwie wysokie sylwetki zlały się w jedną, gdy Dan otoczył ją ramieniem. Po chwili zniknęli za rogami.

- Owszem - zgodziła się. - Ale ona jest dziewczyną z miasta, której ambicja sięga gwiazd.

- A on to facet, który pragnie wiejskiego spokoju, po uszy w winorośli i końskim gównie.

Podniosła na niego bursztynowe oczy.

- Nie brzmi to najlepiej, co?

Uraczył ją swoim słynnym chłopięcym uśmiechem.

- Nie wszystkie małżeństwa zaaranżowano w niebie. Co pani powie na przechadzkę, panno Mayu? Pani mi opowie o sobie, a ja zanudzę panią na śmierć opowieściami o kobiecie mego życia, tak teraz rozpuszczanej przez babkę, że wcale za biednym ojcem nie tęskni.

- Będzie mi brakowało tego domu i winnicy. - Ellie objęła Dana w pasie i wyrównała z nim krok. Przemknęło jej przez myśl, że pasowali do siebie, jakby zostali dla siebie stworzeni.

- A mnie będzie brakowało ciebie. - O zmroku jej włosy płonęły intensywniej, jasna cera stawała się jeszcze bledsza, oczy nabierały niesamowitego blasku. - Nie możesz zostać? Trochę odpocząć?

To kuszące, na pewien czas stać się staroświecką kobietką, osunąć się w jego ramiona, pozwolić, by się nią zaopiekował. Pragnęła tego, ale zaraz upomniała się, że ma przed sobą zadanie do wypełnienia. Musi pracować i odnieść sukces, teraz zależało jej nad tym bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie ma sensu odpoczywać, mam wtedy za dużo czasu na myślenie. Poza tym chcę być jak najdalej od Johannsena.

Nie miał serca tłumaczyć, że Johannsen może przesłuchać ją w Santa Moni-ca, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Chyba że wcześniej znajdzie innego podejrzanego, który nosi buty rozmiar dwunasty.

Patrzyła na niego, jakby się spodziewała, że zna odpowiedzi na wszystkie gnębiące ją pytania, że może zdjąć ciężar z jej barków.

Niestety, nie potrafił. Szepnęła:

- Myślałam, że tamtego roku, gdy zginęli moi rodzice, dowiedziałam się wszystkiego o przemocy. Myliłam się. To jest o wiele gorsze.

- Już po wszystkim, Ellie. Zapomnij. Zachowaj dobre wspomnienia i wystaw Journey's End na sprzedaż.

Potrząsnęła głową. Zaciśnęła usta w wąską linię.

- Nie mogę, jeszcze nie. Mam wrażenie, że Miss Lottie i Maria ciągle tam są, czekają, aż im pomogę. Najpierw musimy znaleźć zabójcę.

Stali przy stawie, wsłuchani w rechot żab.

- Odwiedzisz mnie, Dan? Proszę.

195

Przyciągnął ją bliżej. Czuł kości pod skórą, w ciągu ostatniego tygodnia bardzo schudła.

- Oczywiście.

Delikatnie, czule, pocałował ją w usta. Jak przyjaciel, pomyślała zarzucając mu ramiona na szyję. Jak prawdziwy, dobry przyjaciel.

Oderwał się od jej warg.

- Obiecuję - mruknął.

Rozdział 55

N

owiutki cherokee Ellie był jasnozielony, prawie dokładnie tego koloru co wystrój restauracji, z czarną tapicerką i masą miejsca na przewożenie różności. Gdy wracała nim do Santa Monica, wydawał się jej nieprzyzwoicie nowy, luksusowy i szpanerski. Stary żółty dżip należał do przeszłości. Dan nie wierzył własnym uszom, gdy mu powiedziała, że to jej pierwszy fabrycznie nowy samochód.

- Pierwszy? - Powtórzył. Niemożliwe, żeby dziewczyna z bogatej rodziny opowiadała takie rzeczy.

- Na wypadek gdybym odziedziczyła beztroską naturę i rozrzutność mojej matki - tłumaczyła Ellie - Miss Lottie wychowywała mnie w duchu oszczędności i zdrowego rozsądku.

Wcześniej Dan oznajmił, że w najlepszym wypadku jest nieobliczalna za kierownicą i potrzebny jej bezpieczny samochód.

Ellie tymczasem obawiała się, że Johannsen uzna, że już wydaje schedę po babce. Dan wyśmiał jej obawy.

Myślała o nim bez przerwy. Tak się starała, żeby stanęła na nogi po tragedii, powstrzymywał Johannsena, który najchętniej przesłuchiwałby ją bez końca. Był jej bliższy niż przedtem, zwłaszcza po wczorajszym pocałunku. Skręcając w uliczkę, przy której stał jej domek, upomniała się, że pod żadnym pozorem nie może się w nim zakochać. Mieli całkowicie odmienne plany na przyszłość: ona pragnęła wielkiego miasta i kariery, on tęsknił za wiejskim spokojem. Mieszkali w dwóch różnych światach, a nie była jeszcze gotowa porzucić swoich ambicji. Najpierw odniesie sukces, potem się zastanowi. Tylko że wtedy będzie za późno. Jej

usta wygięły się w smutnym uśmiechu; nigdy nie była dobra w planowaniu.

Domek wyglądał tak samo, jakby odkąd zeń wyszła, nie wydarzyło się nic okropnego. Jednak tylko przekręciła klucz w zamku, a już poczuła, że coś się zmieniło.

Wszędzie unosił się kurz, lilie zwiędły; ich suche płatki opadły na komódkę. Poza tym zdawało się, że wszystko jest w porządku. W kuchni w zlewie nadal stał zielony kubek w wisienki, z którego piła herbatę jeżynową. Otworzyła lodówkę.

197

Mleko skwaśniało. Zmarszczyła nos z niesmakiem i wyrzuciła karton do śmieci, razem z połówką spleśniałego chleba.

Pukanie za plecami sprawiło, że odwróciła się w panice. Odetchnęła z ulgą: to tylko ptak na parapecie. Mimo wszystko była niespokojna. Domek wyglądał tak samo, ale panowała w nim inna atmosfera.

Prawdopodobnie wynika to stąd, że byli tu policjanci, przeszukiwali jej rzeczy, powiedziała sobie i poszła na górę.

W nagrzej słońcem sypialni było duszno. Otworzyła okno na całą szerokość, zrzuciła z siebie ubranie tam, gdzie stała, i weszła pod prysznic. Po kąpieli natarła całe ciało ulubionym balsamem, posypała się talkiem. Jak zawsze. Więc dlaczego wyczuwa tu coś innego, obcego? Włożyła strój roboczy, czyli dzinsy i koszulkę.

Wszystko się zmieniło. Teraz jest sama na świecie. Jedynym lekarstwem na rozpacz jest praca, a tej nie zabraknie.

Przejechała przez wilgotne włosy grzebieniem, zarzuciła przepastną czarną torbę na ramię, porwała kluczyki i już jej nie było.

Na Main Street czuło się nadchodzące lato: szkoła się jeszcze nie skończyła, lecz wolność jest tuż-tuż. Słońce oślepiało, w oddali pobłyskiwał ocean, ulice wypełniał aromat świeżo parzonej kawy i domowego chleba. Dziewczyny w pastelowych sukienkach podziwiałały wystawy, na których pyszniły się letnie akcesoria. Oto jej świat, jej życie. Bardzo, bardzo daleko stąd do winnicy Running Horse.

Restauracja sprawiła na niej przygnębiające wrażenie. Była smutna i opuszczona: krzesła piętrzyły się na stołach, nie było kwiatów, smakowitych zapachów, gwaru rozmów. Najwyższy czas przywrócić ten lokal do życia.

Zadzwoiła do Chana, by go zawiadomić, że otwierają następnego dnia. Wspólnie ustalili menu. Ellie zdecydowała, że czas na zmianę. Na coś lekkiego, letniego. Na smakołyki w rodzaju nadziewanych kwiatów cukinii albo brandade de morue Provencale, gładkiej,

kremowej masy. Na świeże owoce morza, ravioli z langustą i delikatną jagnięcinę z Sonomy. A na deser może creme bruleel
Bliskie lato natchnęło ją całą gamą pomysłów.

- Niech to będzie prawdziwa uczta, Chan – tłumaczyła, energicznie odgarniając włosy z czoła. – Świętujemy!

- Dobra. – Zgodził się, choć nie bardzo wiedział, z jakiej okazji. Jednak Ellie wiedziała. Ożyła, kipiała energią. Nie mogła się doczekać, kiedy unurza dłonie w mące, poczuje pod palcami miękkie ciasto. Nie mogła się doczekać, kiedy o szóstej rano przyjedzie na targ, pachnący przyprawami i warzywami, nie mogła się doczekać, kiedy z kartą dań w dłoni powita klientów przy drzwiach. Z uśmiechem zabrała się za spisywanie potrzebnych artykułów. Tak od tej pory będzie wyglądało jej życie.

Telefon wytraćił ją z zadumy.

- „U Ellie” słucham?

- Co za pogodny głos! To Maya.

- Cieszę się, bo wróciłam do pracy, bo...

- Mówiłam, po pogrzebie będzie lepiej. – Maya nie zapomniała, co czuła po śmierci matki, która umarła przed dziesięciu laty; choć to niełatwe, trzeba żyć

198

dalej. - Na pewno nie chcesz, żebym się do ciebie wprowadziła na kilka dni? Dopóki nie poczujesz się lepiej?

- Już czuję się lepiej. Cieszę się, że wróciłam do domu i do pracy. A przy okazji, jutro otwieramy.

- Tak szybko? - Maya nie ukrywała zdziwienia.

- A co mam innego do roboty?

- Fakt. W porządku, będę. Do zobaczenia.

Ellie zanotowała dalsze propozycje do nowego menu. Przeszła do kuchni, gdzie założyła fartuch, wyjęła wielką torbę mąki, rozpakowała świeże drożdże i zabrała się do roboty. Wkrótce z zapalem miesiła ciasto na jutrzejszy chleb.

Gdy wychodziła koło szóstej, stoliki były nakryte, a ciasto rosło pod czystą ściereczką. Lista zamówień była gotowa, Chan, Terry i dzieciak wiedzieli, o której mają się stawić. Zapłaciła zaległe rachunki, podlała kwiaty, zadzwoniła do dostawców. Wróciła do pracy.

Z uśmiechem zadowolenia przeszła na drugą stronę ulicy, żeby kupić sobie kanapkę na kolację. Nie przywykła do jedania w samotności. Zajmie się czymś, poogląda telewizję, pójdzie spać wcześniej. Teraz poczuła się samotna i żałowała, że odrzuciła

propozycję May i.

Zamówiła kanapkę z piersią kurczaka z grilla, ze świeżymi pomidorami, papryką i lekkim sosem vinaigrette.

Buck obserwował ją ze swego stolika przy oknie. Czekwała niecierpliwie, splótłszy ramiona na piersi. Nie wierzył w swoje szczęście. Wchodziła prosto w jego pułapkę, zupełnie jak mucha w pajęczą sieć.

Czatował na wzgórzu niedaleko jej domu, jak zwykle. Nie zwrócił uwagi na zielonego cherokee, lecz gdy zobaczył, jak z niego wysiada, serce biło mu szybko jak zauroczonemu nastolatkowi.

Ma się rozumieć, pojechał za nią Main Street, upewnił się, że wraca do restauracji. Krążył po sąsiednich uliczkach, szukał miejsca do parkowania, a potem czekał tu nad kawą i pączkiem. Widział, jak w restauracji zapaliły się światła, raz czy dwa dostrzegł ją, jak nakrywała stoliki. Już wkrótce nie będzie musiała tego robić.

Niedługo będzie z nim.

Wstał i podszedł do niej.

- Nie spodziewałem się pani tutaj. - Miał poważną twarz, bez uśmiechu.

- O, dzień dobry, panie Jensen. - Była zaskoczona, ona również nie spodziewała się go tu spotkać.

- Byłem tu niedaleko, oglądałem nieruchomości na sprzedaż. To podobno dobra inwestycja, ceny w tej części miasta ciągle rosną... jak się pani miewa? - Przerażony własną śmiałością, położył jej rękę na ramieniu. Jedwabista gładkość ciepłej skóry przyprawiała go o drżenie, ale nie dał nic po sobie poznać. - Tak mi przykro. - Bezradnie rozłożył ręce. - Słowa zbyt mało wyrażają. Nie wiem, co mogłoby panią pocieszyć po tym, co panią spotkało.

- Dziękuję, panie Jensen. Staram się wrócić do pracy, żyć normalnie... - Urwała, bo przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Wyraził wtedy chęć kupna domu, gdy miss Lottie odejdzie. Modliła się, oby teraz nie wyskoczył z tą propozycją.

199

Buck był na to za sprytny.

- Cieszę się, że znowu otwiera pani restaurację. Zawsze powtarzam, że nie ma lepszego antidotum na smutek niż praca. Jeśli będę w okolicy, wpadnę na obiad.

Kanapka była gotowa. Ellie pomachała mu na pożegnanie.

- Bardzo proszę, będzie mi miło. - Z tymi słowami go wyminęła. Od drzwi spostrzegła, że wpatruje się w nią przenikliwie. Szybko wsiadła do samochodu. Nie powiedział nic niestosownego, a jednak

było w nim coś... może Maya ma rację i rzeczywiście jest dziwakiem.

W domu powoli żuła kanapkę na stojąco. Nie była głodna. Wyobrażała sobie natomiast, że siedzi na werandzie, popija wino, podziwia zachód słońca i wdycha świeże powietrze przesycone aromatem róż i jaśminu.

Z westchnieniem wyrzuciła nie dojedzoną kanapkę, zaparzyła sobie herbaty jeżynowej i poszła na górę, do sypialni. Włoży piżamę, otuli się ulubionym szlafrokiem, włączy telewizor. I będzie czekała na telefon od Dana.

Z swego punktu obserwacyjnego po przeciwnej stronie ulicy Buck widział, jak w sypialni zapaliło się światło. Ellie na chwilę stanęła w otwartym oknie, po czym zamknęła je i zaciągnęła żalony.

Chwilowo to mu wystarczyło. Faza czwarta jest przygotowana; musi tylko czekać na odpowiedni moment.

Rozdział 56

pokojnie. - Dan zerknął na przyjaciela kątem oka. - To siodło zachodnie. Masz siedzieć spokojnie, kierować udami i pozwolić koniowi odwalać czarną robotę.

- A kto mi, do cholery, zagwarantuje, że nie spadnę? - Piatowsky był głęboko nieszczęśliwy, niespokojnie wiercił się w siodle, przesuwając do przodu, gdy koń schodził ze wzgórza. Ten pomysł z jazdą konną bynajmniej nie przypadł mu do gustu. Co za przyjemność objąć sobie tyłek na stworzeniu dużo większym i silniejszym od niego? - Szkoda, że zamiast tego nie poszliśmy na ryby - mruknął pod nosem.

- Następnym razem, Piatowsky! - Dan roześmiał się głośno.

- Tak, pewnie. O ile akurat znowu cię nie oskarżą o podwójne morderstwo. Takie już moje szczęście.

- Senior miał szczęście, że pan tu był - zauważył poważnie Carlos Ortega. - Inaczej poszedłby do więzienia, a cała winnica zostałaby na mojej głowie.

- Dzięki za zaufanie - obruszył się Dan. - Czy twoim zdaniem wyglądam na mordercę?

- Ellie też nie wygląda, a Johannsen ciągle wierzy, że to ona. - Piatowsky ostrożnie trącił klacz kolanami, gdy skręciła ze ścieżki na trawiaste pobocze. Pa-radise zarżała głośno i energicznie potrząsnęła głową. Piatowsky wytrzeszczył oczy ze strachu. - Dajcie mi szybki samochód - wysapał. - Wtedy przynajmniej wiem, kto jest szefem.

- Spokojnie, senior Piatowsky, to dobra, łagodna klacz. - Ortega jechał obok, żeby w razie czego służyć pomocą. Koń wyczuł

niedoświadczonego jeźdźca. W takiej sytuacji wszystko może się zdarzyć.

- Technicy z Nowego Jorku zidentyfikowali nóż jako zwykły scyzoryk - odezwał się Piatowsky. - Naj zwyczaj niej szy w świecie, gdyby nie to, że ma ostrze wyostrzone jak brzytwa i cienkie jak papier. Podobno wchodzi w ciało jak gorący nóż w masło. Z Los Angeles przesłali wiadomość, że ich zabójca używał takiej

201

samej broni. Jeśli podobnie było w wypadku Miss Lottie, Johannsen będzie się musiał pożegnać ze swoją teorią. I wtedy się przekonamy, że nasz zabójca to jeden i ten sam człowiek.

Dan potajemnie trzymał kciuki. Po południu odwozi Piatowsky'ego na lotnisko, a później planował zajrzeć do Ellie. Może zjedzą razem kolację albo, jeśli będzie bardzo zajęta, chociaż wypiją filiżankę kawy. Oddałby dużo, byle móc jej przekazać dobre nowiny, że nikt jej już nie podejrzewa. Johannsen poinformował ich niedawno, że siniaki na szyi Miss Lottie zrobił mężczyzna o dużych, silnych dłoniach. Dłonie Dana nie pasowały.

Piatowsky doszedł do wniosku, że jazda w dół jest jeszcze gorsza niż pod górę. Nagle jego siodło przesunęło się na bok i zawisł głową w dół. Miał przed oczami końskie kopyta. Słyszał, jak Carlos pohukuje na konia, a Dan parska śmiechem.

- Nie dociągnąłeś popręgu - wytłumaczył Dan, gdy skoczył na ratunek. - Siodło się obłuźniło, a to poważny błąd.

- Cóż, znam się na samochodach, ale o koniach nie mam zielonego pojęcia. - Piatowsky z godnością przyklepał smutne resztki blond włosów i z przerażeniem pomyślał o wielkich kopytach przy twarzy.

- W ten sposób można stracić życie.

- Następnym razem pójdzie ci lepiej - obiecał Dan, prowadząc konie do stajni. Piatowsky spieszył za nim.

- O, na pewno. - Czuł się bezpieczniej w ciemnych zaułkach Manhattanu. Chyba czas wracać do domu.

Z lotniska zadzwonił do Johannsena, żeby się dowiedzieć, co ustalili. Gdy słuchał, uniósł kciuk w tryumfalnym geście.

Podziękował Johannsenowi, powiedział, że wraca do Nowego Jorku, życzył mu powodzenia i obiecał, że się jeszcze odezwie.

- To ten sam nóż. Ellie została oczyszczona ze wszystkich zarzutów. Johannsen nawet przeprosił, że ją w ogóle podejrzewał.

Twierdzi, że nie miał innego wyjścia, i nawet mu wierzę.

Dan nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się denerwował. Teraz nie posiadał się z radości. Poklepał Piatowsky'ego po plecach, zamknął

go w niedźwiedzim uścisku.

– Dzięki, stary.

– Nie ma sprawy.

– Do zobaczenia wkrótce! – zawołał za nim Dan. Piatowsky odwrócił się z uśmiechem.

– Następnym razem przywiozę dzieciaki, polubią jazdę konną! – odkrzyknął. Śmiał się.

W restauracji panował niewyobrażalny tłok. Ellie padała z nóg. Myślała, że tak duży ruch w interesie ją ucieszy, ale cały czas zastanawiała się, czy wpływu na to nie miała jej nagła popularność jako wnuczki Miss Lottie. Miała nadzieję, żenię.

202

Poprzedniej nocy, po telefonie Dana, nie mogła zasnąć. Choć miała ochotę do niego zadzwonić, pożalić się, że się boi zmrużyć oczy, nie zrobiła tego. Postanowiła poradzić sobie sama i wytrwa w tym postanowieniu. Mimo wszystko wypatrywała go w tłumie gości.

Gdy w końcu przyszedł, kamień spadł jej z serca.

Ciemnoniebieskie oczy lustrowały ją dokładnie. Przelotnie cmoknął ją w policzek i od razu poczuła stare pragnienie. Słumiała je szybko. Zaprowadziła go do kuchni, żeby poznał jej pracowników.

Tego wieczoru Maya miała wolne, za to był Jake.

Obserwowała, jak omiatają Dana uważnym spojrzeniem, od stóp do głów, i znów do stóp. Czekala na jakąś oznakę aprobaty. Stanowili jej rodzinę, oprócz nich nie miała nikogo.

– Cześć, Dan. – Chan przełożył tasak do lewej ręki, żeby mu uścisnąć dłoń. – Opiekujesz się nią, tak?

– Tak. – Jego szorstkość nie zmyliła Dana. Wyczuł, że Chan martwi się o El-lie. Przywitał się z Terrym, dzieciakiem i Jake'em.

– Myślałeś kiedyś o karierze telewizyjnej? – Jake oglądał go dokładnie. – Nadawałbyś się na gliniarza w serialu.

– Dzięki, nie. Wystarczy mi to, co przeżyłem.

– Dzisiaj polecam krewetki! – zawołał za nim Chan, gdy wyszli z jego ciasnego królestwa. – Krewetki a la Chan, z sosem szczawiowym!

Ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, usiadł przy barze, a Ellie co jakiś czas zatrzymywała się przy nim na krótką rozmowę. Widział, że nie ma dziś dla niego czasu, więc postanowił napić się kawy i wracać. Zadzwoi do niej wieczorem, umówią się na prawdziwe spotkanie.

– Mam dobre wieści – oznajmił, gdy podała mu kawę. Spojrzała

wyczekująco. – Przy wszystkich zbrodniach użyto tego samego noża. Jesteś czysta jak łąza.

Odetchnęła pełną piersią.

– Dzięki Bogu! – szepnęła. I po chwili, znowu niespokojna: – A ty?
– Też.

Pokiwała głową. Wreszcie jest wolna, nie wisi nad nią perspektywa procesu i więzienia. Zamiast radości, czuła zmęczenie.

Jake minął ją tacą zastawioną jedzeniem, co wyrwało ją odretwienia.

– Muszę lecieć. Dzięki, Dan. Pocałował ją w policzek.

– Zadzwoń wieczorem, dobrze?

Uśmiechnęła się przez ramię, w drodze do kuchni. To najmiłsza pora dnia, pomyślała. I nocy. Bo noce były najgorsze.

Rozdział 57

T

-Ś- Zł

onęła w ciemności, mrok otaczał ją ze wszystkich stron, znikąd nie padało światło. Nagle pojawiła się cienka wstążka czerwieni.

Zbliżała się do niej powoli, wiła się, poszerzała, rozwijała, aż dotknęła jej skóry. Pachniała ostro, słono. Teraz narastała, otaczała ją czerwienią i ogniem, lepkością...

Odrzuciła kołdrę i gwałtownie usiadła na łóżku. Jej serce waliło jak młot kowalski, na skórze lśnił pot. W mdłym świetle z okna dostrzegła znajome sprzęty. Jest w domu, bezpieczna.

Z łkaniem oparła czoło o kolana. Łzy piekły ją pod powiekami.

– Och, babciu! – szepnęła. – Tak mi przykro.

Wkrótce wstała z wymiętej pościeli, włożyła szlafrok, białe skarpetki i nadal pociągając nosem, zeszła na dół, do kuchni.

Odkąd wróciła do domu, minęły dwa tygodnie. Co dzień było to samo. Pracowała do utraty sił z nadzieją, że wyczerpana zaśnie kamiennym snem. I tak było, lecz snu starczało zaledwie na kilka godzin. Co noc, regularnie jak w zegarku, budziła się o trzeciej nad ranem, przerażona tym samym koszmarem: tonęła we krwi.

Co noc parzyła sobie w kuchni kubek herbaty i co noc robiła sobie wyrzuty; gdyby wcześniej wybrała się do Journey's End... gdyby była bardziej bystra i zorientowała się, że starsze panie nie włączają alarmu... gdyby nadal mieszkała w Journey's End, zamiast zostawiać dwie starszuszki własnemu losowi... gdyby...

Ogarnęło ją poczucie winy. Szlochała z kubkiem herbaty przy piersi. Teraz jest za późno i nic nie wytrze wizji okaleczonego ciała babki z jej wspomnień.

Dużo, dużo później wracała na górę i przy otwartym oknie wsłuchiwała się w ciszę nocy, którą zakłócał jedynie odległy szum oceanu. Świtało, gdy wracała do łóżka i zapadała w płytki, niespokojny sen.

204

W te bezkresne samotne noce kusiło ją, by zadzwonić do Dana, lecz uparcie odmawiała sobie tej przyjemności. Jednak uwagi Mai nie uszły jej podkrążone oczy, ogólne zmęczenie i sztuczna energia, z jaką co dzień zabierała się do pracy.

– Jesteś jak trąba powietrzna, w ciągłym ruchu – oznajmiła. – Przychodzisz tu przed szóstą i wychodzisz nie wcześniej niż po północy. Czy ty w ogóle sypiasz?

– Mało. Ale nic mi nie będzie.

Maya знаła tę upartą minę, wąsko zaciśnięte usta. Nie ma siły, pod wpływem której Ellie zmieniałaby zdanie. Tym razem przyjaciółka nie zwierzy się ze zmartwień. Tym gorzej, bo chyba nigdy bardziej nie potrzebowała przyjaznego ramienia, na którym mogłaby się wypłakać.

Choć Ellie sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, najważniejsza chwila dnia przychodziła wieczorem, gdy leżała w łóżku i czekała na telefon Dana.

– Sprawdzam, czy się nie włóczysz – mówił z lekką kpina w głosie.

– Nic mi nie jest – zapewniała go i w ostatniej chwili gryzła się w język, żeby nie dodać: Teraz nic mi nie jest, bo słyszę twój głos.

Dan miał pełne ręce roboty, sadył chardonnay i coraz bardziej się zadłużał. Mimo to nie tracił optymizmu i poprzez swój entuzjazm budził w niej pragnienie, by uczestniczyć w tym razem z nim.

Jednak nie zapomniała o całkowitej sprzeczności ich interesów: on pragnął spokoju wsi, ona rozgardiaszu miasta. Oboje mieli

długoterminowe plany. Nie może się w nim zakochać. Jest jej przyjacielem i tak zostanie. Na zawsze. Taką miała nadzieję.

Buck postanowił na razie nie pokazywać się w restauracji. Od tej pory będzie się trzymał z daleka. Nadal jednak Ellie śledził, co noc obserwował jej dom. Zachowywał bezpieczny dystans, więc ani razu go nie zauważyła. Jego plany prawie się spełniły. Faza czwarta czeka na realizację. Był w stanie ciągłego podniecenia, nieustrudzenie wędrował po Sunset Boulevard, obserwował kobiety, pochłaniał wielkie ilości burbona. Czekał, aż zrobi się bardzo późno, Ellie wyjdzie z restauracji i będzie mógł się udać na ich conocną randkę; wpatrywał się w okna jej sypialni, dopóki nie zgasło w nich światło. Dan wsunął ręce w kieszenie zakurzonych dżinsów i obrzucił

wzrokiem północny stok. Skończyli sadzić i pędy winorośli, z której powstanie chardonnay, pięły się ku górze, wspomagane palikami i żyłkami, żeby gorące słońce dotknęło jak najwięcej owoców. Z satysfakcją pomyślał, że za rok jego winnica upodobni się do posiadłości sąsiadów: na bujnych pędach zawisną ciężkie, dojrzałe grona, zapowiedź orzeźwiającego, złotego wina. Plantacja rozkwitnie, pomyślał i uśmiechnął się na wspomnienie pierwszego razu, gdy przyjechał tu z Ellie.

Nie widzieli się od tygodnia, choć rozmawiali co wieczór. Pora zrobić sobie chwilę przerwy, zanim z Ortegą pojedą do Napa po cabernet. Winorośl w Davis nie spełniała wysokich oczekiwań Carlosa, więc ciągle szukali idealnego szczepu.

205

Spojrzał na zegarek. Dochodzi siódma. Musi się przebrać, umyć, zatankować... będzie u niej koło dziewiątej. Już wykręcał jej numer na telefonie komórkowym, kiedy zmienił zdanie. Sprawia jej niespodziankę,. Lubił, gdy się rozjaśniała na jego widok. Dzięki temu nie tracił nadziei.

Wcześniej spadł deszcz i nocny chłód spowił miasto mgłą. Ścieliła się białym całunem nad spokojną powierzchnią oceanu, otaczała mlecznymi aureolami uliczne lampy, oplatała upiornymi palcami nabrzeżne bulwary. Sprawiała, że Dan dotarł do SantaMonicapóźniej, niż zakładał. Dochodziło wpół do dziesiątej, gdy zaparkował naprzeciwko restauracji, tuż obok czarnego BMW.

Ulica była, o dziwo, spokojna. „U Ellie” zapraszająco paliły się światła. Wrzucił kilka monet do parkometru, przebiegł przez jezdnię i wszedł do środka.

Staroświecki dzwoneczek nad drzwiami rozdzwonił się srebrzyście. Kojarzył mu się ze sklepikiem ze słodyczami, w którym jako pięciolatek w sobotnie poranki przepuszczał znaczącą część swojej tygodniówki, wynoszącej wówczas pięćdziesiąt centów. Tylko przy dwóch stolikach siedzieli goście. Po Ellie i Mai nie było śladu. Poszedł na zaplecze, jednym ruchem otworzył kuchenne drzwi i wsadził w nie głowę. Ellie czyściła piec, Jake stał na zewnątrz i chciwie zaciągał się papierosem. Chana i Terry'ego nie było nigdzie widać, prawdopodobnie już poszli.

Ellie go nie słyszała. Obserwował ją przez dłuższą chwilę. Była smutna, żałośnie opuszczone ramiona powiedziały mu więcej o jej samopoczuciu niż buńczuczne zapewnienia podczas wieczornych rozmów. Zawołał ją po imieniu.

Nagły uśmiech rozjaśnił całą jej twarz. Całe jej ciało wysyłało

promienie radości. Dla tego widoku warto było jechać we mgle przez dwie godziny.

- Cześć – powiedziała. – Ale niespodzianka!

- Miałem nadzieję, że powiesz „miła niespodzianka”. – Przelotnie pocałował ją w roześmiane usta.

- To też – zgodziła się.

Nowy dzieciak o utlenionych na blond włosach, wschodząca gwiazda rocka, przyglądał się im ukradkiem znad zlewu, gdzie płukał talerze przed wsadzeniem ich do zmywarki. Niezle razem wyglądają, oceniał. Chyba do siebie pasują.

- Pewnie jesteś głodny. – Ellie wyciągała już wielki rondel. – Dzisiaj ja gotuję, powiedz, na co masz ochotę - powiedziała. Cieszyła się, że jest na jej terenie, na jej warunkach.

- Wystarczy mi jajecznicą z tostem.

Uśmiechnęła się; nie zapomniała pierwszego razu, gdy wszedł do restauracji. W jej życiu tyle się od tego czasu zmieniło, miała wrażenie, że upłynęły całe lata świetlne. Dziękowała Bogu, że wszedł właśnie tutaj, a nie do żadnej innej kafejki, których w okolicy nie brakowało. Czasami los płała śmieszne figle.

- Nie dostaniesz tosta, za to pyszny chleb z rozmarynem. Na pewno nie chcesz nic więcej?

206

Nie wyobrażał sobie, by istniało na świecie coś lepszego niż jajecznicą przyrządzoną własnoręcznie przez Ellie.

- Na pewno. Może zjesz ze mną?

- Może. – Wyrwała dłoń z jego uścisku, podbiegła do lodówki po karton jajek, potknęła się o swoje wielkie stopy i zgubiła but.

- Kopciuszkule! – Przyklął na jedno kolano, ze śmiechem patrząc, jak stara się utrzymać równowagę na jednej nodze.

- Kopciuszek nie był taki niezgrabny – westchnęła z żalem.

Dzieciak przy zlewie uznał, że są lepsi niż film w kinie. Nawet Jake podszedł do drzwi i obserwował ich z progu.

- Może kieliszek wina?

Dan potrząsnął przecząco głową, zafascynowany jej oszczędnymi ruchami. Nawet zwykła jajecznicą w jej wykonaniu stawała się eleganckim daniem. Nie było mowy o chaotycznym wrzucaniu wszystkiego na patelnię, o nie. Ellie starannie odmierzyła proporcje jajek, masła i mleka. Mała porcja czy duża, jej jajecznicą zawsze smakuje tak samo. Bez względu na to, czy tworzyła wyrefinowane skomplikowane danie, czy zwykłą jajecznicą, była prawdziwym szefem kuchni, mistrzem w swoim fachu.

Nie miała zamiaru jeść kolacji, ale jego przybycie skłoniło ją do zmiany zdania. Wcisnęła mu koszyk z pieczywem w dłoń i wypchnęła na salę.

– Bon appetit, m'sieur- szepnęła. Nagle poczuła głód. Pochłonęła swojaporcję z wilczym apetytem.

– Pyszne – wybełkotał Dan z pełnymi ustami. – Naprawdę znakomite. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – A teraz, Eli, powiedz mi szczerze, jak się miewasz?

Ze znużeniem wzruszyła ramionami.

– Mam kłopoty ze spaniem. Wiesz, jak to jest, poczucie winy o trzeciej nad ranem, wieczne gdybanie...

– Cokolwiek ci chodzi po głowie, nie jesteś niczemu winna.

– Chyba nie. – Nie była o tym przekonana. Nerwowo grzebała widelcem w talerzu, nagle straciła apetyt. Mleczna mgła za oknem uświadomiła jej, że przed nią kolejna samotna noc. – Może wpadniesz do mnie na kawę?

Skinął głową.

– Chętnie.

Jake obsługiwał ostatnich gości, przyjmował pieniądze.

– Zamknę za ciebie, Ellie – zaproponował. – Chociaż raz daj sobie trochę luzu, odpocznij. – Widział, że jest przemęczona i zestresowana. Dobrze, że ma jakieś towarzystwo, choćby tylko dzisiaj.

Jego zdaniem samotnie nie rozwiąże się żadnych problemów.

Problem, z którym zmagają się dwójka, to problem z głowy, jak powie każdy kalifornijski psychiatra i zażyczy sobie za to małą fortunę. O czym Jake przekonał się na własnej skórze.

Ellie uśmiechnęła się z wdzięcznością. Zanieśli swoje talerze do kuchni.

– Czy możesz zostać dziś dłużej i pomóc Jake'owi? – poprosiła dzieciaka.

207

- Jasne. - Co prawda miał randkę w Victor's Club na Abbot Kinney, ale która dziewczyna nie zaczekałaby na wschodzącą gwiazdę rocka?

Na dworze mgła gęstniała coraz bardziej. Widoczność ograniczała się do dziesięciu metrów. Zdecydowanie nie najlepsza noc na podróże samochodem.

Ellie już wcześniej wyprowadziła cherokee z parkingu. Stał pół przecznicy dalej.

- Jedź za mną! - zawołał Dan, przebiegając przez ulicę do swego

samochodu. - Tak będzie bezpieczniej.

Czarne BMW ciągle stało obok. Zobaczył nawet mężczyznę za kierownicą i przez chwilę zastanawiał się, co tu robi o tej porze. Szybko wyprowadził explo-rera na jezdnię, poczekał, aż Ellie się z nim zrówna, i powoli ruszył w mglistą noc.

Przytulny domek Ellie był jak oaza wśród mgły. Na gzymsie kominka paliły się świece zapachowe, napełniały pokój aromatem wanilii. W tle delikatnie grała muzyka. Ellie nalewała do filiżanek gorącą, aromatyczną kawę. Postawiła naczynie przed Danem. Siedział obok niej na sofie. Z odrzuconą do tyłu głową słuchał muzyki.

Studiowała regularne rysy jego twarzy, włosy, niesfornie opadające na oczy, ledwo widoczny błękitny cień zarostu; pewnie golił się tuż przed wyjściem. Umięśnione ciało zdawało się odprężyć. W rozchyłonym zapięciu koszuli widniały ciemne włosy. Miał piękne dłonie, szerokie, o drugich palcach i czystych paznokciach.

Uśmiechnęła się na myśl, ile wysiłku musiał włożyć w doszowanie ich po tygodniu pracy w polu, u boku Ortegi i Meksykanów. Był bardzo zmysłowy. Teraz, z zamkniętymi oczami nawet on, taki silny mężczyzna, wyglądał delikatnie i krucho.

Cieszyło ją, że potrafi się odprężyć, zrelaksować w jej towarzystwie.

- Czarna, bez cukru - powiedziała cicho.

- Więc w końcu mnie znasz. - Nie otworzył oczu.

- W końcu cię znam.

W jej głosie pojawiła się jakaś nowa nuta, miękkość, której tam wcześniej nie było. Uniósł powieki.

Delikatnie przeczesała palcami jego ciemną czuprynę. Teraz, gdy już tu był, nie mogła znieść myśli, że mógłby odejść.

- Pomyślałam sobie - zaczęła ostrożnie, nie chcąc, żeby ją źle zrozumiał - że w takiej mgłę nie powinieneś wracać do domu. To zbyt niebezpieczne.

- Fakt. - Patrzył jej prosto w oczy.

- Nadeszła moja kolej zaoferować ci gościnę. Zaraz przyniosę poduszkę i kołdrę. Tu, na kanapie, będzie ci bardzo wygodnie.

- Fakt. - Znowu skinął głową.

Toneła w błękitnie jego oczu, ulegała pokusie jego ust... Wzięła się w garść, poderwała z kanapy.

- Idę po koc.

208

Przytrzymał ją za ramię, posadził z powrotem.

- Przestań uciekać, Ellie.

Czuła na sobie ciepło jego dłoni. Jego usta były coraz bliżej. W oczekiwaniu zamknęła oczy. Miał silne wargi, pocałunek był delikatny, jak muśnięcie motyla... nic wstrząsającego, nie musi się obawiać... Czuła, jak w jego ramionach opuszcza ją napięcie. Dan obsypywał czułymi pocałunkami jej policzki, powieki, bez makijażu białe i delikatne jak płatki narcyzów; jej nos, pokryty ledwo widocznymi piegami. Pożądanie płonęło w nim żywym ogniem, pragnął jej, lecz był świadom, że Ellie oczekuje od niego pociechy; bała się miłości. Jego język znalazł kącik jej ust, pieścił, badał...

- Wspaniała - szepnął jej do ucha - lepsza niż tarte tatin.

Rozkoszny ogień zapłonął w dole jej brzucha. Rozchyliła usta pod naporem jego warg, zaplotła ręce na jego karku, bawiła się miękkimi włosami. Pocałunek był coraz głębszy, miała wrażenie, że z każdym oddechem jest słabsza, bardziej bezbronna.

- Nie powinniśmy - mruknęła między pocałunkami, wsłuchana w szybki rytm jego serca.

- Podaj jeden rozsądny powód, dlaczego nie. - Leciutko kąsał jej ucho, pieścił wargami jej szyję, muskał linie obojczyka.

Zadrzała z rozkoszy. Przecież nie byłoby nic złego w tym, że miałyby kochankę, zapewniała się. Oboje są dorośli, oboje są bezgranicznie oddani pracy. Nie wiążą żadnych planów w związku z jedną nocą, a poza tym mogliby nadal być przyjaciółmi... Czuła, jak mu ulega, pragnęła go coraz bardziej...

Otworzyła oczy, spojrzała na niego rozmarzonym wzrokiem.

- Przecież - szepnęła ochryple - nie jesteśmy zakochani...

- Nie, skądże... Z całą pewnością nie jesteśmy zakochani... -

Dostrzegła pytanie w jego wzroku, a on dostrzegł jej odpowiedź; płonące spojrzenie opałowych oczu, pragnienie. Trzymając się za ręce, weszli na górę po skrzypiących schodach.

Pod Ellie ugiwały się nogi, osunęła się na łóżko. Nie chodzi tylko to, że nie kochała się od dawna. Nigdy nie czuła się tak jak teraz. Nie czuła takiej wszechogarniającej czułości i jednocześnie płomienia, który jego oczy i dłonie wzbudzały na każdym skrawku jej ciała.

Dan ściągnął z niej koszulkę, rozpiął koronkowy stanik i znieruchomiał na chwilę, żeby nacieszyć oczy widokiem idealnie krągłych piersi. Delikatnie pieścił sutki językiem, sprawiał, że wyginała się z rozkoszy, szeptała jego imię. Jego dłonie uczyły się gładkości jej pleców, krągłości piersi. Była taka słodka, taka uległa w jego rękach... Płonął z pożądania, lecz się nie spieszył, chcąc, by pragnęła go tak samo mocno, jak on jej...

Zdjęła dzinsy. Serce stanęło mu w piersi, gdy na nią patrzył: piękną, smukłą, silną, tylko w białych majteczkach skrywających jej nagość. Rude włosy rozsypały się jej na piersi, kiedy się uniosła na łokciu, by popatrzeć, jak on się rozbiera.

Położył się obok, przesunął dłonią wzdłuż jej ciała. Miał szorstkie, twarde ręce, ręce mężczyzny, który pracuje ramie w ramie ze swoimi robotnikami, razem

14-Wcześniej...

209

z nimi tworzy swoje życie, swoją przyszłość... przyszłość bez niej. Szybko odepchnęła tę myśl jak najdalej od siebie. W tej chwili liczy się jedynie dotyk jego ust na jej ciele, jego język odkrywający magiczne zakątki. Unosiła się gdzieś w przestrzeni, przepełniona rozkoszą. Wykrzyczała w ciemność jego imię...

Patrząc jej prosto w oczy, wchodził w nią powoli, ostrożnie.

Poruszyła się niespokojnie, chcąc poczuć go prędzej. Pasowali do siebie idealnie, jakby byli dla siebie stworzeni, poruszali się w tym samym rytmie.

Błądziła dłońmi po jego wilgotnej skórze, oplatała go nogami, żeby poczuć go głębiej w sobie, a potem spadała z niebotycznej wysokości, wołała go, bezwstydna w rozkoszy. I oto spadali razem w srebrzystą otchłań. Leżeli bez ruchu, ciągle wtuleni w siebie.

Dan uniósł się na łokciach. Na poduszce rozsypała się aureola rudych włosów, opałowe oczy pociemniały od namiętności, jej skóra była jak gorąca satyna. Łagodnie pocałował ją w usta. Najchętniej powiedziałby, że ją kocha, jednak nie zapomniał lęku w jej spojrzeniu. Nie chciał jej spłoszyć.

- Jesteś piękna - szepnął tylko.

- Ty też. - Z uśmiechem wsunęła dłoń w ciemne kręcone włosy na jego piersi. -1 co jest lepsze?

Nie wiedział, o co jej chodzi.

- Lepsze niż co?

- To czy tarte tatin!

Zsunął się z niej z głośnym śmiechem.

-Nie ma porównania, szefie. Ale słyszałem, że jesteś wielostronnie utalentowana.

- Ty też. - Nie przestała się uśmiechać. Objęła go za szyję, pocałowała i szepnęła do ucha: - Dziękuję. - Potem wstała i włożyła różowy szlafrok.

Dan nie wierzył własnym oczom. Szlafrok był bardzo stary, różowy odcień koszmarnie się gryzł z rudymi włosami. W jednej chwili

przemieniła się z namiętnej kochanki we wrażliwą dziewczynkę.
- Wiem, nie jest to zbyt seksowna bielizna – przyznała z tym olśniewającym uśmiechem od ucha do ucha. – Mam go, odkąd skończyłam siedemnaście lat, i nie mogę się zdobyć, żeby go wyrzucić.

Nagi, wzruszył ramionami.

- Niektórzy mają maskotki, ty masz szlafrok. Czubkiem palca pchnęła go z powrotem na łóżko.

- Niech pan tu poczeka, panie Cassidy, dumny właścicielu winnicy w stanie rozkwitu – powiedziała.

Leżał na wznak, z rękami splecionymi pod głową, i rozmyślał, jak różnorodne formy przybiera miłość. Ta przyszła do niego niepostrzeżenie, wbrew logice, niemal wbrew jego woli. Na dodatek nie może jej Ellie wyznać. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek stanie przed takim dylematem, i nie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Z głośników ponownie popłynęła muzyka, spokojna, liryczna. W drzwiach stanęła Ellie. Przyniosła butelkę vin santo, dwa kieliszki i paczkę ciasteczek migdałowych.

210

Przycupnęła na łóżku obok niego.

- Nie wiem, czy to mała gosposia, czy szef kuchni przeze mnie przemawia - wyznała - ale odczuwam nieodpartą potrzebę karmienia mojego mężczyzny.

- Podoba mi się to. - Usiadł, otworzył wino, napełnił kieliszki. - Dzięki temu czuję się upragniony.

Ellie miała ochotę śpiewać z radości. Jej pokój, cały dom był zupełnie inny z Danem. Promieniował męskością, która rozpedzi nocne strachy, jego zmysłowe ciało dawało jej rozkosz... i miłość. Chociaż tego ostatniego nie chciała, jeszcze nie.

Z uśmiechem wsunęła mu do ust migdałowe ciasteczko.

- Wspaniałe - szepnął. Spojrzeli sobie w oczy.

Patrzył, jak pije słodkie deserowe wino, i nie był w stanie oprzeć się pokusie. Przysunął się bliżej, musnął czubkiem języka jej usta. Była tak słodka, tak kusząca... Delikatnie wyjął kieliszek z jej nagle bezwładnych dłoni, odstawił na stolik, z powrotem ułożył ją na poduszkach.

Leżała z rękami za głową, z oczami pociemniałymi z pragnienia, gdy powoli rozwiązywał węzeł różowego szlafroka. Była naga i wszystko zaczęło się od początku.

W samochodzie Buck wpatrywał się w jasne okno sypialni. Płakał. Nie wiedział, że jest w stanie znieść taki ból. Będzie musiał zabić

Ellie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i jak szalenciec pognął z powrotem do swego mieszkania. Nie zwracał uwagi na gęstą mgłę. W kawalerce zaryglował za sobą drzwi, walił pięściami w ściany, wył z rozpacz.

Jego sąsiad z góry, młody chłopak, który oglądał program muzyczny, na chwilę ściszył telewizor. Ciekawe, na którym kanale dają horror, zaciekawiał się, po czym ponownie nastawił muzykę.

Rozdział 58

o.

budzili się jednocześnie i jednocześnie zobaczyli r pełną butelkę wina i ciasteczka rozsypane po podłodze. Słońce sączyło się przez zasłony, ścieliło złotem na ich ciągle splątanych ciałach.

Ellie, która nadal czuła przyjemne ciepło ich miłości, podniosła na niego zaspany wzrok. Uśmiechnęła się, gdy napotkała jego spojrzenie.

- Cześć, przyjacielu.

Jej leniwy głos był jak miód w jego uszach.

- Cześć, szefie. Kawa czy herbata?

- Ja się tym zajmę. - Chciała wstać, ale przyciągnął ją do siebie.

- O nie, tym razem ja się zabawię w kucharza. Poradzę sobie z zawartością każdej lodówki.

Zachichotała z twarzą wtuloną w jego pierś.

- Nie z moją. Znajdziesz tam limonki i butelkę szampana.

- Słucham? A gdzie domowy chleb? Bułeczki? Placki z jagodami?

Na widok jego zdumionej miny nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Pewnie się zastanawiasz, co ze mnie za szef kuchni - powiedziała.

- Ale wiesz, szewc bez butów chodzi. Co rano porywam w biegu kubek kawy i jadę na targ. O Boże! - Poderwała się gwałtownie. - Powinnam już tam być!

Dan westchnął głęboko. Już go nie słyszała, biegła pod prysznic.

Znowu liczyła się restauracja, praca. Jej życie. Jej świat.

- Chcesz powiedzieć, że wyrzucisz mnie na dwór bez kawy? W taki zimny poranek? - Nagi, oparł się o drzwi łazienki.

- Niestety tak. - Zerknęła na niego co chwila, podziwiała fantastyczny widok. - Takie jest życie, panie Cassidy.

Zastanawiał się, czy nie dołączyć do niej pod prysznicem, wyczuwał jednak, że teraz miała w głowie tylko nadchodzący dzień. Rzucił jej ręcznik. Owinęła się niedbale i wybiegła z łazienki.

212

- Twoja kolej! - krzyknęła, jakby byli współlokatorami w college'u.

Dostrzegł iskiereki śmiechu w jej oczach. Objął ją i mocno pocałował.

- Z jakiej to okazji? - Ze śmiechem wyrwała się z jego objęć. Uznał, że za ten dźwięk, za jej śmiech, dałby się wyrzucić bez kawy jeszcze wiele razy.

Dziesięć minut później wybiegli na ulicę.

- Uważaj, sąsiedzi - zażartowała, kiedy znowu ją całował. - Do zobaczenia. Spod zmrużonych powiek obserwował, jak wyprowadza cherokee z garażu.

Zacisnął zęby, gdy o milimetry mijała explorera. Pomachała mu radośnie.

- No, no, no, Cassidy, masz nerwy ze stali. - Odjechała.

Z uśmiechem krążył ulicami w poszukiwaniu otwartej kawiarni. Gorąca kawa i dobra kobieta to wszystko, czego mężczyźnie potrzeba do szczęścia, zdecydował. A może odwrotnie? Tak czy inaczej, był na dobrej drodze.

Sen nie zniknął. Powrócił tej nocy, gdy znowu była sama, i każdej następnej. Teraz jednak nie przerażał jej aż tak bardzo. Teraz, gdy budziła się spocona i przerażona, wyobrażała sobie, że Dan jest przy niej, czuła jego ciepło w mroku. Wiedziała, że wystarczy podnieść słuchawkę, lecz dzwonił do niej co wieczór, odkąd się kochali, i nie chciała go budzić w środku nocy.

Niemniej brak snu nie zostawał bez śladu. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Znała tylko jedno lekarstwo: pracę, pracę i jeszcze raz pracę. I nadzieję, że wkrótce znowu spotka się z Danem.

RozcMał59

T

ego wieczoru w restauracji panował duży ruch, co bardzo Ellie odpowiadało. Im więcej pracy, tym mniej czasu na myślenie. Może w końcu zaśnie.

Dzwonek w drzwiach oznajmił przybycie nowych gości, więc złapała karty dań i pospieszyła ich powitać. Podała czerwone wino, koszyk świeżego, chrupkiego pachnącego chleba i poleciła specjalności tego dnia: naleśniki z nadzieniem z krabów, imbiru i świeżych owoców mango, i comber jagnięcy.

Maya, która obserwowała ją uważnie, doszła do wniosku, że z przyjaciółką jest coraz lepiej, choć była na tyle mądra, by o nic nie pytać. Po co, skoro i tak usłyszy: „Mam się doskonale, dzięki”.

Nerwowo potarła bolącą szczękę. Ząb mądrości znowu dawał o sobie znać. Nie ma co się łudzić, na pewno coś z nim nie w porządku.

- Jeśli nie chcesz mieć buzi jak księżyc w pełni, idź jutro do dentysty – poradziła Ellie w biegu.
- Boję się dentystów i ich przerażającego sprzętu, igieł, nie cierpię, kiedy stukają mi czymś zęb i pytają czy boli. „Nie, skądże, panie doktorze, tak tylko sobie wrzeszczę”. Przyznaję, jestem tchórzem.
- Dobra, więc bądź sobie tchórzem i wyglądaj jak potwór. Maya uległa.
- Pójdę jutro rano – bąknęła.
- Weź dzień wolny, a lepiej dwa. Jake cię zastąpi. Jeśli dasz radę mówić, zadzwoń do mnie, kiedy będzie po wszystkim.
- Sadystka.
- Nie martw się, wpadnę do ciebie wieczorem, z rosółkiem i szampanem, jedno i drugie będziesz piła przez słomkę.
Ellie rozejrzała się po kuchni. Tej nocy unosiły się tu wyjątkowo smakowite zapachy. Chan wyjmował z pieca apetyczne jagnięce combry. Podadzą je

214

z ziemniakami z rozmarynem i zielonym groszkiem. Na upieczenie czekały gruszkowe tarte tatin Ellie, a Terry z zapałem mieszał waniliowy creme ang-laise.

Ellie odetchnęła. Wszystko się dobrze układa. Świetnie, przy restauracji pełnej do ostatniego stolika brakowało jej jeszcze tylko kłopotów w kuchni.

Ostatni goście wyszli przed północą i mogła w końcu zamknąć drzwi wyjściowe i przekręcić wywieszkę na „Zamknięte”. Zerknęła na Mayę. Przyjaciółka kuliała się na krześle i trzymała za obolały policzek.

- Idź do domu – poradziła. – Wyglądasz okropnie.
- Dzięki, zapamiętam to sobie. – Maya rozczułała się nad sobą. – Ale może rzeczywiście pójdę, jeśli dasz sobie radę beze mnie.
Ellie wepchnęła jej w ręce torebkę i żakiet.
- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się ucieszysz, kiedy jutro zasiądziesz na fotelu dentystycznym.
Zadzwoił telefon, więc szybko wypchnęła Mayę za drzwi i podniosła słuchawkę.
- „U Ellie”.
- Pomyślałem sobie, że zadzwonię i sprawdzę, czy dalej harujesz. Wystarczył dźwięk jego głosu i od razu poczuła się lepiej.
- Dalej haruję. A ty?
- Jutro wczesnym rankiem jedziemy z Carlosem do Napa. Chcemy

obejrzeć tamtejsze winnice, kupić szczepy, nauczyć się czegoś nowego. Wróć za kilka dni. Spotkamy się wtedy?
Zamknęła oczy i wyobraziła go sobie w swoim małym domku, jak jego obecność rozpędzi ponure myśli, jak przy nim wyblakną koszmary.

- Bardzo bym chciała.
- Świetnie. Idziesz teraz do domu?
- Wkrótce – zerknęła na zegarek. – Nie martw się, nic mi nie będzie.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.
- Zadzwoń z Napa.
- Fajnie.
- Więc na razie, Ellie.
- Na razie, Dan... – Mało brakowało, a dodałaby „kocham cię”. W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Czuła się teraz dużo lepiej. Energicznie zabrała się do pracy: ścierała stoły, chowała przepisy, myła ekspres do kawy. Zanim wyszła, dochodziła druga. Miasto znowu zasnuwała mgła.

Tylko jeden jedyny samochód przejechał obok, gdy sprintem biegła na piętrowy parking. Czteropiętrowy budynek był ciemny i cichy. Nagle pożałowała, że nie wyprowadziła stąd samochodu wcześniej i nie postawiła na płatnym miejscu przed restauracją.

215

Jej stopy głośno stukały po podłodze. Wbiegła do windy, nacisnęła trzecie piętro i wbiła wzrok w ziemię, żeby nie czytać sprośnych napisów na ścianach. Nagłe szarpnięcie wyrwało ją z zadumy.

Zrobiła krok w stronę drzwi, czekała, aż się otworzą. Nic z tego. Spojrzała na wskaźnik. Utkwiła między drugim a trzecim piętrem. Nerwowo naciskała guziki, ogarnięta paniką, że będzie tu sama przez całą noc. Winda ani drgnęła. Gorączkowo waliła w każdy przycisk. W końcu winda ruszyła w górę. Ellie odetchnęła z ulgą. Tylko że wcale się nie zatrzymała na trzecim piętrze.

- Głupia maszyna – mruknęła pod nosem. Na czwartym wyskoczyła z kabiny jak z procy i pobiegła w stronę ciężkich metalowych drzwi, za którymi kryły się schody. Nie ma mowy, nie wsiądzie już do tej windy. Zejdzie jedno piętro schodami.

Usłyszała jakiś hałas za sobą. Zawahała się z dłońmi na kłame. I znowu. Tym razem wyraźnie słyszała kroki. W panice biegiem puściła się schodami. Na trzecim piętrze gorączkowo przeszukiwała torebkę. Gdzie kluczyki? Jej samochód stał po przeciwnej stronie,

musiała przejść całe piętro. Nie zdąży tam dojść, znaleźć kluczyków i wyjechać. Drzwi windy były otwarte. Wbiegła do środka, żeby zjechać na dół.

Kiedy zamknęły się z nią drzwi, osłabła z ulgi. Musi się wydostać z parkingu, przebiec pół przecznicy do Main, zawołać pomoc.

Wydzie stąd i będzie bezpieczna...

Winda stanęła, tym razem na drugim.

– Boże, nie, to niemożliwe! – Ellie wściekle waliła pięścią w guziki.

Winda ani drgnęła.

Przywarła do metalowej ściany. Nie słyszała nic, oprócz obłąkańczego walenia własnego serca. Usiłowała sobie przypomnieć, czego się nauczyła na kursie samoobrony. Nie panikuj, upomniała się. To najgorsze, co możesz zrobić.

Winda ruszyła w dół. Ellie z głębokim westchnieniem podeszła do drzwi, chcąc jak najszybciej wyjść.

Czekał na nią, z maską na twarzy, z otwartymi ramionami. W białym świetle jarzeniówek nóż w jego dłoni błyszczał lodowato.

Przez straszną, nieskończenie długą chwilę patrzyła mu w oczy.

Rzuciła torebkę pod nogi.

– Proszę to wziąć. Nie wiem, kim pan jest, nikomu nie powiem, tylko proszę pozwolić mi odejść.

Jej zazwyczaj niski, zmysłowy głos, był piskliwy ze strachu. Buck uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Nie chcę twoich pieniędzy, Ellie – szepnął.

I rzucił się na nią. Czowała jego pot, jego oddech na twarzy, jego silne ręce.

Gniew dodał jej siły. Wykręciła się błyskawicznie, wbiła mu łokieć w klatkę piersiową. Poluzował uścisk. Kopała i okładała go pięściami, starając się celować w kolana, krocze. Pochylił się nieopatrznie i przejechała paznokciami po zamaskowanej twarzy.

Była silna, pluła, gryzła, drapała.

216

Buck spociał się z wysiłku. Z całej siły pociągnął ją za włosy. Upadła na ziemię.

Ukląkł nad nią. Znieruchomiała ze strachu patrzyła, jak jego pięść zbliża się do jej twarzy w zastraszającym tempie. Po chwili przeszywającego bólu straciła przytomność.

Wyczerpany, wziął ją na ręce. Zabrał jej torebkę, wszedł do windy i wjechał na czwarte piętro. Stało tam jedynie czarne BMW. Starannie ułożył Ellie w bagażniku, wsunął jej poduszkę pod głowę, przykrył kocem i zatrzasnął wieko.

Za kierownicą ściągnął maskę z twarzy, otarł pot z czoła, poprawił zmierzwione włosy. Ciągłe ciężko dysząc, wyprowadził samochód na pustą ulicę.

Faza czwarta dobiegła końca. Jest wolny i ma Ellie. Dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Rozdział 60

N

ad dolinami Napa i Sonoma wisiała ciężka mgła.

Przemierzając wynajętym chevroletem winnice, Dan pomyślał, że równie dobrze mogliby być w Bordeaux. A gdy mijali wspaniałe pałacyk Domaine Carneros, kopię osiemnastowiecznej siedziby rodziny Tait-tingerów, Chateau de la Marquetterie, Kalifornia mogła z powodzeniem udawać Szampanię. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, młode winogrona. Pieszczone, podlewane, chronione.

– I to wszystko dla butelki wina – mruknął. Był pod wrażeniem.

– Dobrego wina, senor – uzupełnił Carlos. W otoczeniu winnic odżył, a w czasie zbioru, gdy powietrze przepelni charakterystyczny cierpki aromat, będzie w siódmym niebie. – Proszę pamiętać, senor, wieśniacy pędzili wino od setek lat. Stanowiło ich codzienny napój.

– Z namysłem podkreślił węża. – A z moją pomocą, senor, będzie pan miał najlepsze wino w okręgu Santa Barbara.

– Trzymam cię za słowo. – Dan się uśmiechnął; Carlos chyba nie słyszał jego komentarza, z takim zapałem omawiał mijane winnice. Ta jest niezła, ale daleko jej do doskonałości, ta się zdecydowanie poprawiła, a ta eksperymentuje ze szczepami włoskimi.

Chevrolet wjechał na teren winnicy znanej z doskonałego cabernet.

Dan z zazdrością patrzył na rzędy bujnej winorośli, na zadbane parki, eleganckie rzeźby, galerie i przytulne pomieszczenie do degustacji.

Pewnego dnia Running Horse też będzie tak wyglądać, obiecał sobie. Wyobrażał to sobie w najmniejszym szczególe.

Zielone zbocza, ogrody, degustację. Będzie tam nawet mała restauracja. Nic wymyślnego, tylko mała francuska knajpka, gdzie rudowłosa piękność piecze domowy chleb i tarte tatin.

Nagle pożałował, że nie zabrał Ellie ze sobą. Miałyby chwilę odpoczynku od codziennej rutyny, byliby razem. Powinien był jej to zaproponować wczoraj wieczorem.

218

Po jej głosie poznał, że jest zmęczona, niepodobna do zwykłej zadziornej Ellie. Niestety, jest za późno. Może jedynie zadzwonić do niej z hotelu i poprosić, żeby do niego dołączyła. Carlos wróci, a oni zostaną jeszcze dzień lub nawet dwa.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak spacerują wśród najlepszych winnic Kalifornii i zaglądają do słynnych restauracji. Chciałby, żeby już tu była.

Rozdział 61

M

aya postanowiła spędzić to popołudnie w łóżku. Nie mogła leżeć, bo w pozycji i horyzontalnej cała twarz ją bolała, jakby miała za sobą frontalne zderzenie z dziesięciotonową ciężarówką. Kiedy siedziała, była to ciężarówka o połowę lżejsza. Z nadzieją, że przyniesie to ulgę, owiązała szczękę czerwoną bandaną i zrobiła sobie na czubku głowy gustowną kokardę. Gdy nieopatrznie zerknęła w lustro, jęknęła głośno.

– Takie są skutki słuchania twoich rad, Ellie Parrish Duveen! – wymamrotała drętowymi ustami. Poszła do dentysty i co? Dopiero teraz miała twarz jak księżyc w pełni, a bolało jeszcze bardziej. Nie mogła nawet zadzwonić do Ellie, żeby się pożalić, bo nie była w stanie mówić.

A właściwie dlaczego Ellie do niej nie dzwoni? Też mi przyjaciółka! Maya połknęła tabletkę przeciwbólową. Chciała zasnąć, żeby chociaż przez pewien czas niczego nie czuć. Ellie pewnie zadzwoni później.

Rozdział 62

o.

siedemnastej trzydziści Chan ciskał garnkami i gniew-' nie mamrotał do Terry'ego:

– Więc gdzie one są? Gdzie Ellie, gdzie Maya? Co to znaczy, mam sam wszystko robić? – Ze złością wbił tasak w kawał baraniny. – Gdzie one się podziewają, u licha?

Na Terry'ego jego ataki nie robiły wrażenia.

– Maya była u dentysty, wyrwali jej ząb mądrości. Ellie pewnie jest u niej, wspominała coś o szampanie i rosale.

– Opijają się szampanem, a ja za nie haruję? – Chan nie posiadał się z oburzenia. – A kto niby będzie obsługiwał klientów, pytam się? Terry wyjął z pieca blachę pieczonych kartofli z Idaho. Kroił je na pół i wydrążył jasny miąższ, który potem ubije na gładką masę. Co chwila krzywił się z gorąca.

– Jake przyjdzie za Mayę. – A kto przyjdzie za Ellie?

– Sama się zjawi. – Terry nie podnosił głowy. Zależało mu, by puree było bez zarzutu.

Chan wściekle walił tasakiem w jagnięcy udziec. Nagle otarł łzę z oka.

- Biedna Ellie - mruknął. - Taka straszna tragedia. Będę tu sam przez jeden wieczór, i co z tego?

Jake wszedł do kuchni sprężystym krokiem.

- Cześć, chłopaki. - Powiesił kurtkę na wieszaku i opasał się białym fartuchem kelnera. - Jak leci?

- Ellie nie przyszła. - Chan przejął dowodzenie. Sprawnie wsunął do pieca brytfankę z jagnięciną, którą uprzednio posypał rozmarynem, tymiankiem i posiekany czosnkiem. - Znasz kogoś, kto by ci pomógł na sali?

Jake był zdumiony. Ellie przychodziła zawsze. - Jasne. Co jest, zachorowała?

221

- Chyba chodzi o babkę. - Chan wzruszył ramionami. - Czasami pewnie nie daje sobie z tym rady, i tyle.

Jake skinął głową. Już trzymał słuchawkę w dłoni. Od dawna widział, jak Ellie ugina się pod swoim brzemieniem.

- Może zadzwoni. - Chan wrzucił posiekane pomidory na patelnię. - Później.

Rozdział 63

E

llie z jękiem rzuciła się z boku na bok. W jej głowie lśniło białe światło. Chciała przed nim uciec, ukryć się w bezpiecznym mroku nieświadomości. Ból pulsował za powiekami, huczał w uszach, szczyrzymi zębami nękał mózg. Powoli ostre światło przygasło i Ellie odzyskała przytomność.

Leżała na miękkim pościeliu, nad nią widniały deski sufitu. Pod głową miała poduszkę w powłoczce z białej satyny, leżała pod kołdrą z białej koronki z różowym wykończeniem. Podłogę przykrywały puszyste białe chodniczki, niewielką toaletkę zdobiła biała falbanka i różowe wstążeczki. Przy łóżku białe kapcie z puchem marabuta czekały, by wsunęła w nie stopy.

Przez chwilę całkiem poważnie zastanawiała się, czy aby nie umarła i nie trafiła do jakiegoś motelu w piekle. Potem dostrzegła odbicie swojej twarzy z potężnym siniakiem. I już pamiętała.

Z trudem przetrzymała nogi przez krawędź łóżka. Wstała. Nadal miała na sobie dzinsy i koszulkę z napisem „U Ellie”, lecz znikły jej buty i kurtka. Rozejrzała się dokoła. Pokój, wyłożony ciemną boazerią, był ponury, ciasny, jak trumna. Poszukała wzrokiem okna. Zabite deskami. Rzuciła się do drzwi. Bez klamki. Jak przerażony królik wbiegła do małej łazienki. Bez okna, bez wyjścia. Z powrotem w sypialni, usiłowała obluzować deskę w oknie. Bez skutku.

Przyłożyła oko do szczeliny. Niczego nie widziała.

Z piersi wyrwało się jej drugie westchnienie. Nie wiedziała, czy to dzień, czy noc. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani kto ją uwięził.

W panice analizowała każdy szczegół umeblowania. Nie było telewizora, radia, telefonu. Na nocnym stoliku piętrzył się stos tygodników, ale ani jednego dziennika. Obok stała butelka wody Evian, plastikowy kubek, czekoladowy batonik i niebieska miska z jabłkami.

Otworzyła szafę. Była pełna ubrań. Sukienki, swetry, dzinsy, buty, koronkowe koszule nocne. Spojrzała na metki. Jej rozmiar, wszystko, bez wyjątku. Podbiegła

223

do toaletki, gwałtownie wyciągnęła szufladę. Z przerażeniem popatrzyła na seksowną bieliznę. Podniosła wzrok i zobaczyła butelkę l'Eau d'Issey. Jej perfumy. Obok szminka Bobby Brown, jej odcień. W łazience znalazła ulubiony płyn do kąpieli, balsam do ciała, puder...

Wiedział o niej wszystko, znał każdy, najbardziej intymny szczegół. Musiał ją śledzić, obserwować, był w jej domu, zaglądał do jej szaf, dotykał jej życia swoimi brudnymi łapami. I stworzył ten koszmarnie romantyczny pokój specjalnie dla niej.

Kolana się od nią ugięły. Ciężko przysiadła na krzeselku obitym różowym welurem. Z lustra patrzyła przerażona twarz.

– Boże! – szepnęła. – Boże, pozwól mi z tego wyjść cało!

Rozdział 64

D

an i Carlos zatrzymali się w niewielkim hoteliku. Motyw przewodni w wystroju wnętrza stanowiły, jakżeby inaczej, winogrona. Były wyrzeźbione na meblach, widniały na obiciu kanapy, zieleniły się na kafelkach w łazience. Dan pomyślał, że można się upić od samego patrzenia.

Była siódma, zanim udało mu się wygospodarować chwilę na telefon do El-lie. O tej porze w restauracji jest duży ruch, ale nie mógł już dłużej czekać. Chciał usłyszeć jej głos, powiedzieć, że za nią tęskni.

- "UEllie".

Na dźwięk męskiego głosu uniósł brwi w zdumieniu.

- Czy jest Ellie?

– Jeszcze nie przyszła. Mówi Jake, w czym mogę pomóc?

– Cześć Jake, tu Dan. Wiesz, gdzie jest?

– Chyba u Mai. Wyrywali jej dzisiaj ząb mądrości, Ellie

prawdopodobnie bawi się w anioła miłosierdzia.

– Dzięki, zadzwonię do niej później. – Dan z uśmiechem odłożył słuchawkę.

Zadzwonił do restauracji o dziesiątej. Ellie nadal nie przyszła i nie dzwoniła. Poprosił o numer Mai. Wykręciwszy go, niecierpliwie bębnił palcami po stole.

– Cześć, niestety nie mogę teraz rozmawiać – oznajmiła sekretarka automatyczna głosem Mai. – Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Dan cisnął słuchawkę na widełki, zadzwonił do Ellie do domu. Nie odbierała. Pewnie dalej jest u Mai, a Maya nie odbiera, bo nie może mówić. Spróbuje w nocy, kiedy Ellie już na pewno będzie w domu. Włączył telewizor, ale nie był w stanie się na niczym skupić, tylko nerwowo zmieniał kanały.

15-Wcześniej...

225

O jedenastej znowu sięgnął po telefon. I znowu, o północy. Nadal nikt nie odbierał.

Z rękami w kieszeniach przemierzał pokój w tę i z powrotem i bezmyślnie liczył winogrona na wykładzinie. Gdzie ona jest, do cholery?

Zadzwonił o pierwszej. I o drugiej.

Tej nocy nie zmrużył oka.

Rozdział 65

E

Ellie miała wrażenie, że spędziła w piekielnym pokoju z lampą o różowym abażurze wiele godzin. Głowa pękała jej z bólu, oczy piekły, w uszach szumiało, tak bardzo wysilała słuch w oczekiwaniu na jego kroki.

Usłyszała szcęk klucza w zamku i jej serce przestało bić. Drzwi uchyliły się powoli.

Przeżrana wpatrywała się w porywacza, a raczej jego odbicie w lustrze. Nie zdjął kominiarki. Podszedł do niej, delikatnie dotknął ramienia. Skuliła się, blada ze strachu.

Buck przesunął palcami po miękkiej gładkiej skórze, o której tak długo marzył.

– Cieszę się, że czujesz się lepiej, Ellie – szepnął ochryple. –

Przepraszam, że cię uderzyłem, ale zmusiłaś mnie do tego.

Zapewniam cię, wolałbym, żebyś przybyła tu dobrowolnie.

Jego szept budził uśpione wspomnienia, już kiedyś go słyszała, jednak nie mogła teraz tego umiejscowić.

- Moja Ellie - powiedział miękko. - Przywiozłem cię tu, bo chcę, żebyś była szczęśliwa. Widzisz, jak ładnie to dla ciebie urządziłem?
- Nie chciał jej wystraszyć namiętnością, da jej kilka dni, żeby do niego przywykła.

Otworzył szafę na oścież.

- Popatrz na te śliczne sukienki, w twoim rozmiarze i, mam nadzieję, twoim guście. Jak widzisz, pomyślałem o wszystkim. Jeśli jednak masz jakieś życzenia, powiedz, a będą spełnione.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie, więc dodał łagodnie:

- Zaplanowałem nasze wspólne życie, Ellie. Nie zabraknie ci niczego. Będziesz tu mieszkała jak księżniczka.

Dygotał z pożądania, ale nie tracił panowania nad sobą. Wrócił do drzwi.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa - dodał. - Tu, ze mną.

227

Ale nie tylko tego chciał. Z rozkoszą myślał o chwili, gdy będzie musiała umrzeć. Zrobi to, gdy się już nią nacieszy. Musi tak postąpić, żeby jego zemsta się dopełniła i żeby mógł odebrać nagrodę. Journey's End i wszystko, co ten dom symbolizował. Ellie rzuciła się za nim, wbiła paznokcie w szczelinę, chciała otworzyć drzwi. Na darmo. Załamana, oparła czoło o masywne drewno.

To wariat. Czytała o takich przypadkach. Miał na jej punkcie obsesję, polował na nią jak na zwierzynę. Tacy szaleńcy wierzyli, że posiadają swe ofiary na własność, mają nad nimi boską władzę.

Pod zamkniętymi powiekami zobaczyła silną twarz Dana.

Niebieskie oczy patrzyły na nią drwiąco, jak zawsze, ilekroć zrobiła coś szalonego. Dan! Dan jest policjantem! Będzie wiedział, co robić. Znajdzie ją.

Opadła na różowe krzesło, chcąc jak najdłużej zatrzymać kojący obraz. Czas mijał. I znowu szcęk klucza w zamku. Otworzyła oczy. Buck wtoczył do pokoju wózek, jakim w hotelu posługuje się serwis pokojowy. W kryształowym wazonie stała biała róża. Podsunął Ellie krzesło.

- Zupa fasolowa - oznajmił unosząc srebrną pokrywę. - Chleb z oliwkami, taki jak lubisz. Pieczony kurczak na zimno, zielona sałata i twoje ulubione wino.

Wydobył korkociąg z kieszeni, otworzył butelkę, napełnił kieliszek i podał jej z ukłonem. Ponieważ się nie odezwała, podszedł do drzwi.

- Smacznego, Ellie - rzucił wychodząc. - Uwierz mi, nie chcę cię skrzywdzić. Chce tylko, żebyśmy byli razem.

Znowu nie zareagowała. Zaciśnięła zęby. Dobrze, da jej więcej czasu. I tak każda kobieta zawsze się zakocha w swoim oprawcy. Starannie zamknął za sobą drzwi.

Ten dźwięk wytrącił ją z letargu. Była jego więźniem i tak miało pozostać. Na zawsze, sam to powiedział. Tylko on i ona, we dwoje. O nie, musi się stąd wydostać!

Podbiegła do stołu. Nóż był ze srebra, zastawa z porcelany z Limoges, karafka wina to szkło Baccarat. Jedzenie należało do jej ulubionych, podobnie jak wino, Chateau Beychevelle.

Głód skręcał jej wnętrzności. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd japo-rwał, nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła. Nagle poczuła, że umiera z głodu.

Uniosła kromkę chleba do ust, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. A jeśli jedzenie jest zatrute? Albo nafaszerowane narkotykami, żeby tym łatwiej ją zgwałcić? Odłożyła kromkę z żalem. Wróciła na różowy taborecik. Ukryła twarz dłońmi. Płakała.

– Dan – szepnęła. – Znajdź mnie, błagam. Błagam, znajdź mnie.

I wtedy sobie przypomniała. Dan pracował w Wydziale Zabójstw. Znajdował zwłoki.

Rozdział 66

G

zas upływał bardzo powoli. Każda minuta ciągnęła się Jjak godzina, każda sekunda trwała wieczność całą, a Ellie czekała na powrót swego prześladowcy. Umyła twarz zimną wodą. Tęsknie spoglądała na prysznic, lecz nie śmiała się rozebrać z obawy, że on wróci. Bez ubrania czułaby się jeszcze bardziej bezbronna. Zresztą niewykluczone, że japo-d-głada. Na tę myśl przeszył ją dreszcz; z nową obawą zerknęła na deski sufitu, spodziewając się zobaczyć tam obiektywy ukrytych kamer.

Skulona na różowym krzeselku zastanawiała się, czy Maya już zauważyła jej zniknięcie. Nie; przecież Maya poszła do dentysty i przez najbliższe dni nie pojawi się w pracy. A Dan pojechał z Carlosem do Napa. Ale chyba będzie do niej dzwonił? A Chan? Będzie chciał się dowiedzieć, czemu zaniedbuje restaurację, zadzwoni z pretensjami. Niemal słyszała, jak mruczy: Hej, co z tobą? Gdzie się podziewasz? Potrząsnęła głową. Nie ma co się łudzić. Chan wiedział, że goni resztkami sił. Nie będzie chciał jej przeszkadzać. Zalała się łzami.

Do tej pory nikt prawdopodobnie nie zauważył jej nieobecności.

Nikt jej nie szuka. Jest zdana sama na siebie.

Musiała zasnąć, bo nie słyszała szczęku klucza w zamku.

Gwałtownie uniosła zapuchnięte powieki. Stał w drzwiach. Tuż za jego plecami dostrzegła ciasny korytarz oświetlony gołą żarówką. Zastanowiło ją, czy na dworze panuje noc.

Za wełnianą kominiarką usta Bucka zacisnęły się w gniewną linię; nawet nie skosztowała wina, które specjalnie dla niej kupił. Bez słowa zabrał stół z jedzeniem i zamknął za sobą drzwi.

Musi się stąd wydostać. W panice rzuciła się do drzwi, usiłowała zajrzeć przez szparę przy progu; daremnie. Leżaka z twarzą wtulona w miękką wykładzinę; widziała jedynie wąskie pasmo światła.

Bezsilnie opadła na łóżko z satyny i koronek. Był silny, potężny, okrutny. Nie miała przy nim szans. Straciła resztki odwagi. Była w sytuacji bez wyjścia.

Rozdział 67

N

astępnego ranka Dan dzwonił do Ellie kolejno o szóstej i o siódmej.

– Na nic – powiedział do Carlosa. – Muszę wracać.

Carlos nie po raz pierwszy widział zmartwionego mężczyznę, i na dodatek mężczyznę zakochanego.

– Proszę się nie martwić, sehor – pocieszał, gdy na załamanie karku gnali do San Francisco, na lotnisko. – Wszystko będzie dobrze, zobaczy pan.

Dan oddałby wiele, by się okazało, że Carlos ma rację, ale w głębi serca miał przeczucie, że stało się coś złego.

Trzy godziny później byli już w domu. Na sekretarce automatycznej migotało czerwone światełko, znak, że ktoś zostawił wiadomość.

Dan błagał opatrność, by usłyszeć zeń głos Ellie. Włączył odtwarzanie.

„Cześć, tu Chan. Czy wiesz, gdzie jest Ellie? Muszę się z nią skontaktować, dziś wieczorem nie podejmuję się znowu sam otworzyć restauracji. Zadzwoń, proszę”.

– Gdzie ona się podziewa? Carlos zmarszczył czoło w zadumie.

– Bardzo kochała babkę. Jest załamana, nieszczęśliwa, w żałobie.

Może pojechała do Journey's End?

– Dlaczego sam na to nie wpadłem? – Dan już opróżniał szuflady w poszukiwaniu klucza, który mu zostawiła.

Brama z kutego żelaza była zamknięta, ale, jak Dan zapewnił Carlosa, to nic nie znaczy; może Ellie zamknęła je za sobą ze względów bezpieczeństwa?

Na żwirowym podejździe już kiełkowały chwasty, trawnik zdawał się zapuszczony, piękna fontanna z delfinem milczała. Mdłe słoneczne światło nie było

w stanie ożywić przybrudzonych okien, na schodach poniewierały się liście. Journey's End było zimne, obce, puste. Nigdzie nie było widać samochodu Ellie.

Dan pokonał stopnie paroma susami, nacisnął dzwonek. Słyszał, jak niesie się echem po domu, i gdzieś w głębi ducha wiedział, że nikt mu nie otworzy. Błyskawicznie pobiegł na drugą stronę, do drzwi kuchennych. Kuchnia była czysta i schludna; żadnych naczyń w zlewie, żadnych szklanek z nie dopitą herbatą.

Ich kroki niosły się ponurym echem po kamiennej podłodze. Nic się nie zmieniło, a jednak coś było nie tak. W domu panowała atmosfera starego muzeum.

– Ellie! – wołanie Dana niosło się po holu. – Ellie? Jesteś tu? – Z duszą na ramieniu otworzył drzwi do pokoju Miss Lottie.

Choć sprzątnięto tu gruntownie, na dywanie z Aubusson widniały blade brązowe plamy. Dan słyszał, jak Carlos zagląda do poszczególnych pokoi, woła Ellie. Potrząsnął głową. Zrozumiał, że szukają jej w niewłaściwym miejscu. Ellie by tu nie przyszła.

Została jeszcze tylko jedna możliwość. Dom.

Tego dnia korki na autostradzie nie były wielkie i po godzinie skręcił na prawo, w stronę Malibu Canyon. Miał szczęście, droga była dosłownie pusta i wkrótce pędził do Santa Monica. Z telefonu komórkowego zadzwonił do Chana, tak na wszelki wypadek.

– Nie, nie ma jej. – Kucharz był u kresu wytrzymałości. – Dzisiaj damy sobie bez niej radę, ale jutro nie. Może jutro wypowiem.

– Nie rób tego – poprosił Dan, skręcając w uliczkę Ellie. – Ona przyjdzie. W ogródku sąsiadów dzieci bawiły się czerwoną piłką.

Uliczka był spokojna,

wyglądała jak zwykle. Nerwowo nacisnął dzwonek, walił pięściami w drzwi. Śmiertelna cisza brzmiała złowroźnie. Cofnął się o krok, żeby widzieć okno sypialni.

– Ellie! – zawołał.

Dzieci sąsiadów straciły zainteresowanie piłką i ciekawie zaglądały przez płot.

– Nikogo nie ma – poinformował go mały blondynek.

– Widziałeś dziś Ellie?

– Nie, proszę pana. Ostatnio jej nie widziałem. Zazwyczaj daje nam ciasteczka. Mama mówi, że nie powinna tego robić, a Ellie się tłumaczy, że nie może się powstrzymać.

Uśmiechnął się; to zupełnie w jej stylu, zaraz jednak spoważniał.

– Dzięki, chłopaki! – krzyknął i wrócił do samochodu.

Telefon dzwonił uporczywie. Maya ściszyła telewizor, na którego ekranie stepowali Fred Astaire i Ginger Rogers. Niechętnie podniosła słuchawkę.

- Cierpię. Kto mówi?

- Dan Cassidy. Skrzywiła się.

- Proszę, proszę, farmer, któremu udało się sprowadzić Ellie z drogi tyleż prostej, co wąskiej. Pewnie jest z tobą i chce mnie przeprosić? Miała do mnie

231

przyjść, z szampanem i rosółkiem. Niezła przyjaciółka, co?

Porzuciła mnie w potrzebie!

- Nikt nie widział Ellie od dwóch dni. Miałem nadzieję, że jest u ciebie. Maya wyłączyła telewizor. Ogarniało ją złe przeczucie.

- Żartujesz!

- Chciałbym, żeby tak było.

- Nie widziałam jej od przedwczoraj. Rozstałyśmy się wieczorem w restauracji. - Pamiętała, jak Ellie podawała jej kurtkę i torebkę, wypychała za drzwi, a potem pobiegła do telefonu. Zaczęła się poważnie niepokoić. - Dan, gdzie ona może być?

Po jego odpowiedzi zorientowała się, że sam sobie zadaje to pytanie.

- Spokojnie - mruknął. - Na pewno nic jej nie jest. Znajdziemy ją.

Idę na policję.

- Zadzwoń - poprosiła błagalnie. - Informuj mnie na bieżąco.

- Dobrze.

Odłożył słuchawkę. Maya wyłączyła telewizor i długo patrzyła w pusty ekran. Ellie i ona były jak siostry bliźniaczki; porozumiewały się niemal bez słów. Czowała, że Ellie ma duże kłopoty.

Rozdział 68

D

etektyw Mikę Farrell z departamentu policji w Santa Monica nie miał cienia poczucia humoru. Wierzył święcie, że na każde pytanie można znaleźć logiczną odpowiedź, pod warunkiem że się wystarczająco długo i wytrwale szuka. Miał znacznie przerzedzoną ciemną czuprynę i tłustą cerę; oznakę zbyt wielu pączków i zbyt wielu nie przespanych nocy.

- Codziennie w Kalifornii zgłasza się zaginięcie wielu ludzi - stwierdził, bez przerwy bawiąc się plastikowym długopisem.

Dan skinął głową.

- Owszem, ale babki ilu z nich giną nagłą śmiercią zaledwie kilka tygodni wcześniej?

Farrell wyprostował się gwałtownie. Długopis znieruchomiał w pulchnych palcach.

- To pana dziewczyna?

- Spotykamy się. Ellie ciężko pracuje, spędza w w restauracji sześć dni w tygodniu.

- A z panem spotyka się w dzień siódmy, kiedy Bóg nakazał ludziom odpoczywać.

Dan z trudem panował nad sobą.

- Widujemy się w poniedziałki. Farrell zanotował na kartce.

- Może spotyka się z kim jeszcze, a pan o tym nie wie? -Nie.

Farrell uśmiechnął się złośliwie.

- Wszyscy tak twierdzą.

- Jezus, człowieku! - Dan walnął pięścią w stół. - Zaginęła kobieta.

Jej babkę zamordowano przed trzema tygodniami. To nie jest zwykła sprawa.

Farrell odsunął się z krzesłem. Przyglądał się Danowi uważnie.

233

- A czy kiedykolwiek przyszedł panu do głowy taki scenariusz? Może śmierć babki, ciężka praca i odpowiedzialność okazały się ciężarem ponad jej siły? Może się załamała i postanowiła od tego wszystkiego uciec? Takie rzeczy się zdarzają.

Dan pomyślał o żelaznym uporze Ellie, o tym, jak dzielnie przetrwała najtrudniejsze chwile; o jej odwadze, by wrócić do domu, do pracy, a nie odpoczywać na Running Horse.

- To nie w jej stylu. Farrell pokiwał głową.

- Więc chodźmy jej poszukać.

Rozdział 69

D

etektyw Mike Farrell przeprowadził nie oznakowanego forda przez ulice Santa Monica, do domu Ellie. Tym razem w ogródku sąsiadów nie było żadnych dzieciaków, na ulicy panowała cisza. Tuż za nim zatrzymał się wóz policyjny. Farrell towarzystwie Dana wszedł na kamienną dróżkę. Zadzwoił do drzwi. Wnętrze odpowiedział równie pustym echem jak w Journey's End.

W kieszeni miał nakaz rewizji. Na jego skinienie młody policjant wyłamał zamek. Funkcjonariusze rozglądali się po saloniku, a Dan pomknął na górę, do sypialni.

W pokoju Ellie panował porządek. Łóżko było pościelone, na kanapie przy oknie poniewierał się, niedbale rzucony, jej ulubiony różowy szlafrok, który stanowił tak gryzący kontrast dla jej rudych włosów. W łazience, w koszu na bieliznę Dan znalazł koszulkę, w

której spała. Ręczniki na wieszaku były suche, podobnie jak szczoteczka do zębów i mydło. Ellie nie było w domu od dłuższego czasu.

W drzwiach restauracji wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte”. Przed budynkiem stał wóz policyjny. Chan, Jake, Terry i dzieciak siedzieli przy stole z Far-rellem, inni policjanci stali nieopodal. Na obrusie w zielono-białą kratkę płonęła nieduża lampka. Dan ukrył się w półcieniu i z założonymi na piersi rękami słuchał, co mówili. Nie było tego dużo.

- Widziałem ją w piątek wieczorem. - Chan powtarzał to któryś z kolei raz. - Tu, w restauracji. Mieliśmy duży ruch, goście siedzieli do późna. O jedenastej zrealizowałem ostatnie zamówienie i poszedłem do domu.

- Ja skończyłem jakieś pół godziny później - wtrącił Terry. - Potem zjadłem w kuchni kolację i wyszedłem, po północy, razem z ostatnimi gośćmi.

Mało brakowało, a Jake rozkoszowałby się całą sytuacją; wyglądało to jak scena z serialu, nawet oświetlenie było niezłe.

235

- W piątek nie pracowałem - oznajmił. - Jestem tu tylko czasami, kiedy potrzebują kogoś do pomocy.

Dzieciak nerwowo przeczesał zwichrzoną blond grzywę.

Bezustannie myślał o skręcie w kieszeni dzinsów. Nie przepadał za glinami.

- Potem ja skończyłem zmywać. Wyszedłem po Mai.

- Mai? - Farrell spojrział na Dana pytająco.

- Przyjaciółka Ellie, pracuje jako kelnerka.

- Tego dnia bardzo ją bolał ząb - wyjaśnił Terry. - Zazwyczaj zostawała z Ellie, żeby jej pomóc sprzątać.

- A, rzeczywiście. - Dzieciak energicznie kiwał głową. - Słyszałem, jak Ellie każe jej iść do domu. Sam byłem już przy drzwiach kuchennych.

Farrell przyglądał mu się wyblakłymi oczami.

- Więc jesteś ostatnią osobą, która widziała Ellie tamtej nocy.

Dzieciak głośno przełknął ślinę.

- Jezu, nawet o tym nie pomyślałem. Nie wiem, może potem ktoś wszedł...

- Dokąd poszedłeś po pracy?

- Do klubu przy Abbot Kinney, „U Victora”.

- Znają cię tam?

- Pewnie, jestem tam stałym bywalcem. - Pocił się ze

zdenerwowania.

- Więc ktoś cię widział, będzie wiedział, o której przyszedłeś?

- Jasne... - Modlił się, oby tak było.

Ktoś energicznie dobijał się do drzwi. Farrell odwrócił się w stronę, z której dobiegał hałas, i zobaczył blondynkę, usiłującą dostrzec coś przez szybę.

- To Maya. - Terry wpuścił ją do środka.

Maya nie tyle weszła, ile wpadła do restauracji, tak bardzo się jej spieszyło. Miała ciągle opuchnięta twarz i oczy czerwone od płaczu. Bez makijażu, nie uczesana, w czarnych legginsach i powyciąganym swetrze, wyglądała jak zmokły kurczak ze sterzczącymi blond włosami. Gorączkowo złapała Farrella za ramię.

-Znalazł ja pan?

- Nie, proszę pani, jeszcze nie. -Zmierzył ją wzrokiem. - Pani Maya Morris, tak?

- A pan kim jest? - Była zniecierpliwiona, zła, przerażona. Dan oparł jej dłoń na ramieniu.

- Mayu, to detektyw Farrell. Pomoże nam szukać Ellie.

Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Nagle ciężko osunęła się na krzesło.

- Boże, gdzie ona jest? - Ukryła twarz w dłoniach. - Nie powinnam była zostawić jej samej. Było późno, powinnam była z nią zastać... Dan pogłaskał ją po głowie.

- Czy wiesz, gdzie Ellie zazwyczaj parkuje samochód? Podniosła na niego żaloszny wzrok.

-Na piętrowym parkingu, o przecznicę stąd. Mówiłam jej, że nie powinna tego robić, że w nocy jest tam sama jedna, ale upierała się, że dwa miejsca przy restauracji są dla kucharza i pomocnika. Jeśli robiło się bardzo późno, zostawiała samochód przy parkometrze, tuż przed restauracją. Ale tamtego wieczoru nie zrobiła tego...

Rozdział 70

Dan poczuł się jak nieopierzony absolwent akademii policyjnej, gdy wraz z Farrellem wjeżdżali do parkingu. Było wcześniej, zaledwie ósma, i większość miejsc była zajęta. Ludzie oglądali się za nimi ciekawie, gdy dwa wozy policyjne zatrzymały się z piskiem opon. Farrell informował swoich ludzi:

- Szukamy prawie nowego cherokee, numer rejestracyjny 3CVB28. Nietrudno go zauważyć, rzuca się w oczy.

Rzeczywiście, rzucał się w oczy. Stał na trzecim piętrze, zamknięty i

pusty, tak jak zostawiła go Ellie w piątek. Wtedy Dan zrozumiał, że ukochana tkwi w kłopotach po uszy.

Mimo początkowej niechęci musiał przyznać, że po odkryciu w garażu Farrell działał błyskawicznie. W kilka minut parking wypełnił się policjantami, którzy wypytywali ludzi przychodzących po samochody. Czy często tu parkują? A może byli w piątkowy wieczór? Dan był świadom, jak wiele zależy od żmudnej detektywistycznej roboty. Zostawił ich, wyczerpany. Zatrzymał się w hotelu Loews w Santa Monica.

Przy barze zamówił szkocką. Bezmyślnie wpatrywał się w ekran: grali Lakersi, ale nie był w stanie się skoncentrować. Bez przerwy myślał o Ellie. W kółko powtarzał sobie, co wiedzieli. I jeszcze raz, i jeszcze.

Dobra whisky rozgrzała mu żołądek, lecz nadal nie wiedział, co robić. Po meczu Lakersów zainteresowały go wiadomości o dziesiątej

„Jak donoszą nasi reporterzy, zaginęła właścicielka znanej w Santa Monica restauracji – oznajmił spiker. – Od ponad dwóch dni nie widziano Ellie Parrish Duveen, której babkę zamordowano zaledwie trzy tygodnie temu. Policja jej poszukuje. Nie wyklucza się porwania”.

Ekran wypełniła roześmiana twarz Ellie, prezenter podawał jej rysopis, a Dan czuł wzrastające napięcie. Policja prosi obywateli o pomoc. Każdy, kto widział zaginioną lub wie cokolwiek o miejscu jej pobytu, jest proszony o kontakt z policją w Santa Monica pod numerem telefonu...

Dan opróżnił szklanekę, zapłacił, wrócił do pokoju i zadzwonił do Piatowsky'ego.

– Jak leci? – Piatowsky się nudził; była to spokojna noc.

– Ellie znikła. Obawiam się, że ją porwano. – Dan szybko podzielił się z przyjacielem tym, co wiedział.

Piatowsky nigdy nie słyszał takiego tonu w jego głosie, takiej goryczy i rozpacz. Wyobraził sobie, co poczułby, gdyby to spotkało Angie albo jedno z dzieci...

– Myślisz, że to ten sam człowiek?

– Może.

– Wyruszam jak naj szybciej, będę u ciebie jutro rano. – Zawahał się. – Dan... -Tak?

– To nie wygląda dobrze...

Resztki nadziei Dana zawały się jak domek z kart. Musi spojrzeć prawdzie w oczy.

– Trzymaj się, Cassidy.

Odłożył słuchawkę. Będzie się trzymał, bo nie ma innego wyjścia. Musi znaleźć Ellie.

Rozdział 71

Kiedy zjawił się ponownie, przyniósł ze sobą śniadanie. Wygładził lniany obrus, podsunął jej krzesło.

– Masz tu sok, płatki kukurydziane, odtłuszczone mleko, żytnie tosty, masło i dżem jagodowy. W termosie jest świeża kawa. Smacznego, Ellie – powiedział cicho. I znowu zostawił ją samą. Zapach kawy nie dawał spokoju. Niemal czuła jej smak. Otworzyła butelkę wody, upiła trzy spore łyki, po czym zjadła batonik kilku zachłannymi kęsami.

Poczuła, że siły jej wracają. Gimnastykowała się przez chwilę, zanim wróciła na różowy taborecik.

Wrócił po jakimś czasie, żeby zabrać wózek z nietkniętym posiłkiem. Ellie obserwowała go spod zmrużonych powiek. Tym razem na nią nie patrzył, nie odezwał się ani słowem.

Leżała na łóżku, liczyła minuty, zastanawiała się, co robić. Podeszła do lustra. Jej włosy przypominały jeden kołtun, miała podkrążone oczy, opuchniętą szczękę. Umyła twarz, wklepała krem nawilżający, który znalazła w szafce. Wyszorowała zęby, wypłukała usta, rozczesała splecione włosy. Prysznic i czyste ubranie kusily, ale nie mogła znieść myśli, że włoży seksowną koronkową bieliznę, którą dla niej kupił.

Jak zwykle siedziała na różowym stołeczku, gdy wrócił z obiadem. Przynajmniej dzięki temu wie, która mniej więcej jest godzina. Uniósł srebrną pokrywę. Twarz w kominiarce była zwrócona w jej stronę.

– Rosół z kury – oznajmił ochryłym szeptem. – Pomyślałem, że może masz ochotę na coś lekkiego. Francuski chleb, wino, zielona sałata.

Zatoczył ręką łuk nad wózkiem, pokazując jej smakowite jedzenie, świeżą różę w srebrnym wazoniku, delikatną lnianą serwetę, kryształ, porcelanę, srebrne sztucce.

– Smacznego, Ellie – powiedział znowu. Zdawał się mówić to szczerze. Zauważyła, że ma głos kulturalnego, wykształconego człowieka. Przypomniała sobie złotą zasadę babci: dobre maniery, troska o innych, nieegoistyczne postępowanie. Nie pokona go siłą, może rozegra to psychologicznie.

Będzie miła, spróbuje z nim porozmawiać.

– Dziękuję–powiedział cicho. – To bardzo miło z pana strony. Zupa pachnie wspaniale.

Oczy Bucka zwięzły się, jego usta wykrzywił uśmiech. Przechytrzył psychiatrów, udawało mu się to przez dwadzieścia lat; bez trudu przejrzał jej intencje.

– Dobrze ci radzę, jedz, musisz być silna. – Zajął się otwieraniem wina.

– Dlaczego jest pan dla mnie taki miły? Podniósł głowę.

– A jak myślisz?

Wolała nie zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Ale mnie pan uderzył, sprawił ból.

– Mówiłem ci, nie zostawiłaś mi innego wyboru. Nie chciałaś iść dobrowolnie.

– Jak miałam iść dobrowolnie?! – Z trudem panowała nad głosem.

– Nie znam pana, nawet nie widziałam pańskiej twarzy.

– Zobaczysz. We właściwym czasie. Na razie radzę zająć się jedzeniem. Odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Nie odwrócił się.

– Kim pan jest? – Była zdesperowana. Musi się dowiedzieć.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się pod kominiarką.

– Jestem twoim przyjacielem, Ellie. – Z tymi słowami wyszedł.

Histerycznie waliła pięściami w drzwi, wrzeszczała ze strachu i złości. Buck westchnął z satysfakcją. To drobiazg, ale jakże przyjemny. Trzymał ją

w klatce, tak jak jego trzymała jej babka. Teraz przyszła jej kolej, żeby walić w ściany i wyć. Teraz on jest strażnikiem.

Wyczerpana Ellie opadła z powrotem na krzesło. Nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w jedzenie, w apetycznie zastawiony stolik. Była głodna i osłabiona i nie obchodziło jej już, czy potrawy są zatrute czy nie. Napila się wina, ugryzła kawałek chleba. Jej dłonie drżały, kiedy podnosiła jedzenie do ust. Pieczywo drapało ją w suche gardło. Z trudem przełknęła więcej wina, zjadła odrobinę zupy i drugą kromkę chleba. Po posiłku ułożyła się na łóżku i czekała na śmierć.

Mijał czas. Niecierpliwie kręciła się po pokoju. Do tej pory powinien tu zajrzeć, sprawdzić, czy zjadła. Od kiedy ją tu trzyma? Od dwóch dni? Trzech? Maya na pewno zauważyła jej nieobecność. I Dan już wrócił z Napa, chciał się z nią skontaktować. A Chan nie da sobie rady sam w restauracji, stanie na głowie, żeby ją znaleźć... Wściekła na własną bezsilność, cisnęła karafką o ścianę. Szkło rozprysło się na tysiąc kawałków z głośnym hukiem. Wkrótce

śladem karafki podążyła porcelana z Limoges. Ellie podbiegła do szafy, zrywała z wieszaków nowiutką garderobę, rzucała na ziemię. Z szuflady wyciągnęła garść seksownej bielizny i cisnęła na stertę ubrań. Deptała je z bezsilną złością. Potem, pod wpływem impulsu, wylała czerwone wino na białą satynową poduszkę.

Z niedowierzaniem patrzyła na coraz większą szkarłatną plamę. Oto jej sen staje się jawą, krew pełźnie po pościeli, zaraz jej dosięgnie... Z jej ściśniętej krtani wyrwał się krzyk, wysoki, przenikliwy krzyk strachu i bezradności.

Buck zjawił się biegiem. Popatrzył na rozbitą zastawę, rozlane wino, poplamione łóżko, na wszystkie te śliczne rzeczy, które kupił specjalnie po to, żeby sprawić jej przyjemność. Strażnicy w Hudson rozpoznaliby lodowaty błysk w jego oczach, martwy chłód głosu, wiedzieliby, co oznacza zginanie i rozprostowywanie silnych palców.

Okrażył łóżko, podchodząc coraz bliżej. Ellie cofała się, nie spuszczać z niego wzroku. Nagle poczuła za plecami ścianę. Nie miała dokąd uciekać. Poczuła, że oddech porywacza pachnie miętą. Jego dłonie najej piersiach, jego ciało tuż przy niej. Drżał, wiedziała, że jest podniecony.

– Nie! – Przywarła do ściany, odwracała głowę w drugą stronę. – Nie, nie, nie....

Za jego plecami dostrzegła smugę światła – zostawił otwarte drzwi. Uskrzydłona nadzieją, wyrwała się z jego objęć, ukucnęła, złapała go za nogi i pociągnęła. Ciężko zwalił się na ziemię. Biegiem puściła się do drzwi. Złapał ją za rękę, nie puszczał.

W świetle lampy srebrny widelec błyszczał jak kryształ. W mgnieniu oka zacisnęła na nim palce. Zarejestrowała nawet dziwne, niepokojące wrażenie, kiedy zęby widelca wnikały w miękkie ciało napastnika. Zatoczył się do tyłu, a ona znowu gnała do drzwi.

– Suka! – warknął. Nawet ranny, był od niej szybszy. Z całej siły uderzył ją w twarz. Walnęła głową o ścianę, lecz tym razem nie krzyknęła. Patrzyła mu prosto w oczy.

Patrzyła na niego tak samo, jak jej babka. Z obrzydzeniem, pogardą. Jakby był nikim.

Rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby ją związać. Jednym ruchem wyrwał sznur od lampy z gniazdka i skrepował jej dłonie na plecach. Bardzo długą chwilę mierzył ją w wzrokiem.

Potem wyjął z kieszeni nóż.

Czas stanął w miejscu. Ellie wpatrywała się w stalowe ostrze, które, jak przypuszczała, odbierze jej życie. On tymczasem odciął sznur od

lampy.

Dyszac ciężko, powoli zdjął kominiarkę z zakrwawionej twarzy.

Przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– Ed Jensen – szepnęła, ciągle nie wierząc własnym oczom. –

Dlaczego...? Nie odpowiedział. Odwrócił się i wyszedł.

Nie zamknął drzwi. Tęsknie wpatrywała się w biały przedpokój, drogę do wolności. Dlaczego? Dlaczego on? Kim jest?

Wrócił po chwili z kłębkim sznura. Skrępował jej nogi w kostkach i przeguby rąk, po czym usnął kabel.

Obserwował ją, owiazaną jak baleron.

– Och, Ellie, Ellie, ależ jesteś głupia – westchnął. – Nie rozumiesz, że nie masz szans? – Z tymi słowami dźwignął ją z ziemi i zaniósł do innego pokoju, na kanapę.

16-Wcześniej...

Choć leżała z twarzą wtuloną w poduszki, i tak słyszała, jak przez długą chwilę stoi obok, ciężko dysząc, a potem odchodzi.

Powoli odwróciła głowę w stronę światła.

Była w górskiej chacie. Przez okno w przeciwległej ścianie widziała górskie szczyty i ołowiane niebo. Ani śladu innych domów, sąsiadów, bawiących się dzieci, psów. Tylko drzewa i cisza. Jest gdzieś w górach, gdzie nikt jej nie znajdzie. Nawet jej ciała. Ciała, bo teraz już wiedziała, że Ed Jensen ją zabije.

Wracał, ciągnąc coś ciężkiego. Spojrzała kątem oka w tamtą stronę.

Była to wielka drewniana skrzynia, takich się używa przy przeprowadzkach. Podeszedł do kanapy, wziął Ellie na ręce i zaniósł do skrzyni.

Bezbronna, leżała na dnie jak zepsuta lalka, o zgiętych kolanach, rękach wykręconych do tyłu. Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Ich spojrzenia się spotkały na drugą chwilę. Potem opuścił wieko.

Młotek wbijał gwoździe z głuchym echem. Potem Jensen odszedł.

Trzasnęły drzwi. Szczękniętą klucz w zamku. A potem zapanowała cisza.

Rozdział 72

Dan czekał na lotnisku.

- Boże, jak się cieszę, że cię widzę! - Wyjął Piatowsky'emu torbę z ręki.

Piatowsky ocenił, że przyjaciel wygląda dokładnie jak człowiek, który nie spał od dwóch dni: nie ogolony, w pogniecionej koszuli, o

nie uczesanych, brudnych włosach.

- Jaki wynik?

- Zero dla nas.

- Powiedz mi, co wiemy - poprosił Pete w drodze przez zatłoczone lotnisko na parking.

- Nie ma tego dużo. Ostatni raz widziano ją w restauracji, w piątek wieczorem, mniej więcej za piętnaście pierwsza. Była sama. Nie znaleźliśmy w restauracji śladów włamania, drzwi były zamknięte na zamek, jak zawsze. W domu również wszystko wygląda normalnie. - Na wspomnienie jej sypialni i szlafroka Danowi zadrżał głos. - Samochód stał tam, gdzie go zostawiła, na czteropiętrowym parkingu. Zamknięty. Rozpłynęła się w powietrzu między restauracją a parkingiem. - Zerknął na Piatowsky'ego kątem oka i zaraz znowu skoncentrował się na drodze. - Idę o zakład, że drań wiedział, gdzie Ellie pracuje, w jakich godzinach, gdzie zostawia samochód. Czatował na nią, wiem to.

- Musiał mieć jakiś motyw. Może nieodwzajemniona miłość?

Opowiadała ci o dawnych narzeczonych? Może dała komuś kosza, a on nie potrafił się z tym pogodzić?

- Nie wspominała, by ktokolwiek się w niej na zabój kochał.

Twierdziła, że nie ma czasu na miłość... to dotyczyło również mnie. Piatowsky uśmiechnął się mimo ponurych okoliczności.

- Dobra, a obsesja?

Dan niecierpliwie zatrąbił na zbyt ospałego kierowcę.

- To możliwe, chociaż, z drugiej strony, ona ciągle pracowała. Kto spędzał z nią tyle czasu, żeby dostać obsesji na jej punkcie?

- Zemsta? - Piatowsky zapalił marlboro light, ale zgasił, gdy Dan spiorunował go wzrokiem. - Przepraszam, nie wiedziałem że tu nie wolno palić.

- Myślisz, że ktoś żywił do niej urazę?

- Tak. Może ktoś z personelu?

- Bezustannie kłóciła się z szefem kuchni, ale o tym wie cały świat.

Inni ją lubili, praca im odpowiadała. - Piatowsky trzymał zgaszonego papierosa między zębami. Dan skomentował cicho: - Jeśli nie rzucisz, nie dożyjesz czterdziestki.

- Niedawno skończyłem czterdzieści dwa. Powiedz, kto skorzystałby na śmierci Ellie?

Słowo „śmierć” sprawiło, że po plecach Dana przeszedł zimny dreszcz.

- Nie posiadała niczego wartościowego oprócz sznurka pereł, których nigdy nie zdejmowała. Jestem pewien, że wszyscy uważają

je za sztuczne. Oprócz tego dom i antyki.

- osiem hektarów ziemi w jednym z najbogatszych zakątków Kalifornii. Warte dobrych kilka milionów.

Dan przypomniał sobie, jak Ellie nie była w stanie rozstać się z rezydencją. – To tak jakby babcia i Maria nadal tam były - powiedziała wtedy - i czekają, aż im pomogę. Najpierw musimy znaleźć zabójcę". Jak szkoda, że nie wystawiła Journey's End na sprzedaż od razu, że nie pożegnała się ze wspomnieniami, zarówno dobrymi, jak i złymi, i nie zaczęła nowego życia. Bo w głębi serca wiedział, że Piatowsky ma rację i Journey's End ma coś wspólnego ze zniknięciem Ellie.

- Minęły trzy dni. Jakie ma szansę?

Piatowsky znał statystyki. Odpowiadając na pytanie przyjaciela, wybrał bardziej optymistyczną wersję:

- Pięćdziesiąt procent. Ale trzeba mieć nadzieję.

Pojechali bezpośrednio na posterunek w Santa Monica, gdzie czekał na nich detektyw Farrell. Piatowsky wytłumaczył mu, jakim sposobem jest zaangażowany w śledztwo, poczynając od morderstwa prostytutki w Nowym Jorku. Wyczuł, że Farrell nie jest zachwycony jego widokiem, i domyślił się, słusznie zresztą, że detektyw nie chce, żeby się wtrącał i wciągał do sprawy FBI.

- Na razie jest to sprawa o zasięgu lokalnym. - Farrell, jak zwykle, obracał w palcach długopis. - Moi ludzie pokazują na ulicach zdjęcie Ellie, pytają, czy nikt jej nie widział. Jej twarz jest w każdym wydaniu wiadomości, helikoptery patrolują kaniony, chłopcy z Montecito na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdzają dom. W tej chwili niewiele więcej możemy zrobić. - Nie przestając bawić się długopisem, wzruszył ramionami.

Piatowsky ciągle miał te słowa w uszach, kiedy siedział z Danem w hotelowym barze.

- Pieprzony dupek! Ani słowem nie wspomniał o motywie.

- Bo jego zdaniem mamy do czynienia z psychopata, wybierającym przypadkowe ofiary.

- Ale ty się z jego zdaniem nie zgadzasz. Dan potrząsnął głową.

- Nie. Pete, w tym jest plan, przemyślane działanie. Czuję to.

- Dobry gliniarz zawsze polega na swoim przecuciu. Dan z namysłem upił łyk piwa.

- Ellie mówiła, że nie ma innych krewnych. Żadnych kuzynów w trzeciej linii, żadnych wujków za morzem. Więc kto skorzystałby na jej śmierci?

- Prawnicy Charlotte Parrish powinni wiedzieć.

- Pamiętasz Majorsa? Majors, Fleming i Untermann, kancelaria w Santa Barbara.
 - Zadzwoń do niego. Farmerowi nie wyjawisz tajemnic rodziny, ale gliniarzowi - na pewno.
- Dan niecierpliwie zerkał na zegarek. Czas upływał szybko. On również znał statystyki.
- Piatowsky wrócił. Dokończył piwo jednym haustem.
- Ellie miała rację, nie ma innych Parrishów, którzy mogliby dziedziczyć posiadłość.
 - Chodź! - Dan był gotów do drogi.
 - Dokąd? - Piatowsky pospieszył za nim.
 - Makepeace i Thackray, księgowi Lottie Parrish. Dowiemy się, kogo wspomagała finansowo, zanim kazali jej oszczędzać każdego centa.

Rozdział 73

Przestronne biura firmy Makepeace i Thackray mieściły się w wieżowcu Century City. Krzesła obito skórą koloru dobrego wina, dywan miał barwę zgaszonej szarości, biurka wyglądały na masywne i drogie. Piatowsky doszedł do wniosku, że samo patrzenie na śliczną młodą recepcjonistkę to droga przyjemność.

- Gdyby ci faceci prowadzili moją księgowość, nie posiadałbym się ze zdumienia, jakim cudem żyje im się lepiej niż mnie - szepnął do Dana.

Było oczywiste, że ani efektowna recepcjonistka, ani sam pan Thackray nie przywykli do kontaktów z policją. Współwłaściciel firmy miał koło pięćdziesiątki, był wysoki, opalony, poważny. Po starannie ułożonych siwych włosach widać było, że ma dobrego fryzjera.

Przywitał się z nimi, zaproponował, żeby usiedli. Za jego biurkiem spokojnie zmieściłyby się dwie osoby. Dan pozwolił Piatowsky'emu prowadzić rozmowę.

- Detektyw Piatowsky z policji nowojorskiej. - Pete niedbale machnął odznaką. - Pracuję nad zaginięciem Ellie Parrish Duveen.
- Straszna sprawa. - Thackray smutno pokręcił głową. - Po tym, co spotkało Miss Lottie... Tego już za wiele.
- Panie Thackray, czy wiadomo panu o istnieniu osoby, która skorzystałaby na śmierci Ellie?

Prawnik był zdumiony. -Nie.

- Ellie twierdziła, że jej babka wspierała finansowo wiele

organizacji dobroczynnych i że trudna sytuacja zmusiła ją do zaniechania tego w niedalekiej przeszłości. Czy posiada pan listę tych instytucji?

-Tak.

- Chętnie rzucilibyśmy na ten spis okiem, o ile nie ma pan nic przeciwko temu. – Ponieważ Thackray się wahał, Piatowsky posłał mu swój chłopięcy uśmiech. – Chcemy tylko rzucić okiem.

Thackray zrozumiał, że nie ma wyjścia. Przez interkom polecił sekretarce przynieść akta, po czym zerknął na zegarek.

- Za pięć minut mam ważne spotkanie, panowie. Proponuję, żebyście zapoznali się z tymi dokumentami w sali konferencyjnej. Sala konferencyjna, obszerne pomieszczenie z wygodnymi fotelami obitymi skórą, antycznym stołem z orzecha i obrazami przedstawiającymi sceny z polowań, była przytulna jak klub dla dżentelmenów.

- Mógłbym tu zamieszkać. – Piatowsky jak mały chłopiec kręcił się na obrotowym fotelu. Podał listę Danowi. –Do roboty, przyjacielu. Orientujesz się w tym lepiej niż ja. Ja służyłem tylko jako twój klucz do tego skarbcza.

Lista była druga. Zawierała głównie nazwiska kobiet, jak przypuszczał Dan, starych przyjaciółek, które Miss Lottie wspierała finansowo. Znalazł tam także oddział pediatryczny lokalnego szpitala, schronisko dla zwierząt, kilka lokalnych instytucji opieki społecznej. Spore sumy przeznaczano na jednorazowe darowizny, o których Miss Lottie decydowała samodzielnie. A na samym dole trzeciej strony widniała nazwa, która go zaniepokoiła.

- Czy mówi ci coś nazwa Ośrodek Hudson, w Rollins?

- Zakład dla świrów o wzmożonym stopniu bezpieczeństwa. Byłem tam raz, żeby przesłuchać wariata. Siedzą tam same twardziele, nie radzę z nimi zadzierać. Co, u licha, łączyło Lottie Parrish z czymś takim?

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. – Dan przekładał kartki, aż znalazł tę właściwą. – Opłacała pobyt jednego pacjenta przez dwadzieścia... nie, ponad dwadzieścia lat.

Przeczytał informację do końca. Uważnie spojrzął na przyjaciela.

-Pamiętasz, co powiedziałem, jak zobaczyliśmy zwłoki prostytutki? Sprawdź, który świr wyszedł z pudła. On nie wyszedł z pudła.

Wypuścili go z Hudson, bo nie uiszczano jego rachunków. Nazywa się Patrick Buckland Duveen.

Ich spojrzenia się spotkały. Obaj myśleli o tym samym: o napisie DUVEEEE... na monitorze Miss Lottie.

- Bingo! - stwierdził Piatowsky.

Rozdział 74

Migotliwy neon tuż przy autostradzie przykuł uwagę Bucka. Napis głosił: „Motel Avalon” Litery były czerwone i zielone, brakowało „o” w słowie „motel”. Gwałtownie skręcił na podjazd.

Był to niski, obskurny budynek. Przed każdymi drzwiami świeciła słaba żarówka, nie tyle dając światło, ile raczej tworząc ruchliwe cienie. Na parkingu stał tylko jeden samochód. Właśnie takiego miejsca Buck szukał.

Zerknął do bocznego lusterka. Prawe oko wyglądało jak zamknięte, na koszuli były plamy z krwi. ściągnął ją przez głowę. Pod spodem miał czarny podkoszulek. Wylał krew z twarzy, poprawił włosy, włożył ciemne okulary. Wszedł do małej recepcji z nożem ukrytym w dłoni, tak na wszelki wypadek.

- ...bry. - Staruszek za kontuarem niechętnie oderwał się od teleturnieju. - Dwadzieścia dziewięć dolarów za noc, trzeba zwolnić pokoje do jedenastej, w pokojach można sobie zaparzyć kawę.

- Dobrze. - Buck rzucił pieniądze na ladę.

Staruszek schował banknoty i zdjął klucz z tablicy za plecami.

- Chce pan pokwitowanie? -Nie.

- Pokój dwadzieścia trzy, po lewej stronie.

Buck podjechał pod same drzwi. Otworzył kluczem cienkie drzwi, którym poradziłby jednym kopniakiem, i włączył światło. Brązowa wykładzina była upstrzona plamami, pomarańczowa narzuta leżała na łóżku od dobrych kilkadziesiąt lat, pokój śmierdział pleśnią i stęchlizną. Daleko mu do apartamentów w hotelu Biltmore.

Buck cisnął klucze na łóżko, rozebrał się błyskawicznie i wszedł pod prysznic.

Gorąca woda kłuła tysiącem igieł w zranione oko, jednak prawie tego nie zauważał. Myślał o Ellie, zamkniętej w skrzyni. Gniew sprawiał, że krew szybciej krążyła w żyłach. Powinien był zabić tę sukę od razu. Ale nie mógł: chciał ją torturować, chciał się mścić.

Jęknął nagle. Przecież ją kocha.

Po długim czasie wyszedł spod prysznica, wytarł się cienkim ręcznikiem, ubrał i wyruszył na poszukiwanie sklepu monopolowego. Pół godziny później popijał whisky z butelki, leżąc na łóżku. Pod ścianą migotał czarno-biały ekran telewizora, lecz on myślał o Ellie. Leży w skrzyni od pięciu godzin. Ciekawe, czy to jej przypało do gustu.

Tam, gdzie przebywała, nie było światła, dźwięku, przestrzeni, powietrza. Czas stracił znaczenie. Na jej policzkach już dawno obeschły słone łzy – nie miała czym płakać. Stała się małym, przerażonym stworzeniem, zamkniętym w skrzynce, czekającym na śmierć. Kalustrofobia dławiła oddech, panika narastała w gardle, pot spływał z włosów.

Poruszyła się odrobinę i lina boleśnie wpiła się w kostkę. Leżała skulona jak embrion, z rękami wykręconymi do tyłu. Ból w barkach stawał się nie do wytrzymania, ale przynajmniej dzięki niemu zachowała przytomność. Nie wolno jej zemdleć, jeśli chce żyć... W łydkach poczuła skurcz. Jęknęła. Myślała, że nie zniesie więcej bólu, lecz musi się z tym pogodzić. Jeśli chce żyć.

Apatia nadciągnęła posępną złą chmurą; Ellie nie była już taka pewna, czy chce dalej żyć. Każdy oddech kosztował tyle wysiłku, tyle bólu.

Nagle zobaczyła Dana. Był tak blisko, że widziała niebieski cień zarostu na twarzy, ciemne plamki w tęczęwkach, mocno zarysowane usta. Usta, które całowały ją tak czule... Czy naprawdę było to tak niedawno? Pragnęła go, i to pragnienie sprawiało, że czuła zapach jego ciała po tym, jak się kochali, czuła pod palcami skórę jego pleców, miała w ustach jego smak. Tęskniła za bezpieczną przystanią jego ramion, za świadomością, że mu na niej zależy. Powtarzała sobie, że na pewno zaczął jej szukać. Jest mądry, pracował w policji, wie, co robić.

Ale jak ma ją odnaleźć na tym odludziu, zapomnianym przez Boga i ludzi? Nikt jej tu nie znajdzie. Równie dobrze może umrzeć.

Przez szpary w skrzyni wpadało chłodne powietrze. Chciwie wykręciła szyję w tamtą stronę.

Już raz była o krok od śmierci. Teraz pamiętała wszystko dokładnie. Uśmiech ojca, oczy matki wpatrzone w niego, gdy samochód wpadł w ostatni poślizg. Teraz rozumiała, że ojciec wiedział, że umrze, lecz mimo to śpiewał dalej. Słyszała go tak wyraźnie, jakby był z nią, tutaj zamknięty w skrzyni. - Naprzód, rycerze Chry stuuuusaaa..."

Zawtórowała mu drżącym, słabym głosem:

- ...Idziemy za krzyżem Jezuuusa..."

Rozdział 75

Hal Morrow w Ośrodku Hudson wcale nie był za- skoczony, kiedy zadzwonili do niego z pytaniem o Bucka Duveena. Podświadomie

spodziewał się tego telefonu, odkąd widział, jak wychodzi na wolność. Niemniej nowiny stanowiły dla niego szok.

- Nie wiedziałem, że Charlotte Parrish nie żyje - powiedział Danowi.

- Ale nie wątpię, że to jego sprawka.

- W jaki sposób był spokrewniony z Parrishami?

- Proszę chwilę poczekać. To stare dzieje, sprzed ponad dwudziestu lat, muszę zajrzeć do akt. - Gorączkowo szperał w papierach. - O, mam. Buck jest synem Rory'ego Duveena z pierwszego małżeństwa, zanim poślubił on Romany, córkę Charlotte Parrish.

Dan popatrzył na Piatowsky'ego.

- Więc Ellie jest jego przyrodnią siostrą.

- Zgadza się. - Morrow przeglądał teczkę. - Mam tu całą historię.

Zdaje się, że pojechał do Journey's End upomnieć się o spadek po ojcu, tylko że jego ojciec był biedny jak mysz kościelna. Pieniądze stanowiły własność Romany, a ona wszystko wydała. Nie zostało po nich nic, a gdyby nawet było inaczej, dziedziczyłaby Ellie, ich córka.

Wtedy wpadł w szal i zaczął dusić panią Parrish. Dopiąłby swego, gdyby nie ta mała, Ellie. Wrzaskiem zaalarmowała służbę. Pani Parrish nie wniosła przeciwko niemu oskarżenia. Buck i jej wnuczka mieli tego samego ojca, nosili to samo nazwisko i nie chciała kłaść go publicznie. Tak więc zamknęła Bucka tutaj. Ten człowiek jest psychopata. Niezrównoważony, skłonny do stosowania przemocy, jak najbardziej w stanie jest popełnić zbrodnie, o których pan mówił.

- Więc dlaczego, do cholery, pan go wypuścił? - Dan nie panował nad sobą. Morrow westchnął smutno.

- Proszę mi wierzyć, nie chciałem tego. Niestety Hudson to zakład prywatny, kiedy przestały wpływać pieniądze, nie miałem wyboru. Nie miałem również żadnych dowodów, że Buck Dureen popełnił jakiegokolwiek zbrodnie. Zakłady państwowe nie chciały go przyjąć, i tak są przepelnione...

- Więc mu się udało - dokończył za niego Dan. Morrow skinął głową.

- Właśnie. Mogę wam przesłać jego aktualne zdjęcie. To chłop na schwał, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dziesięć kilogramów wagi, muskularny. Ma kręcone rude włosy, bladą cerę, ciemne, prawie czarne oczy. Jest bardzo silny.

Dan odłożył słuchawkę i spojrzał na Farrella.

- Ma pan swój motyw.

Farrell bezustannie kręcił długopisem. Piatowsky nie mógł na to patrzeć. Jeśli Farrell zaraz nie zostawi tego pieprzonego długopisu,

zrobi mu coś przykrego.

- Po usunięciu Miss Lottie i Ellie... - chciał powiedzieć to delikatnie
- Buck będzie mógł zgodnie z prawem domagać się praw do posiadłości, jako ostatni z Duveenów i Parrishów. W końcu był, to znaczy jest przyrodnim bratem Ellie.

Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że aby domagać się zwrotu rezydencji, Buck musi przedstawić dowód, że Ellie nie żyje. Inaczej sprawa spadkowa ciągnęłaby się w nieskończoność.

- Dlaczego nie zabił jej od razu, w restauracji? - głowił się Piatowsky. - Skoro potrzebne mu zwłoki, czemu ją porwał? Dan pomyślał o fotografii Ellie, którą ukradziono z sypialni jej babki.

- Bo ją kocha - powiedział spokojnie. - Ma na jej punkcie obsesję. Na pewno ją śledził, znał każdy jej ruch. Buck Duveen ma wszystkie motywy: chciwość, zemsta, namiętność, obsesja. Możemy tylko mieć nadzieję, że jej nie zabił... jeszcze.

Rozdział 76

Restauracja była dzisiaj nieczynna, nie dlatego że Chan po raz kolejny rzucił pracę, lecz dlatego że nikt nie miał serca pracować bez Ellie.

Farrell zebrał ich ponownie. Znowu siedzieli za stołem, na którym stały kubki niechcianej kawy. Podawali sobie kolorowe zdjęcie Bucka Duveena, wyteżając myśli, czy go tu nie widzieli.

Chan, Terry i dzieciak przecząco kręcili głowami; rzadko kiedy widywali gości. Jake zaklinał się, że zapamiętałby go.

- Mam pamięć do twarzy - zapewniał.

Maya z uwagą przyglądała się fotografii. Oddałaby dużo, żeby móc powiedzieć: „Tak, poznaję go”. Nie mogła.

- Był taki jeden, wpadł kilka razy i pytał o Ellie. Ale wyglądał inaczej. Dan nadstawił ucha.

-A jak?

Maya zmarszczyła brwi. Nie chciała niczego przeoczyć.

-Bardzo wysoki, w pewien szczególny sposób chyba przystojny. Był blady... i ciemnowłosy, miał wąsy. Zawsze nosił ciemne okulary. Nie podobał mi się i powiedziałam Ellie, że to świr.

- Znała go?

- Tak, powiedziała, że poznała go w hotelu Biltmore. Śmiała się, mówiła, że facet jest po prostu samotny, i tyle.

Ale mnie się wydawało, że jak na samotnego faceta jest w nim coś dziwnego, był za bardzo arogancki...

Dan podsunął jej zdjęcie pod nos.

- Mayu, wyobraź sobie, że na tej twarzy widzisz ciemne wąsy, okulary... Powiedz, ciepło czy zimno?

Przyglądała się długo, zanim skinęła głową i powiedziała:

- Nazywa się Ed Jensen.

Dan odrzucił głowę do tyłu, przymknął oczy. Przypomnił coś sobie... Wy-bladły Romeo.

- To on - powiedział spokojnie. - To nasz człowiek.

Dyrektor eleganckiego hotelu Biltmore nie przywykł do tego, że dzwoni do niego policja, ale zmiękł, gdy się dowiedział, że chodzi o Lottie Parrish i Ellie. Wkrótce Farrell dostał adres i numer telefonu w Miami.

- Zawsze płacił gotówką - dodał dyrektor hotelu. - Nie kartą kredytową. Maya przestała ocierać oczy chusteczką.

- To samo w restauracji, gotówka i słony napiwek. - Wzdrygnęła się.

- Miał najzimniejsze spojrzenie, jakie w życiu widziałam. - Na myśl, że Ellie znajduje się w jego rękach, zaczęła znowu szlochać.

Terry dołał jej kawy.

- Napij się, skarbie - polecił, z otuchą klepiąc ją po ramieniu.-

Dopóki kwiatki na niej nie rosną, trzeba mieć nadzieję.

Farrell użerał się z Miami, bo tamtejsza urzędniczka nie chciała mu udzielić informacji.

- Skąd mam wiedzieć, kim pan jest? - dopytywała się. Poczzerwieniał ze złości.

- Dowie się pani, kiedy zapukają do drzwi chłopcy w mundurach.

Cisnął słuchawką i z apetytem wpakował sobie w usta całego pączka z marmoladą.

- Dzięki - zwrócił się do zebranych z pełnymi ustami. - Dzięki za pomoc. Możecie iść. - Ciepło popatrzył na Mayę. - Świetnie się spisałaś, kochanie. - W głębi duszy był przyzwoitym facetem.

- Powinna była pomyśleć o nim wcześniej. - Maya robiła sobie wyrzuty. - Powinna była się domyślić.

- Daj spokój. - Dan pokręcił głową. - Ja też go widziałem, a jednak niczego nie zauważyłem. Był uprzejmy, dobrze ubrany, grzeczny.

- Dobry aktor - podsumował Jake.

- Socjopata - poprawił Piatowsky.

W milczeniu podeszli do drzwi. Dan wziął Mayę za rękę.

- Zadzwoń, kiedy tylko czegoś się dowiemy.

Podniosła na niego wyblakłe oczy. Nie była już seksowna,

przypominała wystraszone, zapłakane dziecko.

- Będę czekała.

Piatowsky cierpiał, że musi oddać dowodzenie, lecz był to teren Farrella i jego śledztwo. Razem z Danem popijali policyjną lurę ze styropianowych kubków i czekali, aż Miami się odezwie.

Wiadomość pojawiła się na monitorze komputera. Przedsiębiorstwo Budowlane Eda Jensena nie istniało, adres i telefon to fikcyjne dane. Firma oferująca takie usługi dostała czek od Eda Jensena, z banku First National, oddział w Santa Monica.

Kilka minut później, po szybkiej konsultacji z FBI, dowiedzieli się w banku, że pieniądze na koncie Eda Jensena zostały przelane z oddziału nowojorskiego, z konta Bucka Duveena. Podano im numer ubezpieczenia Eda Jensena. Po sprawdzeniu okazało się, że numer jest fałszywy.

Farrell siedział za biurkiem i bawił się długopisem.

- Teraz wystarczy go znaleźć - stwierdził z uśmiechem.

Rozdział 77

Musisz coś jeść, musisz trochę pospać. - Piatowsky siedział w hotelowym barze naprzeciwko Dana. Pili piwo przy wtórce dobiegających z telewizora entuzjastycznych okrzyków kibiców. Kilkudniowy zarost Dana coraz bardziej przypominał ciemną brodę, włosy stanowczo domagały się mycia. - Przynajmniej weź prysznic - mruknął Pete. - Kup sobie czystą koszulę.

Dan ukrył dłonie we włosach.

- Nie jestem w stanie się niczym zająć. Cały czas myślę o niej. Mam jej głos w uszach, jej uśmiech pod powiekami... Boże! - Zapatrzył się w przestrzeń.

Mecz się skończył, Lakersów zastąpiły wiadomości. Ekran wypełniła twarz Bucka Duveena. „Jest to mężczyzna podejrzany o porwanie zaginionej Ellie Parrish Duveen” - informował stosownie zatroskany spiker.

Ellie bardzo by się to nie podobało, przemknęło Danowi przez myśl. Nagle przyłapał się na tym, że myśli o niej, jakby już nie żyła, a przecież musi mieć nadzieję.

- Jesteś wykończony. - Piatowsky dopił piwo, wstał, poprawił spodnie. - Ruszajmy.

- Dokąd?

- Coś zjeść i opracować plan działania.

Co prawda brzmiało to nieźle, lecz Piatowsky nie miał zielonego

pojęcia, na czym ów plan miałby polegać.

Dan żuł hamburgera, choć w ogóle nie czuł smaku, i apatycznie sączył colę. Posłał Piatowsky'emu spojrzenie z ukosa.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Więc? Jak myślisz, dokąd ją zabrali

Dan zmarszczył brwi.

- Musi być jakieś specjalne miejsce, które ma dla niego wyjątkowe znaczenie...

Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego. Dzwonił Farrell.

- Chcę tylko powiedzieć, czego się dowiedziałem. Znaleźliśmy matkę Du-veena. Została zamordowana, gdy był w college'u.

Udużona. Miała krzyż wycięty na czole. Odziedziczył po niej wcale niemało. Po sprzedaży domu około stu tysięcy. Nigdy go nie podejrzewano w związku z tą sprawą. Sprawcy nie ujęto do dzisiaj.

Rozdział 78

Buck ocknął się z głębokiego, pijackiego snu. Miał głowę ciężką jak z ołowiu, dźwięki z telewizora drażniły zmysły. Powoli hałas przekształcił się w zrozumiałe słowa.

- Oto mężczyzna podejrzewany o porwanie Ellie Parrish Duveen, spadkobierczyni Charlotte Parrish. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jasną cerę, rude włosy, prawdopodobnie ufarbowane na ciemne. Prawdopodobnie nosi wąsy. Ma ciemne oczy. Prezentujemy zdjęcie, na którym nie jest przebrany. A tak wyglądał ostatnio. Jest to portret pamięciowy sporządzony na podstawie opisu świadków". Buck wyprostował się gwałtownie. Z malutkiego ekranu patrzyła na niego własna twarz.

- Podejrzany, Patrick Buckland Duveen, przedstawia się również jako Ed Jensen. Jest poszukiwany w związku z zabójstwem babki porwanej, Charlotte Parrish, i jej gosposi, Marii Novales. Policja nie wyklucza także, że miał coś wspólnego ze śmiercią i okaleczeniem trzech prostytutek. Niedawno opuścił ośrodek dla psychicznie chorych o zaostrzonym rygorze. Wiadomo, że jest niezrównoważony i zdolny do czynów brutalnych. Policja ostrzega, że jest uzbrojony. Jeśli widzieli państwo tego mężczyznę albo znacie miejsce jego pobytu, prosimy o natychmiastowy kontakt z policją pod tym numerem telefonu..."

Buck z wściekłością walnął pięścią w ścianę. Myślał, że ich

wszystkich pokonał. Myślał, że wygrał, że nagroda będzie jego.

Ubrał się pospiesznie. Nagły ból w klatce piersiowej nie pozwolił

mu iść. Ciężko oparł się o futrynę. Krew dudniła mu w uszach, serce wyrywało się z piersi. Z trudem wziął się w garść, poszedł do samochodu i odjechał z powrotem w góry.

17-Wcześniej...

Ellie, choć wyczerpana, nie pozwalała sobie zasnąć z obawy, że się więcej nie obudzi. Nie zobaczy błękitnego nieba, nie poczuje ciepłych promieni słońca, nie napije się dobrego wina, nie pocałuje Dana...

„Naprzód, rycerze Chrystusaaa, idziemy za krzyżem Jezusaaa...”

Buck zatrzymał się w otwartych drzwiach.

Śpiewała, ochrypłym, zmęczonym głosem. To ulubiony hymn ich ojca, ten sam, który śpiewali na jego pogrzebie. Cóż, teraz zabrzmi ponownie na jej pogrzebie.

Z młotem w dłoni przemierzył pokój.

Ellie przestała śpiewać i uniosła wzrok. Słyszała, jak deski pękają, gdy wyciągał gwoździe.

- Tatusiu! - szeptała. - Wiem, że mnie kochasz. Jeśli mnie słyszysz, pomóż mi. Błagam, tatusiu, pomóż mi...

Wiek ustąpiło i oślepiło ją światło. Dysząc głośno, porywacz wyciągnął ją ze skrzyni. Obolałe mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Bezwładnie osunęła się na ziemię. Nie była w stanie się ruszać, niczego nie widziała. Bezradnie czekała na ostateczny cios.

„Pan jest moim pasterzem i nie brak mi niczego. Prowadzi mnie na zielone pastwiska...” - powtarza w myślach słowa psalmu.

Rzeczywistość odeszła w zapomnienie. Znowu była dzieckiem, leżała w łóżeczku, Miss Lottie zaś recytowała ten piękny psalm...

Buck patrzył na klęczącą postać. Na splątane rude włosy, na ciało, piękne i zgrabne, na zakrwawione przeguby. Oto jego złota dziewczyna: brudna, ranna, pobita. Rozkoszował się tą chwilą.

Osunął się na kolana, pchnął ją, tak że leżała na plecach, naparł na nią całym ciałem. Silnymi palcami otoczył jej szyję. Dysząc z podniecenia, czekał, aż zacznie wrzeszczeć, aż roznieci w nim płomień błagając o życie, aż zacznie z nim walczyć, gdy ją weźmie. Dokładnie tak, jak to miało miejsce jego wyobraźni, podczas drugich lat spędzonych w Ośrodku Hudson.

Ellie czekała na śmierć. Oby tylko nadeszła, zanim ją zgwałci. Jej myśli krążyły między rycerzami Chrystusa a Psalmem 23, między Bogiem, jej ojcem i babką. I Danem. Symbolizował życie i miłość... Dłonie Bucka drżały. Ta suka się nie boi, nie wrzeszczy, nie błaga o litość. To bez sensu, nie stanie mu...

Kwaśny zapach jego potu miała w nozdrzach, gdy na rękach niósł ją do drzwi. Nagle znaleźli się na dworze. Zachłannie wciągała w płuca świeże powietrze. Cisnął ją na tylne siedzenie samochodu. Nie rozumiała, czemu jej jeszcze nie zabił.

Rzeźkie powietrze sprawiło, że zaczęła wracać do siebie. Krew docierała do całego ciała, zdrtwiałe ramiona bolały jakby klute tysiactem igieł. Ale żyła.

Kabriolet pędził w dół z niebezpieczną szybkością. Ten człowiek prowadził jak szaleniec. Nagle z całej siły wykręcił kierownicę w prawo. Samochód wpadł w poślizg, opony piszczały na asfalcie. Ellie zaczęła krzyczeć; zakręciło jej się w głowie; miała wrażenie, że po raz drugi w życiu nieznaną siłą wyrzuca ją z samochodu, który bezładnie wali się na dno wąwozu.

Samochód się zatrzymał. Buck odwrócił się do niej. W ciemnych oczach błysnął złośliwy uśmiech.

- Wiesz, gdzie jesteśmy, Ellie?

I nagle wspomnienie, które do tej pory drzemało w zakamarkach jej pamięci, powróciło z całą wyrazistością.

Rozdział 79

Kiedy ostatni raz patrzyła w te oczy, miała pięć lat, a on pochylał się nad białym bentleyem jej ojca. Samochód stał z podniesioną maską w cieniu wysokich palm. W jego dłoniach coś błysnęło, jakieś narzędzie. Zapytała ciekawie, co robi, i wówczas gwałtownie zatrzasnął maskę. Z uśmiechem przyłożył palec do ust.

- Ciii... to tajemnica - szepnął, niespokojnie rozglądając się na boki, żeby się upewnić, czy nikt nie nadchodzi. Wziął ją za rączkę i szybko odciągnął od samochodu. - To niespodzianka dla twojej mamusi. Tylko nikomu nic nie wypapłaj, dobrze?

Spojrzał na nią surowo. Przestraszona opuściła głowę. Nerwowo szurała nogami po ziemi.

- Nie powiem - bąknęła.

- Umiesz chyba dotrzymać tajemnicy?

- Pewnie! - zaperzyła się. - Nie powiedziałam nikomu, j jakie dostaną prezenty na Gwiazdkę, chociaż pękałam z ochoty!

- Dzielna dziewczynka. Ale teraz musimy milczeć oboje, dobrze?

- Dobrze. - Wyrwała rękę z jego gorącej, silnej dłoni.

- Obiecuj.

- Obiecuję.

- Że zachowasz tajemnicę aż do grobowej deski?

- Do grobowej deski.

W tym momencie parsknął śmiechem, jakby z żartu, którego nie rozumiała.

-A więc żegnaj, Ellie.- Puścił ją, a ona pobiegła z powrotem do mamy w cień wysokich palm.

Teraz pamiętała wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Ojciec wznosił toast. W szklance z piwem odbijało się słońce, migotało złotymi iskrami w jej oczach. Jak zwykle, śpiewał; - Wróc do Sorrento", jedną z ulubionych włoskich ballad. Ellie poszła śladem jego spojrzenia; patrzył na mamę, w ich roześmianych oczach była miłość. Byli tacy szczęśliwi, we dwoje, i nagle poczuła, że nie należy do ich magicznego świata.

Weszła pod stół. Wędrowała między butami uczujących, aż znalazła drogie kowbojki z białej jaszczurczej skóry. Oplotła kolana matki rączkami i wspinała się do góry.

Romany uniosła obrus w biało-czerwoną kratkę.

- Więc tu jesteś - powiedziała. - Już się za tobą stęskniłam.

I w świetle Ellie wszystko już było jak trzeba.

Dopóki, godzinę później, cały jej świat się nie zawalił.

Rozdział 80

Zabiłeś ich! - krzyknęła. - Uszkodziłeś hamulce w samochodzie.

Buck potwierdził z kpiącym uśmiechem. Wreszcie jama.

- Kim ty jesteś?

- Nie wiesz? Pozwól, że się przedstawię: Rory Duveen, twój przyrodni brat. Do usług.

Zaskoczył Ellie do tego stopnia, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Wiedziała, że jej tata był wcześniej żonaty, lecz nie miała pojęcia, że miał syna.

- Rory był również moim ojcem. On miał wszystko, ja - nic. Kiedy oni nie stali mi na drodze, miałem wszystko odziedziczyć. A po twojej śmierci byłbym jedynym spadkobiercą. Niestety musiałem czekać ponad dwadzieścia lat, żeby zrealizować mój plan.

Ellie odwróciła wzrok, niezdolna znieść lodowatego wyrazu jego oczu. Uśmiechał się dokładnie tak samo jak tamtej nocy w bibliotece, kiedy próbował udusić babkę. W końcu mu się to udało. Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze.

Jego twarzy wyrażała teraz coś innego. Dziwną tęsknotą, pragnieniem.

- Nie musisz umierać, Ellie. Wiesz, że cię kocham. Mógłbym się tobą opiekować, byłabyś moją księżniczką. Moglibyśmy żyć

razem jak w raju. Wystarczy, żebyś wypowiedziała jedno, jedyne słowo.

Podniosła głowę.

- A jak ono brzmi, Buck?

- Tak - szepnął cicho.

- Morderca! - cisnęła mu w twarz.

W jego oczach błysnęła złość, zanim odwrócił wzrok na wawóz.

Zacisnął pięści. Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Ellie wiedziała, że wydała na siebie wyrok śmierci.

Tatusiu, modliła się, wiem, że gdzieś tam na mnie czekasz. Spraw, żeby Bóg pokarał twego złego syna.

Z rozpaczą pomyślała o Danie, którego nigdy więcej nie zobaczy.

Dan, szeptała bezgłośnie, nie mówiłam tego, ale mam nadzieję, że i tak zrozumiesz. Kocham cię. Po prostu byłam zbyt zabiegana, za bardzo skoncentrowana na robieniu kariery, żeby sobie pozwolić na miłość. Mam nadzieję, że o tym wiesz, że pomyślisz: „Ona mnie naprawdę kochała”. Dan, Dan, przyjacielu...

Buck przekręcił kluczyk w stacyjce, a Ellie otworzyła oczy, by po raz ostatni zobaczyć błękit nieba.

Nagle samochód wrócił na szosę i ponownie gnali z góry z zawrotną szybkością, z piskiem opon.

Żyła, bo Buck Duveen miał wobec niej inne plany.

Rozdział 81

Dan rzucił okiem na przyjaciela. - Chodźmy się przejść.

Noc była chłodna i ciemna, bezksiężycowa, lecz w centrum handlowym nadal kręciło się wiele osób: posilali się w restauracjach, oglądali wystawy, rozmawiali ze znajomymi. Jako policjanci, automatycznie przeczesywali wzrokiem tłum, choć cały czas myśleli o Bucku Duveenie. Doszli do promenady nad brzegiem, gdzie kręciło się wielu bezdomnych. Dan nawet ich nie zauważył i po raz pierwszy w życiu im nie współczuł. Za bardzo sam cierpiał.

Piatowsky milczał. Wyobrażał sobie, przez co przechodzi przyjaciel, a nie mógł znaleźć słów otuchy. Perspektywy na przyszłość były marne. Dan w kółko analizował to, co wiedzieli o Bucku Duveenie i jego związku z Ellie. Buck pragnął zemsty, chciał dostać Journey 's End. Był na tyle szalony, że mógłby ją tam zabrać...

- Chodźmy - rzucił. Piatowsky spojrzał znużony.

- Dokąd tym razem?

- Do Journey's End. - Dan biegł. - Tam gdzie się wszystko zaczęło.

Rozdział 82

Kiedy zjechali z gór, Buck zatrzymał samochód, wziął Ellie na rękę i cisnął do bagażnika.

Odwróciła głowę, nie chcąc sprawiać mu przyjemności widokiem jej bólu i strachu.

Bez słowa zatrzasnął wieko.

Wróciła klaustrofobia. Ellie była w pułapce. Dusznej, ciasnej, ciemnej pułapce. Nie miała czym oddychać. Pot zalewał jej oczy, spływał po plecach. Mocno zacisnęła powieki. Musi wziąć się w garść. Musi myśleć

Jechał bardzo szybko, obijała się o ściany na zakrętach. Nagle poczuła ostry ból i krew na rękę. Przez chwilę zastanawiała się, o co się zraniła, zanim doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia. Umrze i tak.

Ogarnęła ją wściekłość.

- Nie chcę umierać! Nie zgadzam się! -krzyczała. Może ktoś ją usłyszy, jest szansa, że zatrzyma się na światłach. Niestety, jej głos bardzo szybko przeszedł w ochrypły szept.

Jęczała cichutko. Przez tyle lat była taka z siebie dumna, że jest silną, niezależną kobietą. A teraz... nie miała nawet siły krzyczeć.

- Ale nie umrę, nie umrę... - powtarzała sobie. Poruszała nogami, aż sznurek boleśnie wpił się w kostki.

Uspokoila się. Krew ciągle spływała po ramieniu. Przypomniła sobie chłodny dotyk czegoś ostrego, który spowodował ranę.

Zaczęła szukać. Choć wygięta, w bardzo niewygodnej pozycji, nie dawała za wygraną.

Jej palce natrafiły na jakiś przedmiot za plecami. To łopata. Łopata, którą chciał jej wykopać grób.

Z płaczem pocierała skrępowanymi nadgarstkami o ostry brzeg. Nie obchodziło jej, że w ten sposób może sobie przeciąć żyły. Lepiej umrzeć w ten sposób, niż poczuć jego dłonie na szyi, poczuć, jak ją dusi, gwałci... Ból w barkach był nie do wytrzymania, ale tarła coraz mocniej.

Nagle sznur pękł. Osunęła się na twarz, osłabiona ulgą. Gorączkowo masowała bolące nadgarstki.

Pochylona, wymacała w ciemności szpadel i zabrała się za więzy na nogach. Pot zalewał jej oczy, nie widziała niczego. Samochód skręcał co chwila, przez co miała trudności z utrzymaniem ostrza na sznurze. Boże, nigdy jej się to nie uda, nigdy... Piłowała coraz

mocniej, mocniej, aż krew zalała jej kostki... I była wolna. Powietrze było gęste, wilgotne. Każdy oddech wypełniał obolałe płuca ogniem. Zdawała sobie sprawę, że zostało jej niewiele czasu. Tak długo wierciła się w ciasnej przestrzeni, aż udało się jej uklęknąć. Zacisnęła obie dłonie na szpadlu.

- Nie umrę, nie umrę, nie umrę... - powtarzała te słowa jak mantrę, z nadzieją, że samochód zaraz się zatrzyma i że starczy jej sił.

Explorer pokonywał kolejne kilometry. Dan był świadom upływu każdej minuty. Musi ją odnaleźć, to jego zadanie, Ellie na nim polega...

Piatowsky milczał i modlił się, żeby nie zatrzymała ich drogówka.

Explorer to nie wóz policyjny, ale może wmówi im, że go zarekwirował? W każdym razie nie miał serca upominać Dana, żeby przestrzegał ograniczenia szybkości.

Dan zadzwonił do Ortegi z telefonu komórkowego, wytłumaczył, co się dzieje.

- Weź klucz do Journey's End z szuflady w biurku. Spotkamy się tam o... - spojrzał na zegarek - za pół godziny. Czekać w połowie podjazdu. I zgaś światła w samochodzie.

Piatowsky zerknął na niego kątem oka.

- Naprawdę wierzysz, że ona tam jest?

- A znasz inne miejsce, dokąd mógłby ją zabrać? Mam przeczucie, że wróci na miejsce przestępstwa. Journey's End i to, co ta posiadłość symbolizuje, to szczyt jego pragnień. Założę się, że o niej marzył przez te wszystkie lata w Ośrodku Hudson. Poza tym... to nasza jedyna szansa.

Ellie liczyła minuty. W końcu samochód się zatrzymał. Silnik pracował na zwolnionych obrotach, czuła zapach spalin i domyśliła się, że stoją na światłach. Ruszyli, by po chwili zatrzymać się na następnych. I jeszcze raz. Pewnie jadą przez miasto.

Otarłszy pot z czoła, nasłuchiwała, czy nie słyszy innych samochodów. Mogłaby walić w bagażnik szpadlem, starać się ściągnąć uwagę innych kierowców. Tyle że nie słyszała innych wozów. Skręcili w lewo, wjeżdżali teraz pod górę. Nagle czujna, uniosła głowę.

Zna każdy zakręt na tej drodze. Teraz wiedziała, dokąd porywacz ją wiezie.

Opony chrzęściły na zwirowanym podjeździe. Samochód się zatrzymał. Słyszała, jak Buck wysiada, jego kroki były coraz bliżej. Wieko bagażnika uniosło się powoli. Z wrzaskiem uderzyła go szpadlem w twarz. Złapał się za głowę z okrzykiem bólu. Wypadła z

bagażnika, z trudem wstała. Zbliżał się do niej, rozpostarł silne ramiona.

Zamachnęła się ponownie, łopata trafiła go w czaszkę z głuchym hukiem. Upadł.

Zebrała wszystkie siły. Biegła po życie. Była jednak osłabiona, po wielu godzinach bezruchu mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. W takim tempie nie wytrzyma długo, musi się gdzieś schować.

- Suka! - wrzeszczał Buck. - Suka, taka sama jak twoja matka... bogata suka jak twoja babka... Nie żyjesz!

Skręciła z podjazdu, przemykała się między drzewami, potykała o wystające korzenie. Traciła oddech, serce podeszło jej do gardła... nie umrze...

Zatrzymała się, czekała, nasłuchiwała. Było ciemno choć oko wykol. Ukryła się w zaroślach. Ciężko oparła się o pień, zacisnęła usta, żeby nie zdradził jej głośny oddech.

I nagle morderca chwycił ją za gardło.

Bucka przepelniała moc. Nawet ranny był niepokonany. Jest żalosna, myśląc, że może mu uciec, jest od niej sprytniejszy.

Sprytniejszy niż oni wszyscy.

Czuła na policzku jego gorący oddech, zimne ostrze przy szyi, jego krew na swoim policzku.

- Jesteś martwa, Ellie Parrish Duveen - szepnął. Zamknęła oczy. Czekala...

- Chodź - polecił.

Potykając się co chwila, szła przed nim do domu, dygocząc czekała, gdy szukał klucza do drzwi kuchennych. Wepchnął ją do środka.

Nie paliły się żadne światła, ale Ellie doskonale знаła swój dawny dom, mogłaby obejść cały z zawiązanymi oczami i nie wpadłaby na żaden mebel. Była wyczerpana, ranna, przerażona. Nie miała siły do dalszej walki. Jeśli mam umrzeć, pomyślała, lepiej, że stanie się to właśnie tutaj, gdzie jest tyle dobrych wspomnień. Gdzie zostałam poczeta.

Buck zaprowadził ją do biblioteki. Zapalił lampę. W jej świetle jego ciemne oczy błyszczały niesamowicie.

- Uklęknij - rozkazał. Wskazał miejsce przy biurku. Bez słowa wpatrywała się w niego wielkimi opalowymi oczami. - Uklęknij, powiedziałem! - Popchnął ją na podłogę, wcisnął twarz w piękny turecki dywan.

Ellie Parrish Duveen jest na jego łasce. A on dla niej łaski mieć nie będzie.

Rozdział 83

Zardzewiała półciężarówka gwałtownie zahamowała. Z tyłu wyskoczyli Pancho i Cecil. Carlos wyglądał w ciemność, wypatrując explorera. Nie było go jeszcze. Zgodnie z poleceniem Dana, zatrzymał się w połowie drogi dojazdowej, wysiadł i czekał. Po kilku minutach usłyszał warkot silnika. Skulony za szoferką, czekał z nerwami napiętymi jak postronki. To explorer. Pancho wiercił się jak szalony, dyszał głośno, aż Carlos musiał go uciszyć. W ślad za samochodem Dana podjechał bliżej domu. W oknie biblioteki paliło się światło. Na podjeździe stało czarne BMW.

Piatowsky sięgnął po broń. Tej nocy nie czas na aresztowanie podejrzanych.

- Miałeś rację, Cassidy - mruknął.

Buck uniósł głowę, słysząc chrzęst opon na żwirze. W jego oczach błysnęła panika. Mógłby zabić Ellie od razu, skończyć z tym wszystkim. Wtedy jednak jego zemsta nie dopełniłaby się do końca. Gdyby to zrobił, mogliby go ująć, a przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie więźniem.

Walili we frontowe drzwi, wołali Ellie. Na rękach zaniósł ją na górę, do sypialni babki i cisnąwszy na łóżko, starannie zamknął drzwi.

Byli sami.

Wyjął z kieszeni pojemniki z paliwem do zapalniczek. Początkowo zamierzał wykorzystać je do zniszczenia samochodu, kiedy będzie już po wszystkim. Rozlał ich zawartość na dywan, meble, ściany, a potem położył się na łóżku, obok Ellie. Patrzyła na niego wzrokiem zwierzęcia w pułapce.

- Naprawdę cię kochałem, Ellie - powiedział. I pocałował ją. Językiem wdarł się w jej usta, dłońmi błędził po jej piersiach, po całym ciele. Chciała krzyczeć, wymiotować, chciała go zabić. Szarpnęła się w tył i spadła z łóżka. Dopełzła do okna. Było zamknięte.

Odwróciła się, zobaczyła błysk obłędu w jego oczach, gdy rzucał na ziemię zapalną. I wtedy pokój stanął w płomieniach.

Dan zobaczył ją, ciemną sylwetkę na tle czerwonej łuny.

- Podpalił dom! - krzyknął. - Ellie, zbij szybę, skacz! - Ona jednak nie słyszała go ani nie widziała. Nie wiedziała nawet, że Dan tam jest.

Carlos popędził szukać drabiny. Piatowsky biegł po półciężarówkę. Wrócił po chwili i ustawił samochód pod balkonem. Dan wskoczył

na platformę, wspiał się na dach szoferki. Przy ścianie rósł wiekowy figowiec. Oby tylko utrzymał jego ciężar.

Chwycił najgrubszą gałąź, podciągnął się. Zatrzeszczała niebezpiecznie. Wyciągnął rękę w stronę poręczy balkonu, chwycił ją jedną ręką, zawisł... Pot zalewał mu czoło...

Buck zanosił się śmiechem, zachwycony własną przebiegłością.

Wygrał. Nagroda należy do niego.

Przez kłęby dymu Ellie patrzyła w jego obłąkane oczy. Chwycił ją za rękę, rzucił z powrotem na łóżko. Dym ją dusił, świat ogarniała czerń. Więc jednak umrze.

Nagle okno otworzyło się z hukiem. Płomienie, podsycone dopływem tlenu, buchnęły z nową siłą.

Mózg Ellie spowijała mgła, nie widziała niczego wyraźnie... Przez chwilę wydawało się jej, że w drzwiach balkonowych stoi Dan, a Piatowsky jest tuż za nim.

Buck rzucił się ku nim jak pantera, ale Piatowsky był szybszy. Kule są szybsze niż stal. Wystrzelił raz, drugi.

Wycelował i strzelił jeszcze raz, na wszelki wypadek. Buck cofnął się i jak marionetka, której przecięto sznurki, osunął się na ziemię. Całe jego ciało składało się z bólu. Miliony noży wbijały się w jego pierś. Spojrzał na Ellie, leżącą na ziemi odrobinę dalej. Płomienie lizały drugie włosy, otaczały jej twarz aureolą. Uśmiechnął się.

- Ellie... - szepnął. - Ellie...

Dan gasił ogień gołymi dłońmi. Przerzucił ją sobie przez ramię i ostrożnie zszedł po drabinie.

Na dole czekał Carlos. Ułożyli Ellie na chłodnej trawie. Piatowsky już dzwonił po karetkę, policję i straż pożarną.

W nocną ciszę wdarło się przenikliwe wycie. Podnieśli głowy.

Buck garbił się w oknie.

Ból przeszywał jego klatkę piersiową jak olbrzymi miecz.

Nadludzkim wysiłkiem dźwignął się na nogi, uchwycił framugi.

Wyglądał jak wielki drapieżny ptak, gotów do lotu. Za nim szalało ogniste piekło. Przed nim rozciągała się czarna otchłań.

Buzowała w nim moc. Czuł się żywy jak nigdy przedtem, każdy nerw wibrował w nim bólem. Było to prawie piękne. Miecz zagłębił się w jego sercu raz jeszcze. Buck odrzucił głowę do tyłu i zawył jak wilk. Tak samo jak robił to w Hudson, a strażnicy mówili: - O, to znowu Buck Duveen. Pewnie mamy pełnię". Ale teraz już nigdy nie zobaczy pełni.

Wył nawet wtedy, gdy osuwał się do tyłu, w płomienie.

Rozdział 84

Dan przez całą noc nie ruszał się od szpitalnego łóżka, od boku Ellie. Opatrzyli mu dłonie i kazali iść do domu, tłumaczyli, że ranna dostała silny środek nasenny i będzie spała przez wiele godzin, ale nie chciał się ruszyć z miejsca. Piatowsky wyjaśnił wszystko Farrellowi i Johannsenowi, zadzwonił do Mai i poszedł się przespać. Szczupła postać pod białą kołdrą była rzeczywistym dowodem, że Ellie nadal żyje, jest z nim. Na bladej twarzy odcinały się żółto-fioletowe sińce, nadgarstki okrywały bandaże, pielęgniarki obcięły popalone rude włosy. Wyglądała jak mały śpiący chłopiec. Jej buzia była taka niewinna. Robiło mu się niedobrze na samą myśl, jak niewiele brakowało. Nadal nie wiedział, co przeżyła podczas porwania. Modlił się, aby nie pozostawiło to nieuleczalnych urazów w jej duszy. Już i tak dużo przeszła.

Ellie nie wyobrażała sobie, że może gdzieś być taka cudowna cisza, taki spokój, tak miękka poduszka. Zapach szpitala. Z trudem uniosła powieki. Zobaczyła twarz Dana i zepchnęła straszne wspomnienia na dno świadomości. Teraz wszystko jest w porządku. - Cześć, przyjacielu. - Nawet ochrypli i słaby, jej głos był słodki jak czekolada.

Dan bezradnie uniosł dłonie.

- Boję się ciebie dotknąć, a mam wielką ochotę cię pocałować.

Szeroki uśmiech był taki sam jak dawniej.

- Więc zrób to, przyjacielu.

Pochylił się i musnął jej usta. Westchnęła z rozkoszą.

- Potraktuj to jako zaliczkę.

Uniosła pytająco brwi. Bolało jak diabli.

- Zaliczkę? Na poczet czego?

- Przyszłych pocałunków i... Do cholery, dosyć tych bzdur o przyjaźni. Potrzebuję cię, dziewczyno.

- Tak? - nawet na wpół przytomna, nie mogła oprzeć się pokusie i go nie drażnić. - A do czego?

- Muszę się zastanowić. - Ze zmarszczonym czołem przecesał ciemne włosy. - Żebyś poprowadziła małą knajpkę na Running Horse, gdzie moi kontrahenci będą degustowali wino. Wiesz, nic wyszukanego, może francuskie bistro, z obrusami w biało-zieloną kratkę i trocinami na podłodze...

Westchnęła głośno i skrzywiła się z bólu.

- Do cholery, Cassidy, każda kobieta może to robić. Gdzie w tym miejsce dla mnie?

- W samym środku - oznajmił z uśmiechem. - Nie potrafię bez ciebie żyć, Ellie Parrish Duveen.

Teraz westchnęła z zadowoleniem. Środki nasenne brały górę i jej powieki opadały ciężko.

- W samym środku twojego życia - wymamrotała. - Właśnie tam chcę być. Ponownie dotknął ustami jej warg. Szczęśliwa, zasnęła głęboko.

Dan siedział przy niej z uśmiechem. O tym, co się stało, trzeba będzie długo rozmawiać. Po tak strasznym przeżyciu upłynie sporo czasu, zanim wróci do siebie. Jednak z jego pomocą, w ciszy i spokoju winnicy, poradzą sobie ze wszystkim. Co prawda jego samochód nadaje się do kasacji, za to życie jest wspaniałe. Nie żałował niczego.

Koniec końców, zwyciężyli.

KONIEC